



MARIA DĘBICKA-KOWALCZYK

MIEĆ CAŁY ŚWIAT W OCZACH

ROK PIERWSZY

4.4.76

Nie lubię, jak mnie ruszają w niedzielne popołudnie. To po prostu nieprzyzwoitość. Ale Jacek uparł się załatwić jego harcerskie sprawy. Więc poszliśmy. Od razu coś mi się nie podobało. I nie to, żeby jednakowo czy szaro ubrane, przytłumione. To te ich oczy! Patrzące uważnie, mimo pozorów wesołości, ze smutkiem, gdzieś z głębi.

Pani, pewnie wychowawczyni, młoda i ładna, jakoś manipulowała nimi bezkolizyjnie, odpowiadając prawie jednocześnie na 100 bardzo różnych, dla nich pewnie ogromnie ważnych pytań. Absolutnie zaszokowana, patrzyłam na te różne, małe, duże, ciemne, smukłe, grube dziewczynki, u których wyczuwało się natychmiast pretekstowość ustawicznego defilowania w holu, przed ławką, na której siedziałam.

5.4.76

Poszłam tam znowu. Sama. Nie wiem po co. Ale okazało się, że dobrze zrobiłam, bo Joasia, poznana wczoraj, przygotowała specjalnie dla mnie tabliczkę mnożenia, a wychowawca nie umiał sobie dać rady z chorym chłopcem. Poszłam na górę z przejętym, jak ja, albo jeszcze gorzej, dyżurnym kółka PCK. Mały, ładny chłopiec wymiotował regularnie: zakąska, śledzik, wódka. Płacił za jeszcze jedną, wymarzoną i wyżebraną niedzielną wizytę w domu. Bo to, że ojciec alkoholik, a matka złodziejka, to nie ma znaczenia. To też dom. Własny.

6.4.76

Poszłam tam znowu o piątej. Joasia ma dwóję z matematyki. Zaniósłam jej zegarek zabawkę, brystol, igłę z dużym uszkiem i czerwoną włóczkę do zrobienia zadanego zegarka. Zrobiła dwa.

Oboje rodzice siedzą. Ojciec za kradzież, matka prostytutka, za pobicie milicjanta.

7.4.76

Znowu tam byłam. Była godzina piąta. Odrabianie lekcji. Joasia dostała piątkę za zegarek i jeszcze plus za koleżeństwo, bo drugi zegarek dała chłopcu domowemu, co go nie umiał zrobić. Przyniosłam dwadzieścia małych, gumowych miśków i postanowiłyśmy założyć „Klub Fenomenalnie Sympatycznych Małych Miśków i Jednego Większego”. Czytam im „Godzinę

pasowej róży”. W małym, ładnym, czteroosobowym pokoiczku tłok – każda chce słyszeć i koniecznie być blisko mnie.

9.4.76

Nie mogę tu już nie przychodzić. Więc chodzę na godzinę, o piątej, zaraz po pracy. Pomagam w lekcjach, czytam „Różę”, rozwijam działalność „Klubu Miśków”. Słabiutkie toto, ale funkcjonuje.

10.4.76

Oni mówią, że mam dobry kontakt. Nie rozumiem. Oni mówią też, że wśród chłopców jest jeden, którym może zechciałabym się zająć, bo bardzo tego potrzebuje. Nie chcę. Co mi po chłopcu. Dwóch własnych dryblasów już wychowałam. Wolę dziewczuchy. Są fajne mimo, że każdego dnia inna ma załamanko nerwowe: siedzi w kącie i ryczy bez powodu albo ucieka do tego czegoś, co nazywa własnym domem.

11.4.76

Jednak widziałam go. Ma duże, piękne, szeroko rozstawione oczy, dziewięć lat i bardzo brudną podkoszulkę. Przyniósł pokazać uprane skarpetki do kontroli. To taki tu zwyczaj. Dałam mu gumowego króliczka. Wziął, ale bez reakcji. Apatia i obojętność. Ale potem, kiedy odchodziłam, podniósł te swoje duże oczy i zapytał:

– Kto pani jest? – i jeszcze raz z naciskiem: – Ale kim pani jest?

12.4.76

Dziś niedziela. Wczoraj czytałam jego akta. Od piątego dnia życia w Domu Dziecka. Nie wykazuje żadnych uczuć. Obojętny, zamknięty w sobie, bardzo trudny. Ojciec alkoholik, który w ogóle nigdy nie widział syna, matka schizofreniczka na tle paranoicznym. Zabrałam go dziś do ZOO, ale z kolegą, bo sam nie chciał. Były sezamki, jabłka i „gorące” lody.

– Ciociu, całe życie marzyłem o „gorących” lodach. – Wielkie, piękne oczy bez dna. Zdobędę jego zaufanie, wydobędę krzyk najszczerzy, radość nie kłamana.

13.4.76

Nie akceptuje mnie.

14.4.76

Znowu brak akceptacji. Nie zna mnie, nie widzi, nie poznaje. Na mój widok ucieka do kąta i w obronnym odruchu zakrywa twarz ramieniem.

15.4.76

Przyprowadzony do mnie nie chce rozmawiać. Głowa odwrócona, zupełny brak kontaktu. Dlaczego to tak? Chodzi mi już tylko o to, żeby chciał się uśmiechnąć. Przecież uśmiech ułatwia kontakt, tak mi się przynajmniej dotąd zdawało.

16.4.76

Znów to samo. Całkowity brak reakcji. Więc idę do dziewcząt. Dlaczego on taki ponury? Wychowawca prosi, żeby go zabrać na święta do domu. Nigdy, nigdy

w życiu nie był w prywatnym mieszkaniu. Nie zgadzam się. Jak mam go zabrać? Zapakować w paczkę, w kaftanie bezpieczeństwa czy szarpać się z nim? Po to aby jajkiem na twardo i ciastem uszczęśliwić go na duś. Tylko po to, żebym ja miała spokojne sumienie, że wykonałam mój obowiązek wobec społecznego sieroty, bo tak to się nazywa.

17.4.76

Siedzimy z wychowawczyniami w małym pokoiku służbowym. Jest przeddzień Świąt Wielkanocnych, godzina piąta po południu. Nastrój koleżeństwa. Dzieci już niewiele. Pani, której nie znam, opowiada o swojej grupie. Dlaczego ja jej nie znam? Przecież przychodzi tu codziennie. Ta pani pracuje tu już pięć lat. Więc jak to jest? Jeśli dziecko ma problem i chce go przekazać swemu wychowawcy, do którego ma nareszcie zaufanie, musi albo pokonać opór zwrócenia się do następnego dyżurnego wychowawcy albo czekać cztery, pięć dni. Te przemienne dyżury, jak mnie poinformowano, może i stwarzają krąg bezpieczeństwa wokół dziecka, ale nie pozwalają na zlikwidowanie problemu z miejsca.

Ta nieznana mi wychowawczyni powiada, że znalazła w zapiskach z dyżurów notatki, że z jednym z chłopców, Adamem mianowicie, dzieje się coś niedobrego. Moje ucho poczerwieniało i trąbka Eustachiusza powiększyła się do rozmiarów trąby archanielskiej.

– Bo, – powiada dalej – ten Adam od tygodnia, codziennie około godziny piątej po południu tkwi kamieniem przy oknie, bez słowa, bez gestu, jedyne, o co pyta, to która godzina, ale kiedy odwraca się, żeby o to zapytać, w jego kamiennej twarzy świecą oczy pełne niewypłakanych łez.

Wybiegam z dyżurki, wpadam jak bomba z przyśpieszonym zapłonem do świetlicy. Jest. Tkwi twardo przy oknie. Kiedy odwracam go za chude ramionka ku sobie ma te swoje świecące łzami oczy. Prawie krzyczę:

– Będę się tobą opiekować! Będę przychodzić do ciebie codziennie! Chcesz? Chciał.

18.4.76

Poszłam tam z Jackiem. Adam, wpatrzony w galowy harcerski mundur instruktorski Jacka ubrał się potulnie, wziął go ufnie za rękę i tak wyszli do holu. Z chłopcem w środku, poszliśmy spędzać święta. Mówi. Bez przerwy, chaotycznie, bezładnie, niewyraźnie. Pyta o wszystko.

19.4.76

Wielka Sobota. W domu jest siedmioletni Pawełek, synek mojej chorej, leżącej w szpitalu koleżanki, Jest więc „kolega” do zabawy. Rano idziemy po ostatnie zakupy. Adam jest trochę rozluźniony i ciągle mówi. Ale do sklepu nie chce wejść. Nigdy nie był. W drodze do domu odbiera ode mnie siatkę z zakupami. W domu prywatnym, jako się rzekło, też nigdy nie był. Ogląda więc wszystko ciekawie. Jest rozluźniony, ale chwilami wyłącza się zupełnie. Siada w fotelu, przylega w kącie, albo przykłada czoło do szyby. Milczy tak z dziesięć minut. Pawełek biega koło niego, zaczepia, jest nawet trochę agresywny. Ale to nie pomaga. Widocznie potrzebuje cieszyć się sam, bo że się cieszy, jest ewidentne.

– Ciociu, ciocia mi obierze pomarańczę!

Zdyscyplinowany do przesady, czego nie można powiedzieć o domowym

Pawełku. Dwie sympatyczne myszy buszujące po mieszkaniu. Atak na osobowość Adama idzie z dwóch stron: po pierwsze dom prywatny w ogóle, po drugie dom zasobny, kulturalny i dobrze zorganizowany. Adam mówi, że u cioci to jak na filmie albo w jakiejś bibliotece. Przez wdrożenie do lubienia na co dzień tej kultury i jej przejawów, stworzenie stałych przyzwyczajeń, pragnień i celów. Adam jest przyjemnie zadbany zewnątrz, a jednocześnie zaniedbany uczuciowo. I jeszcze jedno. Adam ma drobną ale zauważalną wadę wymowy. Kto i jak miał go uczyć prawidłowej mowy na tych jego drogach po Domach Małego Dziecka, Pogotowiach Opiekuńczych itp.

Konkurencja pomiędzy Adamem a Pawełkiem. Adam bardzo nieudolnie stara się naśladować młodszego o dwa lata kolegę. Wygląda na to, że czuje się jakoś zagrożony z jego powodu. Podwieczorek. Zabawa w kawiarnię. Jestem kelnerem z białą serwetką przewieszoną przez ramię. Oni muszą płacić za każdą serwowaną rzecz pocałunkami. Pawełek robi to świetnie. Adam nie umie, po prostu nie umie.

20.4.76

Rano spacer po Starym Mieście, z tym tylko, że Adama nie można było wyciągnąć z domu. Nie chciał wyjść i już. Ustąpił dopiero po długich perswazjach. Wieczorem zaczęło się dziać z nim coś dziwnego. Adam jakoś skurczył się w sobie, przylgnął gdzieś w kącie i tak tam tkwił nieruchomo, po prostu jakby jakimś prawem mimikry starał się wtopić w otoczenie. O godzinie dziewiętnastej, zgodnie z umową z DD, odprowadziłam go. Pobiegł bez słowa i znikł w głębi gmachu. Zameldowałam w sekretariacie przyprawienie chłopca i głęboko zamyślona, wróciłam do domu.

21.4.76

Znów brak kontaktu. Wychowawca zapytał, czy stało się coś u mnie w domu w czasie świąt, bo Adam, po przyjeździe wczoraj wieczorem płakał spazmatycznie i długo, ale nie umiał powiedzieć dlaczego. Działalność Klubu Miśków przekazałam wychowawczyni.

22.4.76

Przyniosłam cukierki. Dużo. Dałam Adamowi bez komentarza. On sam zapytał, czy może poczęstować swoją grupę. Był nieprzytomny z dumy, kiedy natychmiast ustawiła się kolejka, a on rozdawał te cukierki, aż do ostatniego. Zapytany przez wychowawczynię, dlaczego nie zostawił dla siebie choć parę, odpowiedział:

– Ja dziękuję, mam u cioci całe fury i mogę brać ile chcę.

Mówi do mnie „ciociu”, bo taki tu ujednolicony zwyczaj.

Na zakończenie wizyty reakcja znów bardzo słaba. Przynoszę mu codziennie prasę młodzieżową, bardzo lubi czytać gazety, zwłaszcza dotyczące sportu. Książek czytać nie lubi.

23.4.76

Bez zmian.

25.4.76

Harcerska uroczystość na Szczęśliwicach. Poszłam z koleżanką, która już jest zdrowa i z Pawełkiem. Ale radości u Adama nie widziałam. Jak też nie

widziałam żadnego zainteresowania sprawami harcerskimi, a przecież poszedł tam w mundurze i z całym swoim zastępem. Spełniał wszystkie rozkazy karnie, jak automat, ale zawsze apatycznie, bez zaangażowania. W drodze powrotnej do domu Adam pobiegł nagle na łąkę i przyniósł po chwili bukiet maleńkich fiołków, które wręczył mi bez słowa, w wyciągniętej niezdarnie, sztywnej ręce. Po obiedzie graliśmy w Chińczyka. Ciekawe. Adam nie zbija nigdy, choć może, moich pionków. Nie pozwala nikomu dotykać się, prócz mnie. Próbuję to robić bardzo ostrożnie.

26.4.76

Dziś Adam powiedział:

– Ja pokochałem ciocię za pierwszym razem, bo ciocia miała cały świat w oczach.

27.4.76

Pierwszy raz nie poszłam. Mam wysoką gorączkę i leżę w łóżku. Była Ewa, poprosiłam, żeby zaszła do Domu Dziecka i powiedziała Adamowi dlaczego nie mogłam przyjść. Zaniósł mi ode mnie trochę słodyczy i piękny, duży, plastikowy, niebieski samochód.

28.4.76

Pan dyrektor DD był uprzejmy poinformować mnie, że mój podopieczny zachowuje się skandalicznie. Wczoraj przez dwie godziny siedział w sypialni i walił bezmyślnie o ścianę samochodem, który mu przyniosła Ewa.

29.4.76

Adam dziś pierwszy raz mnie pocałował. Właściwie dotknął tylko wargami mego policzka. Ale to był pocałunek.

30.4.76

Tu traktują mnie już za swoją. Jest remont DD i trzeba dzieci rozparcelować po ludziach. Adam oczywiście do mnie. Ciągle mnie dziwi, że on nigdy nie idzie ze mną razem, ale albo dziesięć metrów przede mną, albo za mną. A tak byłoby przyjemnie iść z nim za rączkę.

1.5.86

Bez zmian.

3.5.76

Lubi nastawiać i słuchać płyt. No i stało się. Wyciągnął płytę pt. „Matka” i przy słowach: „O matce pieśń, to pieśń bez słów...” rozplakał się żałośnie. Potem pokłócił się z Pawełkiem, który właśnie przyszedł.

4.5.76

Bardzo lubi, kiedy go nazywam: mój mały ciapuliński. Paweł był i był niegrzeczny. Reakcja Adama natychmiastowa i odwrotna. Poszedł dobrowolnie ze mną do mego znajomego, chorego chłopczyka. Z własnej inicjatywy zaniósł mu swoją gazetkę, cukierki i zabawkę. Dostaje ode mnie pieniądze. Dziesięć złotych każdej soboty. Najpierw funduje sobie i mnie wodę sodową ze sokiem. A potem resztę oddaje skrupulatnie do przechowania, bo tam dzieci kradną.

Nie wydaje się, aby przywiązywał zbyt wielką wagę do faktu posiadania pieniędzy.

5.4.76

Bez zmian. W niedzielę Otwock. Plaża nad małą rzeczką. Kwestia Adama z Pawełkiem, kto będzie siedział przy mnie w pociągu. Adam boi się wody. Ma bardzo ograniczony zasób słów, co przy wadzie wymowy stwarza żałosny obraz.

10.5.76

Myśli logicznie i dobrze ale rozpaczliwie wolno, ociężale. Remont w DD skończony.

11.5.76

Sam już nadstawia pyszczek na dzień dobry. Chętnie odrabia ze mną lekcje. Mówi, że ciocia wie wszystko. W ogóle jest troszeczkę inny. Zmienił się. Widzę radość w oczach, gdy do przypadkiem spotkanej znajomej mówię:

– O, proszę, jakiego mam fajnego synka. To mój najmłodszy.

Przy jakiejś okazji spytałam go, czy nie zechciałby zamienić „cioci” na „mame”. Zdziwiła mnie jego odpowiedź:

– Nie, ciociu! Ja przepraszam, ale matkę ma się tylko raz, tylko jedną. – poprawił się szybko.

No i jeszcze sprawa kluczy.

14.5.76

Chłopcy z grupy Adama, początkowo bardzo nieufni, teraz zaakceptowali mnie i rzecz dziwna, nie są zazdrośni o względy, jakimi darzę Adama. Teraz mają do mnie coraz więcej interesów na ucho.

– Ciociu, ciocia wymyśli jakieś hobby dla mnie, bo ja też chciałbym coś dostawać!

Pawełek powiedział, że Adam do niczego się nie nadaje, więc Adam samorzutnie wyrzucił śmiecie, zaparzył herbatę i podał. Pożal się Boże, co to była za herbata, ale była! A to najważniejsze. Wszyscy nią się zachwycaliśmy się. Te klucze to stało się jakoś samo. Kiedyś, w sobotę, musiałam pójść jeszcze po zakupy, a Adam wolał do domu. Więc dałam mu moje klucze i sam dostał się do mieszkania. Potem weszło już w zwyczaj, że dzwoniłam do drzwi, Adam ogromnie przejęty, otwierał, a wtedy mówiłam:

– Ja do Adama, czy jest w domu?

Bardzo był wtedy zadowolony. Klucze stają się powoli ważniejsze od zabawek czy nagrody pieniężnej.

5.5.76

Po obiedzie Adam leży na dywanie i bawi się zabawkami, których już nie zabiera do DD ale zostawia w swoim domu. Cisza, spokój, harmonia, poczucie bezpieczeństwa. Taką chwilę zachować, zatopić we wspomnieniu głębokim, jak muszkę w bursztynie. Adam nagle zrywa się i biegnie do pokoju Jacka, podskakując na jednej nóżce i podśpiewując.

Dlaczego przed powrotem do DD chowa wszystkie swoje zabawki głęboko pod szafę?

16.5.76

Wyraźne cofnięcie. Ale nie do pozycji wyjściowej. Nie mówi, tylko kiwa głową na TAK i na NIE. Kiwa się na krześle i pociera dłońmi uda. Żałosne. Kiedy to mnie?

17.5.76

W jadalni awantura. Starszy chłopak pobił Adama, który, gdy weszłam, leżał skurczony, w pozycji embrionalnej, na podłodze. Oczywiście, właśnie wtedy, śladu wychowawcy. Pobiegłam po któregoś, ale sama już nie wróciłam na salę. Nie wolno mi interweniować, a nie mogłam znieść widoku leżącego dziecka i otoczenia, stojącego wokół w milczeniu i obserwującego na zimno przebieg wypadków. Nie chciałam również, aby Adam wiedział, że ja widziałam go w tym upokorzeniu.

22.5.76

Adam tylko ze mną jest na luzie. Kokietuje ślicznym półuśmiechem. Nie chce piżamki, uparcie śpi w dziennej koszulce. Stojąc, przestępuje z nogi na nogę, kiwa się i trze dłonie. Trochę niedosłyszany. Coraz więcej pyta. Teraz leży na dywanie i bawi się bardzo uważnie mózgiem elektronowym. Pierwszy raz wykazuje autentyczną fascynację zabawką. Dalej bardzo wyraźna niechęć do wychodzenia z domu, niechęć do nowych twarzy, miejsc i sytuacji. Lubi jeszcze latarkę. Ma już własną. Dużą i czerwoną. I też chowa ją pod szafę. Już czeka na mnie codziennie, czasami wychodzi nawet parę kroków przed bramę. Ciekawa reakcja mego bliższego i dalszego otoczenia. Od wszystkich, z wyjątkiem Jacka, słyszę jedynie słowa dezaprobaty, ponure przewidywania, straszliwe prognozy, a nawet powątpiewania w mój zdrowy rozsądek. Może mnie bowiem to dziecko: ...okraść, wykorzystać, szantażować, bić, wyrzucić z własnego mieszkania a nawet, jakby co, to i zamordować... Takie przypadki, zapewniają mnie, zdarzały się. Może i na pewno będzie miał początki schizofrenii lub, jak dobrze pójdzie, paranoi. A o wdzięczności nie ma co nawet marzyć! Wszystkich proroków dzielę na dwa obozy. W jednym moja córka, mój starszy syn, całe biuro, grono osobistych znajomych. Wszyscy, jednogłośnie, chórem, pytają:

– Po co ci taki kłopot, taka odpowiedzialność?

A w drugim obozie ja i Jacek w znakomitej mniejszości! Ale ja się nie boję i nie dam się niczym zastraszyć. Adam będzie szczęśliwy i ja to uczynię.

25.5.76

Dziś Adam poszedł z bazy domu pierwszy raz sam do kina. Wrócił zdyszany, bo całą drogę biegł, ponieważ bał się, że ciocie nie będzie w domu. Właściwie jest nieźle, tylko ten wystraszony wróbelek, kiedy nadchodzi godzina powrotu do DD. Wypożyczyłam z Biblioteki Ministerstwa Oświaty kilka książek.

Przeczytałam je wszystkie bardzo uważnie. Recepty, której szukałam nie znalazłam. Widocznie każdy musi sam ją sobie wypracować. Znalazłam natomiast kilka bardzo ciekawych konkretnych rzeczy, jak na przykład stwierdzenie, że sieroctwo społeczne to uznana jednostka chorobowa, a nie stan cywilny. Oraz to, że takie dziecko wcale nie musi być faktycznym sierotą.

30.5.76

Prócz mózgu elektronowego najlepszą zabawą są kapsle. Ma lęki nocne. Kiedy

śpi u mnie w soboty, jakieś światło musi się palić całą noc. Czasem krzyczy przez sen. Je dużo. Zjada przez sobotę i niedzielę, prócz stałych posiłków, dziesięć kajerek i około trzech kilogramów jabłek. U nich, po obiedzie, który jest o godzinie trzynastej, jest przerwa do dziewiętnastej.

Ciągle pyta o wakacje. Bo to już postanowione. Zabieram go w lipcu nad morze. Wczoraj kupiłam mu: tenisówki, trampki, dres, kąpielówki, piłkę i śliczną, nadmuchiwaną olbrzymią fokę. Boi się psów. I dużych i małych. Śmiesznie okrąża je z bardzo daleka. Dwa razy w nocy jest budzony na siusiu.

5.6.76

Złożyłam podanie do ochockiego Inspektoratu Oświaty i Wychowania o pozwolenie zabrania Adama w lipcu na wakacje. Zgodę już mam. Ponieważ DD likwiduje się za parę dni, bo przyjadą tu turyści (stąd ten pożarowy remont), Adam będzie czekał na termin mego wyjazdu w Domu Małego Dziecka.

Cenzurka zupełnie niezła. Pierwszy raz w życiu cukiernia. Lody. I ciastka.

Mnóstwo ciastek. I woda ze sokiem. Ale w DD, już na wyjeźdźnym, awantura.

Tam się teraz mówi:

– Ten pani Adam to... – i tu następuje wyliczanka przestępstw Adama. Dziś na przykład usłyszałam:

– ...a bo Adam pobił Olesia, a Oles napluł na Adama. Potem Adam powiedział do pani wychowawczynie, że jest k...

I pielęgniarka na mój widok krzyczy już z daleka, że „ten pani Adam dziś w nocy znów się zesikał i że ona pokazała jego prześcieradło wszystkim chłopcom z jego grupy, więc może mu to przejdzie”. Więc Adam nie chciał obiadu, nie chciał pójść do mnie, nie chciał w ogóle nic. Wróciłam do domu sama, a za małą godzinkę wpadł zdyszany Adam.

– Pan pozwolił? – pytam.

– Nie! – prawie krzyczy – uciekłem!

Natychmiast pobiegłam do DD z duszą na ramieniu i alibi pod pachą oraz kwiatkami dla pani z najstarszego zawodu świata.

6.6.76

Dziś pracowałam jako sekretarka ringowa na Wystawie Psów Rasowych, a Adam łąził super grzeczny po całej wystawie przez kilka godzin. Wtopiony w tłum, wyłaniał się z niego co jakiś czas, bardzo szczęśliwy, po kanapki albo picie z termosu i aby sprawdzić, czy aby na pewno tam jeszcze jestem.

7.6.76

Wczoraj, już po odprowadzeniu do DD Adam, za zezwoleniem dyżurnego wychowawcy, bawił się koło podwórza przy robotach drogowych. Tam potknął się, sturlał po pochyłości i, uderzając z dużą siłą o wystające z ziemi żelastwo, rozbił sobie głowę i złamał nos. Leży teraz w separacie, samotny jak pies i spuchnięty jak miś po wizycie w ulu. Nos trzeba prześwietlić. Jeść nie może sam, trzeba go karmić, a że nie ma komu – więc czekał z obiadem na mnie. Karmię to półślepe, opuchnięte stworzenie, poję i gładzę. Adam jest bardzo dzielny i próbuje już chodzić. Dopiero potem orientuję się, że to nie dzielność, a strach. Bowiem w szpitaliku dziecko może przebywać tylko jedną dobę, a potem albo zdrow, albo szpital. Tu nie dom prywatny.

12.6.76

Po prześwietleniu trzeba pójść do chirurga, ale zanim to nastąpi, trzeba zgody sędziego dla niepełnoletnich na narkozę. Pielęgniarka zwleka z tą wizytą, bo trzeba by wstać o piątej rano, a mieszka daleko. Prześwietlenie zaś może być zrobione tylko na czczo. Więc Adam czeka codziennie na czczo na pielęgniarkę, a ona spóźnia się i do wizyty nie dochodzi przez tydzień. Na szczęście operacja nie jest potrzebna, bo nos zrasta się samoistnie i prawidłowo.

– No widzi pani? – trzeszczy pielęgniarka z powołania. A no widzę, widzę! A gdyby to było na przykład ropne zapalenie wyrostka?

13.6.76

Codziennie chodzę teraz po pracy do tego Domu Małego Dziecka i idziemy za rękę na pływalnię, a on opowiada mi co robił rano. Na pływalni za pierwszym razem siedział blisko godzinę w męskiej szatni, bo wstydził się wyjść. A ja wstydziłam się tam wejść. Każde spotkanie zaczyna się od pytania:

– A nad morze pojedziemy?

– Ciociu, uwielbiam bułeczki ze pasztetem.

Mieszkanie wygląda jak dobrze zaopatrzone sklepu sportowego. Namiot duży, ładny, pomarańczowy, czteroosobowy. Śpiwory, kocher, Kuchenka i butla gazowa, mnóstwo sprzętu sportowego. Adam jest chory z przejęcia i natychmiast po przyjściu do domu ogląda wszystko od początku, choć robi to już po raz setny. Nad morze zabieram Pawełka. Jego matce ulżę, a Adam będzie miał kolegę.

30.6.76

Jest dwunasta w nocy. Adam śpi już u mnie. Na biurku leżą bilety na Neptuna.

– Ciociu, co to Neptun?

Jutro, a właściwie już dziś, skoro świt, wyjeżdżamy. Na poduszce, przykryte kołderką leżą: duży miś, mały miś, lalka i dwa pieski gumowe. Pochylić się nad tą duszą. Otoczyć mocnym ramieniem. Odgrodzić od lęków i zasnuwać miłością ranę zadaną przez życie.

1.7.76

W maleńkim przedziale „Neptuna” Adam ciągle zmienia miejsce, studiuje mapę i bez przerwy pyta. O wszystko. O ważne i nieważne. Jedno pytanie powraca ciągle:

– Czy już jesteśmy poza granicami Warszawy?

To jego pierwsza podróż w życiu. Nigdy nie jechał pociągiem. Jest ogromnie poruszony. Od Warszawy Wschodniej ciągle je. Adam jakoś automatycznie przejął opiekę nad Pawełkiem. Często się jedzonymi, choć mają identyczne paczuski. W jednakowych, granatowych dresach wyglądają na braci. I za takich biorą ich współpasażerowie.

– Adasiu, mamy trzeba słuchać.

– Adasiu, poczęstuj braciszka czekoladą.

Nie protestuje, ale bada mnie wzrokiem. To jego konsultujące spojrzenie wiąże bardziej niż rozmowy, dyskusje czy napomnienia. Jest wyczulony na najmniejszą zmianę mojej twarzy, podniesienie brwi, uśmiech. Chwyta w lot, o co chodzi. Tylko kiedy zaczyna mówić, natychmiast ujawnia się żalosna ubożuchność słownictwa. Każda stacja jest obgadana, opytana i zapamiętana.

Już nie je, ale ciągle zagląda do swojej torby, cieszy się, że to ma, że to jego. Bo śliczny, duży czerwony termos jest jego. Jego własny.

Pociąg zatrzymuje się na maleńkiej stacyjce. Wyrzuca z przegrzanego wnętrza grupki ludzi i sterty bagaży. Długi, zarośnięty trawą peron. Bagaże trzeba przenosić na pole namiotowe. Kolejno nosimy paczkę za paczką. Namiot rozkładają i ustawiają wszyscy. Ale najbardziej przejęty jest Adam. Mówi, że buduje własny dom. Nic nie rozumie z płataniny sznurów, śledzi i szpilek, ale pomaga z zapalem.

Namiot ustawiamy wejściem w kierunku Zatoki Puckiej, odległej o zaledwie trzy metry. W namiocie pod lewą ścianą mój materac, pod prawą Adama. W środku poślanie Pawełka.

– Pawełku, – mądrzy się Adam – najsampierw szpilki, potem śledzie!

– Najpierw, Adasiu, najpierw.

– Dobrze, ciociu, najpierw.

W przedpokoju namiotu oskoma oczu Adama: nasza zasobna spiżarnia.

– Ciociu, co to morze takie małe?! Fale takie jakieś dziecinne?

Tłumaczę, że to nie morze, a Zatoka Pucka. Z morzem pójdziemy przywitać się po jedzeniu. Posiłek pod namiotem, niezapomniany urok pierwszego kubka gorącej herbaty z własnego kochera. Dzień jest chłodnawy, więc nad morze idziemy w swetrach i spodniach. Wąskim tunelem leśnym wychodzimy na plażę, gdzie jawi się Bałtyk. Patrzę na Adama. Tak bardzo liczę na tę chwilę.

Piękno, majestat i potęga morskiego żywiołu wyrywają mu spontaniczny krzyk: – Boże, jakie to piękne! Ja całe życie będę cioci wdzięczny, że mnie tu przywiozła.

W jednej chwili lecą na piach dzinsy, sweter, koszula, buty, a Adam do wody.

Zdumiona i zaskoczona, nawet nie protestuję. Potem wrzucamy jeszcze pieniądze do morza na szczęście, na przywitanie z morzem i żeby tu wrócić.

Po kolacji chłopcy zmywają naczynia w zatoce, ja szykuję materace do snu.

Leżymy potem długo w ciszy. Przez nie zamknięte poły namiotu kładzie się srebrna smuga księżyca która drobnymi cekinami sięga od Pucka przez całą zatokę aż do naszego namiotu. Na horyzoncie światła portów rybackich.

Władysławowo, Swarzewo, Puck. Tworzą bajecznie kolorową kolistą na tle czerni nieba i wody. I wtedy Adam urzeczony tym pięknem, powiada łagodnie:

– Jak tu ślicznie! Jaka ciocia dobra, że chciała mnie tu zabrać!

2.7.76

Po śniadaniu idziemy na plażę. Obładowani. Piłki, foka, koc, obfite drugie śniadanie, termosy.

– Po co te łopatki, ciociu?

– Zobaczysz, zrobimy grajdoł.

– Graj co, ciociu?

Adam na plaży nie chce się rozebrać, nie chce wejść do wody. Chodzi jak żuraw, po brzegu, pilnie obserwuje inne dzieci i dużym palcem u nogi, maczaniem próbuje czy to nie gryzie i czy nie za zimne. Widocznie wczoraj to był niekontrolowany odruch.

3.7.76

Dziś sam rozebrał się i spróbował wejść do morza. Fale były bardzo duże, więc mu pomogłam. Krzyczał z radości. Jest odważny. Teraz dopiero widać, jaka to chudzina. Sterczą mu żeberka, ramionka takie kruche. Boi się opalać.

4.7.76

W nocy krzyczy. Czegoś się boi.

5.7.76

Jest bardzo gościnny, Wczoraj, pod moją nieobecność była sąsiadka namiotowa z prośbą o pożyczenie cukru. Adam dał jej całe kilo i samorzutnie zaproponował jeszcze mąkę i ryż.

– Bo my mamy dużo, proszę pani – jak mi doniosła potem sąsiadka. Dziwnie obserwuje ludzi. Najpierw przygląda się im uważnie, nawet natarczywie, a potem przenosi wzrok na mnie. Jakby porównywał albo o coś się pytał. Ale nie pyta.

6.7.76

Chodzi na plażę chętnie. Tam robimy grajdołek, wiatrochron ze stelaży i płótna, potem jemy, potem kąpiel. Ciągłe jest coś do roboty. Dalej bardzo niechętnie rozbiera się na plaży.

7.7.76

Dziś Adam w ogóle nie chciał iść na plażę. Więc z wielką trwogą zostawiłam go na wyludnionym campingu. Około południa, niespokojna, pozostawiwszy Pawełka pod opieką pobliskich grajdołowiczów, pobiegłam zobaczyć, co on tam robi. Leżał spokojnie na słońcu, na materacu wyciągniętym z namiotu i czytał książkę. Obok na ziemi stał talerzyk z czymś do jedzenia. Chyba to był chleb z masłem. On widocznie czasami chce być sam. Odeszłam cichutko.

8.7.76

Znow chodź bez przymusu na plażę. Codziennie znajdujemy nad brzegiem morza małe kamyczki. Adam bierze je do buzi i krzyczy. Robimy to daleko, na pustej plaży. Wy tłumaczyłam mu, że będzie ładnie i wyraźnie mówił.

– Jak ciocia?

– Jak ciocia.

Jutro jedziemy do Malborka. To cała wyprawa, bo nie ma bezpośredniego połączenia.

9.7.76

Wstajemy o szóstej rano. Kurcgalopkiem śniadanie, zamykanie namiotu, pociąg już gwizdże od Kuźnic i wjeżdża na peron, kiedy dobiegamy ciężkim kłusem. Władysławowo, Puck, Gdynia i wreszcie Malbork. Obiad w barze. Adam uwielbia wszelkie jedzenia w barach czy restauracjach.

Wchodzimy do zamku, opowiadam, ile pamiętam. Mijamy most zwodzony, jeden, drugi, podwórzec. Wreszcie następuje właściwe zwiedzanie. W jednej z sal niespodzianka: obraz Matejki „Hołd Pruski”, wypożyczony z krakowskiego muzeum. Adam patrzy jak urzeczony. Potem wędrujemy długimi korytarzami. Nagle na zakręcie mijają nas autentyczny Krzyżak, za nim biegnie kat z toporem w ręku i coś mamroce pod nosem. Z podwórca słychać krzyki. Jakaś dziewczyna w bieli leci do zbrojnych rycerzy na koniach. Okazuje się, że w starym pokrzyżackim zamczysku radzieccy filmowcy właśnie kręcą film. Jak na zamówienie! Idziemy długimi wirydarzami, idziemy z grupą turystów. Adam pcha się do przodu, żeby lepiej słyszeć co mówi pani przewodniczka.

Wchodzimy do wielkiej sali komturów. Nagle, w tłumie, ktoś bierze mnie za

rękę, drugą obejmuje w pasie. Przytulony do mnie, Adam idzie razem ze mną i co chwila, nie bacznym tłumem, który nas otacza, woła:

– Jakie to piękne, jakie wspaniałe.

Do domu wracamy dobrze po północy. Całe obozowisko dawno śpi oświetlone martwym, zimnym światłem księżyca. Adam mówi:

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

10.7.76

Opalamy się, zbieramy kolorowe kamyczki i algi. Nawet małe bursztyny.

Opowiadam im o nich. Adam jakby się poprawił. Zmęźniał, opalił się. Dużo się rusza, próbuje popływać, a jak fala zalewa mu mordkę, to wrzeszczy:

– Ciociu, moja ciociu, ratunku!!

Ale się śmieje.

11.7.76

Dziś mamy w programie Hel. Adam nie chce zwiedzać Muzeum Morza, nie chce oglądać latarni morskiej, nie chce iść do baru. Znow jest zbuntowany. Chce do kina! A kino zamknięte! Po godzinie wszystko mija. Co to było? Próba, jak daleko można się posunąć w żądaniach? Chyba nie!

12.7.76

Dziś znow było źle. Na obiad były pyszne klopsiki w sosie pomidorowym, kartofelki (młode) i truskawki (ze śmietaną). Pawełek zjadł z ochotą wszystko, talerzyk po truskawkach wylizał i zezował w kierunku porcji Adama. A Adam wydał wargi i warknął z kpina:

– Phi, takie klopsiki!?

I odsunął talerzyk z obrzydzeniem. Poniosło mnie. Klopsiki ze sosem, kartofelki (młode) i truskawki (ze śmietaną), wszystko natychmiast, jednym rzutem poleciało do zatoki. A cela to ja mam. Paweł truchcikiem pobiegł nad wodę

– To ja, ciociu, pozbieram talerzyki, bo odpłyną.

Adam zbladł, zacisnął zęby i z rękami w kieszeniach odszedł od ogniska. Krążył długo wokół namiotu, zaglądał, podglądał, ale ja ani jednym słowem nie ułatwiłam mu sprawy. Gorzej: Wielki Pedagog, nie dałam dziecku kolacji.

Wreszcie głodny, boczkiem, boczkiem wczołgał się na swoje legowisko. Przed zaśnięciem usłyszałam dziecięcy szczebiot Pawełka, który bardzo zatroskany sytuacją, coś tam przekładał Adamowi, na co ten odpowiadał grubym, zbuntowanym głosem:

– Nie chcę, nie potrzebuje, nie będę!

Potem zasnęłam. Koło godziny pierwszej w nocy coś uwalilo się na moje posłanie, czyjś szept do mego ucha:

– Przepraszam, ja już nie będę! Nigdy!

13.7.76

Dziś był dzień sztormowy. Plaży nie było. Była tylko wspaniała kąpiel. Pawełek, który dla bezpieczeństwa, nie kąpał się, stał z moim zegarkiem na brzegu i bardzo przejęty, liczył minuty naszej kąpieli, bo woda była lodowata. A my z Adamem kąpaliśmy się w falach daleko wyższych ode mnie. Adam odkrył, że fale robią tyle hałasu, że on może bezkarnie krzyżeć w momencie, kiedy rozwijające się fale walą nas w nadstawione plecy.

14.7.76

Jest dobrze. Gdynia. Muzeum mórz południowych. „Błyskawica”. Z każdej takiej wyprawy kupuję mu pocztówki. Po powrocie sam sprzątnął namiot, zmył po kolacji i przyniósł z Pawełkiem dwa kanistry wody pitnej. Nie wspomina DD w ogóle, a jeśli już musi to per tam, albo oni tam. Bardzo chętnie, nawet z radością i dumą pożyczają swoje zabawki:

– To moja foka. ale możesz się nią pobawić.

15.7.76

Znów źle. Pogoda śliczna. Adam jest niezręczny. Zbił dwie butelki mleka. Słuczki schował, ale zdradziła go długa smuga mleka za okopanym namiotem. Przy takim przyłapaniu kłamie i stara się, wbrew oczywistym faktom, przekonać, że to nie on.

16.7.76

Dziś cały dzień lał deszcz. Mamy na szczęście zapasy. Więc tylko wyprawa po wodę pitną i bieg na plażę do kąpieli, bo nie opuszczamy ani jednego dnia, bez względu na pogodę. Siedzimy w namiocie, jemy, potem czytamy im głośno. Jest przytulnie choć na dworze gorzej niż źle. Silniejsze od naszego namioty zrywa wichura, nasz cały chodzi, światło świecy skacze i tańczy, malując dziwne cienie na ścianach, a my wleźliśmy w śpiwory i staramy się zasnąć. Na dworze ciemno, choć to dopiero szósta wieczorem. W nocy wichur wyrywa dwa śledzie. Namiotowi grozi zawalenie. Ja trzymam sufit, a Adam wyłazi na zewnątrz. Starannie poprawia wyrządzone przez wiatr szkody i sprawdza pozostałe naciągi.

17.7.76

Pogoda znów śliczna. Adam przyprowadził dziś do namiotu pierwszy raz kolegę. Był bardzo dumny i szczęśliwy. Tylko okazało się, że mały chłopczyk jest Niemcem. Przy oporach Adama w nawiązywaniu kontaktów tu znalazł partnera z natury rzeczy barierą językową słabszego od niego.

18.7.76

Nasze zabawki są bardzo przydatne. Więc najpierw czerwona foka i sinoniebieska ośmiornica są tak duże, że ja mogę na nich swobodnie pływać. Powodują dużą sensację i codziennie masę dzieci prosi o pożyczanie tych bydląt. Trzy gatunki piłek, łopatki, kometka, duże pomarańczowe koło o średnicy metra, cztery różne stateczki, trzy małe i jeden duży transatlantyk. Adam lubi te swoje rzeczy, bardzo uważa, żeby ich nie pogubić. A jak to się już stanie, umie bezbłędnie je odnajdywać.

19.7.76

Dziś budujemy zamczysko z piasku. Paweł wywiesił jęzor i kopie, ja odgarniam rękoma suchy piach, robi się z tego cały Malbork. Ludzie przystają, oglądają, doradzają i podziwiają. A Adam nie chce nic robić. Siedzi w grajdole i jak nie patrzę, to on patrzy, jak postępują roboty. Mimo zachęcania nie chce się włączyć. Mam bardzo fajną sąsiadkę namiotową. Często gadamy. O dzieciach i w ogóle.

20.7.76

Byliśmy we Władysławowie, Rozewiu, Lisim Jarze i Karwi. Adam zachowywał się fatalnie.

– Ja chcę coca colę!

– Ja chcę herbaty.

– Ja nie chcę flądry.

Wreszcie zirytowałam mnie. Zostawiłam go na środku ulicy i poszłam z Pawełkiem na ciastka. Może mu przejdzie. Przeszło. Spotkaliśmy się na przystanku autobusowym.

21.7.76

Dalej źle. Jest obrażony na cały świat. Nie wiem, o co mu chodzi. Może to zazdrość o Pawła? A potem on sam mówi:

– A bo ja nie lubię, jak ciocia chodzi na plotki, bo jak ja wracam do namiotu, to ciocie nie ma.

22.7.76

Jest dobrze. Adam bardzo dużo je. Właściwie jadłby stale, bez przerwy.

Wygląda coraz lepiej. Żeberka pokrywają się tłuszczem, pyszczyki zaokrąglają się. Nigdy o nic nie prosi. Tylko mówi:

– O! Lody!

Więc ja już wiem, że chce. Mówi bardzo wyraźnie. Kamyki zrobiły dobrą robotę. Coraz ładniej formułuje zdania.

23.7.76

Źle. Myśli o powrocie. Już? Pyta, co będzie potem, jak wrócimy!

24.7.76

Już zaczyna żegnać się z morzem. Przemawia do niego. Mówi, że tu wróci.

31.7.76

Adam, opalony, ogorzały od słońca i słonej wody, wyrósł, zmężniał. Uwija się przy obozowisku jak stary harcerz. Idę po ostatnie zakupy. Po drodze spotykam kumę i oczywiście gadamy, a pociąg odchodzi za dwie godziny. Pędzę do obozowiska. Na campingu, pośród załadowanych tłumoków, na najprawdopodobniej zwiniętym namiocie siedzi Adam z Pawłem gotowi do drogi i bardzo zdenerwowani, że ciocia się zgubiła. Jak oni to popakowali?

1.8.76

Już Warszawa.

– Ciociu, bierzemy taksówkę?

Odwozimy Pawła. W domu kąpiel i spać. Nazajutrz muszę być w biurze po pieniądze. Wpadam tam na chwilę i zaraz z powrotem do domu. Jestem obładowana, jak juczny dromader. Otwieram drzwi. Wita mnie cisza. Widocznie Adam jeszcze śpi. O tej porze? Jest godzina jedenasta! Wokoło potworny, niezrozumiały bałagan. Myślę, że może Adam gdzieś się schował, może chce się ze mną bawić w chowanego. Ale dziecka ani śladu. Włos mi się jeży. Chodzę jak otumaniona wśród sterty sprzętu, ubrań, pościeli i nic nie rozumiem. Wreszcie, przez czysty przypadek znajduję zwianą przez przeciąg maleńką karteczkę, na której jakiś pan, nieznanego mi nazwiska kwituje odbiór

Adama, celem odwiezienia go na sierpień na kolonie DD, bo akurat zdarza się okazja samochodowa, a inaczej to musiałby być przez cały sierpień w Małym Domu Dziecka albo w Pogotowiu. Stąd więc ten niesamowity bałagan, bo Adam rył się widocznie po wszystkich pakunkach szukając swojej, rozparcelowanej po walizkach i tłumokach garderoby. Przecież na obozowisku pakowali się sami, bo ja... z kumą! Dopiero po tygodniu, robiąc porządki, znalazłam pod szafą drugą małą karteczkę:

„Ciociu, dziękuję, ja jadę, bo pan wychowawca mówi, że ja muszę. To jadę. Adam.”

19.8.76

Jestem sama w chałupie. Początkowo, po przyjeździe z pracy, odpoczywałam. Teraz ogarnął mnie szal porządków. Jutro wraca Adam. Już mi go brak.

21.8.76

W DD przygotowania do rozpoczęcia nowego roku szkolnego. U Adama brak reakcji. Zupełnie, jakby mnie nie znał. Wychodzę. Na zakręcie, dość już daleko za DD Adam dogania mnie, rzuca się na szyję. Ale nie całuje, tylko tak tkwi.

25.8.76

Dziś Adam czekał na mnie przed DD, daleko poza dozwolonym na wychodzenie terenem. Wychowawczyni mówi, że Adam jest bardzo zmieniony. Wyrósł, a te dzieci trudno rosną, opalił się, utył, jest swobodny, zrelaksowany, na luzie. Opowiada dużo i chętnie, gdzie był i co widział. Pytam go, jak na koloniach. – Nawet nieźle było ale to nie to samo co z cicią nad morzem. Pojedziemy tam jeszcze? – pyta.

6.9.76

W szkole piątka z bardzo pięknego wypracowania na temat: „Co robiłem na wakacjach?” Wychowawczyni dała mi do przeczytania. Myślałam, że on i połowy nie zapamięta. Tymczasem opisał wszystko rzetelnie, dokładnie i ładnie.

8.9.76

Mam czasami takie wrażenie, że się mijamy. Kiedy biegnę po pracy stęskniona i chcę go serdecznie przywitać, napotykam zły humor, widocznie trafiłam na jego kiepski dzień. Nawet czasami nie dostrzega mego przyjeścia. I odwrotnie. Kiedy myślę, że przegrałam i że już nic z tego, co starałam się zasiać, nie wszędzie, to on czeka na mnie przed DD, wypatruje, rzuca się na szyję, przytula.

10.9.76

Byłam w jego szkole. Jest nieźle. Przede wszystkim zauważono zmianę w Adamie. Patrzą teraz na niego inaczej, wyłuskali go niejako z dość tu licznej grupy dzieci z DD.

12.9.76

Pani od polskiego uważa, że Adam zaczyna ładnie mówić, opowiada swobodnie o wakacjach wyraźnie wzbogaconym językiem. Pani od matmy mówi, że zdolny, ale zaniedbany. Tylko pani od geografii jest zdania, że Adam to idiota. Łagodnie jej tłumaczę, że idiotyzm to choroba, a Adam jest zdrowy.

Adam ma jeszcze drobne wady: nie dosłyszy, nie może opanować pisania na linijce, a nie pod nią lub nad, myli G z D itd. Ale to pomału mija. Pracuję z nim dwie godziny dziennie. A w soboty i niedziele starannie przygotowany program rozrywek.

14.9.76

Dziś Adam nie dostał przepustki na sobotę i niedzielę, bo był ukarany. Brzydtko odezwał się do pani wychowawczynie w DD i znów pobił się z Olesiem.

15.9.76

Smutno bez niego. Zakurzone zabawki leżą pod trzema już szafami, bo tam wciąż je chowa. Zrobiłam pyszny placek ze śliwkami i zaniiosłam mu. Strasznie się ucieszył.

17.9.76

Zwrócono mi w DD uwagę, żebym nie przynosiła Adamowi różnych dobrych rzeczy na podwieczorek, bo inne dzieci na to patrzą. Zastosowałam się.

22.9.76

Wczoraj odkryłam w szafce Adama w DD ułożone na białym, czystym papierze trzy kromki suchego, czerstwego chleba. Na moje pytanie wyjaśnił, że obiad mają o godzinie trzynastej, a kolację o dziewiętnastej, więc w tej przerwie bardzo chce się jeść. A że dodatków przy śniadaniu już nie starcza, bo to i drugie śniadanie, więc dlatego suchy. Ale, że to nic, bo on lubi. Na sobotę i niedzielę znów nie może przyjść do domu, bo cała grupa została ukarana za niewypełnienie obowiązku sprzątnięcia. Ale dlaczego karą główną, tj. niepójściem do domów? Przecież dom, odpowiednio informowany też jest w stanie ukarać delikwenta. To i tamto z chlebem, zdecydowało ostatecznie. Sytuacja jest taka, że Adam nie mieści się już w rygorach grupy dzieci z DD, a nie dojrzał jeszcze do prywatnego domu.

23.9.76

Za to ja dojrzałam. Złożyłam dwa podania. Jedno do Dyrekcji Domu Dziecka, drugie do Inspektoratu Oświaty.

24.9.76

Odpowiedź miałam dostać dziś, ale DD zaśłania się brakiem decyzji Inspektoratu, a Inspektorat zwleka. Musi być podobno wywiad środowiskowy. Ano, dziej się wola nieba!

25.9.76

Był ten wywiad. Potem musiałam odbyć rozmowę z Adamem, bo jego wychowawczynie nie było, a nikt inny nie umiał czy nie chciał mu tego powiedzieć. Powiedziałam mu więc. Zapytał na jak długo.

– Na zawsze!

– Co to znaczy na zawsze? To na noc będę wracał do DD?

Tłumaczę jak umiem, ale nie sporo mi to idzie.

– A kiedy będę musiał wrócić do DD?

– Nigdy!

Nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową, że tak. Że chce.

26.9.76

Okazuje się, że będzie rozprawa sądowa, ale że mogę nie czekać na wyrok. Muszę tylko mieć zgodę Inspektoratu. Ale ta nie nadchodzi.

27.9.76

Zgody ciągle nie ma. Codziennie przychodzę z walizką po rzeczy Adama i po niego samego, ale codziennie bezskutecznie. Dziecko jest maksymalnie napięte.

– Ja już nie wierzę, ciociu!

8.10.76

Dziś był telefon z Inspektoratu zezwalający na zabranie dziecka. Papierek przyjdzie później. No tak, ale ja nie mam walizki. Decyduję się natychmiast. Rzeczy nieważne. Przyjdzie się po nie później. Najważniejsze jest teraz dziecko. Moje dziecko. Wpadam do grupy Adama. Jest, tkwi przy drzwiach i czeka, bo się spóźniłam.

– Adam – wołam – pakuj szkolne rzeczy – idziemy do domu!

Zbladł gwałtownie, pobiegł pędem po teczkę, wpakował byle jak wszystkie książki i zeszyty. W pokoju sypialnym wyrzucił z szafki na łóżko wszystkie zabawki, jakie trzymał w DD, a które dostał ode mnie. Trzęsącymi się rękoma je rozdawał.

– Masz – mówił – mnie to już nie będzie potrzebne. Mam w domu bardzo dużo. W tym momencie dopiero spostrzegłam, że otacza nas cała grupa Adama. Stoją i patrzą w milczeniu, na mnie, na Adama i widzę ich oczy, jakże wyraziste. Potem wychowawczynie pożyczają mi torby papierowe, a ja, trzymając w jednym ręku milion tych toreb wypchanych nieprzytomnie, a w drugiej małą rączkę Adama idę szybko przez podwórze DD, ulicę, trawnik, byle prędzej zamknąć ten rozdział jego życia i wprowadzić go do ogrodu słońca, miłości, troskliwości i tego wszystkiego, co dać może matka. Nawet przybrana.

9.10.76

Adam śpi. Chude ramionka obejmują pomarańczowego misia. Śmieszny misiowy fartuszek zakrywa nos Adasia. Ostrożnie poprawiam. Adam, przez sen, instynktownie przytula zabawkę. Śpi niespokojnie. Pokoik jest świeżo odmalowany na biało przez jednego sąsiada, bardzo zręczny segmencik zrobił drugi sąsiad. U sufitu wisi śliczna, tybetańska lampa, dar Kazia z jego zagranicznych peregrynacji. Na prawej ścianie dwie mapy: świat i Polska. Na lewej: Polska i ślepy kontur kraju. Obok, w pudełku znaczki z herbami miast polskich do odnajdywania na tej ślepej. To dar Sabiny. Wielkie pudło z piłkarzami, to od Halinki.

Dziecko śpi niespokojnie. Rzuca się, coś krzyczy przez sen. Kompletnie ubrani, stoimy z Jackiem na baczność przy łóżeczku. Właściwie bezradni. Przez ogromną odległość lat usiłuję przypomnieć sobie, jak to było z moimi, kiedy były dziewięciolatkami. Jacek jest za młody, aby mieć takie doświadczenia ale za to ma intuicję urodzonego pedagoga. Adam krzyczy:

– Nie chcę, zostaw, to moje, nie ruszaj!

Koło piątej nad ranem budzi się nagle.

– Co to? Gdzie ja jestem? Ciociu, światło niech się pali!

10.10.76

Rano poszedł do szkoły. Sam. Patrzę nań z balkonu. Odwróci się, czy nie? Przecież nie wie, że ja tam stoję. Wróżę sobie. Jeżeli odwróci się, uda mi się obudzić w nim uczucia, jeżeli nie... Lepiej nie myśleć. Mija nasz blok, zbliża się do narożnika, jeszcze ma szansę, jeszcze chwilka... Ginie za rogiem. To niemożliwe! Więc nic nie zrozumiał z wczorajszego, tak ważnego dlań dnia? Nagle, z za węgła wygląda łepek, pilnie obserwujący nasz balkon. Jest! Macha niezdarnie łapiną. Właściwie to nie jest machanie, to sygnał, cudowny, wspaniały sygnał od człowieka do człowieka.

11.10.76

Ze szkoły nie wrócił do domu. Szukałam go w szkole, na podwórku, po ulicach. Znalazł się zupełnie nieoczekiwanie koło DD. Poszedł tam bowiem na zasadzie automatu. Dopiero dzieci mu przypomniały. W domu jest bardzo cichy. Przytłumiony. Ogląda mieszkanie, zagląda w każdy kącik. Uczy się, gdzie co leży. Stłukł szklankę i nie przyznał się. Mówię mu, że jeśli sam przyzna się do winy, bury nie będzie.



12.10.76

Nie chce spać w swoim pokoju. Muszę znów wypożyczać nadmuchiwany materac. Przy okazji, orientuję się na poważnie, że od dwunastu dni jestem na emeryturze. Problem telewizji. Rezygnuję z wieczornych audycji. Mogłabym co prawda pójść do sąsiadów, ale Adam, nawet przez sen, wyczuwa, że mnie nie ma. Nie akceptuje ani znajomych, ani sąsiadów. Ucieka wtedy do swego pokoju. Dojrzewa sprawa jego matki. Wszyscy, oprócz Jacka, odradzają, ale ja wiem swoje, muszę ją zobaczyć i wiedzieć na pewno, że mogę zabrać jej uczuciowo dziecko.

13.10.76

Zdecydowałam się. Wyjeżdżam dziś w nocy. Z całym dossier Adama i poprzedzona listem zapowiadającym cel mego przyjazdu. Zakład dla psychicznie chorych, daleko za W, nad granicą niemiecką. Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Muszę wyjść z domu o siódmej wieczorem. Problem Adasia. Do sąsiadów nie chce, a Jacek wraca za godzinę. Mowy niema, żeby został sam. Mimo świetnej kolacji, telewizora i wszystkich zapalonych w mieszkaniu świateł. Płacze. Upiera się gwałtownie. Tłumaczę, coraz niecierpliwiej, bo czas ucieka. Za chwilę nie uratuje mnie nawet taksówka. Mówię mu, że muszę jechać na noc do ciężko chorej koleżanki, a Jacek zaraz wróci. Nic nie skutkuje. Ubiera się z determinacją i wychodzi ze mną.

– Będę czekał na Duszka na schodach.

Wieczory już zimne. Ale tam jest kaloryfer. W końcu to niecała już godzina.

Daję mu klucz od mieszkania, tak, że każdej chwili może tam wejść i zostawiam, w wielkiej rozterce, dziecko na schodach. Po powrocie dowiedziałam się, że Duszek nie mógł złapać ani autobusu ani taksówki i prawie biegł z drugiego końca miasta. Adama zastał na klatce schodowej, pod kaloryferem. Kiedy Jacek rozbierał go do snu, mruknął coś o cioci:

– Czy ciocia na pewno jutro wróci?

– Tak, na pewno! Ciocia nigdy nie rzuca słów na wiatr. Jak obiecała, to będzie na pewno. – odpowiedział Duszek. Widocznie dom, to dla niego ja i Duszek w nim, a bez nas to już nie dom.

14.10.76

Nawiązuję ogromnie miły i pełen zrozumienia kontakt z ordynatorem i lekarzem prowadzącym. Organizuje spotkanie. Gabinet lekarski. Stół, przed nim kanapka, na niej lekarz. Dwa krzesła. Na jednym ja, drugie puste. Na stole leży duża fotografia Adama. Wchodzi wezwana kobieta. Lat około 45, ładna, bardzo czysta. Mnie nie widzi. Kontakt, zupełnie zresztą prymitywny, tylko z lekarzem prowadzącym. Jestem bardzo zdenerwowana. Tej chorej, bezbronnej kobiecie chcę odebrać miłość dziecka. Lekarz zadaje parę stereotypowych pytań. Imię, nazwisko, wiek, od jak dawna w Zakładzie. Odpowiada bardzo wolno ale prawidłowo. Pociera rękoma kolana, kiwa się nieustannie. Kojarzy mi się to nieprzyjemnie z Adamem. Wreszcie, upoważniona przez lekarza, wyduszam z siebie pytanie:

– Ile ma pani dzieci?

Wiem, że miała ich pięcioro. Adam był piątym. Pytanie słyszy, ale odpowiada lekarzowi, że czworo. Na podsuniętą fotografię wcale nie reaguje. Nagle, sama mówi:

– On jest w Domu Dziecka, ale jemu tam dobrze.

Na resztę pytań odpowiada, ale już bez sensu. Wyrażnie się niepokoi przedłużającą się, jak na jej możliwości, rozmową. Chce widocznie powrócić jak najszybciej do swoich, ważnych spraw, które polegają na siedzeniu w ubraniu na łóżku i prowadzeniu niekończących się rozmów z wizjami swego urojonego świata. Wstrząśnięta, przemawiam w duchu do niej:

– Kobieto! Uratuję ci syna, zastąpię mu Ciebie.

Może kiedyś, kiedyś znajdą się skuteczne leki na schizofrenię na tle paranoicznym.

15.10.76

Wielka, ale skrywana radość Adama z mego powrotu.

16.10.76

Bez zmian.

17.10.76

Dziś wizyta u internisty. Waży 38 kilo. Adam nie internista, i ma 150 centymetrów wzrostu. Jest duży jak na swój wiek, ale chudziutki, a je za pięciu. Poprawia się stan włosów. Robią się gęste i puszyste. Internista mówi, że to jajeczka, bułeczki, masełko, a pani psycholog, że to szczęście posiadania własnego domu. Ona ma rację, bo przecież w DD karmią ich bardzo dobrze. Ja nie wiem, czy nie lepiej i racjonalniej niż ja. Pani psycholog to mądra i urocza kobieta. Rozumie mnie doskonale. I umie pomóc w zawiłych sprawach, które mnie trapią. A jeśli, jeśli choroba matki...

– Nie, proszę pani, tego się nie dziedziczy – mówi – To tylko bardzo głęboka nerwica. To zrozumiałe w jego sytuacji. Miłość, poczucie bezpieczeństwa, zrozumienie jego zmartwień i dzielenie jego radości.

18.10.76

Dalej nie mogę nigdzie wyjść. Adam zachowuje się, jak piesek, który obwąchuje wszystkie kąty. Zagląda do każdej szafy, szuflady, biurka. Ale robi to tylko przy mnie i zawsze pyta się, czy może. Może oczywiście, ale musi odłożyć porządnie na miejsce. Szczególnie interesują go rodzinne fotografie.

19.10.76

Adam bawi się na dywanie, ja czytam. Cichutko gra radio. Nagle Adam rzuca zabawki, ładuje mi się na kolana, ręce na szyję, przytula się i... milczy. Potem równie nagle, jak gdyby nic, wraca do zabawy.

20.10.76

Dał się przekonać do spania we własnym pokoju i tym samym odblokował telewizję. Ale światło w korytarzu musi się palić całą noc. Przed snem czytam mu głośno pół godziny. Jest to też chwila, aby porozmawiać od serca. Wtedy też zaczyna się troszeczkę otwierać. Bardzo lubi otulanie kołderką i całowanie na dobranoc.

21.10.76

Wezwanie do szkoły. Spadek wyników w nauce. Zapytany nie potrafi na nie odpowiedzieć sensownie, choć przecież uczył się w domu. Poza tym zachowuje się dziwnie. Nagle, na lekcji, bez wyraźnego ku temu powodu, wybucha głośnym, nieprzyjemnym śmiechem. Ordynarny, arogancki w stosunku do kolegów i tzw. ciała.

22.10.76

Dalej dwukrotnie budzik w nocy. Co za szczęście, że jestem na tej wcześniejszej emeryturze. Nie chce stanowczo jadać w stołówce szkolnej. Muszę mu gotować obiadki.

25.10.76

Próbuje bardzo nieśmiało i niezdarnie pocałować mnie w policzek. Dziś byliśmy w moim dawnym biurze. Adaś bardzo się podobał. W autobusie pokazałam mu oczyma panią, której powinno się ustąpić, ze względu na jej stan, miejsce. Podniósł wysoko brwi, ale miejsca ustąpił. Potem, w domu, pytanie:

– Dlaczego?

– Bo ta pani miała dzidziusia.

– Ona nie miała żadnego dziecka.

– Ale będzie je miała.

– Skąd ciocia wie?

– To widać, miała duży brzusek, dzidzius jest w środku.

Długo oglądaliśmy w encyklopedii fazy rozwoju dziecka i długo mu to tłumaczyłam. Był bardzo przejęty.

– Aaa, aha, to ja już wiem. I zawsze będę ustępował miejsca, bo takiej pani to musi być bardzo ciężko.

1.11.76

W szkole dalej bardzo źle. Dzienniczek wypełnia się niepocholebnyimi uwagami. Adam rozmawia na lekcjach, na uwagi nie reaguje. Adam jest roztargniony.

Adam jest niegrzeczny. Jedyna pocięcha, sam nie jest nigdy agresywny. Natomiast, zaatakowany, odpowiada natychmiast brutalnie. Co prawda, jeszcze tak niedawno nie pozwalał się dotknąć, a na najdelikatniejszą próbę pogłaskania, odpowiadał automatycznym podniesieniem ręki, gotowej do odparcia ataku. Dochodzę do wniosku, że Adam ma dwie skóry. Jedną na użytek domowy, drugą zbroję na teren szkoły. Przepaść między nimi jest tak wielka! Nie wiem, jak ją zdołam wypełnić.

2.11.76

Rozprawa sądowa. Staję przed sądem z pełną świadomością, że ta rozprawa nie tylko da mi dziecko, ale i że odbieram je prawnym rodzicom. Ojciec, który nigdy nie widział syna. Mąż, który nigdy nie zainteresował się losem żony. Zostawił troskę o dziecko państwu, o żonę i jej zwichnięte chorobą młode życie lekarzom. Wstrząsający obraz prymitywnej natury, która nie zna uczuć wyższych, nie ma właściwie żadnych uczuć. Zdolny rzemieślnik i notoryczny alkoholik. Opadają ze mnie ostatnie skrupuły. Składam przysięgę głośno. Składam ją nie tyle kompletowi sędziowskiemu, co raczej własnemu sumieniu.

5.11.76

Tak więc Adam ma już oficjalnie własny dom, własną rodzinę. A że w szkole źle, czyż moje dzieci były zawsze aniołami? Niepokoi mnie tylko ciągle zbieżność objawów u matki i syna.

10.11.76

Uczy się pisać na maszynie. Pierwszy tekst, napisany zresztą bezbłędnie, metodą wolnych skojarzeń: „Ciocia robi obiad. Adam gra w piłkę. Duszek jest w Klubie „Duszków”. Ciocia poszła na spacer. Duszek poszedł z harcerzami na obóz. Adam lubi piłkę nożną. Duszek lubi harcerstwo. Ciocia jest mądra. Ciocia robi sweter. Duszek ma finkę. Ciocia lubi pieski. Adam ogląda telewizję”.

11.11.76

Dziś odwiedziły Adama dzieci z DD. Troje z jego dawnej grupy. Dostały kanapki, herbatę i ciasto. Ale Adama przy tym nie było. Schował się gdzieś i nie można go było się dowołać. Byłam przekonana, że po prostu, niezauważony, wymknął się z mieszkania. Po wyjściu dzieci, znalazłam Adama, bladego i roztrzęsionego za firanką w jego pokoju. Stał tam cały czas trwania wizyty, mimo, że słyszał bardzo dobrze wołania.

12.11.76

Znow dwóje. Ukradł Pawłowi dwa żołnierzyki. Natychmiast poszłam z Adamem do domu Pawełka z przeprosinami i z wytłumaczeniem, że Adam niechcący wsunął do kieszonki. Paweł ma około pięćdziesięciu sztuk, Adam ani jednego. Trzeba o tym pomyśleć.

16.11.76

Dalej nie mogę wychodzić z domu. Rodzina i znajomi narzekają, a ja jałowieję kulturalnie. Jednakże reakcje Adama na próby wyjścia są tak gwałtowne, że uzbrajam się w cierpliwość.

17.11.76

Ciągle mówi nieprawdliwie. To już nie gwara uczniowska, a jakiś potworny slang. Opowiada np. o koledze, że „Jak zaliczył u Pietrusińskiej akrobatkę z gegry, maksymalnie się spienił, bo to był kit, ciociu, że on gadał na lekcji. A w chacie to już było giciuchno i zgred miał mu kupić zegarek. A tak to szlaban na zegarek.” Co w tłumaczeniu na język polski brzmi: „Bardzo się zdenerwował, gdy pani Pietrusińska postawiła mu dwójkę z geografii, bo to nie prawda, że rozmawiał na lekcji. A w domu było już tak wspaniale i tata miał mu kupić zegarek. A w tej sytuacji to koniec z zegarkiem”.

Wieczorami czytam mu głośno, licząc, że coś nie coś z pięknej mowy polskiej utkwi w tej łepetynie. Sam czyta bardzo niechętnie i tylko przymuszony lekturą szkolną. Nie potrafi opowiedzieć, co przeczytał.

18.11.76

Wymyśliłam sposób na zmuszenie go do opowiadania. Przed wieczornym czytaniem, udaję, że zapomniałam czytany wczoraj fragment. Zaczyna się, powtarza te same słowa po kilka razy, gubi wątek zdania, gniewa się, gdy go poprawiam, ale przecież opowiada i buduje te swoje zdanka sam.

19.11.76

Pisze list do kolegów z DD. List, którego nigdy nie wyśle. List na cztery strony. Wstrząsające wyznanie dziecka, w którym z koślawych zdań, przebija się z trudem myśl. O sobie nie pisze nic zupełnie, pyta się jedynie o każdego z nich, o zdrowie, zabawy, naukę.

20.11.76

Wizyta u pani psycholog. Po rozmowie z Adamem rozmowa ze mną. Twierdzi, że Adam cieszy się szalenie z własnego domu, a złe wyniki w nauce i sprawowaniu, to tylko nieumiejętny wyraz tej radości. Cierpliwość i miłość, przy stałym, bardzo łagodnym ale stanowczym egzekwowaniu obowiązków. Kupiłam żołnierzyków kilkoro, pomna tamtej historii z Pawłem. Duża radość, Zaczyna śmiać się głośno. Przedtem manifestował radość jedynie półuśmiechem.

22.11.76

Stwarzam tradycje. Więc to machanie z balkonu. Żegnanie się przy każdym wyjściu z domu. Święta, urodziny, imieniny. No i goście. Zaczyna lubić, jak przychodzą. A przychodzą często, bo każdy chce zobaczyć Adama. Herbata, ciasteczka, to już jego rola.

– A łyżeczki do herbaty, to podać te gościowe, czy jak?

23.11.76

Dziś Adam przyniósł sobie mały stołeczek, postawił przy mnie, usiadł, położył głowę na moich kolanach i spytał, czy może się o coś zapytać.

– Ciociu, czy ja mam matkę?

– Masz, Adasiu. Każdy z nas ma matkę.

– Ale czy ona żyje i gdzie jest?

– Adasiu – mówię – czy masz do mnie zaufanie i wierzysz mi?

– Tak – odpowiada – ciocia nigdy nie kłamie.

– Twoja mamusia, Adasiu, jest bardzo ciężko chora, dlatego zamiast niej ja się

tobą opiekuję.

– A czy będę mógł ją zobaczyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jesteś za mały, żeby znieść takie spotkanie.

– A kiedyś, kiedy będę już duży?

– Wiesz, że jak ciocia coś obieca, to zawsze dotrzyma. Zatem obiecuję ci, że kiedy będziesz dorosły, silny, pojedziemy do niej razem, jeśli będziesz wtedy tego chciał.

– A ojciec? Nie, nie, już nic.

Nie wrócił już nigdy więcej do tego tematu.

25.11.76

Byliśmy dziś w mieście. W autobusie Adam ustąpił miejsca jakiejś pani i stanął obok mnie, szukając dumny mego wzroku. Skinęłam z aprobatą głową. Ale pani, w wieku wykluczającym ponad wszelką wątpliwość poważny stan, była po prostu nadmiernie otyła.

27.11.76

Polubił swój pokój, ale nic w nim nie zmienia, za wyjątkiem ślepej mapy, która, zapełniona bogactwem kolorowych herbów, ożyła. To ja przyozdabiam jego pokój, jemu jest na razie wszystko jedno.

28.11.76

Nie wrócił dziś ze szkoły do domu. Przez trzy godziny go szukałam. Wrócił brudny, obłocony, mokry. Bawił się z kolegą ze szkoły na drugim osiedlu.

30.11.76

Przyszła paczka od mojej przyjaciółki z Belgii. Akurat żołnierzyki z okresu napoleońskiego. Śliczne. Schowałam na pod choinkę.

1.12.76

Wizyta kolegi szkolnego. Adam sam szykuje podwieczorek. Znosi na tacy. Jest ogromnie przejęty. Posłuchałam (niechcący !):

– Pozwól jeszcze kanapkę, poczęstuj się cukrem. – Istny Wersal!

2.12.76

Pierwsze rozmowy o obowiązkach. Śmiecie, raz wyrzucił, zresztą do piwnicy, bo bał się wyjść na podwórze. W związku z czym, wizyta dozorczy, który po jakiejś kopercie z naszym nazwiskiem, trafił do winowajcy.

–Dlaczego zawsze ja! Tam to było kolejno!

Słanie własnego łóżka, sprzątanie pokoju. Na razie, prócz lekcji, to wszystko, bo i tak połowy zapomina. Niech się wdraża.

6.12.76

Dziś świętego Mikołaja. Uświęcone naszą tradycją rodzinną prezenciki pod poduszkę i w kapciu. Pod poduszką Adama zakonspirowanych dwóch Indian ode mnie, w kapciu kryje się dwóch husarzy od Duszka.

7.12.76

Była Krysia. Przyniosła dla nas kosmetyczne, kolorowe drobiazgi, a dla Adasia (o jej!) apiat żołnierzyki. W tym tempie przegonimy Pawła bardzo szybko. No i dobrze!

8.12.76

Moje imieniny. Kupa luda. Adam stoi w progu mego pokoju. Ociąga się, wejść czy nie wejść. Nie wchodzi, ale i nie ucieka. Pozornie nie zwracam na niego uwagi, pochłonięta gośćmi. Wtem ktoś woła:

- Adasiu, podaj mi, proszę, torebkę.
- Adam, gdzie ta książka cioci?
- Podaj mi, dziecko herbaty.

Adam dwoi się i troi. Czuje się potrzebny. Wie doskonale, gdzie kto co położył, wszystko wypatrzy, wszystko przyniesie. Tylko ciągle milczy, a zapytany, odwraca głowę i mruży:

- Ehe.

9.12.76

W szkole coraz gorzej i ze stopniami, i z zachowania. Wobec tego ponowna wizyta u pani psycholog. Czy, w takim stanie rzeczy dać na Gwiazdkę prezenty, których wielka sterta gromadzi się na dnie mojej pojemnej szafy. Orzeczenie brzmi:

- Tak! Koniecznie tak! – Ona jest cudowna, to lekarz z powołania. Sam jej uśmiech ustawia człowieka optymistycznie.

15.12.76

Jacek przydzwigał choinkę Ogromna radość Adama. Ogląda, dotyka.

- To pachnie, ciociu!

W szkole była klasówka z polskiego. Adam dostał piątkę. Napisał czerwonym flamastrem tak: „Temat: życzenia dla Rodziców. Dla cioci M. Wszystkiego najlepszego, zdrowia, szczęścia, żeby wszystko się spełniło, wajnych prezentów. Dla Duszka: zdrowia, dobrej pracy, dużo prezentów, dużo pieniędzy i żeby Duszek nie spóźniał się do domu”. Wajne prezenty to on dostanie, ani się spodziewa, jakie.

16.12.76

Nagle wygrzeczniał. Do rany go przyłóż. Śmiecie? Już się robi. Zakupy? Tak jest, już go niema, tylko, że zapomniał pieniędzy i kartki na zakupy, musiał więc wrócić. Sprząta sam elektroluksem całe mieszkanie. Ja pichcę, smażę, gotuję i tak na zmianę. Pyta: co będzie na Święta, jak to będzie? Czy choinkę ubiera się i kto to robi?

17.12.76

Ależ on grzeczny!

18.12.76

Wakacje tygodniowe. Nie odstępuję mnie na krok. Z zabawkami przenosi się za mną w milczeniu to do kuchni, to do pokoju. Poszedłby i do łazienki, ale na

szczęście za mała. Dalej nie chce wychodzić na podwórko. Obserwuje tylko z okna igrzce dzieci na śniegu, który w tym roku wcześnie i obficie obrodził.

19.12.76

W wielkiej tajemnicy szykuje prezenty dla Duszka i dla mnie. Z żądanych dodatków wiem, że jeden prezent będzie na pewno czerwony, drugi zielony.

20.12.76

Śpi spokojnie. Ale dalej światło musi palić się w nocy i dalej budzik dzwoni mi nad uchem o północy i o trzeciej nad ranem. Próbowałam przesunąć godziny, ale natychmiast Niagara. Mimo, że ferie, wstaje o szóstej. Natychmiast ściela łóżko, ubiera się i waruje pod moimi drzwiami czekając, aż nastawię radio. Już wie, że to sygnał, że można wejść.

Bardzo nie lubi myć się. Co trzy dni Jacek ciągnie go siłą do łazienki i uczy szorować się, potem trzyma go mocno, a ja myję mu głowę. Adam wierzga, rzuca się, krzyczy, że się topi i w ogóle wyprawia brewerie. Ale my nie rezygnujemy. Potem, czyściutki, różowy, pachnący i obrażony, przychodzi w szlafroku kąpielowym powiedzieć nam dobranoc. Wychodząc, cofa się tyłem, na progu uśmiecha się, zezując jednocześnie na ekran telewizora. Co też tam oni oglądają?

22.12.76

Bez zmian.

24.12.76

Rano. Jestem zupełnie gotowa, okupiona, obgotowana, obsmażona. Pozostały już tylko ostanie przygotowania do obrzędów. Jacek wnosi choinkę. Okazuje się, że jest za wysoka. Więc razem z Adamem tną, piją i dopasowują do stojaczka. Stojaczek jest bardzo stary i pod silnymi rękoma Jacka rozpada się. Natychmiast klecą razem nowy. Potem wspięta na drabince, wyjmuję ze schowka pudła i pudełeczka. Adam otwiera szeroko oczy. Stawiam to wszystko przed nim, a sama spokojnie siadam przy biurku i wiążę kolorowe cukierki, robię białe, strzępione koszyczki do orzechów. Duszek ściboli z drutu lichtarzyki. Zerkam na Adama. Drapie się w głowę, potem bierze krzesło i zaczyna pomału, z rozwagą, rozwieszać ozdoby. Po pół godzinie, choinka, pierwsza, własna choinka Adasia, jest gotowa. Musimy podziwiać i robimy to ze szczerym entuzjazmem. Jeszcze stół wigilijny. To długa i żmudna praca, ale na wigilię wszystko musi być uroczyste i śliczne, kolorowe, przyciągające oczy krasą zakąsek, deserów i tego wszystkiego, bez czego nie ma polskiej wigilii.

– Ciociu, to my już siadamy?

– Jeszcze nie, Adasiu, podejdź do okna i pilnuj pierwszej gwiazdki.

– Na niebie?

– Pewnie, że tak, a gdzie?

Po chwili woła z przejęciem:

– Ciociu, ciociu! Tam naprzeciwko zapalili już choinkę, o i tam, druga, trzecia.

Ciociu, jakie to ładne! Czy my też zapalimy?

Opłatek. Życzenia. Duszek szepce mi do ucha:

– Uda się, Fregato, zobaczysz, że się uda! Zrobimy z niego *wajnego* człowieka.

Śledź, ryba tak, ryba siak.

– Ciociu, a co tam leży takie duże pod choinką?

– Nie wiem, ale zaraz zobaczymy!

Serwuję desery, gasną kolejno lampy elektryczne. Duszek zapala świece choinkowe i te kolorowe na stole. Trochę śpiewamy kolędy, a potem, potem to się dopiero zaczyna.

Od cioci dla Adama, od Duszka dla Adasia, Adasiowi na Gwiazdkę, Krysia dla Adasia itd., itd. Postanowiłam, korzystając z okazji, stworzyć mu bank zabawek. Nie przewidziałam, że dołączy się rodzina, znajomi, koleżanki. Na samo zakończenie sanki, śliczne, niebieskie, składane. Właściwie Adam dostaje wszystkie zabawki, jakie u innych dzieci zbierają się latami.

Żołnierzyków mamy siedemdziesięciu i dwóch, a więc Paweł przegoniony. W czasie rozdawania prezentów, dzieje się coś dziwnego. Adam odbiera każdy prezent, dziękuje i kładzie obok siebie. Nie otwiera. Potem musi przenieść się na tapczan, bo na stole nie ma już miejsca. Prezenty płyną, on dalej kładzie je koło siebie i... paczek nie otwiera. Dopiero po dobrej pół godzinie, pozornie spokojnie, zaczyna pomalutku odpakowywać. Robi to trochę tak, jak pokerzysta, który wolniutko rozsuwa wachlarzyk kart. A potem są już tylko ochy i achy, pocałunki, rzucanie się na szyję. Kark mnie z tego boli.

Koło godziny jedenastej wieczorem Adam pyta z niepokojem:

– Czy ja muszę już iść spać?

– Nie. – odpowiadam – W naszym domu jest taki zwyczaj, tradycja, że w tę jedną, jedyną noc w roku dzieci mogą iść spać, kiedy same zechcą.

Od Adama dostaję duże, czerwone, wypchane serce do szpilek, a Jacek zieloną zakładkę do książki.

O północy Duszek robi tajemniczą minę i każe Adasiowi dać rękę, ale tak, żeby nie wiedział co z tą ręką będzie. Ja wiem, ale Adam nie, więc się trochę boi. A Duszek, sam wzruszony, wkłada mu na rękę duży, łady, zielony, z kompasikiem, zegarek. Adam jest zupełnie zaszokowany.

– Jak to? – pyta – Jak to?

Przecież dziś jest wigilia, a w wigilię obchodzą imieniny Adam i Ewa. Chłopiec ma łzy w oczach ale dzielnie je powstrzymuje. My też.

Najpiękniejsze ze wszystkich świąt, wigilia Bożego Narodzenia. Choinka lśni tysiącem różnokolorowych odblasków, skrzy się i mieni, płoną świece, rzucając tajemnicze cienie. Słodki urok rodzinnego święta i wielkie, śliczne, błyszczące z przejęcia oczy Adasia. Dziś już wiem. Największym szczęściem to dawać a nie brać.

25.12.76

W głębi mieszkania trzasnęły drzwi. Czujnie nadstawiam ucha. Drobne, skradające się kroki. Jedno zaspane oko wędruje w kierunku budzika. Wpół do szóstej. A przecież wczoraj, a właściwie już dziś, o czwartej rano Duszek zebrał, śpiącego na moim tapczanie, Adasia i zaniósł go do łóżeczka. Ten wspaniały nianiek (jak jest rodzaj męski od niańka?), rozebrał chłopca, przebrał w piżamkę i ciągle śpiącego, otulił kołderką. Znow cisza. Kroki zatrzymują się pod moimi drzwiami. W ciszy uśpionego świątecznie mieszkania nagły huk spadających przedmiotów. Wypadam na korytarz. Adam stoi w piżamce, błądy, po kolana w stercie zabawek. O Boże! Jęczy moja niewyspana dusza.

– Adasiu – tylko nie pokazać zdenerwowania! – pozbieraj swoje skarby i pewnie chcesz już śniadanie?

– Nie, ja przyszedłem do cioci bawić się.

Układa te swoje zabawki, ogląda dopiero teraz bardzo uważnie. Co jakiś czas

podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Ciociu, te sanki, to one są do jechania?

– Tak.

– A pójdziemy dziś na sanki?

– Tak, ale nie wiem, jaka jest pogoda. – Adam szybko podchodzi do ona. – Ciociu, jak pięknie na świecie, całkiem, całkiem wszystko białe... i takie koroneczki na drzewach.

Serwuję mu na dywan talerzyk z kanapkami i drugi z ciastem. Zakopuję się po brodę w ciepłości kołdry i przysypiam. Już szybuję w niebycie półsnu.

– Ciociu! A na te sanki to kiedy pójdziemy?

Przed obiadem wychodzimy na spacer.

– Adasiu, weź saneczki!

– Nie!

– Adam! Zabierz sanki!

– Nie!

Dylemat. Biorę więc ja. Na dole kuszę

– Usiądź, ja powiozę ciebie, a potem ty mnie.

– Nie!

Więc idzie taki śmieszny orszak. Ja ciągnę puste sanki, Adam ciągnie się dobre piętnaście metrów za mną. Blisko domu jest świetna górka, taka w sam raz, ani za duża, ani za mała. Mnóstwo dzieci.

– Adasiu...

– Nie!

Cóż więc mam robić, biedna kobieta – zjeżdżam sama. Raz, drugi, trzeci. Nawet nieźle mi idzie.

– Ciociu, ciocia da pojeździć.

Ależ tak!!! Zjechał. Dwa razy. Potem odstawił sanki. Stoi i obserwuje. Raptem, gwałtownie do nich dopada i zaczyna pilnie zjeżdżać. Patrząc zdumiona. Na horyzoncie wysmukła sylwetka Duszka. Brnie na przełaj przez głęboki śnieg. Aha! To może tędy droga? Rzeczywiście, zjeżdżają obaj: stary koń i mały pędrak. Chichoczą, popychają się, wpadają w śnieg, przewracają. W drodze powrotnej obydwaj ciągną mnie.

26.12.76

Idzie na sanki sam. Mija godzina, dwie. Czyżby było już tak dobrze? Pewnie wróci zgrzany, rumiany od mrozu. Spotykam go za pierwszym rogiem. Bez sanek. Po długich pertraktacjach i obietnicach łapówki (pomarańcze!) wyjąkał, że mu dzieci zabrali. Na górce jakaś pani przeprosza i wyjaśnia:

– No, bo ten chłopiec stał godzinę przy sankach i nie jeździł, więc poprosiłam go o pożyczenie, bo moje dziecko nie ma.

27.12.76

Dziś idziemy na świąteczne przyjęcie do Andrzejów. Jest cała rodzinka w komplecie i mnóstwo różnych ludzi. Adam siedzi pierwszy raz przy wielkim stole, ślicznie nakrytym przez moją córkę. Andrzej, jej mąż, dwoi się i troi, podaje, podsuwa, kusi, zaprasza. Takie pyszności, że grzech odmówić. Adam ma miejsce na drugim końcu stołu. Daleko! Ale widzę, że oczka ma okrągłe ze

zdumienia, siedzi prosto, ładnie je. Przy śledziach w śmietanie, oświadcza śmiało, że nie lubi.

– A jadłeś już kiedy? Nie? No to skąd wiesz, że nie lubisz?

Również pierwszy raz w życiu widzi i je te bożonarodzeniowe smakołyki.

Odpowiada nawet sensownie na zadawane pytania. Późną nocą, pełni ciepła rodzinnego, wracamy parkiem do domu. Miliardy migocących iskierek na śniegu.

29.12.76

Ciężko z tym czytaniem. Dostał na Gwiazdkę również śliczne książki i nic. Więc dalej czytam mu wieczorami. Bardzo to lubi, ale sam, nie napędzany, nie sięga po książkę.

– Ciociu, co to Sylwester?

– Zobaczysz!

– A jak go zobaczę?

31.12.76

Wielkie przygotowania. Odświętnie, wieczorowo ubrani spędzamy Sylwestra. Mamy takie różne, własne tradycje. Jedną z nich jest napisanie na karteluszkach trzech życzeń, spalenie kartki nad świecą, wrzucenie popiołu do kieliszka z winem i wypicie. Wszystkie te czynności muszą zmieścić się w ciągu dwunastu uderzeń zegara. Wtedy życzenia na pewno się spełnią. Adam jest tak przejęty, że swój kieliszek (z herbatą oczywiście) chce wypić wcześniej. Ledwo go można powstrzymać, tak fascynuje go ten nasz rytuał. Ale czy one aby na pewno się spełnią? Na pewno, trzeba tylko mocno chcieć.

3.1.77

Zostawiam drobne pieniążki, sięję je tu albo tam. Nigdy nic nie ginie. Tylko Adam przybiega podniecony:

– Ciociu! Tam leżą pieniądze!

– Nic nie szkodzi – odpowiadam – Leżą to leżą.

– No, ale... przecież mogą zginąć! – W głosie zgorszenie.

– Ktoś położył, Adasiu, to i przyjdzie po nie. W domu nic nie ginie.

5.1.77

Była Berta z harcerską wizytą u Duszka. To również jedna z byłych wychowawczyń Adama z DD. Adam nie akceptuje jej, choć przecież dobrze ją zna. A może właśnie dlatego? Ucieka do swego pokoju i do końca wizyty nie pokazuje się.

7.1.77

Dziś poszłam do DD. Sama. Zaniosałam różne, już wyrośnięte z Adama ubranka i książki, remanenty wynikłe z przedświątecznych porządków. I żeby spotkać się z panią Karoliną, bezpośrednią wychowawczynią Adama. To ona pierwsza w DD wpadła na pomysł zainteresowania mnie Adamem. Przekazałam jej moją decyzję. Nie będę więcej odwiedzała DD. Zrozumiała mnie bardzo dobrze. To mądry i dobry człowiek.

8.1.77

Był jeden żołnierz.

10.1.77

Znów był żołnierz. Reguluję z ich pomocą system nagród i kar. Adam bawi się żołnierzami tylko w moim pokoju. Urządza bitwy, potyczki, wyścigi, pojedynki. Lubi bardzo robić zasadzki i podchody. Mruczy przy tym do siebie takie różne:

– Na ramię broń, do ataku! – itd. Z tego taki rezultat, że wieczorem odnajduję w najbardziej zaskakujących miejscach resztki jego armii. Dwóch maruderów znalazłam dziś pod tapczanem, jednego w doniczce z kwiatami i trzech husarzy pod telewizorem. Dobrze jeszcze, że nie w moim łóżku.

12.1.77

DD zaofiarowało się uszyć we własnym zakresie, z moich materiałów, spodnie i koszule dla Adama.

15.1.77

Żołnierzka nie było, bo była dwójka z matmy. Wizyta u p. Wizytator Cz., oficjalnej opiekunki DD. Przynoszę jeden symboliczny kwiat. Nie ma tu miejsca na słowa. Pani wizytator to młoda, elegancka i przystojna pani z pozornym dystansem, podyktowanym koniecznością stykania się z tą drugą stroną. Z ludźmi, którym dzieci odebrano.

16.1.77

Znów żołnierzka nie było. Uwaga dotyczy bardzo niegrzecznego zachowania w szkole.

17.1.77

Pomysł z szyciem w DD nie zdaje egzaminu. Kupiłam stertę materiałów, przeznaczonych na spodnie: szkolne, od święta, do zdzierania. Ale Adam poszedł na przymiarke z wielkimi oporami. Wizyta w DD sprawiła mu tak żywą przykrość, że, aczkolwiek z żalem, zrezygnowałam z usług DD w tym zakresie. W rezultacie mam zaszyte dni. Latam do Krysi po formy papierowe, fastryguję, szyję, przymierzam, przycinam i ciągle nie umiem dobrze wykończyć rozporka.

18.1.77

Nie było, niestety, żołnierzka. Dzienniczek roi się od uwag. Znów niegrzeczny, arogancki, bije się. Przyglądam się bliżej tej sprawie. W jego klasie jest trzech chłopców z DD, właśnie z jego dawnej grupy. W innych klasach też po troje, czworo. I tu jest pies pogrzebany. Adam jest pod obstrzałem, a dzieci potrafią być okrutne, zwłaszcza jeśli istota sprawy mieści się w kategoriach głębokiej, głuchej, nieświadomionej zazdrości. Więc to tak! Zarysowuje się projekt przeniesienia Adama na jesieni do innej szkoły.

19.1.77

Zima mroźno śnieżna. Idealne warunki na narty. Więc tak sobie przemyśliwam, czyby nie na narty.

20.1.77

Długa, serdeczna rozmowa z Adamem o szkole, o stosunkach między dziećmi. Otwiera się niespodzianie. Wylewa te wszystkie, nawet rynsztokowe przezwiska, nazwania, przezywania, jakie dzieci z DD stosują do niego. Może i

na pewno nie tylko do niego, ale on to odczuwa najboleśniej. Wtedy wypływa i sprawa sanek, że on by wolał, jeśli można, narty.

– Dobrze, będą narty, ale zachowanie musi ulec zmianie.

Przyrzeka, że już na pewno będzie lepiej.

21.1.77

Latamy po Warszawie, wreszcie na Placu Konstytucji są, śliczne, niebieskie. Są i buty. Kupuję. O naiwności przedwojennej zdobywczyni POS3 w biegu na 3 kilometry. Te narty to one są bez wiązań. Ogromnie przejęci latamy dalej. Są wiązania. Ale problem przykręcenia. Takich usług sklepy sportowe nie świadczą. Jedziemy więc na Skocznię Służewiecką. Adam usłużnie proponuje, że weźmie moją torebkę i mocno wypchane torby z zakupami, a mnie obarcza nartami. Naiwnie myślę, że może to i lepiej, bo w tym tłoku jeszcze się tym niebieskościom nartowym coś stanie.

W mizernym baraczkach przyczepiają nam te wiązania. Płacę, biorę swoje rzeczy.

– A ty, Adasiu, narty.

– Nie!

– Proszę, weź.

– Nie!

– Adam!!!

– Nie!

Ucieka z baraku. Wychodzę za nim, pytam, indaguję na wszystkie sposoby. Nic. Dlaczego? Nic. Godzina robi się wieczorna. Mróz. Głodno. Do domu bardzo daleko. No? Więc? Nic. No to taki i pedagog ze mnie. Udusiłabym go teraz, zaraz, tu, na śniegu!

Wchodzę do baraku. Z za futryny zerka jedno oko Adama. Mówię, nie mniej zdumionemu narciarskiemu przykręcaczowi, że nart nie odbieram.

– Proszę je dać jakiemuś dziecku.

Wychodzę. Adama ani śladu. Idę na przystanek. Niema go. Wracam do baraku. Moje dyżurne sumienie (jest przed pierwszym) buntuje się. Jak to? To moim dzieciom marzyły i marzyły się narty i nigdy ich nie miały. Zabieram sprzęt i wracam na przystanek. Adama nie ma. Wściekła, jak dziesięć tysięcy tygrysic ładuję się z tymi bambetlami do zatłoczonego tramwaju. W ostatniej chwili odrywa się od latarni szary cień i śmiga do drugiego wozu. Aha! Tu cię mam! Czeka, teraz ja z tobą potańczę! Komplikuję trasę, robię masę niepotrzebnych przesiadek i kołowań. Bury cień czai się z daleka i również z daleka wiernie mi towarzyszy. Wreszcie ładuję w domu. Na klatce schodowej dopada mnie Adam, wyrzywa narty i straszliwie dumny, taszczy je na górę. No więc teraz to ja już nic nie rozumiem!

22.1.77

Są narty, jest śnieg, Andrzej pożycza kijki, brakuje tylko wczasów zimowych. Zdobywam w moim dawnym biurze dwa skierowania do Rytra, gdzie w ślicznie położonym tuż nad Popradem Zajeździe Ryterskim spędzimy z Adamem dwa feryjne tygodnie.

23.1.77

Cenzurka okresowa zupełnie niezła. Wyjazd. Obładowanych jak stara ciężarówka, Duszek o północy winduje do pociągu. Ciągłe liczę nerwowo

paczki: walizka, torba, dwa koce, narty, sanki, bo i sanki, jako, że się składają, jadą też.

24.1.77

Pokoik maleńki, dwuosobowy. Na stoliku cichutko gra nasze domowe, czerwone radio. Adam śpi spokojnie. Rano idziemy na śniadanie do dużej, jasnej sali. W kącie stoi jeszcze choinka. Estetycznie zagospodarowane stoliki proszą się o zajęcie miejsc. Przez wielkie, przeszklone ściany widać góry i płynący w dół, przedzierający się przez kry, Poprad. Adam nie chce wejść do sali. Proszę, namawiam. Nie i nie. Więc jem to apetyczne śniadanko sama. Stoi jak absolutnie głupi, przy drzwiach. Nagle zobaczył, że kelnerki roznoszą jajecznicę. A on przecież ubóstwia jajecznicę. Gna kłusem przez salę, siada, uśmiechem usiłuje przeprosić. Wspaniałomyślnie wybaczam. Potem spacer, odkrywam za rzeką świetną górkę narciarsko saneczkową. Więc biorę sanki.

– A ty Adasiu, narty.

Znow opór.

– To ja zostanę i będę oglądał telewizję.

– Nie, mój drogi, mowy nie ma!

Wyłazi wreszcie na ten cudny, śnieżny, słoneczny świat. Ale bez nart. Co robić? Jak raz ustąpię, będzie mnie stale szantażował. Trudno, postawię na pobłażliwość. Biorę narty, on sanki. Na górcie cud na śniegu! Adam sam przypina narty i... rusza! Potem, zaliczywszy ze dwa zajęcia, wchodzi na górkę, zjeżdża, przewraca się, znowu wchodzi, zjeżdża na odwrotnej stronie brzucha, spada, kopie się w śniegu. Daję mu parę podstawowych wskazówek i ruszam na sam szczyt góry. Ja też uwielbiam różne rzeczy. Zjeżdżam dumna i szczęśliwa i w wielkim pędzie omijam zdumionego Adama. Potem, cierpliwie ciągnę się pod górę. Stoi i patrzy. Adam, jakoś zachęcony, zaczyna to samo, tylko od połowy górkę. Czasami leci na brzuchu, czasami narty mu się rozjeżdżają, a czasami udaje mu się, nawet bez upadku, dojechać do końca trasy. Powoli, systematycznie i z wielkim uporem, powtarza bez końca cały ceremoniał nartowania. Wzrusza mnie tym uporem bardzo. Zbliża się pora obiadowa. Szykujemy się do powrotu. Idę do Zajazdu, ciągnąc saneczki. Oglądam się. Adam idzie ze spuszczoną głową, a narty zostały i sterczą ze śniegu, jak dwie podłużne wrony. Opadają mi ręce.

25.1.77

Ustępstwo Adama. Narty zabrał sam, ale przytroczył je chytrze do sanek. Myślę i myślę i zupełnie nie mogę dojść, o co tu chodzi. Dziś przyjechali nowi wczasowicze.

– Z dziećmi, ciociu!

Rzeczywiście, dwóch chłopców w wieku Adama, dwa zupełnie małe maluszki i jeden stary, bo z liceum. I odtąd nie ma już chwili spokoju. Pełno ich wszędzie. Siedzę w pokoju i spokojnie sobie czytam. Drzwi się otwierają, wpada taki chłopiec i krzyczy:

– Pani mnie schowa! – to raczej rozkaz niż prośba. Więc chowam. Zaraz wpada Adam:

– Ciociu, gdzie on jest? – to też żądanie, a nie prośba.

– Nie wiem – odpowiadam, ale moje oczy podświadomie wędrują ku szafie.

– Aha! Już wiem – krzyczy Adam. Ależ on bystry. Nikt w całym dostojnym

Zajeździe Ryterskim nie jest teraz pewny bezpieczeństwa. Ja tam jestem szczęśliwa. Niech hasa i ryczy. Narty bezproblemowo. O co tu chodziło?

26.1.77

Zakopane. Autokarem. Pogoda bajkowa. Ośnieżone szczyty Tatr. Adam patrzy zafascynowany.

– To wspaniałe, ciociu!

Nocujemy u mojej zakopiańskiej kuzynki. Rano Adam znowu kaprysi.

Śniadanie złe, góry brzydkie, wszystko pod tytułem: co mi tam, nie zależy mi.

Dochodzę do wniosku, że to nie ja wychowuję Adama, a jego reakcje uczą mnie. Z każdej takiej afery staram się wyciągać wnioski. Ale idzie mi to bardzo opornie.



27.1.77

I znowu dzikie harce po korytarzach, po górkach, po śniegu, po wszystkim na co da się wdrapać, z czego można zjechać (z poręczami od schodów włącznie). Jedna para spodnie wędruje do kosza. Na szczęście, buty mocne i solidnie podkute, wytrzymują wszystko. Jutro Krynica.

28.1.77

Znajomi zajazdowi zabierają nas autem do Krynicy. Spędzamy cały dzień wspaniale. Wszyscy jedziemy kolejką linową na szczyt Góry Parkowej. My, starsi, opalamy się a Adam... a właściwie gdzie są chłopcy? Zaczyna się intensywne nawoływanie, szukanie. Echo niesie nasze głosy daleko w Krynice, ale tylko echo nam odpowiada. Słońce idzie spać, mrok gęstnieje. Już tylko my na tej Parkowej. Rozdzielamy się i część zjeżdża kolejką a część (w tym ja) pieszkom, starym torem saneczkowym. Na dole nikogo. Myślimy o zgłoszeniu na

MO zaginięcie. Więc idziemy do samochodu, bo autem prędeej. W aucie Janek śpi na Adasiu, a do niego przytula się mały Jurek. – Auta zapomniałem zamknąć – szkodzi ojciec chłopców – przecież mógł ktoś okraść, bo to i radio i... – Uśmiecham się wewnętrznie.

29.1.77

Fatalne zachowanie przy stole. Je palcami, oblizuje je. Siorbie, nie kroi mięsa, tylko wbija kawał na widelec i z tego widelca, pochylony, szarpie. Robi idiotyczne miny i uwagi. Siedzimy przy małym stoliku, razem z samotnym starszym panem. Ten zaczyna na własny szot zwracać Adamowi uwagę. W pierwszej chwili chcę się solidaryzować ze starszym panem. Ale za moment uświadamiam sobie, że Adam jest pierwszy raz na wczasach, w hotelu, wśród

dorośli, w obcym zupełnie środowisku. A starszy pan truje. Że źle wychowałam syna, że za jego czasów, że już Duch święty różeczką itd., itp. Sytuacja staje się kłopotliwa. Tylko policzki mi płoną ze wstydu. A Adam zerka to na truciciela to na mnie. Opanowuję się z wielkim trudem. Czuję, że jestem na cenzurowanym. Od tego, jak zachowam się teraz, wiele będzie zależało w przyszłości. To chyba ważne, jak właśnie teraz zareaguję? Nie reaguję więc wcale, ani słowem, ani gestem, ani w stosunku do oskarżyciela ani w stosunku do oskarżonego. Tylko bardzo spokojnie, z całym skupieniem w oczach, patrzę na Adama. W pierwszej chwili nic. Ale już za moment, kiedy nasze oczy się spotykają, w jego coś tam mięknie, kielkuje i wyłazi, zupełnie jak na wiosnę z ziemi roślinka. Jeszcze jedno nonszalanckie wzruszenie ramion, ale już bez przekonania. Oczy umykają moim. Główka opuszczona. Dotarło!



30.1.77

Odwilż ogarnia góry i doliny. Zielona ruń traw zalega wzgórze. Dziś znalazłam maleńką, kwitnącą roślinkę. Idziemy z Adamem do Piwnicznej, sześć kilometrów zaledwie. Szosa biegnie wzdłuż Popradu. Pierwsze dwa, trzy kilometry wszystko dobrze. Ale potem zaczyna się kwękanie, stękanie, narzekanie. W Piwnicznej na ślicznym rynečku jest wspaniała cukierenka. Ciastka tam sprzedawane są doskonałe, może to za sprawą tutejszej czystej i źródlanej wody. Opychamy się do nieprzytomności. Przed nami sześć kilometrów drogi powrotnej. Adam oświadcza, że on

pieszo nie wróci. Dyskusja przeciąga się, czas nagli, boć to obiad przed nami. Obrażam się i wracam sama pieszo. Wyciągam te swoje emerytalne nogi już więcej dla ambicji niż dla pośpiechu. Przed samym Rytrem mija mnie autobus, a w nim uśmiechnięty promiennie ten łobuz, ten nic dobrego.

31.1.77

Dziś wyjazd dzieci. Zajazd nagle pustoszeje. Około szesnastej, już po obiedzie, chcę pójść z Adamem na Zamkową Górę. Nie chce. Więc idę sama. Ale zaraz wracam. Jest tak ładnie, tam w górze jeszcze leży śnieg. Wyrzucam Adama z pokoju na siłę. Pokój zamykam na klucz i klucz zabieram.

– To ja na telewizję...

– Nie. Na spacer!

Idzie, a właściwie wlecze się za mną. Na szczycie siada na pniu o co najmniej dwadzieścia metrów ode mnie. Nic nie mówi. Nie reaguje na zaczepki. W tym samym ordynku zlazimy ze szczytu. W Zajeździe obiad względnie spokojnie. W pokoju hotelowym, po przyjsciu z obiadu, nagle, pozornie bez żadnej przyczyny zaczyna krzyczeć:

– Ja nie chcę, ja nie potrzebuję!

Pytam spokojnie:

– Czego, czego nie chcesz i nie potrzebujesz?

Nie odpowiada. Rzuca się gwałtownie na łóżko, wierzga nogami, beładnie krzyczy. Potem rzuca się na podłogę, znów krzyczy te same słowa:

– ...Nie chcę, nie potrzebuję, nie będę!

Wali głową o piec, nie panuje już zupełnie nad sobą. Wprowadza się w jakiś trans. Rozumiem, że to atak hysterii i że muszę temu zaradzić. Nie widzę innego

lekarstwa. Uderzam dziecko w twarz. Natychmiast zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Ale reakcja Adama jest zaskakująca. Ustają jęki, krzyki. Siedzi apatyczny pod piecem, jak kupka nieszczęścia. Potem, nagle, zaczyna płakać. Leje te łzy i leje. Stosuję sposób babci Poli: „Na takie tam, panie, brewerie: łóżko”. Myję go sama w pokoju. Widzi te moje krzątanie się: woda gorąca z łazienki, woda zimna z umywalki pokojowej. Mocna, gorąca herbata z grzałki. Kładę to zmaltretowane pisklę, otulam i o nic nie pytam. Zасыpia, ukołyszany czytana przeze mnie bajką „O Krasnoludkach i Sierotce Marysi”. Trzyma, nawet przez sen, moją rękę.

Co to było? Jakie zmagania, burze przeszły przez tę duszę? Co ja właściwie wiem o tym dziecku? O własnych trudno powiedzieć na pewno, że zna się je do końca. W Zajeździe zupełna cisza. Ta cisza uświadamia mi nagle, że dzieci wczasowiczów wyjechały, że Adam znowu dziś kogoś utracił. Więc ja muszę uczyć się go od początku.

1.2.77

Spał spokojnie od siedemnastej wczoraj do dziewiątej rano dzisiaj. Wraca radość życia. Grzeczniutki. Narty? OK! Nosi sam, jeździ coraz sprawniej i odważniej. Nóżki już się nie rozjeżdżają, zająców coraz mniej.

– Ciociu, ciociu, ciocia widziała: nie wywaliłem się! Ale czy ciocia na pewno widziała?

2.2.77

Masz ci los! Dziś znowu odwilż. Rytm płynie, potoki spadają z gór. Brodzimy po tym i wcale nam to nie przeszkadza.

– Ciociu – jedziemy gdzieś?

Więc w środku spaceru łapiemy autobus, nie wiadomo jaki, ani dokąd. Proszę o bilety do stacji końcowej.

– Oj, jak fajnie, ciociu!

Na rynku, starym i bardzo ładnym, radość Adama nie ma granic.

– Ciociu, ja, ja sam!

Pochodzi do pierwszego napotkanego pana i pyta:

– Jakie to miasto, psze pana?

– Ciociu, to Stary Sącz! Ciociu, a jak jest Stary Sącz, to musi być i Nowy.

Ciociu, jedziemy?

3.2.77

Dziś w nocy nagle spadł śnieg. Padał całutką noc i cały dzień. Do tego mróz. Zasypane wszystko i wszystko cudownie białe. Tylko poruszać się bardzo trudno. Jesteśmy spakowani. Kłopot z dostaniem się na dworzec. Adam wpada na świetny pomysł i przytracza wszystkie pakunki do sanek. Wyglądamy, jak zaprzęg z dalekiej północy. Adaś jest haski, a ja poganiaczem. Biegnę obok sanek w śniegu po kolana i pilnuję, co by nic nie spadło.

4.2.77

Powrót. Na dworcu Głównym czeka już Duszek, nawet jest Andrzej. Odbierają od nas bagaże. Adam nagle osowiały. Na pytania, jak tam było, wzrusza ramionami:

– Tak sobie, ehe!

Więc przegrana! Tylko dlaczego? Jaki błąd popełniłam?

Zatem przegrałam batalię górską. Ani nastroju, ani radości, nawet nie wygląda ogorzałe. Szkoda. Gdzie leży błąd?

6.2.77

W szkole nagle piątka z polaka za bardzo piękne wypracowanie pt.: „Jak spędziłem wakacje zimowe?” Wszystko tam było: i sanki i narty i śnieg i ośnieżone drzewa i góry. Nawet kilka rzeczowych informacji o Rytrze. Czy aby rzeczywiście przegrałam?

7.2.77

Brak uwag w szkole!

8.2.77

Słucha mnie i poproszony, robi nawet to, na co nie ma ewidentnej ochoty. Trochę czyta, ale niechętnie i tylko lekturę obowiązkową. Ma już pierwsze poważniejsze obowiązki, w które sam jakoś się wdrożył. Śłanie łóżeczka, porządek we własnym pokoju, systematyczne wyrzucanie śmieci. Natomiast do sklepu po zakupy nie chce chodzić.

15.2.77

Wywiadówka. Zachowanie Adama w szkole uległo znacznej poprawie. Bierze też czynny udział w lekcjach. Specjalnie geografia. Gdynia, Hel, Gdańsk.

– O! Tak! Ja wiem, ja tam byłem.

Podhale

– Wiem, wiem!

16.2.77

Piątka z recytacji wiersza. „Z uczuciem”, napisano w dzienniczku. No, no!

A w domu wieczorem:

– Bardzo ciocię kocham, bo ciocia ma coś takiego pod skorupką.

Potem wyjaśnia, że pozornie jestem surowa, a w środku bardzo, ale to bardzo dobra.

20.2.77

Jedna uwaga o złym zachowaniu w szkole. Niegrzeczne odezwanie się do nauczyciela.

21.2.77

Brak uwag!

22.2.77

Dziś Adam zwierzył mi się, że jeden chłopiec go przezywał, ale on, Adam, opanował się i nie uderzył.

– To dobrze? Ciociu, ciocia powie?

23.2.77

Jednak nie wytrzymał i dziś znowu uwaga o aroganckim zachowaniu. Długa rozmowa o mówieniu o stopniach i uwagach. I że kara będzie nie za dwóję, ale za ukrywanie tejże.

24.2.77

Więc mówi. Od razu, od progu:

– Dziś ciocię muszę zmartwić, ale to bardzo. Mam dwóję.

Albo:

– Dziś ciociu, dam cioci niespodziankę. Mam piątkę z fizyki.

25.2.77

Może tak więc zupełnie nie przegrałam. Może to tak, jak z kąpielami przeciwreumatycznymi. Bezpośrednio po kuracji człowiek jest jeszcze bardziej chory, obolały i rozbity. A reakcja dodatnia ujawnia się długo, długo potem. A zatem cierpliwość i wyrozumiałość. I systematyczne zagospodarowywanie jego mentalności.

26.2.77

Dziś pochwała za społeczne prace. Coś tam nosił i porządkował makulaturę.

1.3.77

– Mario! – mówię do siebie. – Pamiętaj, bądź przede wszystkim sama maksymalnie opanowana. Obserwuj, notuj, śledź cykle. Było: dobrze, źle, źle. A teraz jest: dobrze, dobrze, źle. Może to coś znaczy. Czytaj i rozmawiaj z ludźmi. Nie jesteś przecież młoda, może zapomniałaś, jak to było z twoimi dziećmi. Ale nie tylko jemu ma być dobrze, ale i z nim ma być dobrze. Chcesz mu dać szczęście, a to wielkie słowo. I wieloznaczne.

2.3.77

Wizyta u pani psycholog. Jest w zasadzie zadowolona. Mówi o pobudzeniu go poziomo. To znaczy wszystkie bodźce jednocześnie. Dlatego rezultaty, zupełnie widoczne, są jeszcze słabe, ale za to we wszystkich dziedzinach.

– To inne dziecko – mówi, – a narty? Jak to zdało egzamin?

Właśnie! Opowiadam jej ten dzień styczniowy, przed wyjazdem.

– No i teraz, pani doktor, to ja już nic nie rozumiem.

Ale za to ona rozumie.

– Chciał, proszę pani, bardzo chciał mieć te narty, ale ciągle jeszcze boi się i wstydzi jakiegokolwiek inności, wyróżniania się z, dawniej grupy, a teraz tłumu. A przecież chłopiec z nartami na ramieniu zawsze zwraca na ulicy uwagę.

To wyjaśnia sprawę i tę i tamtą, w Rytrze, gdzie chęć jeżdżenia na nartach walczyła ze zdecydowaną niechęcią do ich noszenia.

Trzeba przemyśleć sprawę wstydu. Fałszywego, moim zdaniem zupełnie nie w tym miejscu co trzeba, umiejscowionego. Ale skoro już ma miejsce, to trzeba poobserwować i znaleźć takie momenty, których rzeczywiście powinien się wstydzić. Ku mojej wielkiej uldze, jestem również rozgrzeszona z tego uderzenia dziecka w twarz.

– Cóż, – mówi pani psycholog – czasami to jedyne wyjście.

3.3.77

Waży 41 kg i urósł pięć centymetrów, jednak ogorzały po tych górach i... jakiś taki ładny. Robi się naprawdę ładny. Oby tylko jego wnętrze było równie ładne, jak buzia. A do tego jeszcze bardzo daleko. Czasami ogarnia mnie uczucie paniki. Jak zagospodarowywać jego wnętrze? Dziś tłumaczę mu trzy razy proste sprawy z zakresu geometrii.

– Powtórz.

Duka coś zupełnie nie na temat. Tłumaczę jeszcze raz i jeszcze. Nie rozumie. Próbuję ponownie.

– Rozumiesz?

– Tak!

– Powtórz.

Nie potrafi. Nic nie rozumie. Idę do Duszka. Naradzamy się cichutko.

– Daj mu chwilę przerwy... Niech robi coś innego... Niech wyrzuci śmiecie, niech przyniesie ze sklepu, ach, on nie chce do sklepu, no to niech mi kupi papierosy, albo, pedagogicznie, zapałki

Skutkuje. Po godzinnej przerwie raptem wszystko rozumie i powtarza prawidłowo.

4.3.77

Dalej budzik dzwoni dwa razy w nocy. Jest co prawda mała zmiana, bo on dzwoni w Adasia pokoju, ale ja go słyszę, tzn. budzik, a Adaś nie, choć ten niebieski traktor ryczy mu nad uchem. Więc ja wstaję (mówię sobie: O Jezu!) i idę wyłączyć budzik, a włączyć Adasia na siusiu. I tak codziennie, a raczej conocnie, północ i trzecia rano.

5.3.77

Jestem z tego wszystkiego niewyspana, a jak jeden raz go nie obudzę albo spóźnię się pół minuty, to mam rano pranie i zły humor. Łapię się na zniecierpliwieniu. Budzi się nawet uczucie wstrętu.

6.3.77

Poleciałam (wariatka!) do pani psycholog. Ona pyta czy coś z Adasiem.

– Nie! – mówię. To ja – to siusianie.

– Co??? To i pani!

– Nie, nie. To nie to, ale ja już nie mogę!

Popatrzyła na mnie bardzo uważnie i właściwie to wystarczyło. Przecież zawsze uważałam, że jeśli się mówi A – to trzeba powiedzieć i B.

7.3.77

W szkole nawet nieźle z nauką. Ale zachowanie fatalne. Dzienniczek pełen niepocholebnych uwag. Biję się. Zwłaszcza z Olesiem. Ciągłe ten Oleś! To ten chłopiec z jego grupy z DD. Adam się bije! Adam brzydko się wyraża, zwłaszcza w stosunku do nauczycieli. Albo milczy albo potok rysztołkowy.

8.3.77

Dziś był harcerz z zastępu (szkolnego) Adasia z zapytaniem, dlaczego Adam nie przychodzi na zbiórki. Rozmowa z Adasiem praktycznie nie daje nic lub prawie nic. Obiecał, że na najbliższą zbiórkę pójdzie. Próbuję stosować kary, polegające na nie oglądaniu ulubionych, sportowych audycji telewizyjnych. Ale to niewiele skutkuje.

10.3.77

Był na tej zbiórce, ale bardzo niechętnie i przymuszony. Nie umie wytłumaczyć, dlaczego ta niechęć.

11.3.77

W domu właściwie jest nieźle. Jest spokojny, aż za. Bawi się u siebie albo, i to najbardziej lubi, u mnie na dywanie. Do pokoju Duszka nie zagląda. Ciągle czegoś zapomina. Dziś zapomniał zapłacić w szkole składkę za Komitet Rodzicielski i nie zabrał zeszytu do geografii, choć miał w nim odrobioną porządnie lekcję. Moje niezadowolenie powodują kłamstewka, po ujawnieniu których znowu bury, kary. Nie ma wyjścia z tego zakłętego koła. Staram się wyłowić choćby drobiażdżek, za który można by go było pochwalić, ale nic takiego nie ma miejsca. Piszę mu kartki i kładę rano przy śniadaniu.

12.3.77

Dziś zapomniał zabrać kartkę z ważną sprawą, jaką musiał załatwić w szkole. Ręce opadają.

13.3.77

Zaczynam myśleć o systemie nagród, ale co z tego, jeśli nie ma za co nagradzać, a karać już nie wiem jak. Niechętnie wyrzuca śmiecie, trzeba mu przypominać. Niechętnie i z ociąganiem (bierny opór) sprząta swój pokój.

14.3.77

Spróbowałam starego systemu obrażania się za każde przewinienie. Reaguje. Chodzi koło mnie, przymila się, podlizuje. A ja nic, sopel lodu. Tylko nie wiem, jak długo tym soplem trzeba być? Troszkę się nadtapiam, bo zaczyna sam rozmowę, że oczywiście, że on już nigdy. Dziś był harcerz do Duszka. Adam otworzył mu drzwi, bardzo zaskoczony. Potem prawidłowo zameldował Duszce gościa.

17.3.77

Rzeczywiście, jest trochę poprawy. Obiecał i widać, że stara się dotrzymać. W szkole, gdzie tkwię co drugi, trzeci dzień, wychowawczynie mówi, że on jest nawet miły, przestał brzydko się wyrażać. W domu długa rozmowa na temat samo opanowywania się.

– A jak ciocia to robiła, kiedy ciocia miała tyle lat, co ja teraz?

Mój Boże? Ja miałam cudownego ojca przyjaciela i troskliwą matkę. No, ale tego nie mogę mu powiedzieć.

A głosik nalega.

– No, co ciocia robiła?

– Adasiu, kiedy dostałam na przykład czekoladkę, a bardzo je lubiłam i rzadko dostawałam, kładłam ją na stolyczku nocnym. I choć ochotę miałam na nią nielichą i nikt mi nie zabraniał, ja sama postanawiałam, że zjem ją dopiero rano. Żeby ćwiczyć wolę. Żeby ja sama panowała nad moimi zachciankami, a nie one nade mną. Albo wystawiałam nogę spod ciepłej kołderki na zimny pokój i trzymałam ją tyle minut, ile sobie postanowiłam wcześniej.

– Tak – mówi Adaś – rozumiem. Ale ciociu, dlaczego jak są uwagi w dzienniczku, że ja się biję, to Duszek mówi, żebym policzył do dziesięciu? Tłumaczę na czym to polega. Rozumie.

18.3.77

Wrócił sam do wczorajszej rozmowy. Widocznie go to nurtuje. Niepokoi go fakt, że jeśli ktoś kogoś skrzywdzi, to ciocia powiada, że nie można oddać.

Dlaczego? Zwracam jego uwagę, w przystępnej formie, na niemożność w zorganizowanym społeczeństwie regulowania spraw spornych samosądem. Oko za oko. Rozumie. Wiem, że rozumie, bo nie ograniczam się do dawania przykładów, ale wymagam, żeby sam taki przykład podał. To już coś.

19.3.77

Dziś Adam zobaczył, że szydełkuje sweter dla Duszka. Poprosił o zrobienie i jemu. Więc robię. Ale przedtem muszę wełnę ze starego swetra spruć, zrobić kłębuszki, z nich motki, uprać i powtórzyć całą operację w odwrotnym porządku. Adam z zapalem pomaga. A mnie przychodzi na myśl, że może z Adasiem jest tak, jak z tą wełną. Najpierw muszę go odkodować z naleciałości, gromadzonych w czasie jego przydługiego sieroctwa, a potem zacząć kodowanie od początku. Ogrom odpowiedzialności.

20.3.77

Po odrobieniu lekcji bawi się żołnierzami. Ciągłe żołnierzami. Ale również uwielbia (tak, jak bułeczki z masłem i ze pasztetem), kiedy opowiadam mu o ciekawostkach naszej historii, naszego miasta. Specjalnie lubi o wojnie i powstaniu.

– I co dalej, ciociu. I co ciocia wtedy zrobiła, jak on zaczął strzelać?

21.3.77

Ciągle to niezorganizowanie. Dziś zapomniał drugiego śniadania. Zaniósłam mu je do szkoły. Wcale się nie ucieszył. Porwał paczuszkę i bez słowa zwiął. Tyle go widziałam. W domu rozmowa z Duszką na temat zachęcania Adama do czytania.

– To mu daj Kluskę! – wyrokuje.

Jaką kluskę?

22.3.77

W szkole tak jakby trochę lepiej, to znaczy brak stałych uwag. Tylko od czasu do czasu.

Dziś przysłała paczka od przyjaciół z Belgii. Same śliczne rzeczy dla Adama.

23.3.77

Do szkoły poszedł straszliwie dumny w nowych spodniach i szaro granatowym swetrze. Zapowiedziałam, że jedna uwaga w dzienniczku i zdzieram te belgijskie ciuchy z grzbietu. Czyta coś sam. Nie można go oderwać.

24.3.77

Kupiłam (uwag jakoś nie ma) nowe, śliczne granatowo białe adidas. Żeby miał. Do tego stroju belgijskiego.

25.3.77

Dziś przyszło trzech harcerzy. Duszka jeszcze nie było, a Adam, początkowo, jak zawsze zaniemówił i znieruchomiał, a potem, ku memu ogromnemu zdziwieniu, uderzył się ręką w czoło i krzyknął:

– Aha! Spotkanie kadry jest u Rondla i macie zabrać teczkę Duszka. I tego, adres to ja mam tu gdzieś zapisany.

27.3.77

Wielki dzień. Po pierwsze, adidasy zniszczył na amen. Ale grał za to w piłkę nożną na pobliskim boisku. Jako rezerwowy, co prawda, ale zawsze. Po drugie, przeczytał w siedem dni książkę. Sam. Zupełnie sam. Jerzy Broszkiewicz: „Kluska, Kefir i Tutejszy”. Zaśmiewał się przy tym i cichutko i głośno. Ciągle tylko meldował:

- Ciociu, ciocia słyszy, już przeczytałem trzydzieści stron!
- Ciociu! Już osiemdziesiąta!
- Już dwieście stron.
- Dwusetna, Adasiu.
- Oj, dobrze, niech ciocia będzie, dwusetna.

A cała „Kluska” zawiera ich 320. Sukces! Może to początek realizacji moich planów pt. ”Książka to twój przyjaciel”!

28.3.77

Ciągle nie ma uwag. Tylko stale coś zapomina, ja piszę kartki, on zapomina je zabrać i tak da capo al fine.

30.3.77

Wielkanoc blisko. Adam, już tradycyjnie, wygrzeczniał nagle. Śmiecie wyrzuca, po zakupy chodzi, w kolejkach stoi, dywaniki trzepie.

1.4.77

Nabieramy z Duszką Adasia, na takie tam, błahe historyjki, że plama na spodniach, brudna buzia itp. Ale on się obraża. Niedotykalski! Albo za bardzo wrażliwy. Myślimy z Duszką na poważnie o zmianie szkoły. Pani psycholog w zasadzie aprobejuje. Zmiana otoczenia, motywuje, dobrze mu robi. Duszek wpada na pomysł, żeby Adam sam pisał te karteczki, co ma do załatwienia. Że może, jak sam napisze to i lepiej wejdzie mu do głowiny.

2.4.77

Już się orientuję, że te przychodzenia i to całe zamieszanie duszkowoharcerskie, to obóz. Letni obóz harcerski, w sierpniu, w Dźwierznie.

- A ty, Adasiu, pojechałbyś na taki obóz?
- Ja nie wiem, jak ciocia uważa!
- Uważam, że tak.
- No, to mogę pojechać.

Brak entuzjazmu. Jest mu wszystko jedno.

3.4.77

Dziś Palmowa Niedziela. Duszek i Adaś zostali wychłostani palemką:

„Wierzba bije,
Nie ja biję.
Za tydzień wielki dzień,
za sześć noc Wielkanoc.”

Obydwaj są męsko oburzeni i tworzą zwarty front protestacyjny przeciwko jedynej domowej kobiecie.

6.4.77

Poszłam po zakupy i już na ulicy, jakoś odruchowo, podniosłam głowę. Tkwił na balkonie i machał ręką, a potem, chyba truchcikiem, pobiegł przez całe mieszkanie, bo machał i ze swego pokoju.

7.4.77

Przyszło ich dwoje. Chłopiec i dziewczyna. Duszka nie było. Odrobili w jego pokoju swoje lekcje. Zostawili jakieś hieroglify dla Duszka, szyfry i kilka jeszcze dziwniejszych przedmiotów. Zardzewiałe koło, stary samowar. Po ich wyjściu Adam długo badał i oglądał te dziwolągi. Ani rusz nie mógł ich powiązać z harcerskimi sprawami. Ja też!

8.4.77

Pierwsza Wielkanoc na poważnie. W zeszłym roku był u nas na zasadzie wypożyczenia. Teraz sam uczestniczy we wszystkich przygotowaniach. Farbuje z zapalem jaja na twardo, robi sam, według przepisu sałatkę jarzynową. Wpada zdyszany Duszek, zabiera nas gwałtem do Hali Kopińskiej.

– Masz głowę, matka? W Hali jest... sękacz!!

– Ciociu, co to sękacz?

Duszek dostał premię i zakupuje pół stoiska cukierniczego. Adam promienieje. W domu pełno ścinków białego papieru. Wszędzie, nawet w bigosie. To pewnie Adam wycina dla nas prezent.

9.4.77

Wielkanoc musi być tradycyjnie piękna. Chcę, żeby Adaś przeszedł wszystkie cykle świąt, tradycji i obrzędów. Przy okazji stłukł cukrowego baranka. Baranek, jak baranek. Ale ten był obrośnięty tradycją, był bowiem kupiony 10 lat temu, w roku, w którym otrzymaliśmy to nasze wymarzone mieszkanko. Co roku na Wielkanoc, pisaliśmy na jego cukrowej podstawie datę i wszyscy podpisywaliśmy się. Kiedy Kryśka przychodziła do Mamci na święta z oficjalną wizytką, pierwsze pytanie brzmiało:

– A gdzie baranek, bo muszę się podpisać!

Przy okazji snuło się wspominki. Teraz leży rozbity, a Adaś stoi nad nim przestraszony i blady. Łykam łzę i powiadam:

– To nic, Adasiu, kupimy nowego, ładniejszego. Przecież ty niechący... – Nieopatrnie daję mu argument do ręki. Od tej pory wszystkie zbite szklanki, talerzyki, wazoniki idą na konto: ja niechący, ciociu!

10.4.77

Dostajemy z Duszką od Adasia duże, białe wycinanki. Ładne.

11.4.77

Mimo świąt Duszek pracuje. Pisze na starej maszynie, wystukuje wolniutko swoje rozkazy, instrukcje, komunikaty. Zgłaszam pomoc. Adam natychmiast, że on też. Więc Duszek przydziela mu jakieś perforowane (na mojej maszynie do szycia!) karteluski i on ma to rozdzielać. Wywiesza jęzor i pracowicie rozdziera. Wspomożony w ten sposób Duszek, po robocie, którą we trójkę kończymy szybko, zabiera nas na długi spacer i do kina. Na film „Lotnisko”. Adam szczęśliwy.

Wieczorem Adam pyta:

– Dlaczego ciocia i Duszek są dziś tak ślicznie, odświętnie ubrani? I dlaczego, chociaż jest tyle dobrych rzeczy, ciocia robi jeszcze tort, a Duszek kupuje wino i coś sobie szepczecie? Dlaczego? Czy dlatego, że to Święta? Że Wielkanoc?
– To też, Adasiu. Ale widzisz, my dziś obchodzimy bardzo ważną rocznicę!
– Jaką rocznicę, ciociu?
– Rok temu, właśnie dokładnie jedenastego kwietnia, wiosna przyniosła nam Ciebie! – Jest trochę stropiony, ale i wyraźnie zadowolony i wzruszony. Oczka mu się śmieją i podskakując na jednej nóżce krąży po mieszkaniu i podśpiewuje sobie wesoło.

18.4.77

Nowa, zaskakująca uwaga w dzienniczku Adama: „Adam jest brudny. Adam brzydko pachnie”. Aż się chce powiedzieć: Adam nie róża! Sprawdzam szyję: czarna. Więc co on robi codziennie w łazience najmarniej pół godziny? Zdobynam się na odwagę i podczas wieczornych ablucji Adasia wchodzę do łazienki pod pretekstem wzięcia ręcznika. Siedzi w wannie w kąpielówkach. Woda idealnie czysta. Oprócz niego tkwią w wodzie wszystkie gąbki, szczotki, mydło, które pływa w mydelniczce. Jest wyraźnie zmieszany. Ale nie wiem, czy tym, że weszłam, czy kąpielówkami, czy znowu tym, że, jak mi szybko tłumaczy, gąbki to statki, długa szczotka w kształcie łabędzia, to torpedowiec.
– A mydło to łódź podwodna, ciociu! – Ale głosik ma niepewny.
– Jacek! – wołam – Jacuś, chodź tu i zrób z nim porządek. Naucz go, jak trzeba się myć. – Po chwili dochodzą z łazienki krzyki, piski, widocznie Duszek zdziera z niego rzeczony kąpielówki. Potem już tylko pomrukiwanie i stękanie zza drzwi i wreszcie śmiech. No! Odprężam się.

19.4.77

Z tymi karteczkami ku pamięci, to Duszek miał rację. Od kiedy Adam pisze je sam, pamięta.

20.4.77

Kupuję kaczuszkę, 2 rybki i malutki stateczek. Wydzielam też oddzielne miejsce w łazience na kosmetyki Adasia. Usłużna rodzinka zjawia się z dezodorantem osobistym. Radość i duma. Może się bawić w kąpeli, ale warunek, musi po niej pokazać się w pokoju. Przy okazji odkrywam, że w nocy śpi w piżamce włożonej na dzienną bieliznę. Pani psycholog wyjaśnia, że to resztki uczucia zagrożenia. Więc mały szantażyk. Poczytam na dobranoc, ale podkoszulka i gacięta muszą być zdjęte. Jęczy, ale chwyciło.

26.4.77

Dziś Adam przybiegł bardzo późno ze szkoły i już od progu zaczął chaotycznie opowiadać. Że był międzyszkolny mecz piłki nożnej. Że on uwielbia (jakbym nie wiedziała!) piłkę nożną. Że grał fajnie i że jego klasa wygrała. Wiem z tego tyle, że jest nareszcie coś, co go naprawdę interesuje.

30.4.77

Wiem z tego już więcej. Dostałam dziś, z nieznanej mi szkoły, list informujący, że mój syn dał się poznać, jako bardzo zaangażowany sportowiec, że jest wysoki, dobrze zbudowany. Jednym słowem, z ośmiuset potencjalnych kandydatów został wybrany do szkoły sportowej. Jeśli wyrażę zgodę, na jesieni

może być przeniesiony. Klasa do której by poszedł ma być klasą nową. Będzie to klasa ściśle sportowa i składać się będzie z dzieci z całej Warszawy, wybranych drogą eliminacji.

Długa dyskusja w domu. Dzieci w szkołach ukierunkowanych nie mają właściwie dzieciństwa. Znajomy chłopczyk w szkole podstawowej muzycznej nie wie co to zabawy z rówieśnikami, podwórko, łażenie po drzewach, płotach itp. A gdzieś daleko, daleko, w perspektywie, przy olbrzymim szczęściu może mały Mozart w aksamitnym ubranku. Ale to szkoła muzyczna, a tu sportowa! Trudno porównywać. Adam ostatnio bardzo utył, stał się ociężały. Sport i ruch z nim związany ogromnie by mu się przydały. Przy tym odseparowanie od dzieci z DD. No i od Olesia!

1.5.77

W szkole dobrze. Słyszę nawet, że Adam jest zadbany. Ja myślę!! Co drugi dzień jedna para spodni spada do pralki. Ale są zastrzeżenia co do zachowania. Ciągłe albo zupełnie bierny albo agresywny. Cenzurka do klasy V nie zagrożona. Zdarzają się jeszcze różne zapomnienia, ale coraz rzadziej. System karteczek pisanych samodzielnie funkcjonuje znakomicie.

Dziś nie zastałam Adama w domu, bo poszedł na zbiórkę zastępu, ale za to znalazłam kartkę: "Ja, Adaś (nieomal: "Ja, król Polski") dostałem dziś z polskiego 5 z wiersza i uwagę, cytuję: czemu nie wykonałeś lekcji? A ja odrobiłem lekcję, tylko miałem ją na brudno. To wszystko co było w szkole. Adaś".

2.5.77

Dziś znów byli. Chłopiec i dziewczyna. Duszka jeszcze nie było. Przez uchylone drzwi łowią gniewne, kłótlive słowa. Są ubrani prywatnie, więc nie wiem, czy to przenoszenie spraw wychowawczych Duszka na teren prywatny, czy też zakorzenianie się w domu spraw harcerskich.

– Nie masz racji – woła chłopiec – absolutnie nie masz! Nie wykonałeś polecenia Duszka, rozkazu komendanta!

– No to co, – buntuje się ona – nie można bezkrytycznie, sztywno wykonywać poleceń!

– No tak, – odpowiada on – ale to sprawa zaufania. Ja Duszce wierzę. A teraz wyszło głupio. Dziesiątki nie przyniesione, tylko dwójki i jedna czwórka.

– To co – replikuje dziewczyna – może miałam na własnych plecach je dygać, te namioty?

– Nie, ale powinnaś to sobie przemyśleć i zorganizować.

O czym oni mówią? On ma około czternastu lat, ona na pewno około szesnastu. Adam krąży koło pokoju Duszka. Wreszcie nie wytrzymuję i dzielę się wrażeniami.

– A ty, jak uważasz, Adasiu – pytam – Kto ma rację?

– No, Ciapuchna, oczywiście.

– Ciapuchna – to ta dziewczyna? – pytam konspiracyjnym szeptem.

– Ależ nie, ciocia nic nie rozumie – Ciapuchna to ten chłopiec, zastępowy Duszka, już ciocia wie?

Nie, nie wiem, bo niby skąd mam wiedzieć. A on wie!

3.5.77

Znowu byli jacyś harcerze. Znowu jakieś dziwne rzeczy przynoszą. Adam

ogląda wszystko ciekawie. Mówi, że musi obadać. Orzeka z przemądrzałą miną:
– To? To są kody sygnałowe!

5.5.77

Formalnie jest harcerzem. Był nim jeszcze w DD. Ale taki to i harcerz. Bierny! Kazali to poszedł na zbiórkę. Teraz zaczyna troszkę ocierać się i osłuchiwać na co dzień. Tuż obok, za ścianą jego pokoju, tętni od wczesnego popołudnia robocze harcerskie życie, nawet bardzo często pod nieobecność Duszka. Tu powstają drobiazgowo plany pracy obozu, plany transportu sprzętu. Tu drukuje się (na wyżymaczkę mojej pralki!) obwieszczenia, apele, rozkazy, biwakowe wspomnienia na wstążce.

7.5.77

Duszek, z całym spokojem:

- Chcę cię uprzedzić, Fregato, ale jutro będzie trochę ludzi.
- Co to znaczy, trochę?
- No tak, ja wiem, że czternastu. Siedmiu zastępowych, ja, mój zastępca, kwatermistrz, oboźny. No, jednym słowem, cała Rada Obozu.

8.5.77

Byli. Wszyscy bardzo młodzi. Górna granica wieku osiemnaście lat. Ale pełni zapału, zaangażowania. Dostali kanapki, które serwował im Adam wraz ze mną. Podziękowali i grzecznie odmówili. Ale za chwilę zniknęły w młodych szczękach. Adam chodzi cichy i uroczysty i tylko ucho mu się robi gumowe, długie, tak bardzo chciałby wiedzieć, o czym tam będzie rzecz. A potem Duszek poprosił mnie na zebranie. Maksymalnie zdziwiona weszłam, a właściwie wtłoczyłam się w to rojowisko. Jacek dokonał prezentacji:
– To mam, nasza Rada Obozu, a oto moja mama. – Ktoś podchwycił:
– Mama Duszka. Mama Duszek. – I tak zostaję Mamą Duszek.
– Powierzamy ci funkcję kucharki obozowej, chcesz? – Cóż miałam odrzec? Błyskawicznie obliczyłam korzyści. U góry Duszek komendant, u dołu druhna kucharka, a w środku Adam. Tak! Oczywiście tak! Duszek zadziała nań organizacyjnie, ja jedzeniowo. Podsuwają mi, już gotowy, zakres obowiązków, coś tam podpisuję i... przytomnieję. Cztery kotły wojskowe, osiemdziesiąt litrów każdy, kuchnia polowa... 52 osoby!!!

9.5.77

Adam, czegoś strasznie rad, skacze po mieszkaniu i przedrzeźnia się łagodnie:
– Ach, druhnko kucharko, druhnko kucharko! Poproszę o kawałek chleba!

10.5.77

Na zbiórkę poszedł chętnie, tylko trochę się spóźnił.

13.5.77

Uwagi bardzo rzadko. A jeśli już są, to zupełnie nie istotne. Zaczynamy snuć plany wakacyjne. Oglądam z nim mapę Bieszczad.

- No więc dobrze – mówi po głębokim zastanowieniu – najpierw Bieszczady, ale trochę pieszo, trochę autobusem. Ciocia?
- Słucham?
- Bo ja nie lubię dużo chodzić!

Proponuję więc stworzenie Wielkiego Planu Wspaniałych Wakacji. Punkt I Planu: natychmiast po zakończeniu (pomyślnym!) roku szkolnego łążęga po Bieszczadach. Mały namiocik na dwie osoby, co by było lżej, kocher, butla gazowa mała, no i różne takie, jak konserwy itp.

- Punkt II – mówi Adaś – to morze! Ciociu, ciociu – ciocia obiecała!
- Dobrze – około dwóch tygodni nad morzem.
- Nie ciociu, trzy! Trzy tygodnie!
- Zobaczymy Adasiu. Jeśli będzie ładna pogoda i spotkamy miłych ludzi, to przedłużymy sobie pobyt. Zgoda?
- Zgoda!
- No a sierpień, to Punkt III Planu. Obóz harcerski.
- A Duszek, to co on tam będzie robił na tym obozie?
- Duszek, Adasiu, będzie komendantem obozu.
- To jak się będzie do niego mówiło: druha Duszku?
- Nie, druha komendancie oczywiście!
- Aha! Druha komendancie, poproszę o dolewkę zupy!
- O nie, Adasiu! To będziesz meldował druźnie kucharce, to znaczy cioci!!! Nie kojarzy swojej zadbanej cioci z kucharką obozową. Ja też.

20.5.77

Urodziny Adasia. Kończy dzisiaj jedenaście lat. Strasznie dumny. Do szkoły zabrał cukierki. W domu czeka torcik z jedenastoma świeczkami i prezenty. Ponadto przychodzi czwórka dzieci z jego klasy. W tym jedno z DD. Adam jest przejęty. Częstuje, zaprasza. Potem bawią się, hasają po całym mieszkaniu. Jeno tylko dziecko nie bierze udziału we wspólnej zabawie. Siedzi na podłodze u Adasia i bawi się cichutko jego zabawkami. Zjada też wszystko, co mu podsuwam.

– Tak tu dobrze u pani, i tak cicho!

Pytam dyskretnie Adasia, co to za chłopczyk.

– To z mojej klasy, ciociu, ale on jest stamtąd, no, wie ciocia!

Tak, już wiem.

24.5.77

Adam czyta. Sam. To już trzecia książka. Dziś miał zadany na pamięć wiersz. Długi i trudny. Nie umiał się go nauczyć. Więc stosuję moją starą, wypróbowaną metodę. Do każdego zdania i strofki rysuję mu obrazki, jakie odpowiadają treści wiersza. Z początku jest nieufny, bo też rysuję, pozał się Boże!!! Ale potem przestaje się jeżyć i z obrazkami–gryzmołkami w ręku, recytuje ślicznie cały wiersz.

25.5.77

Dostał pięć z tego wiersza. To już druga piątka.

– Sam, ciociu, mówiłem i stałem na środku klasy i pamiętałem, co ciocia mówiła o rękach, to miałem je z tyłu. I oni chcieli mi podpowiadać, ale ja nie chciałem, bo pamiętałem.

30.5.77

Gromadzi się ten sprzęt wyjazdowy i gromadzi. Nienaturalny przyrost bagażu wakacyjnego. I to wszystko na nasze plecy.

31.5.77

Sprawa telewizji. Bardzo lubi audycje sportowe. Ale nie podoba mi się jego zachowanie. W czasie oglądania meczu piłkarskiego, zachowuje się trochę tak jak Nikodem Dyzma na meczu bokserskim.

– Wal go – krzyczy, – wal, dobij mu, dolej!!

Oburzony, gdy Polak za sfaulowanie ponosi zasłużoną karę.

– To niesprawiedliwe, to świństwo, to granda! – krzyczy.

Tłumaczę mu, jak umiem, ale jest nieprzejednany. Kupuję co tydzień program.

– Weź ołówek i wynotuj, co byś chciał oglądać, a potem razem przedyskutujemy, co i jak.

– Dlaczego?

– Bo nie wszystkie filmy i audycje będziesz oglądał.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że są sprawy trudne, okrutne, bezwzględne. Trzeba wiele czytać, rozumieć, żeby można je było oglądać.

– Ale moi koledzy oglądają, nawet do jedenastej w nocy, a potem w szkole opowiadają. To dlaczego ja nie mogę?

Te dlaczego zaczynają się mnożyć. Zaczynam więc i ja mnożyć źródła informacji o dziecku, jego rozwoju, jego reakcjach, tak, aby na każde dlaczego znaleźć sensowne, odpowiednie do jego wieku i poziomu dlatego. Intuicją nic tu nie załatwię.

1.6.77

Zaczyna bardzo śmiesznie nas naśladować. W sposobie mówienia, poruszania się, przyzwyczajęń. Mówi ładnie, poprawnie, również dużo i chętnie opowiada. Denerwują go tylko moje ciągle poprawianie, ale na to nie ma już rady. Widzę, że są rezultaty.

Dziś znów harcerze przynieśli jakieś starocie. Duszek wyjaśnia, że to latarnie i że to wynik działań szperaczy. I jeszcze, że to wszystko pojedzie na obóz. Zainteresowanie Adama harcerstwem niedostrzegalnie rośnie. Ale on by chciał przenieść się do „Duszków”, bo w tym zastępie szkolnym to nudno, a u „Duszków” to ciągle coś nowego i bardzo ciekawego. No, może i tak, bo Duszek ma rzeczywiście głowę pełną wspaniałych, fantastycznych pomysłów, które na dodatek umie sprawnie przeobrazić w czyn. I umie zarażać tymi działaniami swoją młodzież.

2.6.77

Adaś układa starannie własną armię na letnie leże. Ma już bardzo dużo żołnierzyków, prawie setkę. Najprzeróżniejszego autoramentu, maści, koloru i narodowości. Ciągle liczy i ciągle mu się rachunek nie zgadza, bo, ponieważ uwag i zastrzeżeń ze strony szkoły nie ma, coraz podrzucamy mu jakiegoś wojaka.



4.6.77

Pomaga rzetelnie w zakupach przedwyjazdowych. Pomaga w kuchni, przy sprzątanii mieszkania, które niebezpiecznie pęka w szwach. Są już nawet w moim pokoju przecieki harcerskie. Jakaś czwórka leży w kącie.

Już wiem, że ta czwórka to namiot czteroosobowy. Czy w takich właśnie namiotach będą spać na obozie dzieci, przepraszam, harcerze? Ja też?

5.6.77

– Ciociu, klisze! Koniecznie klisze! Będę robić zdjęcia!

6.6.77

Cenzurka... zupełnie niezła. Przyszły piątoklasista idzie na tradycyjne lody. A wieczorem, a właściwie późną nocą, realizacja Punktu I Wielkiego Planu Wspaniałych Wakacji. Wyjazd w Polskę! Umiem już tyle z Adasia, że chyba będą to naprawdę WW.

7.6.77

Obudził mnie poranny chłód. Trochę nieprzytomna, włożę głębiej w pościele. Coś poruszyło się koło mnie. To Adaś wtulony w swój śpiwór, przewrócił się na drugi bok. Adaś? No to gdzie ja jestem? Świat jakiś taki ładny, zamknięty w maleńkiej, pomarańczowej przestrzeni. Zbyt zmęczona, aby to analizować zapadam w półsen. Nie tak głęboko jednak, aby móc zasnąć. Ciągłe coś kopię i zgrabiętymi rękoma wpycham w cholerne blocko, cholerne sadzonki róż szlachetnych. Sadzonki, a właściwie praca u ogrodnika, w rzeczywistości umożliwiły mi organizację WW. Wspaniałe wakacje! No to gdzie ja, gdzie my jesteśmy? Ustrzyki Dolne! Namiot rozbity przy chałupie bardzo sympatycznej staruszki. Budzę Adama.

– Ciociu, jeszcze troszeczkę, ja się nie spóźnię do szkoły, na pewno! Wyłożę, a właściwie wypelżam, boć pomarańczowe maleństwo to nasz namiot. Przy drewnianym, okrągłym stole, otaczającym przyjaznym kręgiem pień drzewa, szykuję śniadanie. Herbata w termosach jeszcze gorąca. Gospodyni przynosi jajecznicę, ale jaką?

– Bo że też chce się pani, tak na ziemi... poje se pani i dziecku da! Świeże jajeczka, wprost spod kury. Dam dziecku, ale przedtem dziecko musi się umyć pod studnią. Zżyma się, sapie, ale dzielnie podciąga wiadro i zmywa podróż pod strumieniem ostrej, zimnej wody.

Po śniadanku zwiedzamy Ustrzyki Dolne, jakby tu było co do zwiedzania. Potem idziemy na przystanek autobusowy. Adam jest jakiś taki niewyraźny. Marudzi, to chce jeść, to mu się odechciewa. Raz chce nieść plecak i namiot, potem woli torbę i butlę z gazem. Nadjeżdża autobus, ładujemy się. W drodze, kiedy autobus zaczyna piąć się w górę i bierze, z gracją baletnicy, ostre wiraże, kiedy Wielka Obwodnica zaczyna ukazywać coraz to inne, piękniejsze obrazy Bieszczad, wpada w zachwyt:

– Ciociu, one są ładniejsze niż Tatry, takie łagodne i tyle tu lasów!

8.6.77

Ustrzyki Górne witają nas słońcem. Namiot rozbijamy, robi to już tradycyjnie Adam, na świetnym, choć III kategorii campingu. Ludzi bardzo niewiele. Prócz nas jeszcze tylko 3 namioty autoturystów. Nasz maluch, taki maleńki, taki śmiesznie malutki i pomarańczowy, tkwi jak purchaweczka na samym środku ogromnego placu. Adam idzie po wodę i gotuje herbatę. Ja na drugim palniku robię zupę i kroję warszawskie ciasto. Kto nie zaznał radości na widok gotującej się na butli gazowej zupki, ten nie wie, co to prawdziwe wakacje. Późną nocą gadamy sobie jeszcze o naszej podróży, o planach na jutro. Potem

błogo zasypiamy. Nagle, w nocy, około drugiej budzi mnie pukanie. Autentyczne pukanie. Zrywam się, uderzam głową o namiot, pytam, jak absolutna idiotka:

– Kto tam?

Adam obudzony przytomnieje szybciej.

– Ciociu, ktoś rzuca w nas.

– Zobacz!

Nie chce. Więc ja odważnie wychylam się i natychmiast cofam głowę. Albo ja jeszcze śnię, albo ja już nic więcej nie wiem...

– Zobacz teraz ty, Adasiu!

Wreszcie decyduje się.

– Rzeczywiście – powiada – biało! A te pociski to grad. Grad wielki jak orzechy włoskie.

Bardzo się z tego cieszymy, zbieramy nawet o drugiej w nocy trochę tych lodowych orzechów. Mniej cieszy nas zimno. Adam trzęsie się, ja jeszcze udaję bohaterkę, ale też mi tak jakoś dziwnie. Zapalam świeczkę, może będzie cieplej? Adam jest siny i skostniały. Nie pomaga termos z gorącą herbatą, nie pomagają wszystkie posiadane garderoby, wdziewane jedna na drugą. W dodatku radio nadaje w nocnym komunikacie, że w Bieszczadach przygruntowe przymrozki, psuje się zamek błyskawiczny u dołu i nogi mam na zewnątrz, a od podłoża namiot przecieka. Nie! Ja tak dalej nie wytrzymam! Gnam, w śpiworze na głowie do kierownika. Na szczęście nie śpi, bo i jego to gradobicie obudziło. Wracam z upoważnieniem do zajęcia dużej czwórki, ustawionej na drewnianym podeście i z naręczem grubych, mięciutkich i ciepłych koców. Śnieg i grad nie ustają, zalewając cały świat białym potokiem. Przeprowadzka do nowego lokum odbywa się pod gradem gradu, ale za to w zupełnych ciemnościach, bowiem Ustrzyki Dolne wyłączyły Ustrzykom Górnym dopływ prądu. Nie przejmujemy się tym zupełnie. Byle prędkiej zamknąć poły nowego domu. Adam pomaga systematycznie ułożyć rzeczy. Nowy namiot wydaje się nam salonem, pomimo twardej podłogi. Zasypiamy wreszcie, dobrze ociepleni.

9.6.77

Leje nieprzytomnie. Siedzimy dzień i noc w namiocie. Trochę mu czytam głośno przy świeczce, trochę opowiadam, dużo jemy. Dobrze, że jest co! I bardzo dużo śpimy. Adam jest rozluźniony. Pyta o wiele rzeczy, interesuje go wszystko. Czasami powtarza poszczególne, nowe słowa, czasami są to całe fragmenty zapamiętanych zdań.

10.6.77

Dalej niepogoda. Nie ma gdzie już suszyć przemoczonych rzeczy. Dobrze, że jeszcze mamy zapasy żywności.

– Opłaciło się dźwigać te bagaże, Adasiu, a tak narzekałeś, że po co te chleby i inne!

11.6.77

Bez zmian.

12.6.77

Zaczyna kończyć się żywność. W przerwie między deszczami gnamy do kiosków. Zaopatrzenie zerowe. Lituje się nad nami kierownik campingu,

przywiózł wczoraj autem prowiant, to jeden bochenek może odstąpić. Zachowanie Adama bez zarzutu. Nieomal idylla. Nie lubi tylko ciągle, gdy rozmawiam z obcymi ludźmi, usiłuje wtedy zwrócić na siebie za wszelką cenę uwagę.

13.6.77

Trochę pogody. Ciepło ubrani idziemy nad płynący chyżo koło naszego obozowiska potok Wołosatka, otoczony po obu brzegach lasem. Nad nim górują Bieszczady. Nieprzeliczone stada owiec, które przywozi się tu pociągami z Tatr, na redyk, bo w Tatrach zjadły były całą trawę. Pasą się spokojnie. Wielkie, białe owczarki pilnują stad bardzo przemyślnie. Chcę obejrzeć z bliska. Protest Adama.

– Boisz się owieczek?

– Nie! Tylko tych tam dużych psów.

On w ogóle każdego psa się boi. Zostajemy nad potokiem. Bawi się zabranymi z Warszawy, żołnierzykami. Ustawia przy brzegu potoku na małych skałkach. Nagle jeden wpada do wody, ten najukochańszy, wiarus napoleoński, a wezbrany potok bystry.

– Ciociu, ratunku!

Brnę więc przez lodowatą wodę, szukam lojalnie, wreszcie znajduję pod skałką, w rozpadlinie.

– Ale ciocia odważna! To ja też spróbuję.

Podciąga spodnie i wchodzi do wody. Krzyczy i śmieje się radośnie. Bawimy się teraz razem. Na środku potoku jest coś w rodzaju porohów. Włazimy tam bo mamy wysokie kalosze, i bawimy się w okręt. Adam nie ma wyobraźni. Chce się bawić, ale nie chce być ani kapitanem, ani marynarzem. Więc rozumiem, że nie ma w nim chęci przewodzenia, ani podlegania. Bierność.

– No to kim ty chcesz być na tym okręcie?

– To ja będę obserwował i mówił cioci, co widzę!

– Zgoda.

I mówi, ale tylko to co realnie widzi.

– Widzę, ciociu patyczek.

Nie wytrzymuję i krzyczę:

– Co za patyczek, jaki patyczek, to peryskop nieprzyjacielskiej łodzi podwodnej, nie widzisz?

Zabawa zaczyna go wciągać. W powrotnej drodze, w kiosku żywnościowym, kupujemy zamiast chleba książkę: „ORP Orzeł zaginął”. Wieczorem czyta sam.

14.6.77

Nagle chmury znikają, pojawia się równie nagle słońce, jest gorąco, nawet upalnie. Suszę wszystkie przemokłe bety, wskakuję w kostium kąpielowy i korzystam. Adam wyciąga koc i bawi się na nim.

– Adam! Rozbierz się, jest upał!

– Nie!

Ma na sobie mnóstwo ciepłości, pozostałości z pory deszczowej.

– Adam! Proszę cię, rozbierz się!

– Nie!

Jest zły. Podchodzę do niego i podstępny ruchem ściągam kurtkę. Za chwilę taki sam los spotyka jeden sweter, potem drugi. Adam broni się zaciekle. To nie są już żarty, on jest naprawdę zły. Ale we mnie wstępuje diablica. Ściągam

na siłę wszystko, nawet spodnie, zostaje w smętnych kąpielówkach. Siedzi, ciężko obrażony, na słoneczku, na kocu. Wtedy dopiero widzę, jaki on tłusty. Obrzydliwie biały i tłusty. To te bułeczki ze pasztetem. Nieruchawe toto, niemrawe i w dodatku obrażone. Wstaję i odchodzę w siną dal. Idę do kiosku po następną porcję chleboksiążki. W trzy minuty później Adam dogania mnie. W kąpielówkach! Idziemu już zgodnie, brzegiem szosy. Teraz jest dobry moment!

- Dlaczego, Adasiu, nie chciałeś się rozebrać?
- No, bo ja tego...
- Czego?
- No, wstydzilem się!

16.6.77

Najgorszy jest brak rówieśników. Dziś jest pogoda. Ładnie. Postanawiamy wspólnie, że poznamy całą pętlę bieszczadzką. Trochę autobusem, trochę pieszo. Zaczynamy autobusem, bo się chmurzy, za jednym zamachem całą dużą pętlę. Adam ma własną mapę, tkwi w niej i ciągle wykrzykuje:

– Wetlina, Krzywe Zakole. Ciociu! Teraz będzie Lesko, ciociu, ciocia da coś zjeść! A potem Ustrzyki Dolne! I pić.

Obiad jemy w Ustrzykach Dolnych, potem, wieczorem do autobusu. Przez gapiostwo Adama, który źle sprawdził godzinę odjazdu ostatniego autobusu, spóźniamy się nań. Noc tu zapada szybko i zaraz robi się zimno. Proponuję autostop. Adam jest przestraszony. Stoi na poboczu i jęczy:

- A jak się nie zatrzyma? To co zrobimy?
- Jak nie zatrzyma się ten, Adasiu, to zatrzyma się następny, na pewno! Ja go tu uspakajam, a ruch bardzo słaby. Mija nas jedno auto, drugie, wszystkie pełne, nie chcą zabrać.

– Ciociu, to teraz ja pomacham!

Macha, robi to bardzo niezdarnie i nieśmiało, ale robi i widocznie skutecznie bo mała, dostawcza nyska zabiera spóźnialskich. Adam oczywiście przy kierowcy. Zaczyna z nim rozmawiać. Szofer opowiada o sobie. Że jest z Krakowa. Że był w Domu Dziecka bardzo długo, potem ukończył kurs samochodowy, teraz dobrze zarabia. Adam smutnieje, spuszcza głowę i z ukosa patrzy na mnie. Uśmiecham się czule i głaszczę go po głowinie.

Nyska wyrzuca nas w Brzeżkach. Stąd do Ustrzyk Górnych już tylko, jak nas informuje spotkana baba, będzie trzy kilometry z kawałkiem.

– No to, ciocia, nogi za pas, oczy w garść (moje powiedzonko) i idziemy.

No, to idziemy. Adam, o dziwo maszeruje doskonale. Trzy kilometry mijają szybko, ale ten kawałek ciągnie się i ciągnie co najmniej drugie tyle.

Nic się nie boimy, choć droga całkiem pusta. Cóż może nas spotkać? Najwyżej jakaś zjawa, bo pora duchów już blisko. O wpół do dwunastej jesteśmy na naszym campingu. Głęboko uśpione obozowisko, pogrążone w blasku księżycy, robi niesamowite wrażenie miasteczka z innej planety. A w namiocie:

- Ciociu, ja jestem głodny!
- Do rana nie wytrzymasz?
- Nie, nie wytrzymam!
- Dobra, ale rób to sam, ja już nie mam sił.

Idzie pod tym księżycowym obstrzałem po wodę, gotuje herbatę, coś tam otwiera i brzęczy naczyniami. Potem to już muszę wydawać same „ochy” i

„achy”, ale trzeba przyznać, zasłużenie. Serwuje mi bigos na gorąco, tyle, że wprost z puszki, chleb i pyszną herbatę.

17.6.77

Pogoda wyraźnie trzeźwieje. Nareszcie prawdziwe lato.

– Ciociu, dziś Jabłonki!

– Jakie Jabłonki? Jabłonki to pod Warszawą.

– Nie, ciociu, pod Warszawą to Jabłonna, a tu są Jabłonki, no te od generała Świerczewskiego–Waltera.

– Świerczewski to przecież Baligród!

Ale on uparcie studiuje mapę i upiera się, że Jabłonki.

– Ciocia się założy?

– Nie, ja się nigdy nie zakładam. Ale jeżeli się mylę, funduję ci na trasie duże lody, a jeśli ja mam rację, ty mnie, ze swoich pieniędzy, zgoda?

– Zgoda!

Nie stawiamy sobie dużych lodów, bo każde z nas ma po trosze rację. Generał zginął pod Jabłonkami, a jego pomnik jest w Baligrodzie. Adam ogląda go dokładnie i oświadcza, że mu się nie podoba, Takie nie wiadomo co.

– Co to jest u góry, Matejko to nie jest!

– Matejko był malarzem, a to jest rzeźba, Adasiu! Sama nie wiem co to jest, może rodzaj zbroi, pancerz?

– Ale u Matejki to ja wszystko rozumiem, a tu nic!

Więc myśli i ma własne zdanko.

18.6.77

Dziś przyjechali autami z Katowic ludzie na odpoczynek. Adam asystuje przy rozkładaniu namiotów. Z daleka. Są i dzieci. Dwoje, chłopiec i dziewczynka, oboje w wieku Adasia. Ale on nie nawiązuje z nimi kontaktu. Biorę naszą piłkę i, podrzucając, zbliżam się do nowych. Czuję się dokładnie tak, jak stara kaczka, pokazująca kaczątkom, jak to trzeba robić. Dzieci bardzo chętnie podejmują zabawę, włączają się nawet tata i mama. Adam stoi opodal. Moja bidula przestępuje z nogi na nogę. Chyba się łamie. Rzucam piłkę tak, aby go trafiła. Przyjmuje, odrzuca i, o ulgo, staje z nami w kole. Wycofuję się na zaplecze namiotowe, wszak pranko czeka.

19.6.77

Lesko. Zwiedzamy to bardzo piękne miasto. Adam chce koniecznie obejrzeć XVI wieczny zamek. Nie udaje się nam, bo zamknięte. W sezonie?

20.6.77

Pytanie obsesyjnie powracające: I co będzie dalej? Co będzie potem? I tak w kółko, O co mu chodzi? Potem będzie Bałtyk.

21.6.77

Wzdłuż malowniczego Sanu, jedziemy, już spakowani do Soliny. Upał.

Zostawiam Adama na szosie z bagażami i zaczynam poszukiwania noclegu.

Okazuje się, że wyszło nowe zarządzenie i namiotów nie wolno rozstawiać byle gdzie, tylko na campingach i polach namiotowych. Ale najbliższe pole namiotowe jest odległe o około ośmiu kilometrów, a camping o około dwóch i pół kilometra, ale za to pod górę. Wybieram camping. I tu Adam pokazuje, na

co go stać. Zabiera bagaże i pnie się ostro w górę, cały mokry i spocony.

– Ciocia niech nie dźwiga, ja zaraz wrócę!

Organizuje to sprytnie: niesie około stu metrów, zostawia na pobrzeżu szosy i przybiega kłusem (z górki ma lżej!) po resztę. To on taki! Docieramy wreszcie do campingu, tylko, że autowego, miejsce na namioty tylko dla zmotoryzowanych. Ale przenocować musimy. Za astronomiczną cenę (niech ich gęś...) uzyskuję miejsce. Adam rozbija namiot, ja robię, również za astronomiczne pieniądze (a niech ich nawet stado gęsi...) zakupy w kiosku campingowym. Jedyne udogodnienie to duża, przestronna, wspólna kuchnia z zainstalowanymi kuchenkami gazowymi i bieżącą wodą.

22.6.77

Rano w kuchni przy olbrzymim stole tłum ludzi. Adam znowu zastopowany.

– To ja zabiorę śniadanie do namiotu!

– Po co? – pytam.

Nie odpowiada. Więc uciekam się do niezawodnej jajecznicy. Na widok apetycznie podsmażonej na masełku popada w zachwyt i już je, ale na stojąco, koło mnie. Czyżby ciągle tak bardzo bał się nowych twarzy? Po południu bawi się ze mną w piłkę. Kiedy przyłączają się ochotnie inne dzieci wycofuję się dyskretnie. Bawi się dalej, ale musi mnie mieć na oku. Kto tu kogo w końcu pilnuje? Ciągle przybiega zdenerwowany:

– Ciocia przejdzie na tamtą ławkę, bo my teraz tam gramy!

No więc przechodzę. To w końcu bardzo miłe.

Potem idziemy oglądać Solinę. Zapora zamknięta dla zwiedzających. W sezonie? Jak więc dostać się na drugą stronę? Objazd 7 kilometrów. Obłąd! Strażnik daje się ubłagać i przepuszcza wyjątkowo za jedne dziesięć zet polskich. Adam jest oszołomiony zaporą. Podoba mu się ogromnie. Wypytuje, jak to było zrobione. Tłumaczę, jak umiem, mówię o stopniowym zatapianiu doliny Sanu. Ale tu zawodzi go wyobraźnia. Nie może tego ogarnąć, pojąć. Stateczkiem, małym i białym opływamy cały Zalew. Adam przykleja nos do zbryzganego wodą i pianą okienka dolnego pokładu i odkleja dopiero po zakończeniu rejsu.

Na campingu mamy już znajomych. To Holendrzy z chłopcem w wieku Adama. Zapraszają nas na kolację do ich luksusowej przyczepy. Ślipka Adama szeroko rozwarte. I na cudeńka w przyczepie, i na to, że pierwszy raz słyszy, jak mówię po francusku. Ciągle się upomina, żeby mu tłumaczyć o czym mówimy.

23.6.77

Zarośniętymi i zaniedbanymi (dlaczego?) schodami, niegdysiejszymi tarasami schodzimy na brzeg. Adam chce się wykąpać. Tłumaczę, że nie wolno. Są zakazy na tablicach. Ostrzeżenia. Poza tym szalona głębina zaraz od brzegu. Nie rozumie.

– Ale tam się kąpią...

Kiedy przez moment nie zwracam na niego uwagi, ściąga szybko buty i skarpetki. Już podkasuje spodnie. Ostry krzyk rozdziera powietrze:

– Ratunku!

Adam w jednej sekundzie jest obuty i znajduje się przy mnie. Jesteśmy świadkami tragedii, która rozgrywa się na naszych oczach. Jeden z kąpiących się chłopców tonie. Idzie na dno. Brat i kolega chcą go ratować. Nadaremnie. Potem dowiadujemy się, że prawdopodobnie zaplątał się w druty ze starej

przystani. Zjawia się ekipa nurków, ale Adam już nie chce tu być. Prosi, żeby wracać. Bierze mnie za rękę i pniemy się, milcząc w górę.

24.6.77

Wczesnym popołudniem odjazd autokarem do Krakowa. Po drodze Adam z zaciekawieniem ogląda przygotowywany do zalania teren doliny. Na jej dnie stoją jeszcze domki, ale już opustoszałe. Młody inżynier, który jedzie z nami, tłumaczy Adasiowi, jak to jest z takim zalewaniem i skąd potem takie nieprzytomne głębokości, jak te 80 metrów w Solinie. Adam, kiwa głową i mówi, że teraz to on rozumie. Mówi jeszcze:

– Ja tu patrzę, tam stoją domy, chodzą ludzie, rosną drzewa, a potem to będzie już tylko woda.

Camping „Krakus”, choć najwyższej kategorii i międzynarodowy, wita nas serdecznie. Nasz maluch namiotowy nie powoduje wzruszeń ramionami. Dostajemy fajne miejsce na ładnej, czystej łączce specjalnej dla nie zmotoryzowanych. Nasz pomarańczowy namiocik jest położony akurat między salonem telewizyjnym (Adam!) i kuchnią (ja!).

Po obiedzie lecimy na Kraków. Adam szaleje. Chce wszystko widzieć naraz. I Sukiennice, i tablicę gdzie przysięgał Kościuszko, i pojechać małymi konikami do Barbakanu. Także muzea, Wawel, Dzwon Zygmunta i Zbrojownię. Entuzjazm na widok grobów królewskich. Historia przybliżyła się do niego. Nie zwracając uwagi na tłumy ludzi krzyczy w Muzeum na widok „Hołdu Pruskiego”:

– Ja to znam, ja to widziałem w Malborku, ciociu!

Najbardziej przeżywa ołtarz Wita Stwosza. Siedzi długo w ławce a wreszcie pyta cichutko:

– Tę ciżemkę to on zgubił za tym ołtarzem?

Puchnę z dumy, pomimo świętego miejsca. Jakie to dziecko robi się mądre. No i gołębie! Godzinami może je karmić, pozwala, żeby go obsiadły, a on promienieje. Tylko moja kieszeń przyboczna, ta na drobne wydatki, dziwnie chudnie. Ale niech tam!

25.6.77

Schudł i zrobił się prężny. Wyrósł i opalił się. Zmężniał. Dźwiga solidarnie co trza, nawet dzielnie mnie odciąża. Dobrze nam razem. Dziś Wieliczka w programie. Jedzie z wielką niechęcią. Nie rozumie co to kopalnia...

– Czego? Soli? Phi!

Ale już na dole zaczyna się entuzjazm. W dużej kaplicy nie chce wierzyć, że piękna mozaika posadzki to też sól. Klęka i liże. Autopsją musi.

26.6.77

Warszawa. Była Krysia, którą Adam bardzo lubi. Adam chodzi zaaferowany i zafascynowany. Nawet mówi szeptem, cichutko. Jest bardzo przejęty jej wyraźnie luźną sukienką

– To tam jest ten dzidzius? – pyta konspiracyjnym szeptem po jej wyjściu.

27.6.77

Pakowanie bałtyckie. Adam lubi podróżować. Nawet bardzo. Nie znosi natomiast rozgardiaszu przedwyjazdowego. Denerwuje go bardzo. Robi się wtedy nieznośny. Również nie lubi dużej ilości bagaży. Najchętniej wyjeżdżałby

bez. Plecak nosi w ręku, dopiero przymuszony, zakłada go, bardzo niechętnie i z biernym, oporem na plecy.

28.6.77

Dalszy ciąg pakowania i zakupów. W drzwiach kartka od Andrzeja, wzywająca mnie do szpitala. Adam chce jechać. Wyjątkowo chce, a ja wyjątkowo nie chcę. Ta chwila należy tylko do mnie, no i do Andrzeja. Adam będzie miał czas na poznanie Ani, bo to jest Ania.

– No to niech cioci będzie, może ciocia jechać sama, ale mi ciocia potem opowie, jaki ten dzidzius jest.

29.6.77

– Ciociu, to tu?

– Tak.

– Ale on jest jakiś inny, jakby urósł i rozszerzył się.

– Chodź, Adasiu, obejrzymy go razem.

– A rzeczy, co z rzeczami?

– Zostaw je tak, na ziemi, przecież to blisko. Rozpakujemy je potem.

Brniemy po piachu, ciężko wyciągając warszawskie buty. Raz, że piach głęboki i sypki, dwa, że jesteśmy oboje zmęczeni po kiepsko przedrzemanej nocy Nie każdego roku zdarza się zdobyć bilety na „Neptuna”. Trochę skarłatej i wyleniałej trawki wokoło. Zarastające brzeg głębiej niż w zeszłym roku, wysokie trzciny pogadują, lekko kołysząc się pod ciepłą morką. Przez zatokę niesie się słony, morszcynowy powiew. Wąskie, ostre, sztyletowate trawy, rzadko rozsiane kępkami, udają, że chronią brzeg przed maleńką, wodną falą zatoki. Słońce już dość wysoko. Nasz znak rozpoznawczy, krzak polnej róży. Rozrósł się wspaniale. Zabrał nam troszkę zeszłorocznego miejsca, co przy bardzo licznym w tym roku najeździe namiotowiczów, nie jest już bez znaczenia. Ale za to jest nad podziw urodziwy. Dziesiątki polnych różyczek odwraca swe lica ku słońcu, na każdym różowym płateczku drży kropelka rosy, odbijając tysiące maleńkich tęcz. Łagodny wiatr porusza zielonymi gałązkami i bogactwem kwiecia. Na krzaku, trochę z boku szara, zupełnie nie morska, a wiejska ptaszyna, wyrzuca z gardziółka radosne tirtirlutanie. Adam, bardzo przejęty, pokazuje mi dwa ślimaczki.

– Namiot tu stawiamy? Czy tak bokiem do róży, jak w zeszłym roku?

– Nie, Adasiu! Daj go wejściem w kierunku krzaka.

Ale Adam już nie słyszy. Nurkuje w cierniste głębie, płoszy ptaka, coś wyciąga z mazołem.

– Ciociu, jest jeden kapeć! To na pewno nasz, ten co nam zginął zeszłego roku, tylko trochę przegniły.

– Adam, wyskakuj z krzaka. Podrapiesz się!

– Kiedy, bo, ciociu... ja tu, tego... o, już mam!

Wyłazi brudny, odrapany i prezentuje mi stary słoik z przerdzewiałą zakrętką, a w nim ubiegłoroczne skarby: muszelki, cztery kolorowe kamyki, szkiełko, zbrązowiła alga i trochę piasku morskiego. Jest bardzo szczęśliwy:

– To moje! Moje! – wykrzykuje. – Tak szukałem tego w zeszłym roku w Warszawie.

Stawiamy namiot. Adam z wprawą rozpina tropik, montuje naciągi. W trakcie roboty, okazuje się, że źle zaplanowaliśmy. Albo tył namiotu włazi na Niemców, albo bokiem ocieramy się o inny namiot i naciągi tropiku wypadłyby u nich w

środku. Zwijamy cały majdan. A jest co zwijać, bo tym razem wypożyczyłam z biura duży z tropikiem. Siadamy na nim i zaczynamy się kłócić. Adamowi ciągle brak wyobraźni przestrzennej. Rozgorączkowany, gestykułując i objaśniając mi, jak on by to zrobił, ładuje się całym ciężarem na obcy namiot, wrywając część jego umocnień. Ze środka dobiegają energiczne protesty. Zamieram z wrażenia. No tak! Teraz mamy już dwa namioty do postawienia. Szybko odwracam się od nieszczęśnika. To nie moje dziecko, ja nic nie wiem, nic nie widziałam. Adam nie może wyplątać się z kłębowiska sznurów, w obcym namiocie wre gorączkowa szamotanina, słychać basowe warczenie jakiegoś zwierzaka, a ja duszę się ze śmiechu. I tak zaczyna się nasza wakacyjna przyjaźń z Jolką, Markiem i psem Artosem.

30.6.77

Adam z miejsca akceptuje nowych znajomych. I albo siedzi z nimi u nas, albo zalega u nich. Nawet nie przeraża go pies Artos.

Pada drobny kapuśniaczek. Drobny, ale wytrzymały. Zapowiada się co najmniej trzydniówka. Mimo to biegniemy wszyscy w południe do kąpiel. Szybkie przywitanie z morzem. Adasiowi, w pośpiechu, pieniążek nie wpada od razu do wody.

– Więc pewnie nie wrócę tu już w przyszłym roku. – mówi ze smutkiem. Ale przykrość szybko mija.

Na plaży prawie pustki. Nieliczni, szczelnie opatuleni, przyglądają się ze zdumieniem czwórce odważnych. Adam może by i wybrzydzał, ale wobec Joli i Marka nie wypada mu.

Fale sztormowe pochłaniają nas. Trzymamy się mocno za ręce, ale to niewiele pomaga. Powaleni falą, ledwie wygramolamy się, gdy powracający, odbity od brzegu kolos, zwała nas z nóg. Gubimy ręce, nogi, czepki. Adam nawet głowę. Ale, jak krzyczy, jest fajnie. Ja myślę! Marek holuje go cały czas. Nagle krzyk i zaraz potem zaraźliwy śmiech. Widzę Adama przytulonego do Marka. Okazuje się, że silny poryw fal uszkodził Adasiowi kąpielówki:

– Fala mi gumkę pękła, ciociu! – drze się.

Jola już podaje gruby, włochaty ręcznik i tak docieramy z delikwentem do brzegu. Potem kłusem osięgamy namioty. Ceremonie obiadowe i w śpiwory.

1.7.77

Kapuśniaczek. Adam, pomimo deszczu, nawiązuje kontakt z dziewczynką lat dziesięć i chłopcem lat siedem. Bawią się zgonie. Nawet wymieniają adresy.

2.7.77

Kapuśniaczek zmienił się w ulewę. To już trzeci dzień. Siedzimy osowiali, skurczeni, jak dwa małe, zmoknięte wróbelki. Na dodatkę ubrania nie chcą schnąć. Wszystko wilgotne i słone. Znowu szybka kąpiel. Czyli jedyna atrakcja to trasa: namiot – plaża, plaża – śpiwór. Jak długo można?

Z nudów robię bardzo skomplikowane, połączone z biciem piany (ja) i kręceniem kogla mogła (Adam) placki z kawałkami łydy rabarbarowych. Na zew wspaniałego zapachu melduje się pies Artos. Potem dołączają Jola z Markiem z puszką soku pomarańczowego. Mężczyźni, czyli Marek, Adam i pies Artos, biegną jeszcze po zapas wody pitnej. Siedzimy potem wszyscy w śpiworach po pas i jest bardzo zabawnie, kiedy trzeba się przemieścić. Wyglądamy, jak wielkie, niezdarne, wpół rozwinięte z kokonów poczwarki.

Tropik ugina się pod ciężarem deszczu, ale w namiocie przytulnie. Pies Artos, wspaniały wilczur syberyjski, leży za mną i grzeje mi plecy. Adam zapatrzył się w płomyk świecy.

Jola i Marek to rodzeństwo. Ona jest w trzeciej licealnej, on w czwartej. Rodzeństwo różnie w karcie. Patrzę na nich wszystkich, na nas i myślę, co każe ludziom wybierać taki właśnie sposób spędzania wakacji. Dlaczego, mając bez wątplenia do wyboru pensjonaty, wczasy, wycieczki, wybierają prymityw, niewygody, byle pod namiotem. Jakie dalekie, uśpione, atawistyczne przekazy, przeniesione z praprzodków budzą w nich raz w roku tęsknoty za włóczęgą, za obozowym życiem.

3.7.77

Jest trochę słońca. Idziemy. na plażę. Jakby tu było co innego do wyboru. Proponuję spacer, ale nie wiem dlaczego, Adam zostaje z Jolką i Markiem. Lubi być z nimi. Może krępuje go moja obecność. Po powrocie z długiego spaceru brzegiem morza, orientuję się, że to nie Jola i Marek, a na plaży są z rodzicami znajomy chłopiec i mała dziewczynka. Ale, żeby zacząć z nimi zabawę, trzeba interwencji Marka. Grają teraz zgodnie w piłkę i widać, że Adam jest dumny z tego, że Marek jest trochę jego.

– To twój brat? – pyta Adama chłopczyk.

– Nie, – odpowiada Adam – ale to nasz dobry znajomy.

Trzy dni! Intonacja zdania, wypowiedzianego półgębkiem, jest prawie pogardliwa, nieomal: Co ty tam wiesz!

Jola musi wracać do namiotu, bo ma dziś dyżur kocherowy, zdecydowaliśmy bowiem zgonie, że nie ma sensu pichcić oddzielnie. Pies Artos przeżywa rozdarcie: nie wie czy biec za Jolką czy zostać z Markiem, czy bawić się z Adasiem. Adam bawi się już z nim bez lęku. Boi się tylko go dotknąć. Czasami, ukradkiem, kiedy myśli, że nikt go nie widzi, ostrożniutko, czubkami palców dotyka miękkiej, długiej i puszystej sierści psa. Ale zaraz paluszki się cofają. Tymczasem konflikt duchowy psa Artosa rozwiązuje Marek. Z Adamem i psem wędrują do sklepu zająć kolejkę, bo właśnie przywieźli świeży chleb.

Idę z przyjemnością na Jolkowy obiad, za tę jednak przyjemność muszę zlikwidować wspólny grajdoł. Po drodze chcę zabrać chłopców ze sklepu.

Marek i Adam spokojnie grają w piłkę na łączce, a puste siatki wiszą na pobliskim drzewie.

– Chłopcy! – wołam – a chleb, a kolejka?

– Pies Artos – odpowiada spokojnie Marek. – Ciocia widzi? – oni też do mnie „ciociu”.

Widzę, oczywiście widzę. Najzabawniejsze w tym jest jednak to, że pies Artos posuwa się wraz z kolejką, siadając spokojnie za każdym przesunięciem.

4.7.77

Ranek chłodny. Pada śnieg i wielki grad. Mamy szczęście do tego gradu. Adam z Markiem fotografują Jolkę, która wyszła w kostiumie kąpielowym i teraz zdejmuje garściami śnieg z namiotu. Pieczy psa Artosa zostawiamy obydwu namioty i jedziemy do Władysławowa. Trzeba napełnić obydwie butle gazowe. Adam widocznie nie jest taki zupełnie nierozgarnięty, jak mi się wciąż wydaje. Po godzinie zjawia się z daleko poza Władysławowem umiejscowionej stacji z napełnionymi butlami. Chcemy bardzo pójść do kina, ale w jednym idzie film dozwolony od lat 18, a drugie jest w remoncie (pełnia sezonu turystycznego!).

Idziemy więc zdecydowanie do Domu Kaszuba. Pomimo wspólnego uściślenia stanu kasy, ładna nawet karta menu Dom Kaszuba odstręcza nas. Nie decydujemy się na Boeuf a la Strogonoff 10 zł, kokilki czyli muszelki z móżdżkiem, maluśkie, po 30 zł. porcja. Nasze mózdzki pracują ekonomiczniej i mimo apetytów, perspektywicznie. Zdecydowani, pomimo wszystkie trudności, na jakieś godziwe szaleństwo, idziemy do kiosku, gdzie dostajemy, jakby nam było mało rannego śniegu, pyszne lody i krem. Jemy toto na murku przedkioskowym. Żeby równowaga była zupełna, Adam zaczyna się popisywać. Robi głupie miny, opowiada głupstwa, rymuje niecenzuralnie, zaczepia każdego z nas, wreszcie wyrzuca kubeczki po lodach bezpośrednio na chodnik. Skarcony przeze mnie, obraża się.

Wtedy Marek bierze go na stronę. Do mych bystrych uszu dobiegają tylko pojedyncze słowa. Jest tam coś o nas mężczyznach, o Warszawie, o żołnierzach i damach. Dobrze, że nie o huzarach. Na słowo damy prostujemy się z Jolką z godnością. Jedno oko mam pobłażliwie przymknięte. Wracają rozpromienieni. Adam oświadcza, że Marek i Jola przyjadą do nas na jesieni do Warszawy. Adam właśnie ich zaprosił!



5.7.77

Nagle zupełnie ładnie i bezchmurnie, ale za to zimno. Dziś jest czarny dzień Adama. Po obiedzie idziemy na spacer, a on zły, jak chrzan. Przymykam drugie oko. Wielka historia z ciepłym dressem i swetrem. Na czym to polega, że kiedy jest ciepło, on nie chce się ubrać lżej, a jak zimno, nie chce odziać się odpowiednio? Żeby rozładować sytuację i z powodu tych przymkniętych oczu, kupuję, w sówicie zaopatrzonej kiosk, ciastka i dużą, nadmuchiwaną, kolorową piłkę. Błąd. Adam jest nadal niegrzeczny, pochmurny. A potem Jola, która po maturze wybiera się na psychologię, bardzo delikatnie zwraca mi uwagę, że on ma chyba mokro. Nie chyba, a na pewno. Pod pretekstem, że zimno, wracamy do namiotów. Adam nie chce się przebrać. Wreszcie, przymuszony, zmienia ubranie

i bieliznę, ale jest nadal obrażony. Nie mówię ani słowa, tylko patrzę nań tak jakoś smutno. Wtedy spuszcza główkę i jąka, że on się wstydził pójść do pobliskiego lasku.

W nocy te sprawy dalej budzikowo są regulowane. Tyle tylko, że na skutek złej pogody bardzo dużo śpimy, więc dzwonienie o północy i nad ranem nie jest już tak męczące.

6.7.77

Dziś spotkanie na campingu znajomego Niemca. Zaprzyjaźniłam się z nimi trzy lata temu, kiedy tu byłam jeszcze bez Adasia. Byli tu z dwojgiem dzieci. Żona,

przeziła, świetnie organizowała swoje gospodarstwo w obszernym namiocie, połączonym schodkami z dużą przyczepą. Nawet weki tamże robiła. Wypiliśmy wtedy niejedną kawkę i odwiedzaliśmy się często. Bardzo podobali mi się ich synowie, dwudziestodwuletni, ciemnowłosy, wybitnie inteligentny Artur, oczko w głowie muttie i jasny dwunastolatek, piśszczoch ojca, Ernie. Adam przy spotkaniu jest podniecony, prosi, żeby mu wszystko tłumaczyć, koniecznie chce zobaczyć przyczepę. Ale fater jest jakiś dziwny. Do namiotu nie zaprasza. Jest lakoniczny i szybko wycofuje się z rozmowy. Adam, nawet nie znając niemieckiego, wyczuwa, że tu jest coś nie w porządku. Wracamy do naszego namiotu, a Adam wyraża niedwuznaczną opinię o Niemcach.

7.7.77

Ranek słoneczny, pogodny. Wyspana, jak pliszka, chcę szybko wstać i zacząć przygotowania do śniadania. Nagły, silny ból powala mnie na leże. Odczekuję chwilkę, próbuję ponownie. Nie da rady. To chyba lumbago. Leżę cichutko, bojąc się każdego ruchu. Koło ósmej budzi się Adam. Proszę, żeby zawołał Jolkę. Ale już po pierwszych próbach:

– Stuk, stuk, to ja Adaś...

Po ciszy, jaka nadal panuje w sąsiednim namiocie, orientuję się, że z tej strony pomoc nie nadejdzie. Istotnie, wraca Adam i wręcza mi kartkę, którą znalazł przyczepioną do poły ich namiotu. Wynika z niej, że Jola, Marek i pies Artos wyjechali na dwa, trzy dni do domu. Bo, śmiech powiedzieć, mieszkają w Gdańsku Wrzeszczu.

Pomoc nadchodzi z najmniej oczekiwanej strony. Z pociemniałymi z przejścia ślepkami, Adam każe mi się przeturlać na jego poślanie. Doprowadza wnętrze namiotu do porządku, szykuje śniadanie. O nic się nie pyta, sam zapala butlę, smaży jajka, kroi, nalewa. Podaje mi wszystko porządnie, nie w garnkach, ale na talerzykach, tak jak go uczyłam. Myślę sobie, że teraz skorzysta ze swobody i polecą w plener. Nic podobnego. Siada przy mnie i czyta głośno jakąś wojenną książkę.

Kiedy budzę się po kilku godzinach, obiad, prawdziwy dwudaniowy obiad, jest już gotów. I jak nie kochać takiego szkraba! Po południu wyleguję się na słoneczku, jak stara, sfatygowana jaszczurka. Noc przynosi nowy atak bólu. Teraz już nawet oddychać nie mogę spokojnie. W zupełnej ciemności campingowego pola Adam, sam, odważnie idzie do przyczepy naszych Niemców. Jak zdołał go przekonać, nie mam pojęcia. W każdym razie po pięciu minutach nasz Niemiec, w płaszczu nieprzemakalnym narzuconym na piżamę, zjawia się z małą apteczką samochodową.

Dostaję dwa silne proszki i herbatę z termosu. I wtedy, w ciszy uśpionego obozowiska, przy nikłym świetle małej świeczki człowiek się otwiera.

Przeprasza za swoje zachowanie. Ich starszy syn zginął pół roku temu. Wpadł pod ciężarówkę, która go ciągnęła prawie trzy kilometry. Dlatego matka nie może widzieć nikogo, kogo znała przedtem.

– Dlaczego? – pyta Adam, któremu muszę tłumaczyć każde zdanie.

– Bo przypomina to jej ukochanego syna – mówię.

Adam kiwa głową, że rozumie. Do rana wszystkie bóle mijają bez śladu, ale troskliwy Niemiec jeszcze ze dwa razy zagląda do nas. Adam zamyślony duma długo, aż wreszcie powiada, że oni nie byli tacy źli. Nie umie zapewne, powiedzieć, że nie wszyscy Niemcy byli źli, ale tak właśnie myśli.

8.7.77

Wrócili nasi mili sąsiedzi. Adam, bardzo rad, obskakuje ich na powitanie, zupełnie tak, jak pies Artos mnie. Wczesnym rankiem jedziemy wszyscy na Hel. W zeszłym roku, zbuntowany Adam nie chciał oglądać Muzeum Morskiego. Teraz czyni to z radością. Słucha chętnie objaśnień Marka, który opowiada mu o wielkich, masywnych kutrach, wykonywanych ręcznie w ubiegłym stuleciu. Po obiedzie idziemy na plażę. My z Jolką trochę na kocu. Marek i Adam kąpią się przy brzegu. Bawią się piłką. Krzyki i nawoływania zrywają nas obie na nogi. Jedna z większych fal porwała piłkę i uniosła trochę dalej. Marek płynie po nią, ale jest to pogoń daremna. Piłka unosi się zalotnie na falach, tańczy lekko, wyraźnie kpiąc z chłopca.

Marek, chłopiec wysoki, silny i sprawny, płynie dalej, nie zdając sobie sprawy, że każdy wyrzut ramion oddala go niebezpiecznie od brzegu. Tam już jest głębia, woda lodowata. Obie z Jolką biegniemy wzdłuż plaży. Adam, szybszy od nas, wyprzedza i nas, i płynącego Marka, wdrapuje się niezdarnie na falochron. Idzie po oślizgłych pniach. Szeroko rozstawione ramiona pomagają mu w utrzymaniu równowagi. Dla niego te, dość szerokie w końcu pnie, to pewnie cienka lina. I po obu stronach głębia. Już jest na linii wzroku Marka. Krzyki i wymachiwanie Adama zawracają wreszcie płynącego. Potem długo rozcieramy sinego i skostniałego Marka. Adam bardziej się martwi o Marka, niż stratą zabawki. Tylko dopytuje się ciągle, czy jego piłka aby na pewno płynie do Szwecji i kiedy tam dopłynie.

9.7.77

Mamy nowych sąsiadów. Czesi. Młode małżeństwo z dwojgiem dzieci. Szybko zawieramy znajomość. Adam pomaga im w ustawieniu namiotu, a ja szykuję coś ciepłego do jedzenia dla ich dzieci, które za małe, żeby pomagać rodzicom, są wyraźnie osamotnione. Robi się międzynarodowo w naszym namiocie. Wieczorem Ilona zaprasza nas na kolację. Adam jest tak bardzo przejęty, że sam zmienia podkoszulkę. Niezadowolony jest tylko pies Artos, dla którego już nie ma miejsca.

10.7.77

Jest pięknie. Plażowo. Robimy grajdolisko, bo przecież musi być miejsca dla wszystkich. Adam, bardzo zadowolony, kręci się po grajdole, tu ruszy radio, tam przejrzy ilustrowany magazyn, podjada Ilonie słone paluszki. Potem bawi się z małymi Czechami i ciągle się dziwi, że język polski jest tak podobny do czeskiego.

11.7.77

W nocy burza i zimny, północny wicher. Jest trzecia rano. Z okiem w wizjerku obserwuję skutki tej wichury. Istny pogrom. Najsilniejsze namioty wiatr zrywa i przesuwają jak zabaweczki. Kilka namiotów płynie po zatoce, jak małe, jasne żaglóweczki. Ludzie chronią się do aut. Wtem:

– Stuk, stuk, dajcie wy nam pomoc.

To nasz Czech. Wychodzę i widzę jego namiot wyrwany z umocnień i miotany wichrem. Obudzone dzieci płaczą. Za chwilę ten cały niezdarny balon pojedzie do zatoki, bo ustawili za blisko wody. Usiłujemy umocować naciągi, ale bezskutecznie. Dwie pary rąk to cztery śledzie. Kiedy my tu wbijamy cztery, tam sześć wyrywa złośliwy wiatr i tak na okrągło.

Z naszego namiotu wyłazi Adam w piżamce, przeciera ślipka. Za chwilę, ubrany, o dziwo, jak należy na taką pogodę i porę nocną, zaczyna pomagać. Wiatr ustaje, za to spada ulewa, tak silna, że tworzące się natychmiast potoczki, zmywają wszystko, co na drodze. W tej sytuacji decyduję się na zaproszenie całej czeskiej rodzinie do nas. Co prawda my już też przeciekamy, ale tylko troszkę. Namiot dobry choć stary, trzyma się dzielnie. Adam już wpełza do namiotu, żeby zrobić im legowiska. Nagle, szybko się wycofuje. Z namiotu dochodzi groźne warczenie. Oczywiście to pies Artos. Bo on wypuszcza, ale nie wpuszcza. W ciemnościach, bo jedyna lampa, oświetlająca obozowisko, zgasła, nie zauważyłam, że namiotu Joli i Marka nie ma. Oni natomiast, w śpiworach, otuleni kocami śpią u nas. Ścieśniamy się, dzieci w środku. Czech przytomnieje i podłącza swoją lampę namiotową do akumulatora samochodowego. Robi się zupełnie sympatycznie i rodzinie. Dzieci, znużone, zasypiają, a my jeszcze długo opowiadamy sobie różne historie. Adam przed snem prosi mnie szeptem, żeby ten raz, ten jeden, jedyny raz wyłączyć dzwoniący budzik. Ulegam. Wyłączenie takowego nie przynosi, o radości, ujemnych skutków.

12.7.77

Dalej pada. Problem jedzenia. Pies Artos wprowadzi stan (siadaniem) w kolejce, ale dla koczującej u mnie rodzinie papu nie przyniesie. Zresztą pogoda, że psa nie wygoni. Po radzie decydujemy, że Czech pojedzie autem do Władysławowa. Tu wrywa się Adam:

– Ciociu – woła – ja też!

Tyle błagania w głosie! Więc jedzie. Wracają po dwóch godzinach, najedzeni (o podli!) i bardzo zadowoleni z samochodem pełnym zakupów. Adam opowiada, że we Władysławowie spotkał znajomą panią, która:

– ...no wie ciocia, miała tu, obok nas namiot, no ta od cukru.

Otóż ta pani powiedziała Adamowi, że urósł i bardzo się zmienił. Czyżbym tego nie zauważyła? Może to dlatego, że widzę go na co dzień.

Ilona gotuje, a my koczujemy dalej. Adam jest w swoim żywiole. Wszystko wie, gdzie co leży, co trzeba przygotować do posiłku. Patrząc na przemiłego Czecha, uśmiecham się i wysilam na jedyne zdanie, jakie znam w języku czeskim:

– Tak, tak, to je pikne, panie Hawlicek.

Czech zrywa się, jeśli to tak można nazwać w tym tłoku, i pyta, skąd wiem, jak brzmi jego nazwisko, bowiem:

– Ja sem Hawlicek. – powiada.

13.7.77

Niespodziewanie, po południu robi się ładnie. Sytuacja w namiocie rozładowuje się momentalnie. Namioty, wyrównane, nastawione i okopane, szybko schną na słońcu. Robię porządki pogościnnie i podwieczorek dla Adasia. Wołam go, nie przychodzi. Szukam go wszędzie, nawet nad morzem. Panikuję, przecież tak blisko tory kolejowe, nigdy nie wiadomo, co takiemu dzieciakowi może wpaść do głowy, A po godzinie Adam przybiega rozgorączkowany i ryczy:

– Ciociu! Trzy do jednego wygraliśmy, hurra!

– No dobrze, ale gdzie ty byłeś, przecież wołam i wołam!

– Ja??? Ależ tu, obok, ciociu, u Czechów. Oni mają mały, kolorowy telewizorek. W nocy znowu kłopoty. Jak wyschnie na tym zimnisku pranie. Jednak budzik trzeba dalej nastawiać.

14.7.77

Dziś jest pogodnie. Decydujemy się na zobaczenie Westerplatte. W zeszłym roku nie było czasu. Adam w pociągu natychmiast wyciąga zapasy. Po przyjeździe do Gdyni, oświadcza, że jest bardzo głodny. Całą drogę wierci się niemożliwie. W Gdyni okazuje się, że ma za małe trampki. Jak to? Kupione miesiąc temu w Bieszczadach. Odrywam się z trudem od przyjemnego, babskiego terkotania z Jolą i patrzę przytomnie na Adama. Przecież on urósł, zrobił się taki duży, sięga mi do ramienia. I rysy twarzy też jakby zmienione. Znow trochę utył. Za mało ma ruchu. To ta kratkowana pogoda. Kupujemy nowe trampki i przy okazji koszulkę, ale:

– ...z piłkarzami, ciociu, koniecznie!

Na Westerplatte Adam się ożywia. Nowe trampki już nie uwierają i otwiera się klapka na oczach mego konika. Nagle wszystko go interesuje. Dlaczego Wisła tu nazywa się Martwa? Co to była ta strażnica, co to znaczy, kiedy Marek mówi, że to był wspaniały punkt obronny i strategiczny, co to była składnica tranzytowa. A potem słucha uważnie komentarza podawanego przez głośnik zainstalowany w Strażnicy nr 1. Marek powiada, że tu właśnie strzały z pancernika „Schleswig Holstein” rozpoczęły II wojnę światową. Adam chce wszystko wiedzieć, gdzie on stał, ten krążownik, jaki był duży i jakie były te strzały. Pod pomnik idzie niechętnie, jęczy, że wysoko, że gorąco Na szczycie jednak, znow jest zachwycony i buzia mu się nie zamyka. Tak, jakby wypełniał jakąś lukę, może podręcznikową? Wszak to lekcja historii w terenie.

15.7.77

Adam jest zaskoczony, że już tylko dwa dni do wyjazdu. Ja też. To mi przypomina, że na obóz trzeba zabrać... budzik.

16.7.77

Wielkie pakowanie. Dosłownie wielkie, bowiem Jola i Marek oraz pies Artos także wyjeżdżają. Adam krąży od namiotu do namiotu, odnosi pożyczzone, odbiera własne i tylko ciągle się upewnia, czy oni aby nie zapomną przyjechać do nas, do Warszawy. Ostatni obiad jemy już w barze, bo wszystko zapakowane. A właśnie! Co to tak cyka, interesuje się Marek po powrocie z baru. Może to bomba zegarowa? W mojej walizce? Pokładamy się ze śmiechu, gdy Adam, bardzo spokojnie oświadcza, że to nie bomba, to jego budzik.

17.7.77

Rano, spakowani, koczujemy na zarośniętym trawą peronie. Nagle, opanowana zawsze Jola, zaczyna płakać, Marek jest też jakiś dziwny. Z tego wszystkiego ja też się wzruszam. Tylko Adam stoi z boku i przygląda się nam, bardzo zdziwiony. Pierwszym pociągiem odjeżdżamy my, następnym, w kwadrans później Jola, Marek i pies Artos.

Dudnią szyny, wtacza się długi, bardzo długi sznur wagonów. Jedyne, bezpośrednio wagony do Warszawy, zatrzymują się poza peronem. Marek winduje mnie z trudem na wysokość około metra, Jola pomaga Adasiowi, a pies Artos żałośnie skomli. Oni wrzucają bagaże, ale z pośpiechu i w zamieszaniu pomylili się i wrzucają własne. Pociąg już rusza a Adam krzyczy: – Ta zielona, zielona torba, Marek! To nasza!

A potem zaczyna się dziać kilka spraw jednocześnie. Pociąg rusza na dobre, ja trzymam Adama za pasek od spodni, bo wychyla się z otwartych drzwi, Jola

płacze, Marek biegiem przerzuca przez okno resztę naszych bagaży, pies Artos niedwuznacznie wyje i na przemian piszczy tak jakoś bardzo cienko, a od Kuźnic już gwizdże drugi pociąg. Przytomnieję dopiero we Władysławowie.

– Przyjedziemy tu jeszcze, ciociu?

– Oczywiście – odpowiadam – przyjedziemy, na pewno!

– Ale koło naszego krzaka, dobrze?

– Dobrze Adasiu, koło naszej róży.

Może z Adasiem będzie tak, jak z tym krzakiem. Wyrośnie, rozwinie się, będzie może kłuł, może i zrani nieraz, ale zawsze będzie to Adaś, nasz mały, kochany szkrabek.

18.7.77

Warszawa wita nas słońcem i nagłą niesprawiedliwie piękną pogodą.

Osuszamy co się da. Ja pakuję się obozowo, a Adam robi wielkie zakupy. Jest tak rozgorączkowany, że ciągle coś zapomina. Wpada do domu i już od progu krzyczy:

– Ten cukier, to go ile?

Tłumaczę cierpliwie, że ma przecież w ręku talony. Dalej nie rozumie.

– A czytać waćpan umie?

Obraża się. Potem przynosi wszystko, jak należy i jak należy, wylicza się z reszty.

W domu już jest Duszek i straszliwy rozgardiasz. Ciągle ktoś czegoś bardzo pilnie szuka, ktoś kogoś o coś pyta, nie wie gdzie to położyć, czy tamto też zabiera się na obóz. W ostatniej chwili, dobrze, że przed zamknięciem sklepów, okazuje się, że Adamowi brak mnóstwa harcerskich drobiazgów. Trzeba taksówką.

– Adam, gdzie masz spis?

– Ja nie wiem!

O Boże! On nigdy nic nie wie! Spis odnajduje się w jego aktualnie czytanej książce. Służył za zakładkę. Głowa mnie już z tego wszystkiego boli.

– Menażki, mam, menażki – woła Duszek.

– Są – mówię smętnie.

– Ale dwa komplety?

– Dlaczego dwa? Jeden.

Ach, prawda, przecież Duszek też człowiek i musi z czegoś jeść. Duszek, wbrew swemu harcerskiemu przezwisku, lubi dużo i dobrze jeść, par excellence. Adam dwoi się, troi, aż wreszcie buntuje się.

– To co ja mam właściwie najpierw robić? Pakować plecak? A ciocia mi ciągle podrzuca i podrzuca, iść się kąpać, iść do sklepu czy do fryzjera?

Tu Adaś pierwszy raz w życiu błyska dowcipem:

– To ja się wykąpię z plecakiem, a potem pójdę do fryzjera po resztę zakupów i do sklepu żeby mnie ostrzygli!

Patrzcie, patrzcie! Nadzwyczajne!

Trochę przytomnieję i z wielkim trudem, na godzinę jedenastą wieczór jesteśmy prawie gotowi. Jutro rano, skoro świt, jedziemy autokarami na Pomorze, hen, aż za Słupsk. Trzeba jeszcze przygotować dużo jedzenia i picia na drogę, bo nigdy nic nie wiadomo.

19.7.77

Godzina siódma rano. Zbiórka na dziedzińcu szkolnym. Ogarnia mnie tłum

odprowadzających rodziców. I dobre rady, różne, śmieszne, wzruszające:

– Nie przeziębiam się, uważaj na siebie, napisz, noś szalik, nie pij surowej wody!
I czy to dobrze czy źle, że je dajemy naszym dzieciom? I czy to dobrze czy źle, że one ich nie słuchają?

Co raz ktoś podchodzi do mnie i prosi, zaleca, przypomina. Staram się lojalnie zapamiętać. Marlenka jest słabowita, Jacek ma brać trzy razy dziennie pastylki. Jedna pani ma kłopoty (jakie?) z jednym synkiem.

– Który to? – pytam.

– A ten, tam w żółtym szaliczku.

We wskazanym kierunku jawi mi się sylwetka bardzo wysokiego, rozrośniętego chłopaka, właściwie chłopisko, rzeczywiście w szaliczku.

Godzina 730. Idziemy w zwartym ordynku do Hotelu „Druh”. Tam powinny już czekać autokary. A juści. Autokarów ani śladu. To nic. Pewnie zaraz nadjadą.

– Rozpoprężyć! – pada komenda Duszka. Więc rozpoprężamy, ja też.

Godzina 800. Bez zmian.

Godzina 1000. Dzieci niepokoją się. Niedobitki rodziców też, a może nawet jeszcze więcej. Zaczyna się jedzenie i picie. Coraz to któryś sięga do chlebaka, a potem i głębiej, do plecaka. Bardzo zaraźliwe. Teraz już wszyscy jedzą i piją.

Godzina 1100. Koczujemy pod hotelem. Duszek, bardzo spokojny, wchodzi co godzina do recepcji i przynosi tę samą informację: już powinni być.

Godzina 1200. Nagle uprzytamniam sobie, że ja jestem druhną kucharką. Co to za kucharka, która nie dba o stołowników, in spe co prawda, ale zawsze sumienie gryzie. Poprawiam elegancki, podróżny strój (granatowe spodnie, śnieżnobiała wiatrówka) i idę do zarządu hotelu. Nie mogę powtórzyć, co im powiedziałam w pierwszych słowach mojej mowy kucharskiej, ale rezultat mówi za siebie: wszyscy, całe zgrupowanie, około stu trzydziestu osób zaproszono do środka, zaserwowano półmiski z kanapkami i napojono. No tak, teraz możemy okupować hotel nawet do 24 sierpnia.

Godzina 1400. Dzieci, najedzone, zadowolone, zalegają korytarze hotelu.

Pilnujemy tylko, żeby nie było za głośno.

Godzina 1445. Jedna z instruktorek przypomina sobie, że ma znajomego w KC. Szukamy nerwowo złotówki, od której zależy nasz los. Oni tam urzędują tylko do piętnastej. Złotówek jest już garść, połączenie też. Autokary będą, jeden zaraz. Co to znaczy zaraz pytają nasze mądre dzieci. A drugi godzinę później.

W dwadzieścia minut po telefonie zajeżdża wielki, piękny mercedes: nikiel, chrom, lakier jasna kawa z mlekiem. Pomagamy ładować się tym, którzy odjeżdżają pierwsi. Machamy na pożegnanie. W czterdzieści pięć minut później zajeżdża następny mercedes: nikiel, chrom, lakier jasna kawa z mlekiem. To dla nas tym razem, dla naszego podoboju. Wyjeżdżamy dokładnie o tej godzinie, o której mieliśmy być na miejscu, w Dźwierznie.

Adam siedzi za mną, Duszek przede mną. Żeby było poręczniej ich karmić ocalałym z pogromu kurczakiem i herbatą z ponownie napełnionych termosów. W czasie drogi Adam przesuwają się trochę do tyłu wozu i wreszcie usadawia się na stercie plecaków. Nie chce ani jeść, ani pić. Jest nierozmowny i zupełnie wyobcowany. Kołysana rytmem samochodu i cichymi odgłosami narady komendanckiej, która odbywa się przede mną, usypiam.

20.7.77

Godzina 0000. Leje deszczysko. Wielki, ciemny bór. Gąszcz. Gałęzie uderzają rytmicznie o wóz, siekąc niemiłosiernie nikiel, chrom, lakier jasna kawa z

mlekiem. Szofer klnie. Widać lubi swój pojazd. W pewnej chwili koła buksują, zaryte w błocie. Szofer mówi, że dalej nie pojedzie. Absolutnie. Nie dość, każe nam wysiadać, tu, natychmiast. Duszek proponuje, że starsi chłopcy, z latarkami, pójdą przodem i będą rozgarniać gałęzie. Skutkuje, ale na bardzo krótko. Potem już musimy się ewakuować. A bagaże? Niepodobieństwo nieść to wszystko prawie trzy kilometry, bo tyle tylko zostało do celu. Bagaże mogą zostać! A on (szofer) tu zanocuje, rano zaś się zobaczy. A póki co, to proszę... drzwi otwarte!

Wychodzą wszyscy, miga mi jeszcze sylwetka Adama, a potem wszystko pochłania czerń nocy i las. Wychodzę z walizką tylnymi drzwiami. Jeden krok do przodu i... chlup. Leżę w śnieżnobiałej (już nie!) wiatrówe w głębokim błocku. Podnoszę się z godnością i wycieram twarz ręką. Ktoś świeci latarką, ktoś inny ryczy: Nie po oczach, oślepisz druhnę kucharkę. Tu następuje zbiorowy atak śmiechu. Widocznie jestem błotną mulatką.

Długi wąż migotliwych błysków latarek przecina ciemność. Wdziera się weń i teraz to już wygląda jak procesja na mickiewiczowskie „Dziady”. Obok mnie ktoś idzie. Pomaga, ostrzega. Bo ja, oczywiście, latarki nie mam. Po co druhnie kucharce latarka? Mimo ciemności, dostrzegam wysoką sylwetkę chłopięcą. Odbiera mi bagaż, choć dźwiga własne, poważne obciążenie.

– Powiedz mi, co to za światełka, które migają między drzewami, wzdłuż drogi, po obu stronach?

– To komenda, proszę pani. Oni pilnują, żeby po ciemku nikt nie zboczył i nie zabłądził w lesie. Ciągłe nas liczą. Ja panią znam – mówi dalej.

– A jak ty się nazywasz? – pytam.

– Ryszard. Rysio mi mówią. Pani przychodziła często do Domu Dziecka, do takiego małego chłopca, Adama.

– Zgadza się, Rysiu. A ty dawno w tym DD?

– O, tak, już będzie niedługo siedem lat.

Milknę. Bo i co tu można powiedzieć, prócz tego, że jestem nietaktowna.

Potem jeszcze w zupełnej ciemności spożywamy wspaniałą, zimny obiad na jakiejś górce, w dole błyszczą szeroko i daleko tafla jeziora. A potem przychodzi to najgorsze, okazuje się bowiem, że pionierka nie zrobiona, bo przez wszystkie dni nań przeznaczone lały ulewne deszcze i były silne burze. Komendant decyduje się na marsz do zaprzyjaźnionej leśniczówki, odległej jakieś dwa kilometry.

Biorę, bardzo zniechęcona i znużona moje bagaże, ale tu znów wyłania się z ciemności Rysio i pomaga je dygać.

Słoma, słodki zapach siana. W nocy ktoś ściąga ze mnie energicznie koc. Więc ja ściągam też energicznie z tego ktosia. Kątem zaspanego oka wydaje mi się, że widzę Adama. Mimo szarpaniny, zapadam w głęboki sen.

21.7.77

Budzi mnie pianie koguta. Wyrzuca swoje bezczelne trele, jakby nie rozumiał, że tu śpią ciężko strudzeni nocnymi marszami! Ale coś jest nie w porządku. Za cicho! Trzeźwieję. Wokół pustka. Olbrzymia stodoła puściuteńka. Kilka koców, jakiś zostawiony chlebak. Zapomnieli! Zapomnieli o najważniejszej, po komendancie, osobie! O druhnie kucharce. Poszli rano gdzieś tam w te głębokie lasy. Przypomina mi się opowiadanie Duszka o pewnym instruktora, który, spóźniony, chciał dogonić drużynę i krążył dzień i noc po tych nieprzebranych borach, aż wrócił do Warszawy, żeby dostać dokładny plan

sytuacyjny.

Wychodzę na podwórze. Przy płocie jakaś sympatycznie wyglądająca kobieta karmi swój przychówek: wielkie, tłuste gęsi, perliczki, kury. Moja osoba nie podoba się gąsiorowi. On mnie też nie, nigdy nie lubiłam tego ostrzegawczego, przeciągłego syczenia. Zawsze miałam wrażenie, że musi mnie zaraz uszczypnąć w łydkę.

Przetak pełen ziarna, a ja taka głodna. Coś z tego musiało odbić się na mojej twarzy, bo kobieta, z ujmującym uśmiechem podchodzi i zaprasza do domu.

– Śniadanie już gotowe, może pani chce się umyć?

Chcę. Po obejrzeniu się w lustrze, zrozumiałam czego oni tak w nocy na drodze rechotali na mój widok. Mulatka, to biała kobieta w porównaniu ze mną.

Łazienka cudowna, kolorowe kafelki, woda bieżąca zimna i ciepła. W tej głuszy?

– Gdzie ja jestem? – pytam pani leśniczyny – I gdzie są wszyscy moi?

Dowiaduję się, pochłaniając trzecią filiżankę aromatycznej kawy, że to jest leśniczówka w Dźwierznie, a moi wyszli o siódmej rano w kierunku obozu. A teraz jest godzina 1200, słownie dwunasta w południe. Ja jestem wyspana i najedzona, ale oni! Taka to i druhá kucharka ze mnie.

– Gdzie to jest, proszę pani, ten obóz?

– Ach, to jest bardzo blisko, ze dwa kilometry drogą. Tylko trzeba pod górkę, koło cmentarza w lewo i potem przy takim pniu, na prawo, przy rozwidleniu, jak maliniak...

– Wystarczy, ja nic nie rozumiem. Pani mi to wyrysuje

Ona rysuje, a ja zabieram ze stodoły koce, ile się da, bo moich rzeczy już tu niema i rozpoczynam wędrówkę.

Ze zdenerwowania, zaczynam mówić do siebie głośno:

– Więc tu jest ten maliniak. Jezioro? Jest i jezioro, zaraz po prawej stronie drogi, a potem, za cmentarzem na prawo, w górę.

A dzień jest piękny, letni, upalny, pogodny. W połowie drogi, koło cmentarza, o ulgo!, spotykam ekspedycję ratunkową, wysłaną po mnie z obozu.

Teraz już szybciotko biegniemy tam, gdzie obóz. To znaczy miejsce na obóz, bo obozu nie ma. Usytuowanie jest obronne, na wysokiej górze. Kuchnia wręcz odwrotnie, nad jeziorem. Pokazują mi to ślicznie zarośnięte miejsce.

– To tu? – pytam z rozpaczą.

– Tu, tu. O! Już są rzeczy kuchenne i stoi nasza kuchnia!

Stać, to ona stoi, ten demobil wojskowy, ale jej prawie nie widać w leśnym gąszczu.

Wracamy bardzo stromą ścieżką pod górę. Miejsce jest prześliczne i prześliczny jest bałagan. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zbiorowisko wszelkiego sprzętu, za to ludzi ani śladu. Moja ekspedycja ratunkowa wsiąka w las. Gdzie są wszyscy? Jakiś mizerny chłopczyzna w kolorowej, przykusej podkoszulce wyłazi ze sterty koców.

– Gdzie jest mój sy..., nie, gdzie jest Jacek?

– Jacek ma ze mną wartę, ale on poszedł po wodę do jeziora.

– No to gdzie jest Duszek? – nie daję za wygraną.

– Który? Przecież my tu wszyscy „Duszki”.

– Komendant, komendant. O komendanta pytam.

– A, komendant pojechał do lasu po drzewo.

– Po drzewo? A tu mało?

– Mało – mówi chłopczyzna – bo to: na prycze, na stołówkę, do kuchni i jeszcze

na latrynę.

Patrzcie, patrzcie, jakie to mądre!

– A druh komendant kazał powiedzieć, – dodaje chłopaczek – że jedzenie będzie o trzeciej.

– A prowiant? – pytam coraz bardziej niespokojna.

– Prowiant jest. Jest wszystko, tylko nie ma chleba. Jest masło, ser, dżem.

– Jak to nie ma chleba?

– No, nie ma. Ma być na pewno wieczorem. To przez ten nasz późny przyjazd wszystko się pokręciło.

Rozumiem. Mnie się też w głowie wszystko pokręciło. Dwieście pięćdziesiąt kanapek tańczy mi przed oczyma foxtrota. Jakieś wyjście musi się znaleźć. W Warszawie do sklepu by się poszło. A tu?

Po drugiej stronie jeziora widać namioty. Idę na zwiad i ani się domyślam, że robi się ze mnie w tej chwili prawdziwy, zaradny harcerz, a właściwie harcerka.

Są namioty, jest ładna, porządna (uh! Jaka zazdrość) kuchnia i na półkach, o oskomo mych ócz, dziesięć świeżutkich pachnących bochnów. I ani śladu człowieka! Nie wiem, jak i kiedy trzy bochenki znalazły się pod wiatrówką.

Biorę to na moje sumienie, jak mawiał mój przedwojenny ksiądz proboszcz.

Więc nie tyle na sumienie, co pod wiatrówkę i... ale nie, tak nie można! Wracam, zostawiam karteczkę, że z przydziału wieczornego zwrócę i, pierwszy raz podpisuję się plenum titulum: „Druhna kucharka podobożu Sabat III”. Strasznie mi czegoś wesoło!

I kiedy z lasu, z daleka wiatr niesie śpiew (bez rzenia koni) i gwar głosów, na rozłożonych na trawie deskach leżą już apetyczne kanapki, pokrojone nożem, wyłuskany z olbrzymiego wora pt. SPRZĘT KUCHENNY. Na dwóch butlach gazowych kadry gotują się herbaty. Przy okazji, dowiaduję się, że ten, co ściągał ze mnie koc w nocy, to nie Adam, jak mi się wydawało, a najważniejsza, po komendancie osoba w obozie, Grześ kwatermistrz. Natychmiast mu się podlizuję podwójną porcją kanapek.

Ale słysząc już i rzenie koni. Na polanę, zjeżdża z góry druh komendant, stojąc na podwodzie, jest w rozpiętym galowym mundurze instruktorskim i... boso bo w stodole nie znalazł swoich butów. Od piątej rano zwozi z autokarów, rozrzucony po całym lesie, wzdłuż drogi od Łękini aż po Słosinko, nasz ciężki sprzęt.

22.7.77

Zrywam się o szóstej rano. Cały obóz pogrążony we śnie. Zbiegam do łazienki, czyli jeziora. Woda lodowata, więc tylko czubek nosa i ręce. Na więcej mnie nie stać. Wąską ścieżką, wśród lasu pachnącego świeżością podeszczową, idę na inspekcję mojej kuchni.

Kuchnia połowa ginie wśród płataniny chwastów, korzeni i przeróżnego zielska, wysokiego po sam pas. Jest mały, wciśnięty między kuchnię i pień drzewa zgrabny stoliczek, akurat taki, żeby na nim postawić sól, pieprz... (zapisać dla Grzesia: ziele angielskie). Dalej stoi stół, składający się z blatu położonego na czterech wysoko uciętych pniach. Teren tu nierówny. W miejscu, gdzie będzie u szczytu stołu stała kucharka, jest niżej, więc postawiono obciosany pień. Z niego to będę dyrygować całokształtem roboty. Już widzę oczyma wyobraźni ciąg roboczych rączek. Jedna para rąk nie zrobi wiele, ale jak ich ustawię tak, żeby jeden podawał drugiemu, ten następnemu...

Za plecami jest (kiedy oni to zdążyli zrobić?) duży, pojemny namiot kuchenny. W środku sterta desek, będą więc zapewne i półki. Widocznie pracowali nocą. W głębi namiotu piętrzą się świeżo ucięte suszki pachnące lasem. To zapas naszego paliwa na mokre dni.

O siódmej melduje się pierwszy zastęp kuchenny. Siedmioro. Z namaszczeniem rozpalają ogień. Szykujemy śniadanie. Pytam, czy nie widzieli Adama, ale nie wiedzą, który to. Więc pewnie zobaczą go dziś dopiero przy obiedzie. Grześ kwatermistrz zabiera dwóch ludzi (dwa małe szkraby w kolorowych podkoszulkach) po prowiant na obiad. Pierwszy obiad! Mam tremę, jak primabalerina na pierwszym występie. A najzabawniejsze jest to, że ja nie umiem dobrze gotować. Za przewodniczkę mam książkę kucharską. Prezent na nową, harcerską drogę życia od Krysi. Jest gruba (książka nie Krysia) i pewnie dlatego krupnik, ugotowany na pięciu kilogramach wspaniałej wołowiny jest doskonały. Nadlatuje głodna szarańcza. Tymczasem zupy ubywa i ubywa. Pochylona nad garem, rozgorączkowana, wydaję z rozpaczą ostatnie ode dna łyżki. Nawet nie wiem, czy był Adam. Pewnie jedna z wyciągniętych rączek z menażką była jego, a ja nawet nie zauważyłam! A on tak lubi krupnik. Nadbiega w bajecznie kolorowych koszulkach spóźniona i wygłodniała kadra. Łzy kręcą mi się podejrzenie pod powiekami. To nie mój domek w Warszawie, gdzie odkręcisz gaz, nastawisz szybciotko i głodnego nakarmisz. Ale oni śmieją się z mego zmartwienia:

– Daj, matka, chleba i dużo drugiego. – mówi Duszek. Więc daję.

Do obozu wracam późną nocą. Śpią już wszyscy, w namiotach jak się patrzy, czuwają tylko warty i komendant. Recytuję mu z karteczki:

– Schody pod górę, bo muszę czepiać się gałęzi, żeby wejść. A jak będzie ślisko i mokro, strach pomyśleć! Padnę, ani chybi padnę i to nie na posterunku, to jest w kuchni, ale w błoto.

– Tak, tak, ja wiem, – mówi komendant – ale nie wszystko jednocześnie. Dziś najważniejsze były prycze dla dzieci.

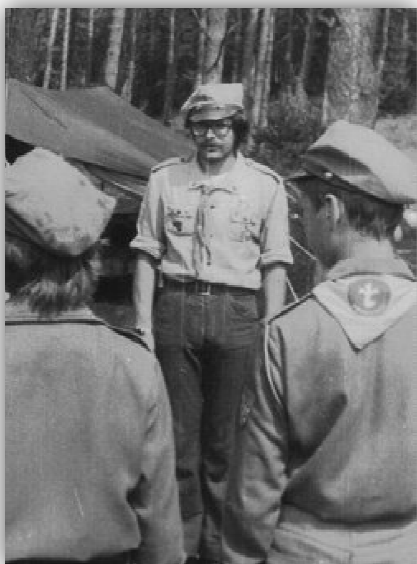
– Dobrze, rozumiem, ale kotły, dziś gotowałam tylko w jednym i z niego wydawałam, ale jutro, jak to będzie z wyjmowaniem, ryż mi się przypali.

– Nie szkoduj, matka, dam ci dwóch byków.

– Jeszcze jedna sprawa: Adam. Czy jest możliwe, żeby warta go budziła w nocy? Śpię tak krótko, że trudno mi się jeszcze dwa razy w nocy budzić.

– Tak, to możliwe. Zapiszę im to w książce wart.

Noc jest upiornie zimna, więc nie rozbieram się wcale. Po co. Będzie cieplej i rano będę szybciej gotowa. Przy nikłym blasku świecy odkrywam w kącie namiotu cztery grube, miękkie koce, które podrzuciła jakaś miłosierna (zapewne synowska!) dusza. Zasypiam na kamień, a w głowie kołacze myśl: „W jaką awanturę ja się znowu wpakowałam, i nawet nie widziałam Adasia”.



23.7.77

Budzę się znów o szóstej. Widocznie przyzwyczajam się. Wychodzę na plac apelowy. Idealny porządek, parę tylko jeszcze paczek nie rozładowanych. Więc ten wczorajszy bałagan był pozorny. Duszek wie

co robi, zna chłopak swoje rzemiosło. Wychodzę wielką, piękną bramą, która wieńczy zeribę. Jest nawet szlaban. W namiocie kuchennym są już zainstalowane półki i zielska koło demobilu wykarczowane. Kiedy oni to zrobili?

Głodna szarańcza przyfruwa punktualnie i punktualnie jest wydane śniadanie. Znow nie widzę Adama. Po śniadaniu melduje się grupa trzydziestu ludzi. „Wzrok dziki, suknia plugawa, noże za pasem” tylko miecz u boku nie błyska. To kartoflarze na kwadrans gospodarczy. Bardzo są zapyziali, bo zostawiają po sobie bałagan, ale rzeczywiście, po kwadransie około trzydziestu kilogramów kartofli pluszcze się w jeziorze.

Na obiad jest pomidorowa. Co to dla mnie! Głupstwo! Ale, pomna wczorajszego niedoboru, robię... sześćdziesiąt litrów, na wszelki wypadek. Nie może się powtórzyć wczorajsza kompromitacja. Oj, chomiku, chomiczku domowy!

Wszyscy dobierają po trzy i cztery razy, ale co zrobić z resztą pysznej zupy? Przeca nie wyleję do jeziora. Wpadam na pomysł zaczepiania obcych harcerzy, wędrujących koło naszej kuchni, ku im tylko znanym celom. Poczęstunek przyjmują bardzo chętnie. Zwłaszcza jeden. Szczupły, niewysoki o bardzo sympatycznej mordce. Czuję, że mogłabym go polubić. Wiem o nim tyle, że jest z innego podobozu, na imię ma Dżery. Więc Dżery likwiduje całą superatę zupową.

Po obiedzie wpadam na chwilę do obozu, żeby uzgodnić szczegóły kolacyjne z Grzesiem. Ale tu nikt nie ma do mnie głowy. Wszyscy z zapartym tchem, patrzą, jak komendant w praktycznej, brązowej koszulce i krótkich majtasach, podnosi i ustawia maszt. Nastrój powagi i napięcia. Kiedy wysoka, smukła sosna jest już okopana, próbuję nieśmiało podejść. Uzgadniam z Grzesiem co miałam do uzgodnienia i wtedy dowiaduję się ciekawych rzeczy. Otóż druh komendant ma już ustaloną tradycją poczynania odnośnie masztu. Sam chodzi do lasu, sam wybiera odpowiednie drzewo, sam ścina, koruje i taszczy na własnych barach do obozu. A potem, przez cały dzień, sapiąc, postępując, szkodując, przygotowuje narzędzia, wymierza linki, przybija gwoździe. Cały obóz uczestniczy w tych komendanckich misteriach. Duszek, z boku orientuje maszt do pionu. Na zakończenie, w kolumnę masztu, bardzo uroczyście, kadra (kolejno) wbija jedną dziesięciozłotówkę. Na szczęście.

Po drodze do kuchni napotykam tu i ówdzie przy brzegu jeziora myjące się dzieci. Szorują się, pucują, szaleństwo czystości. Niektórzy nawet coś przepierają. Przy kolacji wyczuwa się jakieś napięcie. Wszyscy są dziwnie grzeczni. Może to dlatego, że są tacy czyści? Ale nie, chyba coś się szykuje. Ale co? Nie mam czasu na zastanawianie się. Sprzątanie kuchni, mimo bardzo wydajnej pomocy zastępu kuchennego, trwa długo, bowiem kuchnia ciągle nie wykończona. Wysyłam wreszcie zastęp spać do obozu. Koło jedenastej w nocy, kiedy wszystko jest jak należy, wędruję samotnie na górę. Obóz śpi. Zasypiam i ja szybko. Po niespełna godzinie Duszek bardzo delikatnie rozsuwa poły mego namiotu i pyta dramatycznym szeptem:

– Matka, otwarcie! Chcesz być?

– Nie! – odpowiadam nie bardzo przytomnie. – Ja śpię. Jestem zmęczona.

Otwarcie czego? Pewnie drzwi do lasu. Co mi tam. Zasypiam błogo. Nagle do mych uszu dociera alarmowy sygnał trąbki i zaraz komenda:

– Alarm mundurowy dla podobozu!

Wdziera się to wszystko gwałtownie, przebojem, w moją nielogiczną, kobiecą

duszę. Ambicja każe zostać, ciekawość pcha na plac apelowy. Krzątania, gwizdki, poruszają mnie ostatecznie. A ja co? Tylko od garów? Niedoczekanie. Z ubieraniem nie mam problemów.

Potem jest już tylko pięknie! Ciemna, aksamitna noc, na szczęście ciepła, pochyla się nad polaną, na której odprawiają harcerskie misteria moje dzieci. Wszyscy w mundurkach, na galowo. Czyli, że tamte, prywatne kolorowości to był strój roboczy. Szukam wzrokiem Adama. Jest. Stoi wyprostowany, na baczność, w szeregu. Ani spojrzę na mnie.

To już nie są dzieci, to stoją, zastępami, równo, ładnie harcerze. Mrok nocy odbarwia ich mundury. Są szare, szare szeregi, młode, pełne zapału, zapatrzone w niewidoczny, daleki, a jednak istniejący cel. Flagi szeleszczą poruszane lekkim wiatrem, szepczą do siebie i ta biało czerwona, i ta błękitna „Duszków”. Ale są umieszczone jakoś dziwnie, tuż przy ziemi. Przecież powinny być hen, wysoko. Widocznie dużo się muszę jeszcze nauczyć z tego życia harcerskiego.

– Całość, baczność! Do hymnu!

Niosą się młode, prężne głosy:

– „Wszystko co nasze, Polsce oddamy...”

Flagi idą w górę.

24.7.77

Wpadam w panikę. Jest ósma rano, a ja jeszcze w obozie. Biegnę z górki na pazurki do kuchni. Zastęp kuchenny właśnie wykańcza śniadanie.

– Zrobiliśmy – mówią – tak, jak nas druhna kucharka nauczyła. Wszystko gotowe, tylko te ostatnie kanapki, to z dżemem czy z serem?

– Oczywiście z serem – odpowiadam. – Tamte z rybą, te z serem. Dżemu i ryby lepiej nie łączyć.

Są bardzo dumni ze swej zaradności. Czeka mnie jeszcze jedna niespodzianka. Kuchnia zmieniła w ciągu nocy swe oblicze. W namiocie są półki, a nad demobilem i stołem głównym, dach. Chyba były tu w nocy krasnoludki, albo, i to na pewno, silne, dobre krasnale.

Dziś wieczorem dowiedziałam się, że komenda wprowadziła punktację za... wszystko. Dostaję do dyspozycji dość pokaźny pakiet punktów do nagradzania za sprawne pełnienie funkcji kuchennych. Te punkty to małe, papierowe plakietki z wydrukowanym znaczkiem drużyny.

25.7.77

Kuchnia, ku zadowoleniu komendanta i stołowników, funkcjonuje jak w zegarku. Dochodzę do wniosku, że skoro tak dobrze dali sobie radę wczoraj, to może by w ogóle śniadania i kolacje robili sami, a ja z Grzesiem dysponowalibyśmy jadłospis. No tak, ale to będzie możliwe dopiero wtedy, gdy wszystkie zastępy przejdą choć jeden raz przez moje ręce.

Wydaje się, że ta cała, wielka maszyna kuchenna pracuje już trochę lepiej i sprawniej. Nieprzychylna obojętność i bezwład rzeczy martwych zostały pokonane wielu, pojedynczo słabymi, a w zespole zadziwiająco silnymi rękoma.

Zadręczają mnie wszyscy ciągle pytaniami, co będzie na obiad, czy śniadanie. Mam tego dość. Robię więc z grubego brystolu duszka, takiego samego, jakiego mają na chustach. Tylko mój jest podwójny i w brzuszku ma wycięte okienko, w które wsuwam trzy razy dziennie menu. Teraz na żadne pytania nie

odpowiadam, tylko, szalenie dumna, pokazuję przybitego do drzewa duszka. Punktacja wcale nie jest taka łatwa, jak mi się na początku wydawało. Muszę bardzo uważać, żeby nikogo nie skrzywdzić.

Dziś znowu był Dżery. Remanentu nie było, ale zostawiłam dla miłego niedojadka sporą porcję drugiego. Niech się przyżywia.

Warta przejęła oficjalnie budzenie Adama. Mogę trochę odetchnąć. Męska warta, świadoma rzeczy, wyrzuca go po prostu z pryczy, a żeńska dyskretnie gwizdże pod namiotem. Czyli wszystko gra. Dziś wieczorem jest ognisko, ale ja jestem za bardzo zmęczona.

Zastęp specjalny drwali zbudował po przeciwnej stronie drogi, na stoku, ładną stołówkę z pomarańczowym dachem, a w kuchni długi pomost.

Grześ, jako kwatermistrz, jest niezastąpiony. Wszystko, co wyczytałam w grubej książce kucharskiej, przynosi natychmiast ze zgrupowania. Przynosi też wspaniałe, olbrzymie grzyby, które pieczołowicie suszy. Dbą o nie, jak o niemowlaka. Przenosi z miejsca na miejsce z biegiem słońca, wacha je z lubością, po południu dosusza u mnie w kuchni, a wieczorem ma długą dyskusję, czy w nocy będzie im lepiej w komendzie czy w magazynie. Ogląda też bardzo często i długo swoją podobiznę w podręcznym lusterku (szaber Duszka z naszej warszawskiej łazienki). Rzecz w tym, że Grześ był przed wyjazdem u fryzjera i tak się śpieszył, że zapomniał powiedzieć golibrodzie, żeby ostrzygł go normalnie. Ten, korzystając z nieuwagi pacjenta, zrobił go na szaro, to jest na rekruta. I teraz Grześ trzy razy na dzień żali się głośno do tego lusterka, ku uciechu całej kadry:

– Co on ze mną zrobił, jak ja się pokażę, jak ja wyglądam, będę chyba płakać. Jestem przypadkowo świadkiem rannego apelu. Przegląd mundurowy. Lecą źle lub słabo przyszyte guziki. Dziesięć minut na przyszycie. Pierwsza wizyta Adama u mnie. Obcy, bez uśmiechu

– Ciocia ma igłę...?

Przyszywam mu te guziki i częstuję czekoladą. Odmawia. To dobrze czy źle? Chyba dobrze, ale dlaczego ten dystans. Czekam niecierpliwie na dyżur kuchenny „Puchaczy”, zastęp Adama. Jak to będzie? Może to coś zmieni? A w ogóle, to te zastępy, jako, że wywodzą się od „Duszków”, mają przedziwne nazwy: „Demony”, „Upiory”, „Straszdyła”, „Nietoperze”, „Puchacze”, „Remontki”... Aż strach się bać!

Kuchnia jest coraz ładniejsza i zadbana. Wyduszam z Grzesia zapotrzebowanie na biały papier. W wolnej chwili wycinam ząbki i ozdabiam nimi półki w namiocie kuchennym. Wygląda to według mnie bardzo kokieteryjnie, według druha komendanta, który musi, jak zawsze, wybrzydzać bardzo drobnomieszczkańsko. Ale w końcu łaskawie daje się przekonać

Mimo permanentnej nieobecności w obozie, wiem już coś niecoś. Dżery, to brat Rondla, naszego Rondla z zastępu „Nietoperze”. Z wolna rośnie kadra stałych poobiednich wyjadaczy. Twierdzą, że tylko u Mamy Duszek je się najsmaczniej. Oczywiście przesada, ale przyjemnie. No i wcinają. Nic tu się nie marnuje.

Wynalazek Grzesia, stara, zardzewiała blacha, która zakrywa akurat wylot jednego kotła. Świetne! Tu dochodzą sosy, mrugają zasmażki, smaży się na monstr patelni jajeczniczka ze stu jaj. Tu również, co skrzętniejsi, mogą w wolnej chwili robić grzyby w occie. Muszą się tylko podlizać kucharce jednym grzybkiem, bo, biedna, sterczy cały dzień przy ogniu, a lasy roją się od grzybów. Tu również smaży się rybki, łowione w jeziorze.

Chłopiec ma około 170 cm, rybka złowiona po godzinie moczenia wędki cztery

centymetry, a entuzjazm jak stąd do Żyrardowa.

Wypośredkowałam już zupy. Teraz wiem, po jaką plamkę w kotle trzeba nalać wody, żeby otrzymać potrzebną ilość zupy. A potem posyła się człowieka z zastępu kuchennego do obozu z hasłem:

– Dwa byki do kotła!

Dziś jest znowu ognisko i znowu nie pójdę. Kiedy właściwie widzę te dzieci? Bo nawet przy wydawaniu posiłków też nie za bardzo, bo każdy chwytą swoją porcję i gna do stołówki. Tyle tylko, że zaprzyjaźniam się na jedną dobę z każdym następnym zastępem kuchennym.



27.7.77

Co za radość, kiedy tłoczą się, przepychają i krzyczą przy duszkowym brzuszku:

– Ooo...flaki, dziś flaki.

No tak, bo flaczki z pulpetami to chyba precedens na obozie harcerskim. A jeszcze jak się weźmie pod uwagę ich pracochłonność? Ale już jeden zastęp zgłasza gotowość dodatkowej pracy. A za dodatkową pracę dodatkowe punkty. A ja dobrze płacę, mam gest (z komendanckiej kieszeni!).

Wybiegam po mój prywatny majeranek na górę, bo dziś kartoflanka. W obozie sądny dzień. Już z dołu słyszę donośny głos dh komendanta:

– To jest obóz??? To jest fabryka gwoździ, a nie obóz, par excellence. –

Wybiegam z powrotem (ciągle biegiem, bo tak łatwiej i z górki i pod). Całe szczęście, że mój namiocik nie podlega kontroli argusowego, komendanckiego oka. My home my castle. Mój namiocik jest tabu. Ale nie zawsze. Stał się terenem rozmów, w chwilach wolnych od zajęć. Staje się również azylem, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Taki przeskrobaniec leci do namiotu Mamy Duszek i przylega. Interweniuje obrzydliwie konsekwentna Kadra. Ale ja się nie poddam tak łatwo. Cóż to szkodzi, że w tej, świetnie zresztą zorganizowanej i funkcjonującej machinie obozowej zagnieździł się taki, maleński, prywatny, mamusiowo duszkowy azyl. Widocznie jest potrzebny, skoro dzieci często tu zaglądną. Dziecko dziecku nie równe. Jedno przyjmie naganę i karę, inne musi się uzalić i wygadać. A mnie łatwiej powie, niż komu innemu, zwłaszcza takiemu wielkiemu, niedosiężnemu, we wspaniałym mundurze ze srebrnym sznurem... I tak już zostało. Ja wcale ich nie bronię. Kary i nagany są tu zawsze słuszne i sprawiedliwe. Chodzi mi tylko o to, że jak takie dziecko czuje, że zupełnie nie idzie wytrzymać, to może Mamie Duszek, po swojemu wszystko wygadać. A potem taki delikwent wraca do zespołu pogodzony, rozumie swój błąd i naprawia go chętnie. Bo ja jestem nieugięta pod tym względem. Może to i niezgodne z regulaminem prześwietnej instytucji, której jestem szarą myszką kuchenną, ale staram się na dostępnym mi odcinku robić swoją dobrą robotę. Warty budzikowe działają bezbłędnie.

Dżery przyżywia się już systematycznie. Bardzo sympatyczny i uczynny chłopak. Zupełnie inny niż jego brat Rondel. To nie znaczy, że Rondel nie jest uczynny. Jest. Bardzo. Ale w Dżerym jest skupienie wewnętrzne, z którego prawdopodobnie nie zdaje sobie jeszcze sprawy. Wygląda, jak scyzoryk, który ma w sobie mocno skręconą sprężynę. Jeszcze rok, dwa i wyskoczy z niego świetny instruktor. A tymczasem to bardzo miły turkuć podjadek.

Grzyby latoś obrodziły fenomenalnie. Zapas Grzesia rośnie zastraszająco, a że

jest wybredny, wybiera tylko największe okazy. Ma już tego bogactwa trzy wielkie sznury.

Dziś postanowiłam wybrać się na ognisko. Jeszcze nigdy nie byłam. Adama na ognisku nie ma, bo ma wartę w Zgrupowaniu. Nie mam szczęścia.

Przygotowuję się jak stara turystka (boć taką jestem po prawdzie): dwa koce, latarka (znaleziona, słowo daję!), gruby sweter i wiatrówka. Do miejsca, gdzie są odprawiane ogniska jest jakieś sto pięćdziesiąt metrów, ale za to lasem, gąszczem, pagórkiem i ciemnością. Wokół mnie roi się od postaci, zdążających sprawnie i pewnie ku ognisku. Ale nikt nie ma latarki. Tylko ja. Orientuję się dopiero teraz, że w lesie, w nocy jest lepiej bez światła. Gwiazdy, księżyc, poświata, noc która nigdy nie jest ciemna czernią nieprzebitą, pozwalają oczom, po krótkiej chwili przystosowania, widzieć lepiej niż z latarką.

Przychodzimy do dużego, okrągłego klepiska. Na środku dostrzegam misternie ułożony stos chrustu. Dlaczego jeszcze się nie pali? Usadawiam się wygodnie na ziemi i moszczę się w moich kocach.

Szmer rozmów przerywa komenda:

– Powstań! Baczość! O rozpalenie ogniska proszę zastępowego „Nietoperzy”, druha Piotra Grądzia. – Rondel podchodzi do stosu i rozpala go.

Ciężko stać z kocami pętającymi się u dołu. Może by tak usiąść? Zrazu cicho, potem coraz głośniejsz rozlega się śpiew:

Już rozпалиło się ognisko,
dając nam dobrej wróżby znak.
Siedliśmy wszyscy przy nim blisko,
bo w całej Polsce siedzą tak...

Tu wszyscy siadają, ja znowu w te moje koce, a chłopcy siedząc w kukki, wbijają w ziemię finki i kładą na nie, zdjęte z głów czapki.

Zanim oprzytomniałam z wrażenia, pada następna komenda:

– Na strażników ognia proszę druhów Przemka Grzelaka i Romana Sytę.

Wstaje dwóch takich strasznie ważnych, czapki nasunięte prawie na oczy i to najważniejsze: paski pod brodą, a właściwie z nadgorliwości, na brodzie. To oni dokładają cały czas do ogniska, które płonie już wysoko. W czasie pełnienia tej zaszczytnej funkcji nie wolno im z nikim rozmawiać. Zresztą sami nie chcą, przejęci ważnością chwili.

Z tyłu, za plecami skradające się czyjeś kroki. Odwracam się zaskoczona. To dwie osoby, które spóźniły się. Jedna od nas, druga ze Zgrupowania. Ku memu zdziwieniu, mają w rękach jakieś wiechcie. Nie przepraszają za spóźnienie, wrzucają tylko te gałązki w płomienie, tak, jakby tam było mało chrustu.

Dopiero potem dowiaduję się, że jest to gest spóźniających się, gest ustalony tradycją, a wiechcie to były gałązki jałowca.

I zaraz potem spotyka mnie nagroda za moje azylowe poczynania. Jedno z dzieci prezentuje własny wierszyk:

Mama Duszek nam gotuje,
wieczór, we dnie, rano, w nocy
nie odmówi ci pomocy.

Policzki mi płoną z emocji.

Po zakończeniu ogniska stajemy wszyscy w kręgu. Ręce splecione. Uścisk

dłoni i szeptem wypowiedziane Czuwaj! przekazują ręce rękom, usta ustom, człowiek człowiekowi, bez względu na to, ile ma lat, czy jest pierwszy raz na obozie czy dziesiąty. Jednoczy on nas wszystkich w braterskim kręgu.

28.7.77

Od rana burza z piorunami. Potoki wody spływając z gór, rwą przez naszą polanę, opadają strumykami po naszych schodach i, posłuszne odwiecznemu prawu, wracają do jeziora. Na śniadanie schodzą wszyscy, ale z obiadem jest bardzo poważny problem. Decyzją komendanta obiad musi być dostarczony na górę. Jak rozkaz to rozkaz. I tu zgłasza się Rysio. Ciągnie sam, zupełnie sam kocioł z kartoflami, pilnuje, żeby się nie otworzył, choć gar zamknięty żelaznymi zaszczepekami na głucho. Na górze mówi z dumą, ocierając pot, a może deszcz z umorusanej twarzy:

– Dotargałem toto, par excellence. – Co oni z tym naśladowaniem Duszka.

Teraz jeden mały z warty sztorcuje drugiego, większego, że nie przygotował należycie magazynu, który ma dać schronienie kotłom i głodnym dzieciom:

– To jest sprzątnięty magazyn? To jest fabryka gwoździ nie magazyn, par excellence! – Rysio przy operacji dwa byki do kotła skaleczył się, niegroźnie, ale trzeba opatrzyć. Przychodzi do mnie do namiotu. Ten czekoladę bierze, nawet chętnie. W ogóle te dzieci z DD odróżniają się bardzo od innych. I chłopcy i dziewczęta. Nie wiem na czym to polega, ale to daje się wyczuć. To chyba ryzykowny eksperyment. Jeszcze nie wiem, co o tym sądzić, czy aby nie lepiej, żeby one wyjeżdżały wszystkie razem na obóz harcerski tylko dla dzieci z DD, czy też, żeby były rozrzedzane i to bardzo skąpo po innych obozach. Adam, dalej nieobecny. Chociaż inne dzieci, które mnie znają z widzenia z DD, Igną do mnie wyraźnie.

Wieczorem leje trochę skąpiej. Kolacja już normalnie ale za to w kuchni potop. Wody, spływające strumykami, podmyły brutalnie namiot i przejście z drogi do kuchni. Sprzątanie trwa długo. Kiedy wracam do obozu, wszyscy już śpią. Tylko w namiocie Adama rozrabiają. Nie dużo, trochę, więc warta nie interweniuje, ale wybija się głos Adama. Nie zdaje sobie widocznie sobie widocznie sprawy z cienkości ścianek. Jakaś kotłowanina. Nagle, jak z procy, wylatuje jeden w piżamie, widzi mnie i jak rażony prądem, podskakuje i natychmiast saltem nurkuje pod poły namiotu. Zalega cisza, a ja zalegam w śpiworze.

29.7.77

Najgorzej jest z kibelkiem, oficjalnie zwanym latryną. Jest trochę daleko i pod górkę. Wejść się jeszcze daje, ale zejść? Fakt, że latryna jest zajęta, ogłasza flaga z wymalowanymi piszczelami, którą wciąga się w takim przypadku na wysoki maszt.

Wieczór robi się bardzo szybko, bo deszcz co prawda nie pada, wisi właściwie tylko i grozi. Ponieważ w kuchni ogranicza się porządki do niezbędnego minimum, siedzę, już po robocie, w komendzie. Poły opuszczone, ale co raz ktoś, w kangurce wsadza głowę i ma bardzo pilną sprawę do komendy.

A tu nastrój rodzinny. Palą się lampy gazowe w śmiesznych, staroświeckich koszulkach. Przy długim stole, zastawionym najprzedziwniejszymi przedmiotami, każdy z nas odpoczywa chwilę. I mimo, że tylko chwilę, daje to bardzo duże odprężenie. Komendant opracowuje na jutro nowy odcinek mowy komendanckiej, której jeszcze ani razu nie słyszałam, bo gary mnie trzymają

twardo. Dwóch gra w szachy. Majówa (jest też na obozie jego młodszy brat, Majówka) czyta. On ciągle czyta, nic nie mówi i tylko ślicznie się uśmiecha. Nagle głowa warty w połach namiotu:

– Druhu komendancie, „Upiory” rozrabiają!

– „Upiory”, powiadasz, – komendant nawet głowy nie podnosi. Widocznie naszło go natchnienie komendanckie – rozrabiają, powiadasz. No i dobrze. Od tego są upiory, żeby rozrabiały.

Nagle przytomnieje.

– Co? Rozrabiają? Służbowy!

Majówa zostawia książkę i już tylko ciężko klapią poły namiotu. Wraca po chwili, bez słowa sięga po książkę i zagłębia się w czytaniu.

– Spokój? – pyta, a właściwie stwierdza druh komendant.

Majówa kiwa głową, ale komendant już tego nie widzi, bo dalej pisze.

– No, jest spokój, – mówi Grześ – przecież nic nie mówimy.

Grześ oczywiście w lusterku. Ogląda się, przegląda, przekrzywia twarz, ściąga usta, żeby lepiej widzieć i nagle ryczy:

– Są! Są cztery długie włosy! O! Patrzenie!

Zapada cisza. Nie wiem, co ja takiego przekazałam w genach dh.

komendantowi, ale ten ma słuch niesamowicie wyostrzony. Bez przesady, słyszy niemal jak trawa rośnie. My tu sobie gadu, gadu, dzieci w miarę hałasują, radio gra, on pisze. Aż nagle, bez słowa rzuca wszystko i wybiega tak jak stoi (a na dworze pada). Wyglądam za nim. Boże! Kolacja mu zaszkodziła! A mówiłam Grzesiowi, że ryb nie łączy się z dżemem. Ale on się uparł.

Duszek sadzi ogromnymi, bezszelestnymi skokami przez plac apelowy w kierunku latryny. Więc jednak! Ale po drodze, na migi zwołuje wartowników.

Ręką pokazuje ruch okrążający z lewej i z prawej strony.

Właściwie nikt z obecnych w Komendzie nie zorientował się, że coś się dzieje, dopóki poły namiotu nie rozsunęło sobą dwóch obcych, bardzo dziwnych chłopaczków. Za nimi, ze skromną minką wsunął się komendant, zajął swoje miejsce (słynny stołek komendancki) i dalej pisał. Chwila martwej ciszy.

W Grzesia z nosem w lusterku, w tego zawsze spokojnego Grzesia wstępuje demon. Niedostrzegalnym ruchem chwyta, leżący obok, na ławie, duży kij, trzaska nim o brzeg stołu i jednocześnie syczy:

– Podchodów wam się, trutnie, zachciało? Ha! Trutnie! Latrynę chcieliście nam ukraść? A nie wiecie wy, trutnie, że nasz obóz jest nie do zdobycia, bo to jest obóz „Duszków”?

Okazało się potem, że chłopcy na własną rękę, bez porozumienia się z własnym komendantem, zrobili sobie małą wycieczkę. Wypuściliśmy ich za niewielkim okupem. Okopali trzy podtopione namioty.

30.7.77

Dziś dyżur w kuchni obejmują „Wiewióry”. To zastęp dziewcząt z DD. Zastęp pracuje rzeczywiście jak wiewiórki. Robią wszystko wspaniale, zgodnie, sprawnie. Znać dużą wprawę wyniesioną z DD, gdzie często spełniają funkcje gospodarcze. Po dwóch godzinach podzastępowa zwraca uwagę zastępowej na złe, niewydajne rozłożenie roboty.

Przyglądam się tej utarczce z boku. Od słowa do słowa, zastępowa obraża się ciężko i po prostu opuszcza samowolnie teren kuchni. Podzastępowa podchwytuje okazję i zajmuje jej miejsce. Dyryguje dziewczętami nawet nieźle. Ale po godzinie wraca zastępowa. Czuje się zagrożona i zaczyna się czeplić.

Okazuje się, że w zastępie jest rozłam. Frakcja zastępowej jest w mniejszości. Dziewczęta skaczą sobie już prawie do oczu. Kładę temu szybko kres, ale zastanawia mnie ten incydent.

Po następnej godzinie buntuje się jedna z młodszych „Wiewiór”, a potem już cały zastęp jakby zasypiał. Snują się bezradnie, wszystko im z rąk leci, trzy razy trzeba do nich mówić, żeby jako tako dotarło.

Po jakimś czasie, równie nagle ożywiają się. Przypomina mi to Adama z moich pierwszych z nim doświadczeń. Zupełnie to samo, tylko on był u mnie w domu sam, a tu grupa. W grupie nastrój, każdy nastrój potęguje się i jest bardziej zaraźliwy. To nerwica, tym gorsza, że grupowa.

Wieczorem nikły blask mojej świeczki przyciąga wartownika. Dziś wartę ma Rysio. Pyta, czy może na chwilę, bo ma sprawę. Ten czekoladę chce, tylko prosi, czy może trochę więcej, bo chciałby dać także swoim chłopcom. Zastęp Rysia też składa się z dzieci tylko z DD. Oczywiście dostaje. A jego sprawa wygląda tak, że on chciałby wiedzieć, chciałby się zapytać, czy może, tak, jak inne dzieci mówić do mnie Mamo Duszek.

31.7.77

Apel wieczorny. Nareszcie sobie pośpię. Zakopana w koce po uszy, widzę już moje ciepłe, warszawskie mieszkanko. Ostry gwizdek. Alarm alpejski dla zastępu VI. To zastęp Adama. Wystawiam jedno ucho. W jego namiocie śmiechy, chichoty i niecenzuralności. Nie wytrzymuję, zapalam świeczkę, czołgam się do wejścia uwikłana w śpiwór po pas.

Przykładam jedno oko do szpary zepsutego suwaka. Ciemności. Miga tylko latarka instruktora służbowego. Słyszę jego głos, wyliczający bezlitośnie:

... jeszcze 5 minut, jeszcze 4, jeszcze 3 minuty do ciężkiego.

Przebiega wartownik.

– Hej! – szepczę – hej! Co oni narozrabiali?

– Wyrażali się, druhnno kucharko. Po ciszy nocnej!

Ale ten nocny gacek ma słuch! Dalej śmiechy. Ale to już chichocze zupełnie jawnie kadra. Do mego namiotu podchodzi schylony Duszek i szepcze:

– Matka, zgaś ta świca, bo cię widać!

Ohyda... i to własny syn! Ale ja muszę wiedzieć, co ten adasiowy zastęp zmalował i jak to się skończy. Już wiem, że alpejski z Alpami ma wspólne tylko koce przez ramię. Potem ci ukarani gdzieś odmaszerowali, ale nie daleko, bo zaraz wrócili. Wreszcie cisza.

Nagle, w tej ciszy głos Adama. Co on mówi, ja nie mogę ani powiedzieć ani napisać. Zęby bołą słuchać. Wtóruje mu radosny rechot reszty.

Ostry gwizdek.

– Alarm ciężki dla Adama.

O rety! Sto! to Adamisko, umundurowane, plecak załadowany po wierzch.

– Co powiedziałaś?

Cisza.

– Pytam, co powiedziałaś?

Milczenie. Szumią tylko jodły w górze,

– Padnij!

Gruchnęły menażki, kubek.

– Powstań! – Przy wstawaniu wypada mu szczoteczka do zębów.

– Więc co powiedziałaś?

Mówi, ale cichutko.

- Tu nic nie słyhać. Przynieść ci tubę?
- Nie, nie, ja już mówię.
- No i idzie wyliczanka. Uczciwie, kolejno, prawie wszystkie litery alfabetu.
- Pastę do zębów masz?
- Tak, mam.
- No to idź, bracie, do komendy, tam jest woda. Przynieś i szoruj zęby
- Szoruje pilnie jak nigdy.
- Baczność! Czy już wiesz?
- Wiem, melduję, że ja już nigdy!
- Teraz zapada nareszcie solidna, niczym nie zmacona cisza.

1.8.77

Wielkie święto, przynajmniej dla nas dorosłych. Godzina „W”. Po co dzieciom przypominać, wślaczać w głowy? Okazuje się, że właśnie trzeba, aby pamiętały, aby nie dopuściły do powtórzenia się tamtych czasów. A czym skorupka za młodu nasiąknie... Są bardzo przejęci i zainteresowani. Robią wywiady z kim się da, ze mną też i w rekordowym tempie przygotowują bardzo ciekawy program. Są nawet wiersze Baczyńskiego.

2.8.77

Wieczorem mam gości. Przychodzi Rysio. Dużo pyta o wczorajszą uroczystość. Opowiadam. Interpretuję. Interesuje go szczególnie polityka. Potem przyturlał się Grześ. Z grzybami oczywiście. Ma już cztery sznury. Martwi go, prócz własnych włosów, czy grzybom, aby nie zaszkodzi chłodna noc. Może by tak w koce? Co on jeszcze wymyśli? Ale w sumie to bardzo miłe, bo to chłopisko zbiera grzyby dla swojej mamusi

Wyrzucam wreszcie gości, bo jest jeszcze wcześniej, dopiero dziesiąta w nocy, a w kuchni jest okazjonalnie dużo gorącej wody. Zdamę jeszcze zrobić pranko komendancko, adasiowo, moje. Ale tu rewelacyjne oświadczenie komendanta:

- Matka! Doba nie guma! Nie przesadzaj, druhnio kucharko! W tył zwrot i do... śpiwora marsz spać!
- O nieba! I to się nazywa syn, synek, syneczek!

3.8.77

Mówi się o trzydniowej wycieczce. Kierunek Koszalin. Ale, że pogoda ciągle niepewna, więc odkładają. Długa rozmowa z komendantem o Rysiu wiele mi wyjaśnia. A propos Rysia, gdzie jest Adam? Co z nim? Duszek wyjaśnia, że według niego, Adam jest zafascynowany obozem, choć robi to trochę jak lunatyk. Poruszam również sprawę gimnastyki. Dlaczego dzieci nie gimnastykują się?

- Matka! – powiada – przecież ty wstajesz o szóstej rano, a pobudka jest o siódmej. Co ty wiesz, co oni robią cały, długi dzień? Jest już zrobiona ścieżka zdrowia i rano cały obóz przykładnie ćwiczy.

Rzeczywiście, co ja wiem? Nic lub prawie nic. Nawet nie widzę ich wszystkich razem. Wyczuwam tylko stale ich obecność wokół mnie.

4.8.77

Nareszcie ładnie. Prawie lato. Obiad dziś na piętnastą, bo nie dowieźli mięsa. Mam wolne dwie godziny. Jeden z zastępu kuchennego pilnuje kuchni, reszta łązi luzem po lesie, czujna tylko na mój alarmowy gwizdek (mam własny!).

Jeden długi gwizd i trzy krótkie – powrót do kuchni! Trzy krótkie – przywieźli mięso!

Siłą przyzwyczajenia idę do obozu. Może wreszcie nakryję Adama. Już mi tęskno za nim. W obozie dzieci ani śladu.

– Na zajęciach terenowych – informuje uprzejmie warta. – Ale jest kadra – dodaje usłużnie.

Idę do namiotu komendy. Tuż przed wejściem potykam się, przerażona, o leżące na ziemi ciało. Po sekundzie dociera do mnie, że to tylko manekin. U wejścia do namiotu wpadam na Grzesia. Oczy ma głęboko podkrążone, na głowie stary, zardzewiały hełm niemiecki. Pod hełmem widać brudny bandaż. Z bandaża kapie krew. Majówka płacze się w wielkiej sieci na ryby. Co się tu dzieje? Komendant miota się z notesem i ołówkiem w rękę.

– Apteczka! – woła – Ewa, pamiętaj o apteczce!

Ja myślę! W sytuacji Grzesia apteczka więcej niż konieczna

Przez hałas i gwar ich podnieconych głosów co raz pada słowo: biskopt. Słowo właściwie dobrze znane i apetyczne. Ale co ma biskopt do biegu? Bo to ma być Bieg Biskoptów. Na razie nadbiega wartownik, oczy ma okrągłe z emocji, jak spodki.

– Druhu komendancie, wracają!

Nic z tego nie rozumiem. Rekwizyty błyskawicznie giną w komendzie. Grześ, normalny, zdrowy, kochany Grześ przegląda się w lusterku. Wszyscy mają miny niewiniątek. Co to było?

Ścieżka biegła stromo. W połowie góry rozwidła się. Obydwa odcinki ku dołowi pełne wybojów, kamyków i korzeni, trudne były do przebycia za dnia. Były nieprzychylnie stopom, szukającym dogodniejszego oparcia, tym bardziej ciemną, bezgwiezdą i bezksiężycową nocą, tym bardziej stopom dziecięcym. Przed dojściem do drogi, obejmującej jezioro Głębokie, obydwie odcinki przechodziły przez mieszany las. Nie było go dużo, ale wyjście z obozu, to był pierwszy styk z nieznanym. Las był ciemny, pełen szelestów, szumów i kształtów wyolbrzymionych cieniem nocy i własną, niedospaną i wyrwaną ze snu wyobraźnią.

Dalej, już na dole, można było pójść w lewo lub w prawo. Tak czy inaczej, zawsze okrężało się jezioro. Ale który z kierunków by się nie obrało, nie zmieniało to sytuacji. Bowiem jezioro było co prawda dość widoczne mimo nocy, ale za plecami stał gęsty, groźny mur lasu.

Do komendy idę o wyznaczonej, jedenastej godzinie w nocy. Cisza dawno uspiętego obozu kontrastuje zaskakująco z gwarem w komendzie. Tłok jest taki, że ledwo się wciskam. Przyszli komendanci i instruktorzy z innych podobozów, ludzie ze Zgrupowania. Jest też pielęgniarka, nasza Piguła, która z emocją (kto kogo ma tu ratować?) wyszeptala mi, że ona też jest Biskoptem. Komendant szybciotko, według planu, rozdziela funkcje i odcinki. Mnie dostaje się miejsce na dole, przy drodze, obok naszej kuchni. Na oznaczony sygnał, mają umilknąć wszelkie rozmowy, teraz bowiem, ustawieni co dwadzieścia metrów, na przemian z obu stron drogi, możemy sobie jeszcze pogadać. Przed sobą mam ścięte drzewko, utrzymywane za pomocą skomplikowanej płataniny sznurów w pionie, za sobą zaś okrwawionego Grzesia.

Sygnał w ciszy, na który czekamy w napięciu, oznacza, że służbowy w obozie

obudził pierwszego delikwenta Biskopta i polecił mu okrążyć bez latarki jezioro. Długość okrążenia około półtora kilometra. Budzi ich w odstępach dziesięciominutowych.

Idzie taki chłoptaş, mówi coś głořno do siebie. Kiedy się zbliża, słychać poszczególne słowa:

– Nie boję się, nic mi się nie może stać! Jestem odważny, nie boję się! To szkoła druha komendanta. Chłoptaş przeszedł przedtem już kilka niespodzianek i w zasadzie wie, że to nie tylko samo okrążenie jeziora nocą. Jest, w pewnym sensie, przygotowany na wszystko.

Właściwie emocji zbyt dużo nie ma, bo dzieci, uodpornione wcześniejszymi nocnymi i dziennymi grammi terenowymi, zachowują się prawidłowo. Tylko przy przechodzeniu dziewcząt słychać z reguły piski i chichoty:

– O rety, o mamoo!

Przy przejściu kaźdej przeszkody, pilnujący ją, ujawnia się i gratuluje Biskoptowi odwagi. Potem posyła go w dalszą drogę.

Teraz idzie Jacek, jedenastoletni chłopiec, uroczy, zorganizowany nad podziw. Półsierota. Ojciec opiekuje się nimi sam. Jacek ma starszą nieco siostrzyczkę, Magdę, która jest też na obozie.

Ta mała, szczupła, dwunastoletnia dziewczynka opiera go, opiekuje się nim i bardzo dba o niego. Lubi też przychodzić do mnie, do namiotu. Przynosi mi a to kwiatek, a to grzybek a czasami poziomki na listku. A najbardziej lubi, przed ciszą nocną, przyjść powiedzieć mi dobranoc i przeczytać szybciotko cudowny, pełen rad, obaw i miłości list od ojca.

Jacek idzie bardzo odważnie. Przechodzi koło mnie, nieświadom, że co piętnaście, dwadzieścia kroków stoją, głęboko ukryci w ciemności i lesie ludzie pilnujący i ubezpieczający. Zbliża się do Grzesia. Ten wychodzi na drogę, oświeśla siebie latarką. Jacek rzuca się przed nim na kolana i woła:

– Panie Niemcu, niech mnie pan nie zabija, ja muszę do Duszka, ja mam rozkaz i muszę go wypełnić!

Grześ nie wytrzymuje. Wybuchu śmiechem, ujawnia się i wskazuje malcowi dalszą drogę. Jacek mija mnie i słyżę, jak mówi do siebie:

– No, no, ale Kwater ma pomysły! – Wpada na podcięte drzewo, które z trzaskiem leci na bok. – Tego drzewa tu nie było dziś rano! Ja wiem – woła – to pułapka! – Śmiechy i radość.

A potem zwijamy kolejno posterunki leśnych ludzi i idziemy w las, gdzie dawno już czeka na nas wielki, wesoły płomień ogniska.

Rozśpiewany i wesoły tłum przyjmuje kolejno zgłaszających się po ukończeniu biegu. Wymianie emocji, przeżyć nie ma końca. Teraz wszyscy są strasznie bohaterscy.

Adaś, jeden z pierwszych na trasie, siedzi już przy ognisku. Przeszedł tak spokojnie obok mnie, że go nie zauważyłam. Patrzy w płomień i jest głęboko zadumany. O czym myśli? Co go tak fascynuje? A może czuje, że dziś, po raz pierwszy w życiu przekonał się, że można pokonać własne lęki.

Bo dla wszystkich dzisiejszych biskoptów, ten bieg to właśnie pokonywanie lęków, udowodnienie swoich możliwości tam gdzie nie ma taty i mamy.

5.8.77

„Dzień jak co dzień, zwykły dzień jak co dzień...” sąsiad nawet na harmonii nie gra, bo jej nie ma. Adaś zrobił mi dziś wielką przyjemność. Spotkałam go przypadkowo w lesie. Samego. Szedł z jakimś poleceniem do Zgrupowania. Był

miły, ciepły i nawet wycygnął czekoladę (a jednak!).

Do kuchni około godziny dziesiątej zsunął się na skróty chyżymi, sprężystymi skokami osobiście sam druh komendant.

– Matka! Mamy wizytację w obozie, z Warszawy. Główna Kwatera. Zrób COŚ! Tyle go widzę, Wpada Grześ. Włos nie rozwiany, bo jeszcze nie urósł. Nic nie mówi, chwyta za szpadel i piaskiem z kącika przeciw pożarowego wysypuje ścieżkę przed kuchnią. Zwariował? Kto uwierzy, że trzy razy dziennie wysypuje się podejście do kuchni i stołówki? Nasza kuchnia i stołówka są zawsze czyste i zadbane. Ale pewnie, pewnie, złe nie śpi.

Nadchodzą. Orszak, jak obchód w klinice chirurgicznej. Miejscowa Komenda Zgrupowania jest dziwnie przytłumiona. Uśmiechają się do mnie uroczo, jakby nie pamiętali o moich, przebojem wycygnianych dodatkach i różnych, niebywałych na obozach, wymaganiach przyprawowych.

A sama wysoka kontrola to wcale nie złe, tylko uroczy, starszy pan, harcmistrz Polski Ludowej. Przedstawia mi się bardzo elegancko i szarmancko całuje spracowaną dłoń druhny kucharki.

Kontrola przebiega pomyślnie. Dostajemy wysoką ocenę. Po ich odejściu postanawiam zrobić COŚ. Ale to tajemnica.

Gwiżdżę trzy razy krótko. Moje dyżurne wróbelki zlatują się prawie natychmiast. Odbywamy krótką, gorączkową naradę.

– A jajka są? – pyta praktyczny Andrzej.

– Tak. Mam. Ja zawsze mam zapas normatywny. Ale cukru pudru nie mam.

– To nic. My zaraz, druhno kucharko, w gazę zwykły cukier i kamieniem go, kamieniem!

– A ogień? – pytam – Tu trzeba będzie dość długo palić.

– Ja – zgłasza się Piotrek.

Rozdzielam funkcje. Ja robię ciasto, a wałek? Butelka, zawinięta w mój prywatny, włochaty ręcznik załatwia sprawę.

Duże płaty ciasta wycina Robert. Roman podaje do demobilu. Piotr II kładzie na monstr patelnię. Następnie Andrzej zdejmuję z niej i oddaje na trzymane w pogotowiu półmiski, potem, pełne, odkłada na podręczny stolik. Maciej posypuje cukrem pudrem. Robota idzie, jak w Fabryce 22 Lipca lub przedwojennej E. Wedla.

Robimy jeszcze z dwóch bloków listowych małe tacki (pięćdziesiąt pięć sztuk!). Potem wszystko zostaje zamelinowane w namiocie kuchennym i najmniej łakomy pilnuje wejścia.

Po obiedzie, który, zrobił się zupełnie sam na demobilu (jednak świetny ten demobil!) następuje najważniejszy moment. W Zgrupowaniu wielkie debaty. Jest gość, są wszyscy komendanci podobozów i cała Komenda Zgrupowania. Siedzą przy długim stole w namiocie (jak mi doniósł mój prywatny wywiad) i radzą. Wszyscy, prócz gościa, są lekko stremowani. Bądź co bądź, podsumowanie kontroli. A złe, jako się rzekło, nie śpi

Warta rozsuwa poły namiotu. W jasnym prostokącie wejścia staje mały, może dziesięcioletni chłopiec. Na głowie ma autentycznie biały, wysoki czepek kucharski. Od bioder zaś zwisa mu w charakterze fartucha, czysty, biały ręcznik

Chłopiec rozgląda się bystro po obecnych, podchodzi śmiało do stołu i ostrożniutko kładzie przed gościem dużą tacę, zakrytą białą gazą.

– Druhu harcmistrzowi Polski Ludowej, melduję przyniesienie od obozu „Duszków” faworków.

Bo to były faworki ! Zupełnie nie wypada powiedzieć, co się tam działo, a gościa zaintrygował najbardziej cukier puder.

6.8.77

Dziś w kuchni ma dyżur zastęp Adama. Zastęp jak zastęp. Nawet niezły. Tylko Adam. Właśnie! Śmieje się głupkowato, jest nonszalancki, pakuje palce we wszystko, co jadalne. Na uwagi nie reaguje. Ogniomistrz wysłała go po chrust, a Adam wraca po godzinie z jedną gałązeczka. Dzieci są bardzo koleżeńskie, a w dodatku orientują się już w sytuacji Adama względem mnie. Więc właśnie dlatego Adam zostaje ukarany. Czy dlatego, że komendant to Duszek, a druhna kucharka to ciocia, wszystko mu już wolno i myśli, że ujdzie mu to płazem. Kara jest dość wysoka. Wyszorowanie kotła po obiedzie. Mina mu rzednie, bo po obiedzie, jeśli zastęp kuchenny uwinie się szybko i dokładnie z robotą, mamy razem pójść na grzyby. Stoi jak słup. Na pytanie, dlaczego nie zabiera się do szorowania, wzrusza niegrzecznie ramionami i mówi, że przecież kocioł nie jest pusty, a poza tym jest ciężki. Ciężki to on jest, to prawda, ale trzeba go sposobem. Wystarczy włożyć przez duże ucho ścierkę, zrobić w ten sposób przedłużenie ucha i ciągnąć z boczem na pomost. Mała Magda robi to doskonale, a Adam nie może?

– Więc ja ci pokażę, jak to się robi – wołam.

Przeciągam kocioł nad wodę. Adam podbiega i odbiera mi go. Reszta zastępu stoi w milczeniu i patrzy. I tu przychodzi mi na myśl, że może za szorstko, za publicznie załatwiłam sprawę, nie licząc się zupełnie z chłopcą, drażliwą ambicją.

Sytuację rozładowuje ostatecznie czyjś głos, dochodzący z pobliskich szuwarów:

– Bonjour, Madme!

Zdumiona, odwracam się. Moja uczennica, Ewa, przycumowuje właśnie kajak do pomostu. Przyплыnęła z drugiej strony jeziora, ze Zgrupowania. Przywiozła dla swojej Madame lilię wodną i już odpływa, bo kończy się jej wolny czas. A ja idę zrobić Jackowi, bratu Magdy, opatrunek, bo biedak nabawił się czyraków. Bardzo to bolesne. Leczymy go z Pigułą na zmianę, ale chłopiec jest tak ruchliwy, że to nie daje większych rezultatów.

Wieczorem wielka radość, przyszła bowiem poczta dla podobożu. Jest i dla mnie, cudowny, kochany list od Krysi. Czytam raz, czytam dwa, potem Adasiowi, który nagle przypomniał sobie dom, dzidziusia i koniecznie chce wiedzieć, co pisze ciocia Krysia. A potem, późną nocą, kiedy cały obóz pogrążony jest w głębokim śnie i tylko warty czuwają, w komendzie pali się długo lampa. Czytamy z Duszkim, już nie komendantem w tej chwili, a wujkiem, bardzo wzruszeni:

„(...) Już trzeci dzień zabieram się do napisania do Was, a TO jak nie kwęknie, to zapiszczy, jak nie siusiu to jeść i znów odkładam pióro. Od trzech dni jest z nią kontakt. Odwraca za mną głowę, czyli słyszy i widzi. (...)”

7.8.77

Pełnia lata. Obserwuję przy rannym apelu Adama. Rzeczywiście, zachowuje się nieco jak automat. To trochę wygląda tak, że kiedy np. pada komenda: bacznosc, on najpierw szybko obserwuje, co robią inni, a potem szybko przyjmuje taką postawę, jak oni, ale w sposób, jeśli tak można się wyrazić, zewnętrzny. Nie spręża się, a naśladuje zewnętrzne oznaki tej postawy na

baczność. Zastanawia mnie to. Może lekki niedosłuch. W zasadzie słyszy i to dobrze. Może z opóźnieniem reaguje na głos. Chyba słowo automat nie jest właściwe. Może on jest wewnątrznie ciągle napięty, zjeżony, podświadomie boi się pewnie, żeby nie odróżniać się od innych.

Wracam do kuchni. Dowieźli wraz z innymi środkami, niezbędnymi w kuchennej apteczce, Dermatol. Mogę więc zrobić suchy opatrunek Jackowi. Z jego nogą nie jest wesoło. Choroba objęła prawie całą lewą nogę.

Wieczorem ognisko. Idę, niezbyt chętnie. Jestem zmęczona. Adama nie widzę. Gdzie on ciągle przepada? Stale słyszę: na zbiórce, w lesie, na zwiadzie, na grach terenowych, poszedł na wartę do Zgrupowania. Tłumaczę sobie, że gdyby mnie naprawdę potrzebował, to znalazł by mnie łatwo na osi obóz–kuchnia. Komendant twierdzi, że to dobrze, że to prawidłowy, zdrowy objaw. Czy ja wiem?

Jutro na obiad wołowina. Trzeba nasolić, bo się zepsuje. Na śniadanie konserw nie dam. Były wczoraj. Trzeba by jeszcze może pomidory...

– O rozpalenie ogniska proszę druhnę kucharkę!

Wszystkie wołowiny i pomidory uciekają szybko, wyparowują. Na zewnątrz wygląda to tak, że idę wyprostowana, lekko uśmiechnięta. W środku zaś panika, niepewność. Ręce mi latają, a na dokładkę jestem krótkowidzem. Jak ja do tego ognia, jak rozpalić? Klękam na jedno kolano (łupie w krzyżach, oj łupie!), biorę przygotowane pudełko zapalek, ale przecież mówili, że trzeba jedną zapalką. Czuję czyjąś rękę na mojej i bardzo dyskretny szept:

– W pudełku są wysunięte zapalki, podpalaj śmiało! – Niezawodny komendant. Żebyż się tylko rozpałiło!

Wkładam niepewnie palące się zapalki do domku, którego obecności w stosie nawet nie podejrzewałam. Płomień mego ognia bucha nagle, pomarańczowe błyski biegają po czarnych gałązkach, coraz dalej, szerzej, wyżej. Ogarniają szybko i większe szczapy. Teraz płonie już cały stos, a jego silny, piękny ogień wzbija się równo, wysoko, rozświetlając mroki polany odwiecznym, ciepłym, otuchą napętniającym serca, blaskiem.

Lekkie chybotanie płomieni wydobywa z ciemności fragmenty twarzy, rąk, błyszczących oczu. Niepowtarzalna chwila! Jak ją zatrzymać? Jak utrwalić tę ciszę nocy, trzask ognia? Tak rodzi się braterstwo.

8.8.77

Wieczorem ciągle ktoś wybiega na plac apelowy, zadziera głowę i stwierdza, że jutro będzie pogoda. Grześ kwater z ludźmi znosi prowiant w koszach do magazynu. Pewnie na jutrzejsze śniadanie, bo na dzisiejszą kolację już mam. Zaraz schodzę, machniemy dwieście pięćdziesiąt sztuk kanapek i po kompocie, jak mawia nasz Rondel. Ale dlaczego tak dużo prowiantu? Kiedy jednak i komendant wychodzi na plac z nosem do góry i powiada autorytatywnie, że tak, że pogoda jutro będzie murowana, nie wytrzymuję:

– Co wy robicie? – pytam łagodnie.

– Jak to co? – odpowiada mój syn wesolutko – to druhna kucharka nie wie, że jutro rano wyjeżdżamy na trzy dni, na wycieczkę? Na rajd?

– Nie – odpowiadam oschle – nie wiem! Ja zawsze dowiaduję się ostatnia...

Nie jest to do końca sprawiedliwe, ale ze złości, nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Służbowy! Przekazałeś druhnę kucharce o wycieczce?

– Nie zastałem druhny kucharki w kuchni.

- No i co? Tak zostawiłeś sprawę?
- O nie, druhu komendancie, przekazałem wartownikowi. Miał powtórzyć.
- Warta! Powtórzyłeś?
- Nie, druhu komendancie, bo druhna kucharka nie przechodziła przez bramę.
- No tak! Ja mam inteligentnych ludzi! Przecież druhna kucharka stoi tu, jak... – tu się zacina, bo pewnie chciał powiedzieć, jak byk, ale się połapał, że coś nie tak, a krowa, to już żadną miarą nie mógł. – To co ty myślisz, patafianie, że druhna kucharka przefrunęła przez zeribę?
- No nie, może weszła drugą furtką, no i...
- No i co? Taki z ciebie i wartownik! Ech!

Ta wymiana zdań, z mojej zresztą przyczyny, nie załatwia nic. Fakt pozostaje faktem: jest godzina osiemnasta, na kolację dwieście pięćdziesiąt sztuk kanapek, na śniadanie dwieście pięćdziesiąt (wychodzą o piątej rano) i na drogę dwieście pięćdziesiąt, co czyni razem, jeśli znam chiński, siedemset pięćdziesiąt sztuk.

- Więc nie rób śniadania – proponuje ugodowo komendant.
- O nie! To się po mnie nie pokaże! W podróż, o bladym świcie na głodniaka? I jeszcze nie wiadomo, jak to będzie w drodze z jedzeniem?
- Co się druhna kucharka łamie? – próbuje łagodnie kwater.
- Pomożemy, druhno kucharko! – to Rondel przymilnie uśmiechnięty. Chwytać za słowo! Pomogą to pomogą! Ja schodzę na kolację (której jeszcze niema) i grzyby muszę zabrać, bo już wieczór i chłodno. Macham ręką i idę zrobić opatrunek Jackowi. Aha, a co z chorym? Ale komendanta już nie ma, wsiąkł w las. Pewnie! Tak najłatwiej! Idę więc jeszcze do Zgrupowania i uzgadniamy, że Jacek na wycieczkę nie jedzie i może zostać w obozie, pod warunkiem, że i ja zostaję. Jasne, że zostaję! Taka gratka! Trzy dni swobody. Może nareszcie zobaczą las, słońce, wodę.

Wracam brzegiem jeziora. Przez lekki zmierzch przebija już z daleka blask ognia. Boże! W kuchni pożar! Biegnę ciężkim kłusem, jeszcze ten zwalony pień, mały zakręt i widzę mój demobil. Trzęsie się staruszek, bucha ogniem, protestuje, ale w dwóch kotłach wre już woda. Komendant, nagi do pasa dokłada i dokłada. Majówka kroi chleby, Rondel otwiera konserwy. Grześ kwater gotowe tace odnosi do stołówki, a Melon pakuje paczki z prowiantem na drogę. Z wrażenia potykam się o coś. No tak! Na kocu leżą grzyby Grzesia. Szkoda, że już wysuszone, bo miałabym na te trzy dni grzybki w śmietanie.

Ogarnia mnie szalona wesołość. Nastawiamy radio, kroimy, smarujemy, pakujemy. Cóż to jest siedemset pięćdziesiąt kanapek?

Robi się już zupełnie ciemno. Chłopcy wyjmują kotły i dalej podkładają. Wielki, szeroki ogień oświetla cały stół. Zwabia też roje muszek, komarów i takie duże, brzęczące coś, czego się strasznie boję. Z drugiej strony jeziora, w kilku miejscach też płoną ognie, widocznie i w pozostałych podobozach szykują się do wyjazdu, jedzie bowiem całe Zgrupowanie. Wracamy o północy, śpiewając i śmiejąc się bez powodu. Przy obozowej bramie podchodzi do nas bura cień, oświetla latarką idących.

- Stój, kto idzie?
- O, jaki czujny, jak zając pod miedzą. To my, kadra!
- To proszę bardzo ciszej, bo obóz już śpi.

9.8.77

Szyszka uderzyła o namiot. Potem druga. Wiewiórka? Wychodzę na słoneczny, pachnący żywicą i zieleń przeróżnym świat. Cała jestem zatopiona w ciszy, która teraz dopiero pozwala rozróżnić głosy lasu. Wracam do namiotu, żeby sprawdzić godzinę. U progu potykam się o toból z przyczepioną karteczką. Oczywiście od Grzesia, zwanego, i słusznie Sroką. Oczywiście grzyby, oczywiście milion prośb, rad, wskazówek. I żeby przed zmierzchem koniecznie w koc. Jacek? Trzeba go obudzić, już jedenasta. Przedtem jednak odwinę połę namiotów, niech się wietrzą.

Jak to się stało, że nie słyszałam pobudki? Przecież to prawie niemożliwe, żeby trzydziestu pięciu ludzi wyszło o piątej rano z obozu na paluszkach! A jednak tak było. Podnoszę połę pierwszego namiotu. Tam ktoś jest! Złodziej, bandyta, włóczęga?! Trochę mi nieswojo. Ze śpiwora wyłazi rozczochrany Zenek. Co się stało? Dlaczego tu jest? Może zasnął? Ale przecież służbowy zawsze, a tym bardziej przy wyjeździe, liczy aż do znużenia, wszystkie łebki.

Chłopiec uśmiecha się promiennie i powiada:

– Bo ja sobie wczoraj wieczorem skaleczyłem nogę, więc druh komendant powiedział, że druhna kucharka na pewno zaopiekuje się mną, bo to już wszystko jedno, jeden czy dwóch.

Obydwaj nie mogą chodzić! Mogłabym, co prawda zanieść ich na dół, do szpitalika, ale ...nie mogę! Więc mam rodzinę.

Jacek, umyty, w lekkiej podkoszulce leży na kocu w półcieniu. Zenek czyta mu książkę, którą znalazłam w przepastnych głębiach Komendy.

Zostawiam ich samych i schodzę do kuchni po gorącą herbatę i do

Zgrupowania, a właściwie jego szlachetnych resztek, po prowiant. Z pełnymi termosami już gotowej herbaty docieram do Zgrupowania. Cisza zupełna, wymarły obóz. Nieswojo. Ale na stole, koło magazynu głównego przygotowany prowiant i karteczka, że to dla mnie.

Dziwne to harcerstwo! Wydaje się, że to zabawa w podchody chłopców w krótkich spodenkach. A tu ktoś pomyślał, dał rozkaz, ktoś inny skrupulatnie go wykonał, a ja przychodzę i zabieram. I zaraz nakarmię moich dwóch na stanie. Po śniadaniu robię generalne porządki w namiotach. Jednak bystre oczy kadry nie zawsze wszystko wypatrzą. Potem leżymy sobie błogo, dzieci są senne. Noga Jacka w coraz lepszym stanie. Nóżkę pokrywają już tylko strupy, o tyle niebezpieczne, że rozległe. Jacek bardzo często niepokoi się, czy on aby na Przrzeczenie będzie mógł pójść. Pocięszam go, że jeśli nawet nie będzie mógł pójść, to go się zanieśie.

Mam problem z obiadem. Nie chce mi się rozpalać na dole, zresztą pewnie i nie umiałabym. Idę więc znów do kuchni i wracam obładowana różnymi dziwnymi przyrządami. Pomna obserwacji przy naszych dużych ogniskach, rozpalam starannie nieduży ogień i na trójnogu już wisi kociołek, ukochany, usmolony kociołek „Duszków”. W nim gotuje się krupnik. Po obiedzie dzieci drzemią, grzyby się dosuszają. Cóż chcieć więcej!

Nadchodzi noc. Po kolacji dzieci i grzyby trzeba zabrać ze dworu. Nurtuje mnie już od dłuższej chwili sprawa nocy. Nie to, żebym się bała! Ale świadomość, że jestem tu z nimi sama, zupełnie sama, w promieniu kilku kilometrów nikogo tylko lasy głębokie, przepaściste, które teraz, o zmroku podchodzą pod sam obóz.

Robimy mini zbiórkę i decydujemy, że spać będziemy w jednym, wspólnym namiocie. Do tego celu najlepiej nadaje się, oczywiście, namiot kadry. Szybko

przeciągam pościania, zapalam kadrową lampę i robi się przyjemnie. Przed tym jednak opuszczam flagę, a moje kaleki salutują. Zasznurowuję potem starannie namiot (jakby to co mogło pomóc w razie czego!). Zасыpiamy spokojnie, kwoka i pod jej skrzydełkami dwa pisklaki.

10.8.77

Bez zmian. Z tą chyba tylko różnicą, że noga Jacka prawie, prawie dobrze. Może się już trochę poruszać. No i grzyby Grzesia Sroki doskonale, mam tylko nieczyste sumienie, bo uszczknęłam jeden „mały” grzybek do krupniku.

11.8.77

To już dziś. Tęskno mi za ludźmi, za gwarem dziecięcych głosów. Wieczorem nasłuchujemy pilnie. W nocy, po wodzie głos niesie daleko. Ale nic nie słyhać. Dopiero późną nocą przylatują do nas z daleka, z odległości prawie dwóch kilometrów słowa piosenki⁴ „Duszków”:

Duszki, Diabły i Upiory,
Wy, Wiewióry, Dziwostwory,
Topielice, Wodne Panny,
Utopce i Marzanny”...

Dobre Duszki i Diabluki
Przybywajcie bez paniki
Bierzcie miotły swoje chyże,
Przybywajcie bliżej!

Będziem radzić nad straszaniem
I dróg ludzkich poplątaniem.
Będziem szczypać, będziem zjadać.
Ludzie będą biadać!

A potem już tylko woda, las i echo powtarzają refren:

Hej tam! Kolejny Sabat,
Hej tam! Harcerski Sabat,
Nad wielką wodą Sabat,
Opętany Sabat!

12.8.77

Wszystko wraca do normy, a życie naszego obozu znów regulują gwizdki, komendy, rozkazy. Z wycieczki przywieźli mnóstwo rzeczy. Dzieci pamiętki i słodycze, ale za to kadra: koła drewniane, wielkie stajenne lampy naftowe, kolekcję żelazek z różnych epok oraz wykaz wagi dzieci. Bo się wazyli w Koszalinie. Okazało się, że pomimo, iż biegają jak charty całe dzionki i nocki niekiedy, przybyło każdemu sporo, bo od jednego do trzech kilogramów. Jest też zdjęcie jednego z „Nietoperzy”, słusznie zwanego Melonem. To właśnie ten synek w żółtym szaliczku, o którego tak się niepokoiła matka w Warszawie, przy wyjeździe.

13.8.77

Gotuję obiad. A właściwie już tylko go doprawiam, bo zastęp kuchenny szybko i sprawnie zrobił, co trzeba. Wysmakowuję sos do pulpetów, czegoś mu brak! Ale czego? Ze stromej góry zjeżdża wartownik.

– Druhno kucharko – prędko, – Jacek leży bez przytomności!

Nie czuje stromizny góry, po skrótach i już jestem w obozie. Po drodze, dowiaduję się od wartownika, który prawie nie może nadażyć za mną, że nie chodzi o mego syna Jacka, to znaczy tak, o Jacka, ale nie Jacka od druha kucharki, tylko o tego Jacka od Magdy.

Chłopak przytomnieje, ale dalej zamroczony. Nie dochodzę, co tu zaszło.

Ratuję go jak umiem. Wartownik sam się domyślił i biegnie do komendy, przeczytać z planu zajęć na dzień dzisiejszy, gdzie może być kadra.

Nie mija dziesięć minut, a są już wszyscy. Komendant chwytając chłopca na ręce i zbiega z góry, do Zgrupowania. Tam jest Piguła, lekarz, telefon, samochód. Biegnie szybko, ale bardzo miękko, tak aby nie urazić chłopca. Już z połowy stoku woła do nas, żeby przygotować rzeczy Jacka. W pół godziny później odwozi chłopca do szpitala w Miastku.

A w obozie kadra przeprowadza dochodzenie. Już wiemy, jak do tego doszło.

W opustoszałym obozie był tylko wartownik i Jacek, który leżał sobie w półcieniu i bawił się łuskami karabinowymi. Nadszedł Rysio po sprzęt sportowy z magazynu. Zobaczył leżącego Jacka, podszedł do niego i zaczął go molestować o łuski. Jacek odpowiedział, że nie może mu ich dać, bo dostał od druha komendanta do wiernych rąk. Tak się wyraził. Wartownik nie zwracał na nich uwagi, Rysio zaczął kopać leżącego. Razy trafiały w głowę i nogi. Na krzyk chłopca nadbiegł wartownik. Mniejszy i słabszy od Ryśka, zdobył się jednak na odwagę. Kazał Ryśkowi opuścić obóz, a sam pobiegł po mnie. Nie umiał wytłumaczyć, dlaczego akurat po mnie.

– Widocznie straciłem głowę – mówił potem.

Kadra, pod nieobecność komendanta, upoważniona do podejmowania decyzji, zawiesza Rysia w prawach członka harcerstwa. Zabrano mu pas, krzyż harcerski, wszystkie zdobyte odznaczenia. Czy zostanie odesłany natychmiast do domu, a dokładnie do DD, zdecyduje po powrocie komendant.

Wszyscy są jednomyślni. Jedyne ja wstrzymuję się od wypowiedzi. Sama nie wiem dlaczego. Chcę, być może, zobaczyć sprawę z dystansu, nie na gorąco. Tyle się przecież składa na osobowość dziecka. A Rysio był do tej pory nie tylko bez zarzutu, ale nawet wywiązywał się z obowiązków wyróżniająco. I jeszcze jedno. Obserwuję go pilnie przez cały czas trwania incydentu. Jest przerażony, ale nie karą i izolacją, którą stwarzają dzieci same. To przyjmuje spokojnie i z widoczną skruchą. Wydaje mi się, że jest przerażony tym, że odkrył, iż człowiek w przystępie gniewu, złości, może popełnić czyn, o który sam siebie nie podejrzewał. Może trochę demonizuję, ale czytam to z jego oczu, które często zatrzymują się na mojej twarzy.

Druh komendant wraca po trzeciej w nocy, sam. Mały został w szpitalu, w Miastku. Urazu głowy nie stwierdzono, tylko poważne odnowienie z takim trudem zasklepionych ran po wrzodach. Komendant aprobejuje decyzję kadry. Oburzenie dzieci jest wielkie. Staramy się z nimi rozmawiać, uspakając, ale to nie przynosi skutku. Co odważniejsi przebąkują o kocówie, o zemście.

W nocy zostają wzmocnione warty, a i my czuwamy, na przemian. Ale nic się nie dzieje. Przychodzi tylko do mnie ukradkiem Magda. Tulę zapłakaną dziewczynkę i rozmawiamy chwilę, co wyraźnie przynosi jej ulgę.

14.8.77

Sprawa Ryśka trochę przycicha. Druh komendant decyduje, że skoro siedemnastego wjeżdżamy (już!?), nie ma sensu odwozić teraz Ryśka do Warszawy. Trzeba to tylko jakoś urządzić. Sprawa przycicha, ale Rysio jest wciąż obecny wśród nas. Sam zgłasza się ochotniczo do ciężkich robót, jak dźwiganie kotłów, przynoszenie kartofli lub prowiantu. Widocznie dokuczyła mu izolacja, gdyż nikt zdecydowanie nie chce z nim rozmawiać. A może widzi w pracy możliwość ukojenia. Powątpiewam w moją intuicję. Patrzę na sprawę, rozmyślam. Jeśli myślę się co do Rysia, to myliłam się zawsze, a to stawia w zupełnie innym świetle i Adama i moje własne osiągnięcia w tym względzie.

15.8.77

Adam miał znów dziś dyżur w kuchni. Tym razem był bez zarzutu. Po obiedzie został ze mną. Chciał porozmawiać o Rysiu. Bardzo go interesowało moje zdanie. Swoje myśli i wątpliwości, które go nurtują, sformułował tak:

– Czy ciocia idzie za Ryśkiem, czy kontruje?

– Powinno się, Adasiu, mieć swoje własne zdanie. W każdej sprawie. Po to, żeby je mieć, trzeba umieć odróżnić dobro od zła. A co ty rozumiesz przez idzie za...?

– No to tak, że ja wiem, że on zrobił źle, no bo ja, no bo ja – jąka się i zacina.

– Bo ty też przeżyłeś podobną sytuację? To chciałeś powiedzieć?

– No!

Irytują mnie niezmiernie te jego no, ale nie czas i miejsce na poprawną polszczyznę. Rozumiem, że on tymi no zastępuje wszystko. To jego słowo klucz, a ja muszę się domyślać. Pod tym no przed chwilą, mieści się scena, jeszcze z DD, kiedy to Adama pobił dużo silniejszy chłopak.

– Więc jak ciocia myśli?

– Bardzo polubiłam Rysia, Adasiu. Ale to nie znaczy, że go usprawiedliwiam. Są czyny – zaczynam już mówić do siebie samej, niepomna, że Adaś może nie zrozumieć – są więc czyny, których nic nie tłumaczy. A jeśli już się zdarzą, to człowiek musi sam, zupełnie sam, dojść do przekonania, że postąpił źle, wyciągnąć z tego wnioski i zmienić postępowanie. I nie ma tu miejsca na fałszywą ambicję i fałszywy wstyd.

On jednak rozumie, bo powiada:

– No (znowu to no), a jak byłby taki sąd, jak mi ciocia opowiadała, to każdy, nawet największy zbrodzień ma prawo do takiego tam, no, adwokata. – Słowo jest dla niego trudne, więc je sylabizuje z wielkim natężeniem. – To wtedy jak, ciociu, to by ciocia go broniła, gdyby to naprzykładowo Rysio?

– Tak, Adasiu, rozumiem. Masz rację, synku, w tym przypadku będę adwokatem Rysia.

To dziecko mnie uczy, przemyka mi myśl.

16.8.77

Magda przyniosła mi dziś kubeczek czarnych jagód. Zjadłyśmy z kaziennym cukrem, bo mój prywatny dawno się skończył (kłaniają się kogole mogole dla małego Jacka). Nietoperze zaserwowali dziś kanapki pt. „nietoperzyki”. Był to chleb, pokrojony wzdłuż bochenka, a na każdej pajdzie, kolejno, w poprzek różne dodatki. A „Demony” popisały się napojem firmowym. Napój był świetny, chociaż nigdy się nie dowiedziałam, z czego go sfabrykowali. Podejrzewam, że bazą wyjściową była kawa zbożowa ze śniadania.

Wieczorem znów przychodzi Magda. Ma wartę, więc tylko na chwilę. Przytula się, opowiada o swojej nieżyjącej matce. Mówi o niej: Moja matuś. Z jej poprzednich opowiadań wiem, jak ojciec organizuje ich sieroce gospodarstwo. W nocy, już przygotowana na tę chwilę, schodzę, bez latarki na Przyrzeczenie Harcerskie.

Kręta, ciemna, lesista ścieżka doprowadza mnie do drogi. Na drodze, u podnóża góry z której schodzę, jawi się niespodzianie ognisko, które ze ścieżki jest niewidoczne. Na przedłużeniu zaś ścieżki, na pomoście do jeziora, ułożona na pieńku, flaga biało czerwona, oświetlona dodatkowo reflektorkiem. Na skutek gry świateł ogniska i czerni nocy, wydaje się, że flaga unosi się w powietrzu, zamykając dalszą drogę, jezioro bowiem jest niewidoczne.

Stoimy w kręgu, tylko kadra i paru gości. Co kilka minut komendant gwizdże krótko, odpowiada mu podobny krótki gwizd z uśpionego obozu. To znak, że Grześ Kwater obudził następną ofiarę, której, świeżo obudzonej, nie mówi, że to Przyrzeczenie, tylko daje różne, dziwne polecenia, ale zawsze tak sformułowane, żeby delikwent musiał natknąć się na nasze ognisko.

Schodzą wiec stopniowo i oślepieni blaskiem ognia, zatrzymują się. Ale każdy z nich zachowuje się inaczej. Jedni, jak np. Tadek, meldują przyjście na wartę... na cmentarz (oj, ten Kwater!). Inni szybko trzeźwieją. Najprzytomniejsze są dziewczyny. A Adam, który też dziś składa przysięgę, jest półprzytomny.

Piękną tą i podniosłą chwilę potęguje urokliwa sceneria. Majówa odczytuje z namaszczeniem rozkaz dopuszczający do złożenia Przyrzeczenia Harcerskiego. Komendant informuje chłopca (lub dziewczynę oczywiście), że przysługuje mu prawo wyboru instruktora, na ręce którego chce złożyć Przyrzeczenie oraz na co może je złożyć. Na wodę, ogień, flagę państwową, na chustę drużyny lub na własny krzyż harcerski.

Teraz chłopiec ma chwilę do namysłu, a towarzyszy mu pieśń, którą śpiewamy cicho wszyscy:

Idziemy w jasną, z błękitów utkaną dal
Drogą wśród pól bezkresnych i wśród mór szumiących fal.

Cicho, szeroko, jak okiem spojrzenie śle,
Jakieś się snują marzenia w wieczornej spowite mgle.

Idziemy naprzód i ciągle pniemy się wzwyż,
By zdobyć szczyt ideałów, świetlany Harcerski Krzyż.

Do Adasia podchodzi z tacką Żuczek, najmniejszy „Demon” od Ciapuchny. Tacka jest okryta chustą drużyny. Na chuście leży harcerski Krzyż i finka. Chłopiec bierze finkę, wbija ją przed wybranym instruktorem, a ten wyjmując finkę pyta, na co chce złożyć Przyrzeczenie.

Adam odpowiada, że na ogień. A potem słyszę cienki głosik Adasia, który powtarza za instruktorem rotę Przyrzeczenia:

– „Przyrzekam całym życiem służyć Tobie, Ojczyzno...”

Następuje przypięcie Krzyża.

– Przyjmuję cię do Związku Harcerstwa Polskiego i od tej chwili jesteś jego pełnoprawnym członkiem.

Życzenia od wszystkich. I jeszcze koniecznie kawałek węgielka z ognia, na

dobrą pamięć o tej nocy i aby mógł nim właśnie rozpaść swoje pierwsze, komendanckie ognisko.

17.8.77

Dzieci nie zapomniały sprawy Rysia, ale opinia ogółu jakby złagodniała. W obozie sądny dzień. Zdarzenia następują lawinowo. „Demony” i „Nietoperze” przeszkrobały srodze, bowiem trzech wyszło nocą, bez pozwolenia na podchody. Teraz główny „Demon” dostaje obciach. Przypała mi się (po raz pierwszy i zapewne ostatni, bo jutro wyjeżdżamy) zupa pomidorowa.

W godzinę później przybiega do kuchni zrozpaczony Grześ Kwater. Zginęły, w niewyjaśnionych okolicznościach, jego grzyby. Grzegorz rwie świeżo odrośnięty na głowie puch. Wszyscy są poruszeni. Tu już nie chodzi o pięć kilo suszonych kolosów grzybowych, a o fakt! Nic tu nigdy nie ginie, mimo, że namioty są często opustoszałe, prowiant zostawiany na noc w kuchni. Warta nie stwierdza, żeby ktokolwiek obcy wchodził do obozu. Więc kto? Jedno z nas!

Wielkie dochodzenie i wreszcie służbowy znajduje grzyby w plecaku jednej z dziewcząt z DD. O grzyby w lesie dosłownie potykaliśmy się wszyscy, takie było ich zatrzesienie. Dziewczyna mogła, gdyby tylko chciała, zebrać ich o wiele więcej. Wołała pójść na ławiznę.

Wieczorem jest uroczysty, ostatni już apel. Stoję wraz z kadra. Po części oficjalnej, nagrody, wyróżnienia. Troszkę nie uważam, bo podsumowuję i nie wiem, czy było mi tu dobrze, czy źle. Czy zechcę jeszcze raz, za rok przyszły, spróbować własnych sił. Pada rozkaz:

– Druhna kucharka! Wystąp!

Więc występuję. Już nie mam tremy. Prężnie wychodzę z szeregu kadry, idę trzy kroki do przodu, robię przepisowo w tył zwrot i... spotykam spojrzenie Adasia. Jest wyraźnie zażenowany i zawstydzony. A ja przeżywam!

Otrzymuję od druha komendanta uścisk dłoni i książkę. Po powrocie na miejsce zerkam dyskretnie: „Druhnie kucharce za wzorowe prowadzenie kuchni...” Więc chyba wrócę tu, za rok, na pewno!

18.8.77

Ranek przynosi niebывały chaos. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale gdy energiczny zastęp specjalny wyrzuca mnie niedwuznacznie z namiotu, rozumiem, że organizacja jest sprawna. Każdy, na swoim odcinku robi swoje, wyznaczone mu zadanie.

Komendant tylko czyha i wyłapuje słabe punkty. I natychmiast mowa:

– A co by było, gdyby to był ewakuacyjny? Też byś, bracie, tak powolutku, par excellence!

Po godzinie trzeciej plac apelowy przestaje istnieć, zamieniony w poczekalnię dworcową, tyle tu spakowanego sprzętu. Drobne pozostałości usuwa zastęp służbowy, przeczesując teren metr po metrze.

I tylko jeszcze transport bagaży na dół, gdzie w Zgrupowaniu czekają ciężarówki. My zaś, z plecakami, idziemy lasem, słońcem w naszą ostatnią wyprawę, do Dźwierzna, gdzie czekają już na nas autokary.

Autobus szybko pożera kilometry. Już Miastko. Komendant wysiada i idzie w kierunku szpitala. Wraca po małej chwili, niosąc na rękach Jacka. Mijamy jasne, ruchliwe ulice miasta, wypadamy na ciemną, długą, jak nieskończoność, szosę.

W autokarze, który jak wielki, świetlisty żuk, mknie po ciemnej drodze, dzieci gaworzą, wspominają, śpiewają. Adaś usadawia się od razu za, mną. Przymila się, rozmawia, mimo obecności kolegów. Widocznie uznał, że teraz już może. Ale im bliższy staje się cel naszej podróży, tym dzieci stają się bardziej oswiałe, przygaszone.

Przez miesiąc pobytu z nimi nauczyłam się niejednego. Wyczuwam teraz jakieś napięcie. Zwracają moją uwagę szmery, szepty, przetasowania. Znowu pewnie bojkotują Rysia. Kątem oka dostrzegam, że na skutek dokonanych przesunięć, Adama już nie ma za mną, a jego miejsce zajmuje Rysio. Pochyla się ku przodowi i tylko:

– Mamo Duszek!

Ni to pytanie ni to wołanie. Słyszę tylko pierwszą część mego obozowego nazwania. Powiedział mamó. Odwołał się do słowa, którego może nigdy nie wymawiał. Odwracam się i patrząc mu w oczy, mówię cicho:

– Rozumiem, Rysiu. Nic sobie nie obiecuj, a ja zrobię, co będę mogła!

Przedemną drzemie srodze utrudzony komendant. Ten jeden, jedyny raz nie uszanuję jego snu. Komendant ma matkę, a Rysio jej nigdy nie miał, a jeśli, to bardzo krótko i źle.

– Jacek, – szepczę – powiedz mi, czy decyzja wykluczenia Ryśka z harcerstwa jest nieodwołalna?

– Tak, mamó. Jutro piszę raport.

– Ale on może jeszcze wrócić do harcerstwa, w innej drużynie, szczepie?

– Nie.

– I nie ma od tego odwołania?

– Nie.

– A gdyby ogół – nie daję za wygraną – wszyscy i ten, którego on skrzywdził, opowiedzieli się za cofnięciem decyzji?

– Tak. Wtedy mógłbym to zrobić.

– Dziękuję, synku. Wiem już wszystko.

Na dużej kartce piszę koślawo, bo autokar trzęsie: „Ankieta w sprawie Ryśka. Kto jest za tym, żeby Rysio był dalej harcerzem, niech się wpisze z lewej strony, kto przeciw, z prawej”.

Po pół godzinie kartka wraca do mnie. Uczestników, bez kadry jest czterdziestu dziewięciu i tyleż podpisów z lewej strony. Wręczam petycję komendantowi.

W Warszawie leje. Jesteśmy bardzo spóźnieni. Zbiórka rodziców po odbiór dzieci jest w DD. Zniecierpliwieni i stęsknieni nie mogą się nas doczekać. Jest też, mimo spóźnionej pory, dyżurny personelu DD i paru wychowanków w piżamach

Na rozkaz Majówki dzieci stają na baczność, wyciągnięte w szeregu, wzdłuż długiego korytarza, zatłoczonego w tej chwili zdumionymi rodzicami, plecakami i całym naszym podręcznym sprzętem obozowym. Z tyłu, na stoliku rozłożona flaga państwowa. Kilka tylko słów ostatniego odcinka mowy komendanckiej. Czy aby pamięta? A może przemyślał sprawę i zmienił decyzję?

– Rozkaz specjalny nr 26\77\4. Dopuszczam do Przyrzeczenia harcerskiego druha Jacka O. Swoją postawą na obozie i dotychczasową pracą w drużynie zasłużył na to, by stać się harcerzem. Czuwaj! Podpisał: Komendant Obozu.

Po chwili, Jacek, bardzo przejęty, ale po męsku opanowany, wysuwa się z trudem do przodu. Rozmawiał tyle razy ze mną o tym, jak bardzo chce być harcerzem, jak bardzo marzy o Krzyżu. Z szeregu podbiega ku niemu Ryszard, podtrzymuje go. Po uroczystości, już z wymarżonym Krzyżem na piersi, Jacek

wraca do szeregu, a do pomagającego mu ciągle Rysia, wyciąga rękę i ten, jako pierwszy, składa mu życzenia.

I zaraz potem pada następna komenda:

– Baczość! Rozkaz specjalny nr 27\77\5. Na wniosek Rady Obozu oraz uczestników, biorąc pod uwagę dotychczasowe nienaganne zachowanie i chęć wynagrodzenia wyrządzonej krzywdy, reaktywuję w prawach członka Związku Harcerstwa Polskiego w stopniu odkrywcy druha Ryszarda W. Przywracam mu wszystkie dotychczas zdobyte odznaki i sprawności harcerskie. Czuwaj!

Podpisał: Komendant Obozu.

Rodzice, nawet ojciec Jacka, nie zdają sobie sprawy z patosu chwili. Tylko dzieci i my. Dzieci, które potrafiły dokonać wyboru i powziąć decyzję najłuszniejszą: dać szansę człowiekowi.

Ryszard odbiera z rąk komendanta swoją chustę, Krzyż Harcerski, pas i odznaki. Wraca do szeregu. Patrzy na mnie. Jest blady, przejęty.

Pada ostatni rozkaz komendancki:

– Baczość! W tył rozejść się!

20.8.77

Jak się wszystko rozpakowało, jak się powyjmowało z zamkniętych kartonów grzyby w occie, grzyby suszone i czarne jagody w cukrze, czarną rozpacz wszyscy mieliśmy w oczach. Nasze ubrania zalegały kąty i stoły, podłogi i wszystkie dostępne półki. Adam zaproponował, żeby rozpiąć namiot w dużym pokoju.

– Póki co, maszeruj do sklepu, w lodówce pustki – mówię zdenerwowana.

– Tak! Zawsze ja! Co to, ja nie zmęczony?

Na odgłos kroków Duszka (nie ostygł jeszcze nimb komendanta?), Adam szybko i radośnie:

– To ja lecę, tylko pieniążki i kartka.

– A siatka? Wiesz, gdzie leży?

– Pewnie, że wiem, nie takie się rzeczy robiło na obozie.

– Ale ciociu –nagle naszło go olśnienie – dziś wolna sobota. Wszystko zamknięte. Więc co mam zrobić?

Zupełnie zapomniałam. Rzeczywiście dziś sobota, a jutro niedziela, to logiczne i nieuchronne.

W uszach mam jeszcze gwizdki alarmowe dla podobozu, a tu szara proza życia. Chce się powiedzieć: „Leć do kwatery, niech radzi, niech zapotrzebuje”!

Na razie jednak trzeba zapotrzebować trochę skupienia. Sąsiadka pożyczyc chleb, musi! Do Krysi (córka!) pojedzie się po masło.

Przecież nie odmówi! A na obiad do Wojtków (syn!).

Tymczasem Adam zasiadł na stercie ubrań, pościeli i śpiworów. Jest ponury, jak bezksiężycowa noc. Nie pójdzie, nigdzie nie pójdzie, nie chce i już!

Rozmowa nie daje żadnego rezultatu, denerwuję się. Zastępuje mnie Duszek.

Ale nawet jego kunszt kolejnego odcinka mowy komendanckiej na domowy użytek nie przynosi rezultatu. Adam ucieka do swego pokoju, zamyka drzwi.

Kiedy po chwili tam wchodzę, ryczy, z głową w poduszce. Co to jest? Co mu się stało? I bądź tu mądry, człowieku.

Duszek stoi w drzwiach z podniesionymi wysoko brwiami. Kiwa na mnie porozumiewawczo w kierunku łazienki. Idziemy więc tam oboje. Tu się, już tradycyjnie, omawia ważniejsze problemy, nie przeznaczone dla uszu dziecka. Duszek mówi, że to nieświadomiona tęsknota za domem. Jakieś to bardzo

zawiłe i nie na mój rozum. Kończy się na tym, że ze starej kaszy, pożyczonych kartofli i jarzyn, robię niemożliwą paciajkę. Adam promienieje i zjada dwa talerze. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

21.8.77

Cała niedziela mija nam na rozpakowywaniu się. Jak to się dzieje, że człowiek zabiera sporo rzeczy, a przywozi trzy razy tyle. Idziemy z Adasiem do naszej ogrodniczki. Za zebranie późnych truskawek i wczesnej odmiany śliwek, dostajemy zapłatę w towarze. Jest z tego zupełnie dobry obiad i lekcja dla Adasia, tyle że nie umyślna. Można dać sobie radę w każdej sytuacji! Potem robimy wszyscy razem konfitury i soki z reszty truskawek. Polubił bardzo być w kuchni. Pewnie mu to zostało po obozie.

22.8.77

Więc ten mój synowski komendant albo komendancki syneček jest jednak nienormalny! Budzi mnie ostrym gwizdkiem o jedenastej rano, że on by coś zjadł. Pierwsze moje pytanie, to:

- Gdzie Adam?
- Do szkoły poszedł⁵, – odpowiada Duszek – a gdzie miał pójść?
- Do jakiej?
- Matka, co ty? Do „39” oczywiście.
- Przecież on jest przeniesiony, sam załatwiałeś, jak byłem w Bieszczadach.
- Fakt! Co robimy?
- Śniadanie, oczywiście, a potem lecimy do „39”, wywlekamy Adama, lecimy z nim do tej sto którejś i to już wszystko
- Bagatelka! – mówi Duszek.

23.8.77

Adam, ponury, oświadcza, że on do tej nowej budy chodzić nie będzie. Znowu ożywiona dyskusja, łazienkowe obrady. Z tego wszystkiego, gestykulując, Duszek niechcący, polewa nas wodą z prysznicą. Dobrze, że zimna.

- Czy ja mam prawo zmusić go? – pytam.
- Tak, oczywiście, jako opiekunka prawna, możesz.
- Tylko jak to zrobić?
- Czekaj – mówi Duszek – mam pomysł.

On ma zawsze pomysły. Nie ma go w domu trzy godziny. A potem przychodzi z wieścią, że ma to, a raczej tego, kogo szukał. Znalazł mianowicie chłopca, Darka, który jest też przeniesiony ze szkoły 39-tej do tej sto którejś tam, a rzecz najważniejsza, jest z klasy Adama.

Duszek umówił się więc z ojcem tego chłopca i który też ma opory. Pójdą wszyscy razem, we czwórkę. Zbiórka pod starą szkołą, żeby nie płoszyć chłopców.

24.8.77

Udało się! Tamten ojciec zabrał wszystkich najpierw na lody, a potem, jakoś tak sprytnie obydwaj panowie przemycili chłopców prosto w paszczę lwa, to znaczy przed biurko pani dyrektor. Ani się spostrzegły chłopaczki, a już stali przed najwyższą władzą szkoły.

Całodzienna biegania po sklepach papierniczych (kolejki, jak stad do

Dzwierzna) i po odzieżowych (brak kolejek, bo odzież na ten wiek nie dowieźli, albo oświadczają, że jest po sezonie) .

25.8.77

– Ciociu, Darek je obiady w szkole, a jego ojciec jest lotnikiem. To ja też bym chciał!

– Co? Być lotnikiem?– pytam.

– Jak będę lotnikiem, to obiady będę miał w powietrzu.

Zapomniałam dziś nastawić budzik, bo był ciekawy nocny film w TV. Obudziłam tylko raz, ale wszystko dobrze.

26.8.77

Rano, po wyjściu Adama do szkoły, przyszła depesza z Wrocławia.

Przyjeżdżają nasi campingowi znajomi na trzy dni. Gdzie ja ich pomieszczyć?

Jola i Józik to urocze małżeństwo nauczycielskie. Poznaliśmy ich z Adamem w Krakowie, na campingu „Krakus”. Wyszyli nam wtedy dokładnie wszystkie pieniądze i jakoś nie chciały wrócić.

Nie mieliśmy nie tylko na bilety powrotne, ale i na jedzenie. Starczyło tylko na jeden talerz zupy pomidorowej, którą podzieliliśmy się z Adasiem, w proporcji: $\frac{3}{4}$ on, $\frac{1}{4}$ ja. Jakoś trudno dzielić zupę na talerzu.

W namiocie obok usłyszeli naszą naradę. I wtedy właśnie zaproponowali, zupełnie obcym, pożyczkę.

Radość była tak wielka, że natychmiast zaczęliśmy szaleć, wykupiwszy jednak przedtem przezornie, bilety, na zwykły, osobowy, bo taniej, do Warszawy.

Wieliczka nam się wtedy wykroiła i dobry obiad w „Samie” przy ul. Długiej. I dla gołębi Adam wymusił parę zet.

Sam fakt poratowania nieznajomych określa już tych ratujących. Muszą więc być przyjęci, jak się patrzy. Przyjeżdża ich trójka, bo zabierają siostrę Joli, Elżbietę. Jest tak samo urocza, jak reszta. Wszyscy zresztą należą do specjalnego, rzadkiego gatunku ludzi. Są mili, dobrzy i bardzo życzliwi. Ale to nie rozwiązuje, mimo wszystko, problemu spania.

– Będziemy chyba koczować w namiocie – znów proponuje Adam.

– Tylko gdzie? – pytam poważnie zatroskana

– Na trawniku może, przed domem?

Adam początkowo ich nie poznaje. Jest naburmuszony. Ale bardzo szybko oswaja się, tym bardziej, że oni, cała trójka, są pedagogami z prawdziwego zdarzenia. Mają więc podejście.

Potem, razem z Adasiem odkrywamy im Warszawę. Są wszystkie tradycyjne turystyczne trasy. Jednakże trasę Łazienki, Zamek i Stare Miasto planuje z mapą i zegarkiem w ręku sam Adaś.

Jest bardzo przejęty, pyta się tylko o numery autobusów. Planuje tak, jak ja na pierwszym z nim spacerze. Nawet o pomnikach nie zapomina. Że mu się Prus myli z Mickiewiczem nie dziwię się nawet, wzrusza mnie tylko to, że on zapamiętał tak dokładnie naszą pierwszą wędrówkę.

W domu rozkosznie. Znaleźliśmy inne, niż adasiowe, rozwiązanie problemu spania. Chłopcy śpią w jednym pokoju pokotem, ma się te śpiwory i materace! A dziewczynki, w tym i ja, w dużym pokoju. Jest rodzinnie. One pomagają w gospodarstwie, a Adam krąży, zupełnie oswojony, pomiędzy nami.

W nocy opowiadam Joli historię Adama. Jestem ciekawa jej reakcji. To mądry, inteligentny człowiek. Ona mówi, że w Krakowie bardzo się im spodobaliśmy

się właśnie po linii matka syn. Lata tylko trochę się jej nie zgadzały, myślała wtedy, że, w końcu, różne rzeczy się zdarzają. Nie przyszło jej jednak do głowy, że to nie mój rodzony syn. Uważała nawet, że jesteśmy podobni do siebie. Czyli, że... ale lepiej nie zapeszyć.

27.8.77

Adam dziś, pomimo gości, trzy razy w nocy. Znowu zapomniałam go obudzić. Skleroza, czy co? Potem ma do wyboru mecz piłki nożnej albo dalszy ciąg zwiedzania. Tym razem ma to być Wilanów. Wybiera Pałac Wilanowski, tylko trzeba mu opowiedzieć o Sobieskim i Marysieńce. Odnajduje króla Jana w encyklopedii.

W Wilanowie próbuje trochę rozrabiać, tak, jakby chciał się pochwalić, że on z Warszawy. Ale mija mu to szybko, bo znów dyskretnie wychowują go Józkwie.

Żeby to wszyscy pedagodzy i nauczyciele tacy byli. Można tu powiedzieć, że widzą go krótko, że jest jeden do opanowania. Ale nie, nie o to tu chodzi. Chodzi o zdolność, umiejętność przekazywania, urabiania autorytetu, bez użycia siły, nacisku, krzyku, przy jednoczesnym kontrolowanym likwidowaniu dystansu nauczyciel uczeń.

– Ile on wie, ile umie, chociaż nigdy tu nie był – mówi potem Adam.

Bo rzeczywiście Józek rozmawia z nim bardzo dużo, ale widzę, a raczej słyszę, że najpierw umiejętnie prowokuje jego ciekawość, kierując spostrzeżenia i uwagi nie bezpośrednio do niego, a do któregoś z obecnych. Potem odpowiada na każde, najbliższe i najgłupsze pytanie, ale tylko w granicach zadanego pytania. Nie wychodzi nigdy poza ramy pytania.

Trzeba to dobrze podpatrzeć i zapamiętać. Ja chyba popełniam zawsze błąd, bo na zadane pytanie najpierw się dziwię, że ono takie płytkie, prymitywne, a potem to już cały wywód historyczny, solidnie podbudowany faktografią.

Sposób Józika jest mądry, tylko najgorsza ta zaplanowana prowokacja.

Na obiad jesteśmy zaproszeni przez gości do restauracji. Radość Adama nie ma granic. I nawet zachowuje się w normie, a nawet trochę powyżej, dla ścisłości. Mówi: „Dziękuję, proszę, przepraszam”. Tylko łokcie ciągle mu wystają, szeroko i wysoko rozłożone ponad stołem. Ale nie wszystko jednocześnie. A poza tym, gdzie ma się uczyć ładnie jeść? W stołówce szkolnej, w domu przy stole kuchennym, bo wiecznie zapędzeni, nigdy prawie nie jadamy razem.

28.8.77

Życie wraca do normy i nawet trochę za pusto i za cicho. W dzienniczku Adama na dzień 25.8: „Czyni niewłaściwe zwroty, na granicy wulgarności”. Nosił się z tym przez cztery dni. Przeczekał wizytę, może licząc, że jej atrakcyjność uspi moją czujność.

I dobrze wyliczył. Teraz rozumiem skąd te „3 x” w nocy. Zastanawiam się, co on czuł. Wygląda na to, że bał się powiedzieć o uwadze i pokrył to wszystko milczeniem, zamknął to tak głęboko, żeby samemu pozornie też zapomnieć. Biedny! Jak mu musiało być źle, jak nie umiał znaleźć wyjścia z tego błędnego koła. Trzeba to rozgryźć do końca i oczyścić.

W długiej, intymnej rozmowie, tuż przed zaśnięciem, tłumaczę powiązania kłamstwa, ukrywanie czegoś z faktem, nazywanym umownie „3 x” w nocy. Z początku jest zamknięty na pięćdziesiąt pięć zameczków, ale zwolna,

przytulony do mnie, zdaje się otwierać. Już wiem, że za chwilę, bardzo cichutko będzie mówił on. I tak się dzieje. Są to, co prawda bardzo prymitywne wynurzenia, że on już rozumie, mówi, że on nie wiedział...

Po południu był ten nowy kolega Adasia, Darek. Poszli obydwaj (o dziwo!) na podwórko.

– To ja mu, ciociu, pokażę nasze podwórko.

Obserwuję przez balkon. Bawią się futbolówką Darka. Jeden duży zabiera im piłkę i nie chce oddać. Więc te dwa pędraki do bicia. Duży przeciąga żart i wygląda na to, że zaraz ich solidnie pobije i pójdzie sobie, z piłką, oczywiście. Schodzę na dół, bo zaczyna to wyglądać niesympatycznie i trwa stanowczo za długo. Tłumaczę grzecznie dużemu, ten równie grzecznie słucha i oddaje piłkę. W domu Adam mówi:

– Ale ciocia odważna, nic się ciocia nie bała?

– Owszem – odpowiadam – trochę, bo był wyższy ode mnie, i na pewno silniejszy, ale myślę, że spokojem i grzecznością można działać więcej. Czy aby na pewno?

29.8.77

Dziś uwaga w dzienniczku: „Adam niemrawy, nic nie umie powiedzieć, duka bez sensu”. Więc agresywny, wulgarny, czy niemrawy?

Wizyta u pani psycholog. Rezultat: list oficjalny z przychodni do dyrektorki szkoły i wszystkich nauczycieli. A pani psycholog mówi jeszcze, że jego zachowanie to pierwsze jaskółki dojrzewania. Żeby porozmawiać z nim o szacunku dla ludzi, dla nauczycieli, którzy pracują w tak ciężkich warunkach. Więc rozmawiam, ale bez przekonania. Wydaje mi się, że nie tędy droga. Idę do szkoły. Tu słyszę od wychowawcy i ogólnego i sportowego, że Adam jest najmądrzejszy z całejwsi. Nie tylko wyraża się wulgarnie i ordynarnie reaguje na zwróconą uwagę (typu: „Co tam pani wie?”). Jest to wyraźna chęć okazania lekceważenia, pogardy.

Oddaję list. Dziwi mnie jednak, że taki list jest w ogóle potrzebny. Przecież, na pierwszą propozycję odnośnie przeniesienia Adama, jeszcze na wiosnę, dowiedzieli się od razu, że Adam jest z DD. Przekonali mnie wtedy argumentem, że taka szkoła, taka klasa sportowa będzie bardzo odpowiednia dla niego.

Postanowiłam budzić go na sprawy „3 x” tylko raz, pod warunkiem, że ostatnie picie o dziewiętnastej.

30.8.77

Po południu idziemy do Andrzejów. Adam chce koniecznie zobaczyć Anię, ale ona śpi.

– Dlaczego ona ciągle śpi? – pyta Adaś.

– Każde małe dziecko dużo śpi – odpowiadam – Ty też tak spałeś dużo.

– To ja byłem też kiedyś taki mały?

– Pewnie! Każdy był.

31.8.77

Znów zapominał pieniędzy na bilet miesięczny. I teraz będzie jeździł za biletami pełnopłatnymi. Dużo to w sumie nie jest, ale nie lubię marnotrawstwa. W dodatku dwójka z polskiego, a przecież tak prawie ładnie opowiadał czytanekę.

1.9.77

Sprawy „3 x” dobrze. I budzik już u niego. Wstaje sam. Dziś był w telewizji okazjonalny program. Wspominki i kroniki z tamtych lat. Ciągłe nie mogę patrzeć spokojnie na bramę z napisem: „Arbeit macht frei”.

– Dlaczego ciocia płacze?– pyta.

Dlaczego? Ach, dość tego, przecież w prawdziwej rodzinie dzieli się nie tylko radości, ale i smutki. Mówię więc, kogo tam straciłam, na zawsze, i jak. Słucha uważnie i znów wraca pytanie, czy mój ojciec był dobry.

2.9.77

Dziś duża radość. Do naszej sąsiadki przyszedł list. List, jak list. Ale ten był ważny. Nie dlatego, że to my go wysłaliśmy z Dźwierzna. List był wysłany z obozu, którego już nie ma; namioty zwinięte, ogniska wygaszone, śmiecie starannie zakopane, a demobil, piekielny, kochany demobil na przechowaniu w piwnicy zaprzyjaźnionej szkoły. Ale jest jeszcze jedna rzecz, która ten list wyróżnia.

Ten ma naszą, własną, obozową pieczęć, wyciętą z resztek podłogi PCV, z dumnym napisem: „Poczta polowa”. I urząd pocztowy już swego stempelka nie musiał stawiać. Hej! Łza się w oku kręci. Demobil już nie zadymi i ostry gwizdek: „Alarm mundurowy dla podobozu!” nie obudzi wielce strudzonej druhny kucharki.

3.9.77

Niedziela. Przyuczona wizytą gości wrocławskich, idę z Adasiem (kosztem meczu siatkówki w TV) do Muzeum Wojska Polskiego. Idzie, jak zawsze na początku, niechętny. Rozkręca się dopiero w Muzeum. Nawet gabloty ogląda dokładnie. Piękne jest to Muzeum i nie żałuję grosza na kolorowe foldery i pocztówki dla Adasia.

Sprawy „3 x” w porządku. Budzik już na stałe u niego. Tylko muszę jeszcze wstawać, żeby przypilnować, bo zdarza się, że Adam budzik słyszy, wyłącza go i nie wstaje. Ale to już drobiażdżek.

Zebranie informacyjne dla rodziców całej szkoły. Klasą Adama, specjalną klasą sportową, opiekuje się klub sportowy. Bardzo szeroki program. A to: świetlica, w której dyżury będą pełnili studenci z AWF, tamże wysokokaloryczne obiady, również wysoko płatne, ale różnicę będzie pokrywał klub. Douczenie dwie, trzy godziny po szkole. Klub pokrywa część ? tych kosztów, resztę już rodzice.

To się opłaca, bo dziecko wróci co prawda, późno do domu, ale już przypilnowane, i z odrobionym lekcjami.

Dzieci dostaną też bogaty asortyment sprzętu sportowego i szereg rzeczy z odzieży, jak dresy, kurtki, obuwie sportowe. Będą również bardzo często prowadzone na imprezy sportowe.

Na zebraniu klasy Vb wychodzi na to, że ja do trójki klasowej. Bo jestem matka niepracująca. Matka to ja. Mogę, dlaczego nie? Tego jeszcze nie robiłam. Tylko mam mieszane uczucia, gdy do protokołu zebrania wpisują mnie, jako panią B, bo tak brzmi nazwisko matki Adama. Dla porządku informuję, że jestem panią Kowalczyk.

5.9.77

Jadanie w stołówce szkolnej podoba mu się. Codziennie pytam, co było na obiad. Opowiada chętnie i dokładnie.

- Ale czy to było dobre, smakowało ci?
 - Tak, to było niezłe, ale to nie to, co ciocia, bo jak ciocia zrobi nawet byle co, to mnie więcej smakuje.
- Wreszcie! Wreszcie to powiedział!

6.9.77

Dziś po powrocie z dyżuru u Ani, zastałam w pokoju Adama istne pobojuwisko. Łóżko nie posłane, pokój nie przewietrzony, biureczko zasypane przeróżnym śmieciem, wycinki ze „Świata Młodych”, dywan pokryty na przemian zabawkami, zeszytami i skarpetkami. Widocznie skorzystał, że rano wychodzę przed nim na dyżur do malej Ani. Ponadto podejrzane zacieki w łazience. I zaraz potem wizyta sąsiada z dołu. Przyszedł bardzo gniewny, nawet krzyczał, czy ja nie wiem do czego służy łazienka, że jego mieszkanie jest świeżo po remoncie, że zalało mu łazienkę, że tylko niekulturalni, ludzie mogą tak itp. Adam stał z boku i pilnie obserwował. Przenosił wzrok z czerwonej z gniewu twarzy sąsiada na spokojną Duszka. A Duszek wygłosił śliczny odcinek mowy komendanckiej, przeznaczony na awaryjne spięcia drobno sąsiedzkie. Jak na pierwszy dzień dyżuru u Ani, całkiem niezłe!

Przed zaśnięciem Adam poprosił:

- Może ja nie pójdę jutro za karę do szkoły, a pojedę z ciocią do Ani. Ciocia mnie zachoruje!

Jasne, że do szkoły pójdzie. Mogę go zachorować, dlaczego nie, czasami dziecku jest potrzebny odpoczynek od ciągłego napięcia szkolnego. Ale mogę to zrobić jedynie w bardzo ważnych, np. rodzinnych przypadkach.

A potem, późnym wieczorem, w łazience oczywiście tej zalanej przez wodne zabawy Adasia, Duszek powiedział, żebym wzięła na przetrzymanie, że Adam dopiero teraz w bardzo dziwny czasami sposób, będzie ścigał na siebie uwagę.

7.9.77

Dziś nie mam dyżuru, więc tkwię rano na balkonie. Czy pamięta, trochę ostatnio zaniedbane, machanie. Ogląda się ze trzy razy i macha intensywnie. Po powrocie ze szkoły Adam wpada do mnie i krzyczy:

- Mam przyjaciela, ciociu. To Darek, ten z mojej tamtej budy. Idę dziś do niego, tylko dokończę lekcje.

Następnym razem pójdę razem z nim. Chcę się zorientować na wszelki wypadek, jak ten dom wygląda. Dziwne! W stosunku do zawieranych znajomości koleżeńskich własnych dzieci, nie miałam żadnych zastrzeżeń, a tu nagle wykazuję daleko posuniętą ostrożność. Widocznie będę się uczyć całe życie. Wieczorem Adaś wraca ponownie do sprawy Ani. On by chciał bardzo tam pojechać i zobaczyć ją.

8.9.77

Rano zwolnił się z lekcji i przyjechał na Madalińskiego, do Ani. Wszedł do jej pokoju na paluszkach i długo na nią patrzył. Trochę się boję, nawet więcej, niż trzeba. Podświadomość nasuwa mi wciąż obraz tragedii, jaka się rozegrała parę lat temu w Klubie Krysi. Ona, ta moja jedyna córka, strzelała z kbks-u, a teraz jest sędzią w Klubie strzeleckim.

Otóż był tam zwerbowany do Klubu z DD chłopiec w wieku Adama. Strzelał już niezłe. Pomimo bardzo dużej ostrożności trenerów, chłopiec, wbrew znanym

sobie, surowym zakazom, dostał się na stanowisko strzeleckie, z którego przed chwilą strzelał właśnie trener. Po oddaniu strzału, trener poszedł sprawdzić rozrzut na tarczy. Znalazł się wtedy akurat na linii strzału. Chłopiec zarepetował broń i, nie wiele myśląc, pociągnął za spust. Zabił człowieka na miejscu. Od tej pory kluby strzeleckie nie przyjmują kandydatów, nawet najzdolniejszych, pochodzących z DD. Ale człowiek zginął. Bardzo boli mnie fakt, że Adam, a właściwie szerzej, każde z tych dzieci jest a priori obciążone możliwością dokonania czynu przestępczego. Ale, po głębokim namyśle, dochodzę do wniosku, że to jest w pewnym stopniu prawidłowe. Przecież Adam, jak odjąć moją o nim opinię, moją czułość i, nie boję się już dziś powiedzieć, moją miłość, jest typowym, znerwicowanym produktem DD. I nie ma na to rady, prócz ciągłego gojenia, zasklepiania i, rzecz najważniejsza, czujnej inwigilacji.

9.9.77

Liczyłam, że obóz przyczyni się do czynnego zainteresowania Adama harcerstwem. Ale jest inaczej. Dziś był jego drużynowy, z zapytaniem, dlaczego Adam nie przychodzi na zbiórki. Adam nawet nie zadbał, żeby go przeniesiono do szczerpu w nowej szkole, a ja zapomniałam. Nie pomaga rozmowa Duszka z Adamem. I znów, może nie tędy droga?

Na podwórko zdecydowanie nie wychodzi. W szkole słabiutko, mimo, że sprawdzam skrupulatnie każdą zadaną lekcję. Idzie zawsze przygotowany na pięć, żeby choć trójczynę zarobić, biorąc poprawkę na jego niemrawość. Za to duże zainteresowanie sportem. Boję się powiedzieć, że moim zdaniem, za duże.

10.9.77

Deszczowa niedziela. Leje bardzo, więc nigdzie nie idziemy. Kiedy się przejaśnia, wędrujemy z Adasiem do Darka, żeby gościom Duszka zostawić trochę swobody. Intuicja mnie nie zawodzi. Dom Darka, sympatyczny, owszem, ale jakby to powiedzieć? Jest za bogaty. Nigdy nie dorównam ich, bardzo wysokiemu (może to zazdrość?) standardowi. Ale chyba nie, to zupełnie co innego.

11.9.77

Rano, na dyżurze u Ani znowu ląduje Adam. Ktoś tam w szkole zachorował i zwolnili ich wcześniej. Asystuje przy przewijaniu małej. Jest zafascynowany. Jestem tym poruszona. Nie wygląda to tylko na zainteresowanie różnicą płci. Coś mnie w nim niepokoi. Może to wyraz oczu?

Po południu zebranie trójki klasowej. Tylko gadania, z którego nic konkretnego nie wynika, prócz straty czasu.

Wieczorem przychodzi do Adasia Darek. Bawią się razem ładnie. Adam ustępuje we wszystkim Darkowi, tak jakby chciał go sobie kupić za wszelką cenę. Ciekawa jestem, czy jest granica tej ceny. Darek jest zachwycony naszym mieszkankiem. A przecież nie ma tu japońskiego, kolorowego telewizora, nie ma w ogóle kolorowej TV, nie ma też kompletu holenderskich mebli, jak u niego. Co więc jest zamiast tego? Chłopcy rozmawiają tylko na tematy sportowe i strasznie się mądrzą.

12.9.77

Dwójka z matmy. Tłumaczę zadanie i usiłuję je rozwiązać. Nigdy nie byłam

mocna w nieśmiertelnych dwóch pociągach, co to z dwóch różnych stacji...
Udaje mi się rozwiązać zadanie, ale za pomocą równania z jedną niewiadomą.
Jak to jednak wytłumaczyć chłopcu, który i tak nie rozumie, po co robi się
zadanie, z którego i tak już dostał dwóję. Mówię mu, że jutro pani da na pewno
podobne. Duszek wieczorem błyskawicznie rozwiązuje te pociągi i tłumaczy
Adasiowi. Nie wiem jaki będzie jutro rezultat tego wieczornego włączania.

13.9.77

Rezultat daje się zauważyć w dzienniczku. Jest czwórka z plusem. Zrozumiał!
Ale z jego percepcją zagadnień ciągle nie jest najlepiej. A pani w szkole nie ma
zbyt dużo czasu na indywidualizowanie. To zresztą zrozumiałe.

Dziś po południu wywiadówka. Jest i reakcja na list pani psycholog.

Pani od historii, że owszem, dobrze, zastosuje się, rozumie o co chodzi, że nie
o fory, specjalne względy, tylko inne, spokojne podejście do znerwicowanego
dziecka.

Pani od matmy, że ten list niepotrzebny, bo Adam ma umysł matematyczny i
jeśli tylko go trochę przypilnować, to nawet grozi mu czwórka.

Pani od geografii:

– To debil, zapytany, odpowiada bez sensu, nie na temat, nieskładnie. Ale
dobrze, zastosuje się do wymogów listu z poradni.

Znow nic nie rozumiem. Więc albo debil, albo geniusz. Pewnie prawda, jak
zwykle, leży po środku. W domu wieczorem Adama nie ma, choć jest trochę
późno. Jest za to kartka, że poszedł do Darka.

14.9.77

Znow zastaję, po powrocie z dyżuru u Ani, pokój Adama nie sprzątnięty.
Śmiecie też nie wyrzucone. Jego prywatny kosz pełny, aż się przelewa.

15.9.77

Dyżurny dzień Ani, wyjątkowo dzień po dniu, za to będę miała dwa kolejne dni
wolne. Świetnie. Adam był na Madalińskiego, tym razem pod pretekstem, że
była ważna sprawa rodzinna... Tak powiedział w szkole. Znowu ta dziwna
fascynacja dzieckiem. Siedzi i patrzy, a potem, na spacerze chce prowadzić
wózek. Nie tylko nie wstydzi się, o co bym go w pierwszym rzędzie
podejrzewała, ale jest wręcz dumny.

Trzymam cały czas rękę na pulsie, czyli na poręczy wózka. Ciągle nie mogę
oprzeć się wrażeniu, że coś tu nie tak. Postanawiam dziś przeczytać ponownie,
uważnie jego otrzymane z DD akta.

Po południu znów Adam do Darka.

– Idę do Darka, ciociu, lekcje odrobiłem.

– Zgoda, ale nie siedź długo, bo się robi ciemno.

– Dobrze, ciociu, ale oni mają kolor, a my tylko czarno białe.

16.9.77

Jest sobota. Dzień, który najbardziej lubię. Robimy z Adasiem ciasto, bo on
spodziewa się Darka, a lekcje odrobi, wyjątkowo jutro. Lekcje w ogóle są już
odrabiane w domu, bo świetlicowe odrabianie nie zdało egzaminu. Albo
dyżurnego nie było, albo odrabianiu matmy towarzyszyła pani od polskiego,
albo odwrotnie. Najczęściej jednak odwrotnie.

Adam wychodzi co raz na balkon, ale udaje, że spóźnienie Darka nic go nie

obchodzi. Właściwie Darek nie spóźnia się wiele, dziesięć minut dopiero. Adam mówi, że Darek na pewno nie przyjdzie. Jest zdenerwowany i napięty. Wreszcie Darek przychodzi. Spóźnił się, bo był z rodzicami autem w Łowiczu. Adam szeroko otwiera oczy i słucha zachłannie o defekcie na drodze, o obiedzie w przydrożnej „karczynie”. Potem bawią się zgodnie w pokoju Adama w wojnę.

Korzystam z chwili wytchnienia i naradzam się z Duszkiem, jakby tu zainteresować Adama lekcjami. Duszek, wyjątkowo nie w łazience, mówi, że te lekcje powinny być wesołe, atrakcyjne, poglądowe. Albo to ja nauczyciel czy pedagog?

17.9.77

Po obejrzeniu „Teleranka” i meczu, odrabianie lekcji. Staram się wprowadzić system Duszka. Dziś z historii był zadany handel wymienny. Ja więc byłam kmiotkiem, a on kupcem. Mój pokój był splawną rzeką. I tak, jakoś bezboleśnie wymieniałam moje lniane płótno, bursztyny i miód na jego pachnidła indyjskie, przyprawy korzenne itp.

18.9.77

No proszę! Z historii dostaliśmy pięć z minusem. Minus, bo zapomniał o przyprawach korzennych. Po południu Adam idzie do Darka. Wraca jednak bardzo wcześnie i jakiś dziwny.

– Tam był – zaczyna już od progu – ubaw ciociu i Darek pił wino i chciał, żebym ja też.

– A ty?

– Nie, nie chciałem, ja nie jestem taki głupi.

Wieczorem, kiedy cały dom już śpi, biorę akta Adama. We wrześniu 1976 roku wrzuciłam je głęboko za książki. Teraz wyciągam zakurzoną teczkę i wertuję sumiennie.

„Charakterystyka dziecka, raport nr. 1. Z początku wszystko w normie. Rozwój psychiczny prawidłowy.” Waga, wzrost, ząbkowanie. Nagle serce mi zamiera. W wieku 4 miesięcy notatka: „Próbuje się uśmiechać.” W wieku 9 miesięcy: „Nie uśmiecha się wcale”. A potem to najgorsze: „W wieku lat 2 przywiązuje się spontanicznie do dziecka o rok młodszego. Uczy je chodzić, niezdarnie podciera mu pupę, kocha go. Głaszcze i pieści”.

W dniu ukończenia przez Adasia trzech lat, zgodnie z obowiązującymi po dziś dzień przepisami, zostaje przeflancowany do następnego, odpowiednio do grupy wieku DD. Żeby to przeflancowany! Kiedy flancuję kwiatki u mojej ogrodniczki baczę pilnie, aby na nowym miejscu roślina miała porządną grudę ziemi z poprzedniego miejsca.

Potem są już tylko notatki, że w wieku około sześciu lat powraca uśmiech, ale sztuczny, jakby nauczony, podpatrzony, jako droga do załatwiania ważnych dla niego spraw. I tylko uśmiech. Głośno nie śmieje się nigdy. Jakaż mądra kobieta pisała tę charakterystykę. I jeszcze jedno, na zakończenie, raport nr 2 o stanie psychicznym dziecka:

„Rozwój umysłowy na poziomie wieku. Wyniki badania wykazują, że możliwości rozwojowe chłopca są większe, ale nie zostały w pełni wykorzystane (w skali bezsłownej Wechslera uzyskał iloraz inteligencji 110, ale w skali słownej zaledwie 81). Ubogi zasób wiadomości, słaba orientacja w praktycznych sytuacjach życiowych. Uzyskanie przez niego tak wysokiego

wyniku dobrze świadczy jego możliwościami rozwojowymi. Otoczony opieką indywidualną rozwijałby się o wiele lepiej...”

Dalej już nie czytam.

19.9.77

Wycygał na swoje skarby trzy pudełka po czekoladkach.

Dałam mu je chętnie i dołożyłam mały stolik z szufladką. Po południu był Darek. Wielki dzień Adama! Darek był chory i skutkiem tego, nieobecny w szkole. Przyszedł więc dziś po lekcje do Adama. I on, Adam, mu je tłumaczył. Oboje odczuwaliśmy wagę chwili i dumę. Adam zerkał na mnie, czy aby na pewno widzę.

Pierwszy raz w życiu był komuś na naprawdę potrzebny.

20.9.77

We środę mają cztery godziny wolne między lekcjami. Adam, oczywiście na Madalińskiego. Najmilsze jest to, że maluch nie tylko akceptuje Adasia, ale wyraźnie go lubi. Wyciąga doń łapiny i coś mu w swojej gwarze usiłuje przekazać.

Po południu znów zebranie trójki klasowej, tym razem u mnie. Dyskusja na temat basenu. Czy, mianowicie, wobec nieudostępnienia basenu pływackiego położonego blisko szkoły, jak to było uzgodnione na początku roku, można zaryzykować wysyłanie dzieci na daleki Grochów i to w godzinach 1600 – 1700, bo innych godzin nie udało się załatwić. Jeździłyby tam same, bo pani od „WF” nie ma w dni basenowe w szkole. A mieszka akurat na dalekim Grochowie. W dyskusji wzięło udział 100 proc. obecnych, 50%. wypowiedziało się za, 50% przeciw. Po prostu jedna osoba była, w ramach podlizywania się szkole, stanowczo za, druga osoba (ja), stanowczo na nie, natomiast pozostała, trzecia osoba była niezdecydowana. Basen dzieci powinny mieć, no, ale w tej sytuacji to ona nie bardzo wie. Dużo plotek, z których dowiedziałam się, że... ale lepiej nie powtarzać. To brzydko plotkować.

21.9.77

Dziś Darek u nas. Odrabiają razem lekcje. Na pewno Adam ma daleko mniej wiadomości, niż Darek. Ale przewyższa Darka inteligencją, która bardzo mu pomaga w sytuacjach podbramkowych. Po odrobieniu lekcji rozmowa znowu o sukcesach sportowych.

22.9.77

Dziś cztery z minusem z historii. Chyba polubił tę szkołę. Może dlatego, że w niej nie ma żadnego dziecka z DD. Był u Darka, ale znowu wrócił bardzo szybko. Okazało się, że mama Darka nie pozwala im bawić się w mieszkaniu, bo hałasują, brudzą i ruszają. Muszą się więc bawić cały czas na podwórku Darka.

– A tam nudno, ciociu!

Rozumiem.

23.9.77

Zbiera mapy. Różne. I wisiorki. Wyprosił ode mnie kilka. Ładne i je lubię, lubiłam. Może to zbieractwo mu przejdzie. Był Darek z zapytaniem, dlaczego Adam nie przychodzi do niego. A ten wykręcał się nie istniejącymi w

rzeczywistości sprawami, które mu jakoby zlecam. Patrzył przy tym konspiracyjnie na mnie i widać, że czekał, żebym go kryła.

24.9.77

Robiliśmy razem zakupy i spotkaliśmy siostrę naszej ogrodniczki. Dowiedziałam się od niej, że pani ogrodniczka jest chora i chciałaby trochę ze mną pogadać.

Poszłam tam więc po południu z Adasiem. Choć był tu już ze mną wiele razy, zawsze z zachwytem ogląda stary, ukryty w drzewach dom. Mniej był zachwycony psami. Bo są tam teraz dwa. Wilczur i taki śmieszny, uroczy rudy mieszaniec, więcej przyjaciel niżli stróż. Ale wszystko jedno: przyjacielskie merdanie rudego nie przekonało Adama. Obydwa psy okrążał z bardzo daleka. Pani ogrodniczka ucieszyła się naszą wizytą. Poczęstowała nas owocami i opowiedziała Adamowi historię swojej rodziny. Dowiedział się więc ciekawych rzeczy o ulicy, przy której mieszka.

Matka pani ogrodniczki była panią na folwarku Janków, wielkim, rozległym, sięgającym w tamtych czasach aż po Szczęśliwice. Opiekowała się chorymi z okolicznych wiosek z gminy Czyste i uczyła dzieci. To lubiła najbardziej. Otóż te dzieci mówiły, że idą do pani na Jankowie, potem do pani Jankowskiej i tak się utarło, z biegiem lat, że szło się na Jankowską. Przy powstawaniu naszego osiedla uwzględniono ten nawyk okolicznych mieszkańców.

Adamowi pozwolono nawet zajrzeć na strych, na który wchodzi się po drabinie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale po drabinie zainstalowanej już na parterze, bo schody na I piętro wypaliły się w czasie ostatnich działań wojennych. A nasza pani ogrodniczka, wbrew pozorom i opinii ogółu o tej branży, majątku nie zbija na tym interesie.

Adam o wszystko pyta, do czego to służyło, co to jest i wznieca wieloletni kurz. Potem, w drodze powrotnej, a mieszkamy bardzo blisko, powiada, że nie wiedział, że dwa kroki od jego domu mogą być takie ciekawskie rzeczy.

25.9.77

Dziś z historii była zadana bitwa pod Grunwaldem. Bawiliśmy się wspaniale. Królem Jagiełłą był, oczywiście Adam, a ja też oczywiście, tylko Wielkim Mistrzem Zakonu, Ulrichem von Jungingen. Byłam już bliska zwycięstwa ale oprzytomniałam w czas.

26.9.77

Denerwują mnie skarpetki, pełno ich wszędzie w jego pokoju. I czystych i brudnych. Uszyłam więc z materiału wielopiętrowy pojemnik. A na dodatek, ponieważ brak mu już półek, uszyłam jeszcze z harcerskiego płótna, kolorowo wykończony kieszenie na ścianę.

Pojemnik na skarpetki jest pionowy, a kieszenie na skarby podłużne. Kieszenie są różnych wielkości, zeszyte razem. Z każdej coś wyłazi. Tu ma schronienie ukochany miś, jak jest niegrzeczny, a jak jest grzeczny to bierze się go na noc do łóżka. Tam dalej wystają dwie rakiety do kometki, stary, plastikowy pistolet i, w wąskiej a długiej kieszeni przybory Indianina.

Mimo ładnego i kolorowego wystroju pokoju, do czego sam się już przyczynia, dalej lubi bawić się w moim, ale krótko tej przyjemności, bo przychodzi coraz później ze szkoły. Dziś wrócił o dziewiętnastej, bo był „WF” w klubie.

27.9.77

Z „Grunwaldu” dostaliśmy piątkę. Całą piątkę, bez minusów.

– Polubiłem historię, ciociu!

Ja natomiast przestaję lubić panią sekretarkę szkoły. Znowu przyszło zawiadomienie do ...pani B. o mającym się odbyć zebraniu trójki klasowej. A żeby ich. Dobrze, że Adam się nie dopatrzył. Sekretarka mówi, że tak ma zapisane, a poza tym tyle ma tych dzieci, po sześć, siedem każdych klas (kazał się kłaniać wyżej demograficzny!) i że jej trudno spamiętać. Ale po co ma spamiętywać, wystarczy zapisać raz a dobrze.

28.9.77

Adam wysmukłał, schudł. Ale śmieci dalej nie chce wyrzucać. W każdym razie robi to opornie

29.9.77

Kupiłam mu poczet królów polskich Matejki. Sam zawiesza na framudze drzwi do swego pokoju, po przeciwnej stronie niż kreski wzrostu.

Do Darka chodzi już rzadziej. Za to Darek przychodzi do niego. Był dziś u niego i zachowywał się hałaśliwie. Nawet Adam zwrócił mu uwagę. A po wyjściu gościa, powiedział, że czasami ma go dość, bo wygłupia się i wymądrza, zwłaszcza w szkole, na lekcjach. A potem jest wszystko na niego, Adama. A Darek robi wtedy głupie miny i że to nie jest prawdziwy przyjaciel. Smutno.

30.9.77

Niewątpliwy zysk z tej szkoły to okresowe badania. Dziś po powrocie z dyżuru u Ani, znalazłam kartkę od Adama:

„Jadę teraz na badania, mieliśmy być tam na 1715 całą klasą. Jest to przy hotelu Forum. Mieliśmy jechać z rodzicami, ale cioci nie ma więc sam pojechałem. Pa, Adaś! W skrzynce pocztowej jest list. Odrobiłem połowę polskiego i rosyjskiego. Już więcej nic. Pa, Adaś, kl Vb. Czuwaj, druhno kucharko obozu.”

Po powrocie z badań, zapytałam go czy jadł drugie śniadanie, odpowiedział natychmiast i z dużą pewnością siebie, że tak. A drugie śniadanie zostawił dzisiaj w domu. Tak jakby próbował kłamać i to w momentach zupełnie niepotrzebnych.

1.10.77

Jest niedziela. Znowu konflikt: mecz kontra dobry film przygodowy.

Zwyciężamy my z urzędu, to jest Duszek i ja, a Adam jest obrażony. Czy jesteśmy sprawiedliwi? Z drugiej jednak strony on nam nie może dyktować, co mamy oglądać, a co nie, a na to wygląda. I my lubimy sport, ale w miarę i nie co godzina.

2.10.77

Był Darek i razem odrabiali lekcje. Adam usiłował dorównać mu

błyskotliwością, a właściwie, szczerze mówiąc, wyszczekaniem. Bo taki jest właśnie Darek. Na wszystko ma gotową, nie zawsze właściwą odpowiedź.

Trudno lawirować w takim zestawieniu. Wieczorem znowu sprawa TV i sportu.

3.10.77

Musi mieć poduszkę na krzesło, płaską, taką samą, jaką ma Duszek. Hekluje więc pilnie, ale pod warunkiem, że utrzyma porządek w swoim pokoju. Obiecuje solennie. Dalej zastanawia mnie jego dwoistość uczciwości. Nigdy nie zginęły, siane, już nie z premedytacją, ale z roztargnienia, a raczej przyzwyczajenia, pieniądze.

Adam nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. Nawet był przedwczoraj taki moment, kiedy Darek powiedział:

– O! Forsa!

A Adam odpowiedział:

– No to co, ktoś położył, to wróci po nią.

Dziś również skłamał.

– Byłeś pytany?

– Nie.

A w dzienniczku dwie dwójki i uwaga o zachowaniu.

4.10.77

Znów drobne kłamstewka. Wziął bez pytania mój długopis, a zapytany, odpowiedział, że nie, skąd, co ciocia, a trzymał ten mój cały czas w ręku. Kupię mu dziś parę długopisów, na zapas.

5.10.77

Zamęcza mnie tymi królami. Muszę ten poczet dobrze obejrzeć i powtórzyć naszą historię. Przecież nie mogę się skompromitować. Dziś znów uwaga w dzienniczku: "Adam nie miał zeszytu do ocen ze sprawowania". Zebranie trójki klasowej w sprawie dnia nauczyciela. Postanawiamy, że tylko kwiaty. I znalazł się problem wagi międzyplanetarnej, czy od każdego dziecka po jednym, symbolicznym kwiatku, czy od całej klasy jeden, duży, reprezentacyjny bukiet. Nie zabieram głosu, gdyż obie formy wydają się sympatyczne. Natomiast nie wydaje mi się sympatyczna sugestia trzeciego członka trójki na temat prezentu rzeczowego. A już propozycja pięknego, węgierskiego kompletu bielizny osobistej, jest nie do przyjęcia. Chciałabym tylko wiedzieć koniecznie czy kompletu dziennego czy nocnego. To ciekawe! I ciekawy jest zakres obowiązków trójki klasowej.

6.10.77

Tak sobie myślę jeszcze o tych moich wiadomościach z zakresu V klasy szkoły podstawowej. Czy to nie przestarzałe, ten strach przed kompromitacją? A może dać mu szansę, że on wie lepiej ode mnie. Słucham więc uczciwie wyliczanki, że: Mieszko II nie powinien mi się mieszać z Mieszkiem Starym, a Leszek Czarny z Białym. Dziś wziął się do czytania książki, zupełnie sam, nie napominany i starą metodą informuje mnie nie o treści, a o ilość przeczytanych stron.

7.10.77

Czegoś dużo tych świąt rodzinnych. Ale to przyjemne. Dziś urodziny Andrzeja, męża Krysi a mojego wzorowego zięcia. Adam bawi się z Anią, dzięki czemu możemy spokojnie porozmawiać. Po powrocie do domu Adam mówi:

– O, jak dobrze w domu.

8.10.77

Ma już pokaźną kolekcję samochodów. Nie mieszczą mu się nigdzie, interpeluje więc, czy w piwnicy nie ma przypadkiem jeszcze jednego stoliczka.

Przypadkiem jest. Idziemy razem na dół. Adam taszczy na górę stolik, odkurza, nakrywa ładnie serwetką i robi... garaż.

Ja też potrzebuję paru desek, nie na garaż, a na książki. Piszę kartkę do Duszka, żeby przygotował się moralnie, że jutro piwnica.

Zwyczaj pisania do siebie nawzajem kartek został nam jeszcze z okresu, kiedy pracowałam w biurze po dziesięć, jedenaście godzin i kontakt z dziećmi ograniczał się tylko do takiej pisemnej formy lub prawie.

Ostała się do dnia dzisiejszego prastara już kartka obecnego Pana Redaktora, Wojtusia:

„Wzionem 20 zet i poszedłem do sklepó – Wojtuś”.

Aż oczy bolą od takich żartów. I tak to się kontynuowało, aż weszło nam nie tyle w krew, co w długopisy. I teraz Adam po nas dziedziczy.

9.10.77

W piwnicy Adam znalazł mały, stary warsztacik stolarski. Zajął się nim natychmiast, na górze przykręcił do stołu śrubę i coś tam majstruje. Ciekawe, jak długo tego zainteresowania? Przy okazji wizyty w piwnicy, Adam wędrował długimi korytarzami piwnicznymi, które ciągną się na przestrzał całego domu. Mówił potem, że są podobne do piwnic i podziemi starego zamku. Nie bardzo, ale skoro on to tak widzi?

Znowu małe, niepotrzebne kłamstwo. Wrócił, mianowicie, brudny, poszarpany. Na pytanie, co było w szkole, odpowiada, że nic, nic nie było. W dzienniczku uwaga: „Bije się, zaczepia starszych chłopców. Jest agresywny”.

Śmieci znów nie wyrzucił, mówi, że jutro.

10.10.77

Urodziny Duszka. Drobnny podarek od Adasia. Sam uszył ochraniacz na Duszkowe okulary. Jest trochę gości. Siedzą w pokoju Duszka, słuchają płyt i rozmawiają o przyszłym obozie. Już?

11.10.77

Adam coraz rzadziej chodzi do Darka. Dziś na przykład nie chciał tam iść w ogóle. Zapomniał o zbiórce harcerskiej. A może tak bardzo nie chciał iść, że naumyślnie zapomniał. Uwaga w dzienniczku:

„Adam jest niemrawy, ślamazarny, na zadane pytanie, nie tylko na temat zadanej lekcji, nie udziela sensownej odpowiedzi lub milczy”.

Z tym wyrzucaniem śmieci jest coś nie tak. Boi się, zwłaszcza wieczorem. – To ja rano, ciociu.

Nawet sam zrywa się bardzo rano i wyrzuca. Co to jest? Ze sprawą „3 x w nocy” wszystko dobrze. Pojedynczo, o pierwszej w nocy i sam.

13.10.77

Przyszedł list od mojej przyjaciółki belgijskiej, a w nim kilka zdjęć z Wenecji.

Adam był zachwycony. Potem długo wypytywał, jak tam jest, czy ona, ta Wenecja, naprawdę jest na wodzie i dlaczego nie tonie. Marzy, żeby choć raz w życiu wyjechać za granicę. Duszek przemebłował dzisiaj swój pokój, a Adam pomagał mu rzetelnie i ochoczo. Przebąkiwał przy tym, że jemu by się też

przydało takie przemeblowanko.

Dziś przyszedł jeszcze jeden list. Ze szkoły Adama, wzywający panią B. do szkoły w sprawie syna. Adam list zobaczył, bo był otwarty i bardzo się zdenerwował. Ale nie faktem wezwania mnie do szkoły, a nazwiskiem. Dał temu wyraz.

– Przecież ciocia jest pani Kowalczyk. – powiedział z żalem.

I tak miałam jutro pójść do szkoły, bo Dzień Nauczyciela.

14.10.77

Byłam. Najpierw w sekretariacie. Chodziło mi o trzy zdjęcia, które Adam miał na przedwczoraj dostarczyć i nic, oczywiście, w domu nie powiedział.

Przy okazji poprosiłam, bardzo grzecznie, o zmianę nazwiska, na które adresują korespondencję do mnie.

Sekretarka na to:

– To pani zmieniła nazwisko?

Ręce mi opadły. Ale nie mogę tego tak zostawić, bo już nie chodzi o to, że jestem pani Kowalczyk., a nie pani B., tylko o Adama. On to przeżywa za każdym razem na nowo i bardzo boleśnie. W czasie uroczystości, w klasie powódź kwiatów. Zanim dojechałam do domu, było już za późno na fotografa.

15.10.77

Rano pojechaliśmy na dworzec Centralny, jako, że dziś niedziela. Tam się to dokonało błyskawicznie. Nawet ładnie wyszedł. Ale dalej kłamie.

– Śmiecie wyrzuciłeś?

– Tak!

W głosie pewność i zaufanie, prawie oburzenie, że mu nie wierzę. Ciągle odnoszę wrażenie, że on mnie obserwuje, mnie i moje reakcje na jego, ewidentnie wszak, niepotrzebne kłamstwa. Bo przecież nikt się na niego nie gniewa za zapomnienie, czy za dwóję a tylko za kłamstwo.

16.10.77

Na zdjęciu, które dziś zanoszę do szkoły, jego twarzyczka jest ładna, tylko jakaś obca. Czy na zdjęciach jesteśmy inni, niż w rzeczywistości? Czy zdjęcie chwyta, utrwala jeden moment z naszego życia? Czy też może jesteśmy rzeczywiście sztuczni?

Powtórzyła się historia ze śmieciami. Za każdym razem idzie do innego śmietnika, byle nie do naszego. Co tam może być? Myszy, szczury, koty? Stoimy z Duszką: on na balkonie, ja w oknie jego pokoju i obserwujemy pilnie. Mimo zmroku, widzimy sylwetkę z kubelkiem. Wychodzi z ostatniej, dwunastej, klatki schodowej. Wolał więc przejść sam, przez ciemne korytarze piwniczne, niż... Co się za tym kryje? Co w ogóle może się kryć za kubelkiem od śmieci?

18.10.77

Uwaga w dzienniczku, że Adam zaczepia młodsze dzieci, prowokuje własną klasę do agresywności wobec innych klas, nie sportowych. A w domeczku... strzela sobie z procy do starszych chłopców. Z balkonu to robi. Sprawę nadała pani dozorczyńni:

– Ten pani, jak mu tam, to z procy strzela, proszę pani, do ludzi celuje, jeszcze jakieś nieszczęście... pani mu powie!

Pewnie, że powiem temu, jak mu tam. Okazuje się, że Adam robi to kiedy nas nie ma w domu, a przecież nie ma mnie w domu co drugi dzień. Wraca czasami wcześniej ze szkoły i strzela sobie. Kamyczkami uzbieranymi nad morzem strzela. Dużo starsi od niego chłopcy, wypatrzyli go na naszym balkonie, tego strzelca wyborowego i, chcąc się odemścić, polują na niego nieustannie. I stąd te peregrynacje wzdłuż calusieńskiego bloku.

19.10.77

Zaczyna trochę dbać o swój pokój. Na razie to tylko: Deyna, Szarmach, Lato. Na Leonarda da Vinci przyjdzie czas. Tymczasem jest to tylko bardzo wąskie zainteresowanie sportem. Jak na mój gust, sport za bardzo wchodzi w nasz dom. A może mi się tak tylko zdaje?

20.10.77

Dziś była zbiórka harcerska i znowu nie poszedł. Za to, po zbiórce przyszedł jego drużynowy. Okazuje się, że Adama albo nie ma na zbiórce, albo jest, nie spóźnił się, ale za to nie jest w mundurze. System kartek, nawet pisanych przez niego też nie działa. Co robić?

21.10.77

W sukurs przychodzi niezawodny Duszek. Wymyśla duży cyrograf formatu A4, a na nim Adam pisze własnoręcznie:

1. Zapłacić każdego miesiąca, pod koniec, za bilet miesięczny i za Komitet Rodzicielski.
 2. Rano robić wszystko ładnie i tak, jak każe ciocia.
 3. Przed WF i po, przebierać się. W każdy poniedziałek pamiętać, że jest dzień mundurowy.
 4. O tym, co każe nauczyciel, mówić tego samego dnia w domu cioci albo Duszkowi.
 5. Nie mówić, że nic nie zadane, bo najczęściej jest coś zadane.
- Ja to wszystko obiecuję! Więc się teraz podpisuję – Adam B.

22.10.77

Jakiś podejrzenie spokojny dzień. Po powrocie od Ani pokoje, wszystkie, ładnie sprzątnięte. Aż się wierzyć nie chce! Szybko do dzienniczka! Ale i tu nic. Co to jest? Może chory?

23.10.77

W telewizji ogląda tylko Dobranockę i sport.

24.10.77

Czyta znowu sporo. Już cztery książki od początku roku. Zaprowadziłam mu zeszyt pt.: „Moje lektury”. Zapisuje tam każdą przeczytaną książkę. Teraz wpisuje właśnie „I ty zostaniesz Indianinem” i „Przeciw pancernym – Ognia!”. I zawsze parę słów własnego zdania. Zeszyt jest cienki i niedługo się skończy.

25.10.77

Idziemy na długi, niedzielny spacer na lotnisko. Rozmowa tylko o sporcie i to w sensie, kto w czym jest lepszy w klasie.

26.10.77

Znowu małe kłamstwa. Jak z tym walczyć? Za to uwag ze strony szkoły nadal brak. Ale nie cieszymy się na zapas!

27.10.77

Jakoś dalej spokój. Trochę odsapnęliśmy. Pewnie do czasu, aż nam się znowu coś nie zwali na głowy.

28.10.77

Pamięta prawie wszystko. Czasami tylko zapomni jakiś drobiazg. Dziś zapomniał drugiego śniadania.

29.10.77

Zadana lekcja z geografii była dość trudna, więc robiliśmy ją razem. Rzecz w tym, że pan od geografii był nieobecny trzy kolejne lekcje i teraz odrabia hurtem zaległości. A właściwie dzieci odrabiają jego chorobę. Ale zmogliśmy i tę przeszkodę.

Udawaliśmy Bolka i Lolka. Mnie przeznaczył Adam rolę Lolka, tego łagodnego. Sam był, oczywiście Bolkiem. Zabawa była pyszna, o mało nie rozbiliśmy globusa. Ale za to cała geogra weszła nam do głowy.

30.10.77

Z geografii nie był pytany, bo pan znowu zachorował. Rozczarowanie.

– Po co ja się uczyłem?

– Dla siebie, na przyszłość.

Trudna rozmowa.

31.10.77

Ze sprawami „3 x” jest zupełnie dobrze. Nawet budzik jest nastawiany teraz na godzinę drugą w nocy. Krysia mówi, że trzeba szybko i raczej często przedstawiać te godziny. Ale mnie się zdaje, że stan tego „3 x” za bardzo zapuszczony. Trzeba chyba wolniej. Nic na siłę. I być przygotowanym na regres.

1.11.77

Dalej dba o swój pokój. Nie tyle go sprząta, co go przyozdabia. Tematyka jednakże ciągle sportowa.

2.11.77

Właściwie bez zmian. I tak jest dobrze. Znów była lekcja geografii. Spławność Wisły i Odry. Znów była świetna zabawa. Spływaliśmy i spławialiśmy, aż wszystko umieliśmy.

3.11.77

Z geografii dostaliśmy dwa, a to dlatego, że nie umiał, bo było zadane co innego. Nieprzytomny na lekcjach, czy co?

4.11.77

Nie ulega wątpliwości, że robi się coraz sprawniejszy fizycznie. Ale co z tego,

jeśli obserwuję wyraźny spadek poziomu umysłowego. Znowu mało czyta i tylko napędzany. Przeszło mu widocznie. Szkoda. Może mu się wróci.

5.11.77

Z zapominaniem prawie dobrze. W każdym razie nie wygląda to już na pogranicze patologii, jak to było dotychczas. Widziałam dziś, jak zerkał na CYROGRAF. A potem powiedział:

– Aha!... – i wyrzucił śmiecie.

Wcale tak bardzo nie dziwię się, jeśli czegoś zapomni, bo kiedy to dziecko ma mieć jakiś godziwy odpoczynek. Wraca przeważnie bardzo późno, zmęczony, spocony i tylko do łóżka, do łóżka!

6.11.77

Wrócił ze szkoły o ósmej wieczorem, było już zupełnie ciemno. Okazało się, że był z klasą na meczu. W tramwaju były, opowiadał, rozróby. Chłopcy się pobili.

– Wychowawcy nie było. My sami pojechaliśmy na ten mecz.

– A ilu was pojechało?

Padła odpowiedź, że dwudziestu! Widzę już ich oczyma wyobraźni w tramwaju i na stadionie. Pan na szczęście, na stadion doszlusował.

7.11.77

Byliśmy dziś na spacerze naszą starą trasą przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście aż do Zamku. Wznoszą się te mury i wciąż pięknieją. Jest też sprawa ruin. Adam nie może pojąć, że tu była kiedyś apteka, tam sklepy i że mieszkali tu ludzie. Kiedy tak stoi na placu, widzę dopiero, jak bardzo Adam urósł.

8.11.77

Odpocznę sobie krzynę. Zmachałam się wczorajszym spacerem. A juści! W domu zastaję kartkę od Duszka, żebyśmy się zmobilizowali, bo będzie przemeblowywał. Znowu?

9.11.77

To był sądny dzień, nie przemeblowanie. Wszystkie graty z pokoju Duszka przenieśliśmy do Adama, a potem z powrotem. Adam pilnie pomagał, ani jęknął.

– Ten tapczan to lepiej tu, Duszku – mówi – bo idzie zima, nie będzie wiało.

10.11.77

Już minął tydzień bez zapomnienia.

11.11.77

Bez zmian.

12.11.77

Znowu uwaga o biciu się. Nie wystarczą mu widocznie intensywne zajęcia gimnastyczne? Na domiar szczęścia, przyszła sąsiadka ze skargą, że Adam pluje z balkonu na przechodzących ludzi. O wielkie nieba! Za długo był spokój! Trudno było jej tłumaczyć, że według metody amerykańskiej (no frustration), skoro pluje, to widocznie musi, i że jak mu zabronię, to będzie miał kompleksy.

Przeprosiłam więc tylko bardzo grzecznie. A Adam stał, stał i patrzył. Co on tak patrzy? A może daje mi lekcję, żebym jaskrawiej mu siebie w różnych sytuacjach pokazywała? To może wtedy zaczniesz mnie naśladować! Bardzo to wszystko skomplikowane.

13.11.77

Wywiadówka, a przedtem zebranie ogólne szkoły. Jedna pani ma córkę w siódmej klasie, sportowej, oczywiście, i ona, ta córka wraca po zajęciach WF o dziewiątej, a nawet o dziesiątej w nocy. Sama. A mieszkają poza miastem. A szkoła wymaga, żeby dzieci z klas sportowych chodziły spać najpóźniej o godzinie dziewiątej wieczorem. To ona się pyta, jak to pogodzić? Druga jedna pani zwraca uwagę na system douczania: pan jest albo go nie ma. Jak jest, dzieci nie odrabiają zadanych lekcji, tylko pogłębiają.

– A jak pogłębiarki nie ma, przepraszam, pana nie ma, to łobuzują się. A przecież na początku roku były zapewnienia.

A były, były. Sama pamiętam. Mój jest dopiero w piątej klasie, ale trzeba myśleć perspektywicznie. Świetny, niedouczony sportowiec czy odwrotnie?

Zdenerwowałam się, a publicznie rzadko mi się to zdarza, więc interpeluję:

– Dlaczego dzieci jeżdżą same na basen. Jeden wypadek złamania ręki w czasie drogi już był.

– Przecież to duże dzieci.

– Wzrostem może niektórzy tak, ale wiekiem? Mają tak około po jedenaście lat, przeciętnie. Jeśli pan przewodniczący zebrania nie może odpowiedzieć na moje pytanie, proszę o przywołanie pani Dyrektor.

– Jeżeli pani, pani B. życzy sobie, poprosimy panią Dyrektor.

– Tak, życzę sobie, jakem trójka klasowa.

– Pani we własnym imieniu, dobrze? – odzywa się reszta trójki – My możemy wozić i przypilnować.

– Całą dwudziestkę? Macie kwalifikacje, bo ja nie. I jeszcze jedno, dlaczego szkoła z uporem godnym lepszej sprawy, nie umie czy też nie chce (oho! trójkowa pani Kowalczyk wykopała tomahawk!) zmienić mego nazwiska na właściwe. Dziecku to jest niemiłe, a mnie tym bardziej.

– A co to za różnica – pada ex cathedra – jak się kto nazywa?

Tomahawka nie zakopię. Absolutnie!

14.11.77

Rano wpadli znajomi. Zabierają nas na mały, przedzimowy wypad za miasto. Trochę lasu, trochę rzeki w Świdrze dobrze nam zrobi. Po obiedzie w barze, Kazio, właściciel samochodu prezentuje nam swój nowy nabytek. Mały, przenośny i kolorowy telewizorek.

– A teraz, proszę państwa, łączymy się ze stadionem w Chorzowie. Mecz Polska – Holandia rozpocznie się za chwilę.

15.11.77

Adam wraca dziś znowu bardzo późno do domu.

16.11.77

Pokój Adama pięknieje. Dziś podwędził moje kwiatki, które dostałam wczoraj od Krysi. Zawiesił też ładny plakat, który dostał od Duszka w ramach upływniania remanentów. Adam rozmarza się:

– Ten tapczan to bym postawił tu, pod ścianą, a stolik pod oknem. Co ciocia na to? A na lato – kontynuuję, niezrażony moją miną – to się przestawi z powrotem.

Oj Duszku, Duszku. Te przemeblowania bardzo zaraźliwe!

17.11.77

Douczenie rzeczywiście nie gra. Ja płacę za douczenie, a douczam go sama. Douczenie to młodzi sportowcy, którzy może i mocni w sporcie, ale w matematyce na pewno nie. Dziś znowu z polaka trzy z minusem i dwójka z przyrody.

18.11.77

Adam wrócił dziś ze szkoły cały posiniaczony. Nawet na przedramieniu miał ślad ukąszenia. Nie żmii, na pewno nie! Ale za to z rosyjskiego piątka.

20.11.77

Zimno i leje. Nigdzie nie idziemy. Próbuję trochę grać z nim w różne gry, ale on woli mecz w telewizji. Wzrasta też agresja. Co prawda nie w stosunku do mnie, ale na przykład w stosunku do kolegi, który przyszedł upomnieć się o jakąś nie oddaną książkę.

21.11.77

– Co dziś w szkole, Adasiu? – a głos mam słodki niczym Lukrecja.

– Nic.

A w dzienniczku dwójka z rosyjskiego. I uwaga: "Uczeń nie przyniósł kartinki".

23.11.77

Pluje z balkonu w dalszym ciągu. Zauważył to Duszek, bo mało co i jego by to spotkało. Adam natychmiast uciekł z balkonu i ukrył się w swoim pokoju. Ale wiele mu to nie pomogło. Męska rozmowa Adama z Duszkim. Może już nie będzie pluł. Adam oczywiście, nie Duszek.

24.11.77

Znow był u Ani. Zwolnił się sam z czegoś. Bardzo szczęśliwy, prowadził wózek. Nie pozwalam mu przeprowadzać wózka na drugą stronę ulicy, bo zbyt gwałtownie zjeżdża z trotuaru. Kiedy wyjęłam Anię z wózeczka, zauważyłam, że Adam ćwiczy pustym wózkiem precyzyjny i delikatny zjazd. Zadziwiający.

26.11.77

Byłoby nieźle. Tylko chwali się niemożliwie swymi sukcesami sportowymi.

– Dziś przebiegłem tysiąc metrów w ciągu 3 minut i 59 sekund. To dobrze, ciociu, czy źle, ciocia powie?

Sięgam głęboko do pojemnej studni mej przedwojennej pamięci.

"Własiewiczówna, nie, Hebda, nie, to nie to. Już mam! Nurmi!". To jest to!

Wyciągam biednego olimpijczyka z głębin zapomnienia, odkurzam jego rekordy i zastanawiam się, ile też mógł wynosić jego rekord olimpijski? Mam – 1.500 metrów w ciągu 3 minut i 53 sekund.

Zaczynamy skomplikowane obliczenia matematyczne. Nie obejdzie się bez rewelacyjnego kalkulatora Duszka. Wychodzi nam, że Adam Nurmi nie jest, ale w swojej grupie wieku niezły.

Dziś jest niedziela, dzień odpoczynku, ale Adam wymusza na mnie pójście do Ani. Bardzo ładnie się z nią bawi, a jak nikt nie słucha, nuci jej cichutko:

– Aaa, kotki dwa...

Szybko ocieram jakąś głupią łzę, która była uprzejma zakręcić się tam gdzie nie potrzeba.

Potem Adam chce wziąć Anię na ręce, ale robi to niezręcznie. Uczymy go.

Bardzo uważnie powtarza nasze gesty i jest uszczęśliwiony.

Wieczorem czyta i opowiada mi, co przeczytał.

29.11.77

Sprawy z co zadane. Ciągle nic. Jego kolega, Zbyszek ma telefon. Telefonuję z dyżuru Aniego do Zbyszka. A po przyjeździe do domu, powtarzam już stereotypowo:

– Co zadane?

– Nic – słyszę również już stereotypową odpowiedź.

Tylko, że ja już jestem mądra.

– Jak to nic? A trzy zadania z matmy, a wiersz, a ruski?

– Jak to, to ciocia wie? Była ciocia w szkole?

– Nie, nie byłam.

A potem robi już pokornie co trzeba.

30.11.77

Zawiadomienie odręczne do... pani B., że syn bierze udział w Mikołajkach i trzeba dać 40 zł. Denerwuje mnie to w końcu. Ciągle po linii najmniejszego oporu. Miesza mi się w głowie. Kto ja jestem wreszcie? Pani Kowalczyk, czy pani B. A może obydwie jednocześnie.

3.12.77

Po telefonie do matki Zbyszka, okazało się, że Adam ma masę zaległości. Tłumaczy to tym, że tu był „WF”, a tam basen itp. Za karę nie ogląda telewizji. Ale co z tego, wystarczy, żeby poszedł, po odrobieniu lekcji do kolegi i już mecz zaliczony. Zmienił mu się charakter pisma. Z dużych, dziecinnych, starannych literek, przeszedł na drobny, prawie nieczytelny maczek. W zeszytach do polskiego uwagi, że pisze niemożliwie. Zaległe lekcje przepisuje nawet z ochotą. Z mniejszą ochotą rysuje.

4.12.77

Zastanawiamy się z Duszkiem, co kupić Adasiowi na Gwiazdkę. Nauczona zeszłorocznym doświadczeniem wiem, że kupić trzeba, tylko co, oto jest pytanie?

Zmęczona już jestem tą ciągłą szarpaniną. W dodatku dziś pierwszy raz stanął mi okoniem. Nie będzie robił lekcji, nie będzie się mył i już. Nawet próbował odburknąć. Skarcony, poszedł do swego pokoju, mrużąc buntowniczo pod nosem.

Jak w takiej sytuacji myśleć z sercem o prezentach. Ale zaraz zjawia się „Charakterystyka dziecka – raport nr 1” Sopel lodu, jaki powoli zagnieździł się w moim sercu, zaczyna topnieć.

5.12.77

Duszek proponuje poczet królów polskich.

– Ma już przecież – mówię.
– No tak – przekonuje Duszek – ale on ma Matejki, kup mu poczet Baciarałlego. Widziałem ładne wydanie w Empiku. Może i aparat fotograficzny. Używał na wakacjach mojego.
Dobrze. Niechaj będzie, taki mały „Druh”.

6.12.77

Sąsiadka, nie ta od cebuli i nie ta od plucia, nasza kochana, niepowtarzalna sąsiadka, pani Marysia, raczy nas, już tradycyjnie, małymi, ślicznymi prezencikami. Na klamce drzwi wejściowych wiszą, nad butelką z mlekiem. A ja, gapa, zapomniałam!

7.12.77

Na Mikołajkach w szkole nie mogłam być. Adam wrócił ze szkoły, miał łzy w oczach. Dla wylosowanego kolegi kupił za przykazane 40 zet ładną książkę, nawet dołożył ze swoich, a sam dostał starą i zepsutą zabawkę.

– To chyba na kpiny, ciocia – żalił się.
Jak mu to wytłumaczyć?

8.12.77

Dziś są moje imieniny, ale ja u Ani. Zostawiłam, ze słabą nadzieją, kartkę na stole, co powinno być kupione. Kiedy wróciłam do domu, Duszek kończył z pomocą Adama, wielkie, imieninowe sprzątanie, a zakupy leżały porządnie poukładane na stole kuchennym. Sam Adam je wystął po kolejkach. W dzienniczku też spokój. Nawet dwój nie było. Powiedział, że on na prezent dla mnie tak się starał w szkole.

10.12.77

Znowu telefon do Zbyszka. Matki nie było, rozmawiałam ze Zbyszkiem. Chłopiec mnie zadziwił. Powiedział mianowicie, że Adam uczy się nie najgorzej, nie jest w każdym razie ostatni w klasie. Ale bardzo szkodzi sobie zachowaniem. Nauczycielom odpowiada bardzo niegrzecznie, ordynarnie, burkliwie.

11.12.77

Adam przyszedł dziś znowu pokiereszowany. Była po lekcjach wielka bójka dwóch klas, tej sportowej i nie. Coś we mnie narasta, gromadzi się i chyba wybuchnie z wiosną. Mam dość tego opatrywania, bandażowania, gojenia. Czyżby sport wyzwalał także niskie instynkty? A może to sam Adam? A może to niewypał z tym sportem?

12.12.77

Rozmawiałam dziś w szkole z innymi rodzicami. Narzekają, że cała klasa jest taka. I albo biją się regularnie między sobą (warunki mają!) pod pretekstem zazdrości o lepsze wyniki, albo cała klasa bije się z innymi klasami, nie sportowymi.

13.12.77

Telefon do matki Zbyszka ujawnia, że na pięć lekcji, cztery zgadzają się z oświadczeniami Adama, tylko jedna nie. A ta jedynaczka to... prace ręczne.

Freudowskie zapomnienia zabierania przyborów z powodu bardzo słabych zdolności manualnych.

14.12.77

Do Darka nie chodzi już zupełnie. Jego samego zaś ledwo toleruje u nas w domu. Ważna rozmowa o Darku. Dlaczego? Zbija mnie z pantałyku rzeczowym wyjaśnieniem:

– Ciociu – mówi bardzo poważnie – tam jest ślicznie, ciocia się nie pogniewa, ale ładniej niż u nas i bogaciej. Ale tam, nie ma żadnej książki. A ja tak lubię encyklopedie i takie wszystkie książki, jakie ciocia ma.

Czy to mój pierwszy sukces? Sam ocenił i wybrał. Dokonał dobrowolnie samodzielnego wyboru.

15.12.77

Przybił dziś w swoim pokoju afisze, które dostał od sąsiadki od serca, naszej pani Marysi. Wybrał najbarwniejsze. Palec sobie co prawda rozbił młotkiem, bo ściany betonowe, ale to nic nie szkodzi. Łapię się na tym, że z wolna, niedostrzegalnie, zaczynam stawać po jego stronie. Tracę obiektywizm, ale i dopracowane, przygotowane na zimno podejście.

Nie rozmawiam już z pozycji rozsądek, a powoduję się uczuciem, które nie wiem kiedy wyrosło, a daje o sobie znać w chwilach przełomowych. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale tak jest.

Nie chcę go więcej widzieć podrapanego, z podbitym okiem. W końcu, czy on jest agresywny czy niemrawy? Jeśli agresywny, to w jakich okolicznościach i czy sam prowokuje, czy prowokuje go grupa i on tej prowokacji ulega, bo honor, bo presja środowiska nie pozwalają inaczej. A jeśli niemrawy, to dlaczego, skąd to się bierze? Gdzie mu się ta wiedza gubi w drodze z domu do szkoły. Spróbowałam dziś nie telefonować w sprawie lekcji. Jakoś sam powiedział, co z czego zadane.

18.12.77

Dostał piątkę z wiersza i uwagę, że recytował „z uczuciem”. Tudzież piątką z matematyki.

19.12.77

Duszek z Adasiem kupują choinkę. Adam, już tradycyjnie, grzeczniej.

20.12.77

– Nie pojedziesz na zimowisko, jeżeli będą dwóje i uwagi o złym zachowaniu! Mów po prostu, co zadane.

– Mnie nie zależy, mogę nie jechać.

Obrażony. Jak ja go właściwie wyprawię na to zimowisko z budzikiem? I tak źle i tak niedobrze.

21.12.77

W ostatnim dniu szkoły, bo to już ferie, zmalował kilka rzeczy jednocześnie. Nie był na zbiórce, skłamał, że na święta nic nie zadane, a jest zadane. Zniszczył dość dokładnie nowy adapter. Trzeba kupić następny, albo wcale. A sam tak lubi słuchać płyt. Ale był skruszony, jak zając. I przepraszał. Pewnie, pewnie, teraz, jak Gwiazdka tak blisko.

22.12.77

Wstaję bardzo wcześnie, bo to dzień Ani. Adam, już dawno ubrany, czeka grzecznie, ale uparcie, w kuchni. On też do Ani.

– Na cały dzień?

– Tak. Ja będę cioci pomagał.

I co można powiedzieć na takie dictum acerbum? Sopolka ani śladu. Głaszczę to stworzenie po główce i, już solidarnie, za rączkę, jedziemy na Madalińskiego. Pomaga istotnie bardzo skutecznie. Po Krysine zakupy idzie, śmiecie jej wyrzuca. Wszystko za cenę zabawy, choć przez chwilę z Anią.

23.12.77

Między karpim w galarecie a ciastem z rodzynekami, Adam, długi, chudy, w białym fartuszku, pyta cicho:

– A na Gwiazdkę to ja pewnie nic nie dostanę?

Żeby to ja miała na moją Gwiazdkę trochę umiejętności pedagogicznych! Na wszelki wypadek mówię:

– Pewnie, że nie!

– No właśnie! Tak sobie myślałem!

– A dlaczego tak myślałeś?

– No bo, ciocia się męczy, Duszek się męczy o te uwagi o biciu i w ogóle taka tępa głowa ze mnie. Ciociu, oni mnie podkuszają!

– Adasiu!...

W myślach jawi mi się piękna mowa o nieuleganiu podkuszaniu, o sile charakteru. Na tą, starannie dopracowywaną oratio recta nasuwa się ostrzegawczy napis. Świetliste litery zapalają się i gasną, tworząc, akurat na głowie karpia, napis: „Charakterystyka dziecka, raport nr 1”.

Nie kończę zdania. Umączonymi i pełnymi łusek karpia rękoma, przytulam jego główkę i głaszczę. Poddaje się temu dziwnemu zabiegowi łagodnie, a potem patrzy na mnie. Myślę sobie: „Dostaniesz, na pewno dostaniesz!”

– Dlaczego tak na mnie patrzysz, Adasiu – mówię.

– Bo ja myślę, że ciocia teraz myśli, że ja jednak dostanę. Może nie dużo, może taki malutki prezencik, ale dostanę.

Przedwczorajszy sopol lodu roztapia się w ciepłej kuchni i mego serca. Wichrzę mu czuprynę i wołam:

– Marsz do garów! Nic nie pozmywane, a my mamy jeszcze tyle roboty!

24.12.77

Nasza ślepa kuchnia ma jedną (niestety, tylko jedną) zaletę. Można tu smażyć, gotować, a tam zerkać i obserwować. Widzę Adasia dokładnie. Małą piłką skraca drzewko, niepewnie przypasowuje, poprawia. Ogląda z daleka, przymrużając jedno oko. Widocznie jest zadowolony, bo zaczyna ozdabiać. Przypomina sobie, że jestem tuż, za szybką, woła więc:

– Ciocia nie patrzy, jak skończę, to zawołam, dobrze, ciocia?

– Dobrze – odpowiadam, ale bardzo mi to nie na rękę, bo za chwilę muszę pójść na balkon, gdzie mieści się nasza zimowa lodówka. Wchodzę więc do pokoju tyłem i boczkiem, boczkiem przesuwam się koło choinki. A Adam, mniejszy niż cała choinka, rozkłada ręce i zasłania ją, nie zdając sobie sprawy, że to drzewko go zasłania, a nie odwrotnie.

– Ciocia nie patrzy, to będzie niespodzianka! – woła.

Niespodzianka jest świątecznie zielona, pachnie lasem, śniegiem i zimą. Cała

skrzy się srebrem, złotem, czerwienią dużych bombek i kolorowością długich łańcuchów. Jest naprawdę ładna. Może tylko trochę za bardzo to wszystko ściśnięte, łańcuchy są napięte, nie zwisają w swobodnych festonach, pochowane zbyt głęboko. Czyż to nie właśnie obraz wnętrza Adasiowego? Już zaczyna je mieć zagospodarowane, jeszcze nie umie tego okazać, uzewnętrznic.

Po wigilii, po prezentach, siadam w fotelu i patrzę z uśmiechem na wnętrze pokoju. Duszek rozciągnął się, jak długi, w fotelu, przegląda pisma. Na podręcznym stoliku ma ustawiony talerzyk z przysmakami. Co raz sięga po kawałek. Talerzyk jest już pusty, ale Duszek tego nie widzi i stuka dalej w pusty talerzyk. Adam leży na dywanie, też rozciągnięty na całą długość, a jest go już sporo. Zagłębiający w czytaniu „Tajemnicy zielonej pieczęci” też nie widzi, że jego talerzyk również pusty. Przez chwilę słychać bezmyślne stukanie ich palców o porcelanę. Zaczytani, nie widzą, że ich obserwuję.

Pierwszy przytomnieje Adaś. Podnosi wielkie, świetliste oczy. W ich tęczęwkach widzę, powtórzone miliardy migotliwych światełek i blasków choinki.

– Ciociu, ciocia da nam coś dobrego, bo już wyszło.

Zaraz po północy, już tradycyjnie, imieniny Adama. Z radości o mało mnie nie zadusi. To jego Ciociu! i oczy pełne wyrazu! A prezentem ode mnie jest własny klucz do mieszkania w skórzanym portfeliku. Dotychczas klucz dla niego był pod wycieraczką.

Również tradycyjnie, Adaś może być z nami tak długo, aż oczka same się zamkną. Oczka zamknęły się. Dopalające się świeczki zgasił Duszek i o trzeciej rano zasypiamy wszyscy w różowych humorkach.

25.12.77

Żuk jest ogromny, rusza wszystkimi łapami naraz. Cały, za wyjątkiem głowy, w której lśnią dwa czarne oczka, jest kosmaty. Teraz macki pełzną powoli, ostrożnie, wzdłuż mego tapczanu, z trudem dźwigając ciężki tułów. Czekam z rozpaczą, kiedy zaczną gramolić się na sufit.

Z płataniny kosmatości wysuwa się ostrożnie cała macka. Chcę krzyknąć, głos więźnie mi w krtani. Pięciopalczysta macka przemyślnym ruchem ściaga ze stoliczka... program telewizyjny. Przytomnieję. Oj, oj, panie Kawka, czy ja muszę koniecznie mieć dziwaczne sny. Omiatam oczyma pokój. Telewizor nastawiony, jest obraz, nie ma głosu. Na stoliku stoi tacka z kanapkami, ciastem i niezdarnie obraną pomarańczą. Pachnie kawa. Na fotelu, przy którym stoi na podłodze druga pełna tacka, siedzi Adam. Jest otulony grubym kocem, z którego tu i ówdzie wyłazą nogawki od piżamy, gołe stopy i ręce. W jednej trzyma program telewizyjny, a druga nurkuje w łakociach na talerzu.

– Ciocia nie śpi. Ciocia zobaczy co jeden krasnoludek przygotował! Ciocia obada. Zaraz będzie film o takim jednym...O takim Hucku. Ja to znam, to bardzo fajowe, ale nie całe znam. Tam był raz, ale taśma się urwała i on nie mówił.

– Kto? Huck?

– Nie. Film. Nieważne.

Zagalopował się. Pierwszy bodaj raz powiedział tam.

Po południu świąteczny spacer. Adam robi zdjęcia nowym aparatem.

Wybrzydza, nosi się z nim. Uświadamia sobie nagle, że na zdjęciu ktoś powinien być, zaprasza z niecierpliwym uśmiechem. Gdy chcemy go zastąpić, żeby i on był pstryknięty, krzyczy, że nie, że on sam.

Pod koniec spaceru biegnie szybko do domu, żeby własnym kluczem otworzyć drzwi.

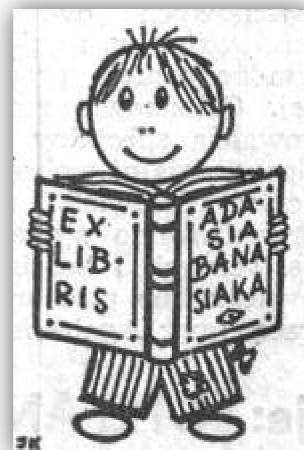
26.12.77

Spokojny, milusi, grzeczny, sam miodek. Dziś do Muzeum Narodowego. Najbardziej fascynują go obrazy Matejki. Zatrzymuje się przy nich dłużej, ogląda z bliska i z daleka. Szczególnie zwraca uwagę na uzbrojenie. Bardzo mu się podoba Canaletto. Mówi, że to zupełnie jak kolorowe fotografie. Nie podobają mu się natomiast obrazy nowoczesne, nazywa je Picassami, ale kto to był Picasso nie ma, oczywiście, pojęcia.

Po powrocie do domu przytaszczył dwa wielkie, opaste tomiska Encyklopedii Sztuki Laroussa i zmusza mnie do usadowienia się na dywanie. Muszę mu tłumaczyć podpisy. Rzeźby antyczne i akty omiata szybko wzrokiem, mocno manifestując brak zainteresowania.

27.12.77

Nieźródny Duszek znów miał pomysł. W czasie wolnych dni wymyślił śliczne ekslibrisy dla siebie, Adama i mnie. Mamy masę uciechy, kiedy Duszek ryje się w resztkach gumoleum z wykładziny z łazienki. Adama ekslibris jest szczególnie ładny. Duszek poprosił Adasia, żeby narysował chłopca, czytającego książkę. Adam narysował, jak umiał, Duszek poprawił fachowo kilka kresek, które nadały rysunkowi wyrazu i... gotowe. Pójdzie to po świętach na powielacz i będzie następna zabawa z naklejaniem. Adam jest tak rad, że sam proponuje nagle pójście do piwnicy po kompoty. Przynosi jeden mizerny stoik i dwie siatki książek. Okazuje się, że w czasie poprzednich, kompotowych wypraw (już nie boi się chodzić tam sam) zbadał dokładnie zawartość piwnicy i odkrył, pozostawione przez Wojtków, książki. Myślę, że Wojtuś przebaczy, że połowa jego młodzieńczej biblioteczki nie doczeka nowego mieszkania, bo zmieniła właściciela.



28.12.77

Wizyta u Duszka pana Petruczenki. To redaktor z „Motywów”, tygodnika ZHP. Na moją prośbę Adam serwuje elegancko herbatę i ciasto, które zrobił (prawie) sam.

Gość chwali i ciasto i Adasia. Jest jednak zaintrygowany i zapytuje, sumitując się, że on z reporterskiej ciekawości, kim jest ten chłopiec. Przecież Duszek ma brata, ale starszego.

Daję się sprowokować i, po wyjściu Adama do kolegi, opowiadam całą jego historię.

Po godzinie mojego monologu, gość powiada:

- Niech pani to napisze.
- Co napisze? – pytam zaskoczona i wytrącona z pantafelku.
- To co pani opowiedziała. „Motywy” wydrukują.

Przez to wszystko zapomniałam wieczorem zapalić lampę w korytarzu. Ale Adam po przyjściu, położył się grzecznie i nie zareagował.

Spróbuję wobec tego utrwalić ten, dobry i dla niego i dla mojej kieszeni, zwyczaj. W myśl zasady: „kilowaty nie na straty”.

29.12.77

Siadam więc i piszę mój pierwszy w życiu artykuł do gazety, do „Motywów”. Rodzinka, to jest Duszek i Adaś chodzą na paluszkach i nawzajem napominają się: „Cicho, pracuje!”. Śmiać mi się chce, ale udaję bardzo ważną.

– O czym ciocia pisze? Ciocia powie?

– O tobie, Adasiu. Chcesz przeczytać?

– Nie, nie chcę. Ja tylko tak pytam. Naprawdę o mnie? Kiwa mnie ciocia!

– Hm! Więc nie o tobie, ale o takim, jak ty, chłopczyku. A ty będziesz mi służył jako model.

– No, jak za model, to ja mogę, czemu nie! Ale ciocia dobrze napisze?

– To znaczy, czy ładnie? A, tego to już ja nie wiem.

– Nie, ja o to, że jak ja, no, ten model, zrobię coś nie tak, to żeby ciocia nie pisała.

– To byłoby nieuczciwie, Adasiu.

– A to co ja teraz mówię, to ciocia też...

– No pewnie!

– O rany! To ja już będę uważał. Duuuuszkule! – drze się na całe mieszkanie. – Duszek uważa, bo ciocia nas w gazecie opisze.

Na drzwiach do pokoju Adama, po odwrotnej stronie, niż poczet królów polskich Matejki (nie mylić z Baciarellim, którego poczet leży w szufladzie małego, wycyganionego stoliczka nocnego) notuję jako się rzekło, kreski, które obrazują jego wzrost. Jak się przyjrzeć sprawie statystycznie, wygląda to tak:

DATA	WAGA	WZROST
30.4.76	31 kg	153 cm
27.5.77	45 kg	162 cm
29.12.77	51 kg	168 cm

Gołe, zimne cyfry, a za nimi człowiek. Rośnie, rozwija się nadspodziewanie pomyślnie. Ale to nie moja zasługa. To wszyscy, którzy mi pomagają. I pani psycholog, i pani woźna w szkole, która po rozmowie ze mną inaczej patrzy na jego wysoki, i cała moja rodzina. Zamyka się nad nim, nieświadomym, krąg ciepłych, życzliwych serc.

30.12.77

Wypstrykał całą rolkę zdjęć. Sam zaniósł do wywołania, tylko się upewnił przed wyjściem:

– To jak mam powiedzieć, ciocia? Że co mają zrobić?

Kończy się rok, a budzenie noce jeden raz. Chociaż to się utrzymało! Dziś ostatni termin zapłacenia za zimowisko.

W sekretariacie:

– Pani Kowalczyk? My nie mamy pani na liście. Pani syn w ogóle do nas nie chodzi. Pani pomyliła szkoły. Może to inna szkoła?

Na pewno! Będzie inna szkoła. To już konieczne.

31.12.77

Odebrał sam zdjęcia. Nie mógł się doczekać. Na dwanaście, trzy są prześwietlone, dwa zrobione jedno na drugim, a pięć bardzo ładnych. Porywa je natychmiast do swego albumu, gdzie gromadzi pocztówki z miejsc, w których był sam, osobiście. Sporo już tego.

Dziś Sylwestra. Będziemy sami z Adasiem, ale szykujemy się, bo chcemy, żeby było uroczyście. Myję mu też osobiście głowę i tu sensacja! Adamowi kręca się włosy. Nagle cała główka w lokach. Może to zadziałał inny, niż zwykle, szampon. Z Krysią miałam podobną historię. Pamiętam, że nawet przeraziłam się, kiedy wyjęłam dziecko z kąpieli, a tu nagle loczki. Ładny robi się ten Adaś. Światło już się w korytarzu się nie pali, kiedy Adam idzie spać. Dziś zapytał tylko, dlaczego się nie pali, ale nie nalegał. Wygląda na to, że zapytał z obowiązku, a nie dlatego, że mu na tym zależy.

1.1.78

Sprawy z „1 x” w nocy też uregulowały się o tyle, że budzik u niego, sam go zatrzymuje, wstaje itd. Po rezultatach, a właściwie ich braku, wiem, że i to się udało.

gorzej natomiast wygląda sprawa z telewizją. Nam z Duszką po prostu nie wolno oglądać filmu wieczornego, bo Adam jest zazdrosny. Nie pozwala sobie, co prawda, na wyłączenie telewizora po dobranocce, ale robi wszystko, żeby nam pokazać, że nie powinniśmy oglądać. A więc: przychodzi ze cztery razy powiedzieć dobranoc, pyta się milion razy o różne drobiazgi. Dziś wymyślił nową rzecz:

– Po co ciocia i Duszek oglądają wieczorem film? Potem ciocia jest niewyspana rano. A mnie przeszkadza telewizja. Nie mogę zasnąć.

To oczywiście nieprawda, bo telewizor jest nastawiony bardzo cicho i w jego pokoju nic nie słychać. Robiliśmy próby. Postanawiamy jednak ograniczyć oglądanie wieczorne do minimum. Nie przychodzi nam to z trudnością, ponieważ każde z nas ma dużo własnych, ciekawych zajęć i może bardzo łatwo ten czas zagospodarować.

2.1.78

Po przyjeździe z dyżuru u Ani, zastałam potworny bałagan. Adam robi generalne porządki. Coś takiego! Swoje meble poprzemienił do Duszka i do mnie. Co mu się stało? Może chory? Po trzech godzinach intensywnych, samodzielnych zmaganiach, pokój Iłni.

– Ile się tego nazbierało! – mówi – Tyle zabawek! Gry poukładałem oddzielnie. I własnych książek mam dużo.

Samorzutne sprzątanie to może wpływ obozu harcerskiego, bo jak dotychczas, takie wpływy nie notuję.

– Adam, wczoraj była zbiórka, byłeś?

– Nie, bo wczoraj był dzień mundurowy, a nie zbiórka.

– Więc byłeś?

– Nie, po co? Nikt nie przychodzi w mundurze, to ja mam jeden przychodzić? Żeby się ze mnie śmiali?

Dziś znowu uwaga w dzienniczku o biciu się, szarpaniu. Co z tego, że rozwija się fizycznie wspaniale, jeśli rozwój umysłowy ciągle malutki, tycki. Odbija wyraźnie na tle klasy. Odsunąć tę sprawę, jak najdalej! Może po zimowisku, które pod koniec stycznia. Może ten obóz zimowy coś zmieni.

Tak nie można, strusiu. Wyjmij głowę z piasku, zdecyduj coś! Przecież ma wyrosnąć z niego wartościowy człowiek, a nie tylko bardzo zdolny kopacz piłki czy kajakarz. Choć i z taką ewentualnością biorą pod uwagę.

Był dziś Darek, dowiedzieć się o lekcje, bo był chory. Adam przyjął go bardzo oziębło. Na moje pytanie, gdy wszedł na chwilę do kuchni, czy nie zrobić podwieczorku, odpowiedział:

– Po co? On mnie nie częstował, jak byłem u niego. Tylko na podwórku musieliśmy się bawić!

4.1.77

Rozmowa z Adamem o szkole, której on, jak mówi, nie lubi. Mówi też, że tylko pani od polaka to prawdziwa pani.

– Co rozumiesz Adasiu, przez prawdziwa?

– Ja cioci powiem, jaka ona jest. Ona jest groźna, surowa, ale za to bardzo sprawiedliwa.

– Chyba każda pani jest sprawiedliwa, Adasiu. Jak umiesz, masz murowanie dobry stopień, jak nie umiesz...

– Nie, to jest inaczej, ciociu. Pani od matmy powie cioci, że jutro nie będzie klasówki, a robi.

– Hm! Może zapomniała, albo jej się pokręciło.

– No, tak, ale ciocia mówi zawsze, że dobry koń, nie tancerz! Aha! Już wiem, że dobrej tancerce...

– Tanecznicy!

– No właśnie, że dobrej tanecznicy i rąbek u spódnicy, nie, co ciociu?

– Nie zawadzi.

– Ona chyba nie była tancerką – dodaje nagle.

Rozśmiesza mnie tym, że powtarza moje powiedzonka, nie zupełnie a propos. Chyba jednak rozumiem, o co mu chodzi. O lojalność nauczyciela wobec ucznia. Pewnie, że dobry uczeń zawsze jest przygotowany, nawet na niezapowiedzianą klasówkę.

Ale ten śliczny slogan pasuje tylko do dobrych uczniów. A tych jest ilu? Jemu chodziło o te słowa z Prawa Harcerskiego: „Na słowie harcerza polegaj, jak na Zawiszy”.

5.1.78

Z wypracowania domowego trzy z minusem za brzydkie pismo i piątka za treść. Cieszy się, że już szkoła, bo będzie pływalnia. Pomaga aktywnie przy pracach domowych. Dziś zapotrzebował listę zakupów na jutro.

– Po szkole, jutro, jak ciocia będzie u Ani, to ja kupię, co trzeba, tylko mi ciocia zapisze.

Na pytanie, skąd mu to przyszło do głowy, wyjaśnia, że nie chce, żeby ciocia dygała i dygała te siaty.

Po południu Duszek przyniósł odbite ekslibrisy. Wszystkie trzy podłogi pokryły się natychmiast naszymi książkami. Radość jednak polegała nie na samym naklejaniu, a na pokazywaniu sobie nawzajem, jak to ładnie wygląda. Przy okazji odkryłam w stercie książek Adama, wśród książek wygospodarowanych w piwnicy, książki, które nie nadają się raczej do osobistej biblioteczki Adama. Skonfiskowałam „Ogródek na oknie” Wilskiej, „Życie seksualne dzikich” Malinowskiego oraz „Ekonomia polityczna”, praca zbiorowa.

6.1.78

– Adam, dziś zbiórka. Pamiętaj!

– Czy ja muszę iść, ciocia! U „Duszków” to się dużo nauczyłem. Duszek miał takie fajowe pomysły.

– A tu, jak jest?

– Nudy na pudy, ciociu. Znowu tylko śpiewaliśmy, a na kominku powtarzaliśmy regulamin mundurowy.

– O czym ty mówisz?

– Jak to, ciocia nie wie? „Duszki” się przecież zlikwidowały.

Tak, przypominam sobie. Teraz, w całej pełni dociera do mnie ta sprawa. Adam absorbuje, uczciwie licząc, osiemdziesiąt procent mego wolnego czasu.

Sprawa „Duszków” przeszła obok mnie, skwitowana jednym, suchym komentarzem Duszka:

– Rozporządzeniem Komendanta Hufca została zlikwidowana jedyna w tym hufcu drużyna środowiskowa. Odtąd będą działały tylko przyszkolne drużyny i szczepy.

Że ja się wcześniej nie zorientowałam. Przypomina mi to sprawę perliczek. Eksportowaliśmy te ptaszki, ceny były opłacalne. Aż pewnego dnia komuś, u góry coś się pokręciło. Zdecydował jeden telefon: „Wybić stado!” „Teren” płakał, ale posłusznie wybijał. Zarodowe stada, produkujące nie tylko dorodne perlice, ale i równie dorodne dewizy. Potem odwołano tego kogoś u góry, a co za tym idzie i to bzdurne zarządzenie, ale było już za późno. Zarodowe, piękne stada zostały wbite co do nóżki.

Tu już nie chodzi o Duszka, choć i on jest bardzo ważny. Świetny organizator, oddany bez reszty prostowaniu, poprzez harcerstwo, chłopców z podwórka, którym Podwórkowy Klub Zabaw Jakich Mało, założony właśnie przez niego, już nie wystarczał. Stworzył wzorcową drużynę z dzieci, którym niewiele brakowało do marginesu społecznego. Na dobrą sprawę, niektóre z tych dzieci wyciągał z tego marginesu.

Starsza młodzież, po tym bezlitosnym i, odważę się na to słowo, bezmyślnym, zlikwidowaniu „Duszków”, poszła za druhem komendantem do szkolnych drużyn, uczyć z kolei innych. Ale wszystkie młodsze dzieci ze zlikwidowanej drużyny, zostały przeniesione do szkolnych drużyn.

Rezultaty nie kazały na siebie długo czekać. Dzieci zaczęły masowo rezygnować z harcerstwa, motywując to częściowo, tak jak Adam: nudno, tylko piosenki i czasami gry terenowe... na terenie szkoły. A częściowo, że jak cały dzień są w szkole, a potem z tymi samymi dziećmi na zbiórce, to staje się to jakby przedłużeniem szkoły.

A u „Duszków” były dzieci z różnych szkół. Przenosiły, każde swoje sprawy do drużyny, a nie dusiły się w kręgu ciągle tych samych twarzy i szkoły.

Adam przyściśnięty, opowiada, że na zbiórce mówi się tylko o tym samym, o czym na przerwie w szkole. A jak to się odbije na przyszłym obozie?

7.1.78

Dziś poszłam na pięć minut do sąsiadki. Po chwili Adam już stukał do jej drzwi. A ponieważ rozmowa dotyczyła właśnie jego, musiałam ją przerwać. Tak jest zresztą zawsze. Kino, czy teatr nie istnieją w tym domu. Ale myślę, że to minie. Muszę się tylko uzbroić w cierpliwość.

A cóż znaczy strata jednego, nawet dobrego filmu czy sztuki, wobec zaoszczędzenia temu dziecku niepotrzebnych stresów. Gdyby był u nas od

najmłodszych lat, to co innego. Wprowadziłabym, jak to robiłam z moimi dziećmi, wychodne, jako rzecz oczywistą, którą dzieci przyjmowały chętnie i ze zrozumieniem.

8.1.78

Wizyta na Sadybie u Wojtków. Właściwie zrobił się cały zjazd rodzinny. Byliśmy my, czyli Duszek, Adaś i ja, państwo Malinowscy z córką. Syn Wojtków, Paweł, bawił się z Anią, która ślicznie pełzając, układała, zamiast rujnować, kolorowe klocki. Adam, jakiś taki rodzinie szczęśliwy. Halina podała, jak zawsze, pyszne ciasto.

Patrzę ja na ten, w końcu mój przychówek i nagle wołam:

– Czy wy sobie zdajecie sprawę, że tu, teraz, są trzy pokolenia?

– Jak to? – podniosły się zdziwione głosy.

– No, bo tak: ja, babcia to raz – po drodze migają mi uważne oczy Adasia, który chyba też odkrywa tę oczywistą prawdę... – więc, jako się rzekło, ja babcia, to jedno pokolenie. Krysia, Wojtek, Jacek, Adaś to moje dzieci, zatem drugie pokolenie. Ania zaś i Pawełek, moje wnuki, to trzecie pokolenie.

Robi się z tego bardzo wesoło. Wojtek, po poszeptaniu z Haliną, wyciąga z za opasłego słownika butelczynę „Miodu Kasztelańskiego”.

9.1.78

Z ćwiczeń gramatycznych dwa, bo w ogóle nie odrobił. Twierdził, że nie rozumiał, więc na wszelki wypadek powiedział w domu, że nic nie zadane. Ponadto dwója z klasówki matematycznej.

Znowu robimy zadanie, a Adam, jak zwykle zbuntowany. Po co? Na co? To już było! Ale ja twardo odkręcam tym razem, kurki od basenów. Dwa ich jest i napełniamy razem to paskudztwo wodą, po to tylko, żeby się dowiedzieć, o ile metrów kubicznych jeden jest większy od drugiego. Ja mam szczęście! Albo pociągi, albo baseny.

10.1.78

Złe zachowanie w klasie. Pobili się o piłkę z inną klasą. W opowiadaniu Adama nie wyczuwam jednak triumfu, czy radości z wygranej, bo to była, wstyd powiedzieć... III c.

– To ładnie tak? – pytam – Gromadą starych koni na dużo młodszych?

Usiłuje nadrabiać miną, ale mu nie wychodzi. Kuję więc żelazo póki gorące:

– A pani wychowawczyni, co na to?

– No, pani wychowawczyni to samo truła, co i ciocia. Przepraszam! Mówiła. Ja to wszystko wiem, ale tu, w domu. Ale ciocia nie rozumie, że jak cała klasa ryczy, pędzi, bije się, to ja z nimi i już wtedy nie myślę.

Poprawił na tróję gramatykę polską i przyjechał z tym na Madalińskiego.

Wieczorem znowu kwestia telewizji. Teraz już tylko sport. Emocjonuje się bardzo. Krzyczy, protestuje, zachwyca się, entuzjazmuje i kwestionuje.

12.1.78

Złamałam nogę od stołka kuchennego. Adam sam zreperował. Nawet dobrze to zrobił.

– A nie będzie aby kulał, Adasiu?

– Pewnie, że nie. Ciocia będzie spokojna.

– A gdzie się nauczyłeś tak ładnie przybijać?

– Jak to gdzie? – w głosie oburzenie – na obozie przecież. Prycze sam robiłem i przy stojakach do misek robiłem.

Po południu poszedł do dawnego kolegi, jeszcze z nad morza, Pawełka. Był trzy godziny i wrócił bardzo radosny. Tak, ale Pawełek jest prawie o dwa lata młodszy, stąd radosna i łatwa supremacja.

13.1.78

Dwójka z matmy. Uwagi na temat zachowania. Ciągłe jednak z tym, że Adam sam nie zaczyna. Natomiast zaczepiony, natychmiast reaguje agresywnie. Stara historia powszechna.

Zaprzyjaźnił się z kolegą z klasy, który mieszka też na naszym osiedlu. Skręca teraz rano na lewo, a nie na prawo i wychodzi o dziesięć minut wcześniej, bo on musi do Maćka. Jak musi to trudno.

14.11.78

– Ciociu, co ciocia wie o wyzwoleniu Warszawy?

– Ty chcesz tak w ogóle, historycznie?

– Nie, żeby mnie ciocia coś o sobie, bo ja mam zadane na siedemnastego, żeby taki reporter zrobić.

– Chyba reportaż?

– No tak. To wszystko jedno. Taki, jak na meczu przez radio on mówi: Szkoda, że państwo tego nie widzą.

Zbieram myśli. Jak to już dawno! Co ja pamiętam z tamtych, zimowych dni? Obfite śniegi otuliły litościwie kikuty domów, zgliszcza. Morze ruin pokryte morzem śniegu. I mimo śniegu, ostry zapach spalenizny i cisza, śmiertelna cisza umarłego miasta.

Środek Marszałkowskiej trochę uprzątnięty z gruzów i zwalisk, które ludzkie ręce odsunęły na bok. Ale było to mało, dużo za mało, za wąsko dla maszerujących szeregów wojska.

Po chwili, która wydaje się wiekiem, dociera świadomość, że te szeregi – to Wojsko Polskie!

Wraz z nieliczną gromadką ludzi poszłam gruzami, sterczynami za tym wojskiem. W Alejach, koło „Polonii”, na śpiesznie uprzątniętym terenie, ustawiono niziutkie trybuny.

Potem odbyła się uroczystość defilady. Najuboższa, najskromniejsza, jaką widziałam, ale i najpiękniejsza i najdonioślejsza.

Skąd było brać kwiaty dla tych, którzy wprost z defilady ruszali natychmiast, z marszu, na zachód, na front!

15.1.78

Kino z Maćkiem. Odprowadzam, żeby zorientować się, co i jak. Ludzi przemili, życzliwi. Maciek bardzo spokojny i grzeczny.

16.1.77

Z dyktanda polskiego trzy.

– Ale to już na drugi okres, ciociu.

Chce przez to powiedzieć, że wie, że ja nie uważam trójki za stopień. Czyha na schodach, bo rozpoznaje moje kroki. Schodzi na pół piętra i odbiera ciężkie siatki. A potem:

– Ja do Maćka, bo on nie był w szkole, to ja jemu lekcje...
I już go nie ma.

17.1.78

Zbliża się koniec pierwszego okresu. Trochę się boję, bo Adam spokojny. Byliśmy razem u Maćka. Cóż to za uroczy dom. Mieszkanie trzypokojowe, czyste, zadbane, mnóstwo kwiatów, mało mebli, tylko niezbędną. Dzieci pięcioro. "Córki z matki wdzięk swój biorą, chłopcy zuchy gębą całą"⁶. Dom jest zorganizowany na zasadzie zmianowości. Ojciec pracuje rano, matka po południu. Mimo szczupłości pomieszczeń, każde z nich ma przemyślnie zamajstrowany kącik. I chodzi ta rodzinna maszynka jak naoliwiona. Jeszcze mają czas na przytulanie Adama.

Dziś zastałam Pawełka u nas. Bawili się grzecznie pod moją nieobecność. Nawet lekcje były porządnie odrobione. Boli tylko, że młodszy wszak Pawełek, jest cały naszpikowany informacjami ze wszystkich dziedzin. Dziś na głowę pobił Adama w wymienianiu marek samochodowych. Zaproponowali, żebym dobrała się do mojej starej korespondencji i znalazła znaczki pocztowe, bo Pawełek zbiera. I tu Paweł był lepszy, bo świetnie wiedział, że Sverige to Szwecja, a nie Szwajcaria, jak myślał Adam. Ale za to niespodzianka. Wielka, cała, nienaruszona piątka za reportaż z Wyzwolenia Warszawy. Poszedł do gazetki ściennej. Reportaż, oczywiście, nie Adam, choć on też, bo się podpisał pełnym imieniem i nazwiskiem.

19.1.78

Koniec okresu. Poszłam do szkoły, ale przyznaję, z wielkim strachem. Okazało się jednak, że Adam wyciągnął się ogólnie na trójki. Wynika stąd, że na trzy stopnie, ma już z reguły: dwójka, trójka, piątka. Nauczył się robić samemu średnią. I cieszy mnie to, bo zaczyna myśleć, widzieć, spostrzegać. Ale i martwi, bo zaczyna chytrze spekulować:

– Z polaka mam trzy piątki, to mogę trochę nie pracować, bo jak nawet dostanę jedną czy dwie dwójki, to i tak wyjdzie mi średnia prawie cztery.

A druga sprawa, to jego stosunek do mnie. Nie jest on zupełnie jednoznaczny. Adam już się mnie nauczył. Zna doskonale moje reakcje i umiejętnie je wykorzystuje. Nigdy nie powie, że ma dwójkę albo uwagę, jeśli wyczuwa, że jestem w złym humorze. Zrobi to w najbardziej dla siebie sprzyjającym momencie. Czyli, w jakiś sposób kontroluje i siebie. Jednocześnie, przyciśnięty w jakiejś sprawie, umie wyślizgnąć się, jak zwinny piskorz.

Postanawiam zmienić taktykę. On z wyliczeniem? Świetnie, ja też tak potrafię! Po prostu przykręcę trochę kranik z uczuciem, a odkręcę z rozumem. Adam doskonale już wie, że stoję za nim murem. Jeżeli udało mi się ten mur obronny wokół niego wznieść, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się teraz trochę odeń odsunąć. Zobaczymy, jak sobie da radę sam.

20.1.78

Oko podbite, twarz zadrapaną.

– Ciociu – krzyczy już od progu – cała klasa się biła!

Zaczynam wprowadzać mój plan mur.

– Adasiu, ja muszę wyjść dziś wieczorem. Proszę, żeby lekcje były odrobione i to porządnie. Posprzątaj też swój pokój.

– A dokąd ciocia idzie?

- Do znajomych, tak jak ty lubisz do Maćka. Ja też lubię trochę porozmawiać. Więc jak? Dobrze?
- Dobrze, ale ciocia nie będzie długo, bo mnie boli.
- To sobie przyłóż kompres. W łazience jest wszystko, co potrzeba. I tyle mnie widział.

21.1.78

Dyktando z polskiego: czwórka. Rozmowa z panią wychowawczynią, która jedzie z nimi na zimowisko. Budzik? Obiecuje mieć oko w tym względzie. Ale kto zechce „1 x” w nocy pilnować? Kogo ten traktor nie będzie denerwował? Odkrywam, że się po prostu boję. Będą się znowu z niego śmiać. Wczorajsza akcja mur poszła znakomicie. Rezultat był nadspodziewany. Rozczulił mnie (tylko wewnętrznie!) tym, że wszystko odrobił na brudno. Strasznie to wyglądało, ale i wypracowanie napisał i rozwiązał zadania matematyczne, tym razem o spółdzielniach produkcyjnych i o czterech gatunkach zbóż.

22.1.78

Dzisiejsza niedziela nie jest spacerowa. Jest natomiast duże pakowanie. Adam, tak jak Duszek, najchętniej nic by nie zabierał. Pakujemy razem, uczę go jak to należy robić i żeby pamiętał, gdzie co ma. Ale kiedy nie widzi, wkładam a to batonik czekoladowy do skarpetek, a to karteczkę z paru ciepłymi słowami. Potem uroczysty obiad. A wieczorem szybko spać. Kręci się, wierci, długo z nim rozmawiam. Wyznaje mi cicho, że najlepiej to on by nie jechał. Znowu obawa przed nowymi twarzami. Słucha moich wywodów niezbyt przekonany i zasypia wreszcie.

23.1.78

Wczesnym rankiem wyjazd na zimowisko. Jadą autokarami. Załadunek odbywa się, nie mam pojęcia dlaczego, bardzo blisko DD. Adam szalenie zdenerwowany. Ciągłe ktoś pyta, co tam jest, za tym ogrodzeniem, w tym domu w ogrodzie. Ktoś inny powiada, że to Państwowy Dom Dziecka. Adam wypuszcza z rąk na ziemię termos. Jedyne picie na całą, długą drogę. Na przyniesienie z domu następnego już brak czasu. Jak to jednak głęboko w nim tkwi.

Usadawia się wreszcie w autokarze, sam umieszcza swoje gospodarstwo na siatkach u góry. Jadą i jego narty, ale tym razem się nie wstydzi, bo inne dzieci też mają. A zaczyna się rozpromieniać, kiedy koledzy stwierdzają autorytatywnie, że narty Adama są jedne z najlepszych. Adam ma przy tym idealnie obojętną minę, tylko oczy mu chodzą, jak na sprężynkach i jest widoczne, że chce, żebym i ja słyszała i upewniła go o tym.

I tu następuje uroczą wymiana zdań. On przymruża oczy i uśmiecha się jednym kącikiem ust. Ja wzruszam ramionami. On wskazuje głową siatkę, gdzie narty. Ja, bardzo dyskretnie (przysięgam!) pokazuję mu język. On składa ręce na znak przeprosin. Ja kiwam głową, ale jestem bardzo poważna, choć w środku rechoczę. Wtedy Adam podnosi ręką własne kąciaki ust do góry. Śmieję się już otwarcie, on też. Autokar trąbi wsiadanego, odsuwamy się, a Adam, odwrócony tyłem, macha i macha.

24.1.78

Dyżur u Ani dopiero jutro, Adama nie ma, więc raz w życiu wyśpię się, jak suseł przykazał. Budzi mnie cisza. Porządki, zakupy. Po co ja tyle nakupowałam? Przecież Adama nie ma. Lodówka pęka w szwach. Wieczorem Duszek stwierdza, że jest dziwnie cicho i spokojne. A przecież Adam w domu przynajmniej jest dzieckiem cichym. Więc co to jest?

25.1.78

Wiem, co to jest. Adam w domu odpręża się, a rozrabia w szkole. Za to my przejmujemy jego dawny stan niepewności, zagrożenia. Bowiem, za każdym jego powrotem do domu grozi nam zaskoczenie. Jednym słowem nic w naturze nie ginie. Jego lęki przeszły na nas. Oby tylko nie obniżył się i nasz poziom. A jak to jest zaraźliwe, niech świadczy fakt, że po dyżurze u Ani, pytam Duszka czy nie ma kuku i czy chce papu. A ostatnio zaczęliśmy nawet przejmować powiedzenia Adama. Na przykład: naprzykładowo, fajowo, byczo. Czy my się aby nie podlizujemy Adamowi, żeby nas lepiej rozumiał?

26.1.78

Korzystam z wolnej chwili i piszę dalszy ciąg naszej rodzinnej „Kroniki”. Tyle już fotografii Adasia. Kiedy patrzę na niego z 1976 roku, widzę, jak bardzo on się zmienił. Czy i wewnątrz? Trudna na to odpowiedź. Pewnie tak, tylko ja tego nie widzę. Jaki on jest właściwie? Teraz, kiedy go niema, z dystansu mogę się lepiej zastanowić.

27.1.78

Pędziłam dziś z dyżuru u Ani, aby przed progiem oprzytomnieć. Czego ja tak się śpieszę? Do kogo? Przecież Adama nie ma, a Duszek wraca późno. Odpoczywam więc zupełnie i oglądam cały program telewizyjny, jak leci. Idealna cisza w mieszkaniu sprzyja odpoczynkowi.

28.1.78

Telewizja a la longue jest męcząca. Książki też nie mogę czytać cały dzień. Ja chyba tęsknię. W nocy wydaje mi się, że, że ktoś chodzi po mieszkaniu. Do skrzynki pocztowej schodzę (czwarte piętro bez windy!) po trzy razy. Niedobrze. W mieszkaniu wyraźnie czegoś brak.

29.1.78

Przecież do muzeum sama nie pójdę. Przeglądam notatki sprzed ilu to już lat? Prawie półtora roku. Szmata czasu. Jaki on jest właściwie? Oczyma wyobraźni widzę jego twarzączkę. Więc półtora roku kontra dziewięć i pół, bo tyle przebywał w Domach Dziecka. Całe jego życie, bo przecież od piątego dnia życia. Te dziewięć i pół lat zużywa na przystosowanie się do trudnego życia w coraz to innej gromadzie. I w pustyni uczuciowej. A jednocześnie, właśnie dlatego, wyizolowuje się. Chce, bo nie ma innego wyjścia, żyć w tej gromadzie, chce być jednym z nich. Doświadczenie uczy go, że z tej gromady nie może się wyróżniać, nawet pozytywnie, bo nie wiadomo, jak to się może skończyć. Stąd coraz silniejsze, solidaryzujące się związanie z grupą i coraz większa izolacja wewnętrzna. Opancerza się, to jego samoobrona przed mogącymi nastąpić kataklizmami. W grupie ginie się. Kto to zrobił? Nie wiadomo, choć

wiadomo doskonale. Grupa milczy, winnego nie ma.

Próba podświadomego dążenia do prawdy jest natychmiast karana przez grupę, bo to donosicielstwo. Próba znalezienia zrozumienia u wychowawcy, to lizusostwo, to wyłamywanie się z ogólnego nastroju grupy, nastroju pt.: „Wszystko mi jedno!” Zniszczone ubranie, zepsuta zabawka, nieważne, przecież to państwowe, co mi tam! I bardziej dorośle: „To nie nasza wina, że tu jesteśmy!”

A grupa, każda grupa, pilnie przestrzega, zwłaszcza u osobników o napięciu nerwicowym, własnych kanonów postępowania.

Tu staje się jasna obojętność grupy, wychowujących się razem dzieci, w czasie obserwacji bicia Adama przez starszego kolegę.

Teraz dopiero rozumiem i sprawę sanek, i nart, i dzieci z wczasów w Rytrze. Chciał, bardzo chciał, jak mówiła pani psycholog, mieć te narty, ale wracając z nart, z nimi na ramieniu, wyróżniałby się na ulicy. Działo głębokie doświadczeniem zakodowane prawo: nie wyróżniać się, obojętnie czy dobrze czy źle.

Tak samo z dziećmi na wczasach. Bał się i boi nadal nowych twarzy. Ale tęsknota za rówieśnikami jest silniejsza, stąd szybki, naturalny kontakt z nimi, stąd też bezbrzeżna rozpacz, gdy ich nagle nie staje.

To samo z salą jadalną. Strach przed nowymi ludźmi, przed dużą, nieznaną przestrzenią. Silne uczucie zagrożenia. Chyba podobne instynktownej wrogości jednego pierwotnego plemienia do drugiego, obcego.

Teraz również, z dystansu, widzę, że jego agresja, nonszalancja były pozorne. Jak dobrze, że wtedy, w Rytrze, w scenie ze starszym panem przy stoliku. opanowałam się, nie egzekwowałam przyzwoitego zachowania, biorąc skutek za przyczynę. Bez słów przekazałam mu to, co dopiero teraz zrozumiałam, a co wtedy podszeptęła mi intuicja.

30.1.78

List od Adasia! Czytamy, bardzo wzruszeni. List napisany super porządnie.

„24–I–78 r.

Kochana ciociu

Wyruszyliśmy o godzinie 9. W autokarze było bardzo gorąco. Były dwa postoje. Wraz z nami jechał pies „Pluto”. Jak byliśmy już w Krzyżowej, bardzo długo szukaliśmy domu, w którym mieliśmy mieszkać. Następnego dnia obudziłem się o 6 godzinie. Po paru minutach chłopcy na dole zaczęli hałasować. Po pobudce wstaliśmy i umyliśmy się. Potem było śniadanie. Wieczorem pierwszego dnia pobytu na obozie, poszliśmy do dziewcząt z 6 klasy. Trenerka rozmawiała w domu dziewcząt. My pobiegliśmy na dużą górę, miała dużo metrów.

Jak byliśmy na szczycie było widać całą okolicę. Potem skakaliśmy z góry i robiliśmy fikołki. Ja skakałem od razu, jak skoczyłam na kolana, od razu się przewracałem. Potem był obiad, Potem trenerzy rozdawali narty. Potem graliśmy w piłkę na śniegu. Nawet było dużo śmiechu. Dostałem kijki, bo nie miałem. Potem kolacja, potem pisaliśmy do rodziców listy. Niech ciocia przyśle legitymację szkolną. Czekam na odpis i legitymację. Adaś.”

31.1.78

Odpisujemy zbiorowo, to znaczy Duszek i ja. I opisujemy co się dzieje w domu.

Wychodzi z tego długi, rodzinny, ciepły list. I paczkę też wysyłamy. Adam dostanie pierwszy w życiu list.

1.2.78

Przeczytałam dziś jeszcze raz notatki z 29 lutego. Prawdopodobnie dla wielkich, mądrych pedagogów wyważyłam otwarte drzwi. Jednakże myśli te były tak silne, że musiałam się nimi podzielić, bodaj w tej formie. A ponadto fakt, że ja, zwykły, nieuczony w tej materii człowiek, doszłam sama, tylko za pomocą myślenia o tym małym ptaszku, do zrozumienia go, ukazał mi, że zawsze w postępowaniu z dzieckiem trzeba myśleć i to przed ukaraniem a nie po. Jakże łatwo można dotknąć, zwarzyć delikatną roślinkę, która nie ponosi najmniejszej winy za to, że jest taka a nie inna.

3.2.78

W „Motywach” pierwszy mój artykuł. Czytam i oczy napawam. Duma i radość. A mógł ukazać się wcześniej, ale ja trzy tygodnie wahałam się, czy wysłać? Tu już nie chodziło o to, czy umiem pisać, czy nie, bo, jak powiedział pan Petruczenko „Temat bronił się sam”, ale o to, że Adam może to przeczytać i może mu być przykro.

W końcu doszłam jednak do wniosku, że wtedy, kiedy go to zainteresuje naprawdę i sięgnie poń, będzie już tak uodporniony, że przeczyta to z lekkim westchnieniem i uśmiechnie się.

4.2.78

Przyjazd z zimowiska. Pierwsze pytanie Adama, dlaczego nie odpisałam, że on tak czekał. Mało mi serce nie pękło. Ach ta poczta! Przywozi zdjęcia.

– Ja jestem tu, ciocia. O, tu! Pierwszy z lewej. Ciocia obada, jaki jestem duży. Obadałam także jego bagaże. Trudno opisać ten stan. Piżamy, śpiwór, nawet jasek (?). Jedna rozpacz. Jak ja to doprowadzę do porządku, odwonię?

Ogarnia mnie zniechęcenie. Jak długo będę go uczyła, przyuczała. Toć Ania, która ma zaledwie sześć miesięcy, już woła. No tak, ale kobieto! Ona ma od urodzenia troskliwą matkę, mądrego ojca i pracowitą babcię.

5.2.78

Byliśmy, całą trójką, na dalekim spacerze. Wyniosło nas aż do Michałowic.

Wróciliśmy kolejką. Mróz, śnieg i świetne, dotlenione samopoczucie spowodowały, jak zwykle kosmiczny wprost humor. To znaczy u Duszka i u mnie. Zachowywaliśmy się trochę głośniej, opowiadaliśmy dowcipy (cenzuralne oczywiście, bo my z dzieckiem). Zastosowaliśmy też nasz

popisowy numer, który polega na dość głośnym zwracaniu uwagi na nieistniejące zjawiska. Na przykład, na ulicy, że coś tam się widzi wysoko. Przez jawne oznaki zdziwienia, zaskoczenia, powoduje się natychmiast zebranie ludzi. A my tylko na to czekamy. Rzucamy wtedy parę słów, że: „tam, o, widzisz, na dachu, ojej!” i wycofujemy się dyskretnie na tyły, dusząc się ze śmiechu.

Punktem szczytowym zabawy są komentarze tych, którzy przybyli najpóźniej. Z nieistniejącej zresztą igły robi się słoń, duży, pięknie podbarwiony.

Ale tu Adam nie wykazuje żadnego zainteresowania zabawą i jest tak bardzo zgorszony, że świta nam myśl, że może my rzeczywiście nie bardzo tego. To nie bardzo Duszek wyraża przez podniesienie wysoko brwi.

W drodze powrotnej okazuje się w autobusie, że zapomniałam biletów. Chodzę więc pokornie od osoby do osoby i proszę się. Bilety znajdują się szybko, ale kiedy, uradowana, odwracam się, żeby je skasować, widzę brwi Adama wysoko, wysoko podniesione (całkiem jak u Duszka przed chwilą) w wyrazie zgorznienia, nagany i dezaprobaty. Wydaje mi się, że jego opanowanie jest pozorne, sztuczne, ale bardzo głęboko osadzone.

6.2.78

Recytacja z wiersza na piątkę. Już wie, że ciocia pisze, ale nie interesuje go to zupełnie. Jest tylko bardzo dumny, jak cała zresztą rodzina. Nie zachował się ten pierwszy egzemplarz gazety, bo rodzinka jedyny, jaki do mnie dotarł, wyrywała sobie drapieżnie i tak skutecznie, że w końcu poszedł do ludzi i więcej nie wrócił. A jestem zupełnie spokojna, jeśli chodzi o szperanie. Adam tego w ogóle nie praktykuje. Interesuje go mój pokój tylko dlatego, że jest świetnym poligonem dla jego armii i jest tu telewizor. A szkoda, bo było by i dobrze, żeby popenetrował trochę i kuchnię. Może wtedy przyszłoby mu do głowy ukroić sobie od czasu do czasu kawałek chleba i zrobić coś do picia. On woli być głodnym i czekać na ciocię. Rezultat jest taki, że kiedy wracam zmęczona z dyżuru u Ani, nie wiem w co mam najpierw włożyć ręce.

7.2.78

Dwójka z matematyki. Ale za to piątka z rosyjskiego. Znowu sprawa telewizji. Zdecydowanie ograniczam te emocje. Trochę się buntuje:
– Bo inne dzieci, to mogą wszystko oglądać! – I co tu odpowiedzieć?
Jak trudno zaszczepić inne, wyższe wartości. I co to są te inne, wyższe?
Postawy etyczne?

8.2.78

Zauważył, że prowadzę „Kronikę”. Bardzo się zainteresował. Zaoferował się nawet z wytyczaniem marginesów i barwieniem już narysowanych, dużych gotyckich liter akapitów. Robi to bardzo starannie, z wywieszonym po pas językiem. Wieczorem oglądamy razem całą „Kronikę” i nagle okazuje się, że Adam bardzo dużo wie o mnie, o mojej rodzinie, rozpoznaje na zdjęciach ludzi, których już nie ma. Prosi, żeby mu opowiedzieć o moim ojcu. Wie już, że zginął w Oświęcimiu. Dlaczego nie podzielić się z nim tym, co jest mi najdroższe. Snuję więc opowieść o Pawiaku, gdzie postawa mego ojca była przykładem dla innych, młodszych więźniów, o grypsach, gestapowcach. Czasami przerywa i pyta:
– Czy oni nie mogli uciec, przekraść się, walczyć ze strażnikami?
Postanawiam dopuścić w tym roku Adasia do oglądania filmów o tematyce nie tyle wojennej, co o martyrologii, a potem koniecznie rozmawiać.

9.2.78

Podarty fartuch szkolny, prawie wyrwany rękaw.
– Bośmy się bili, cała klasa, ciociu, z Vc.
Natomiast zreperował suwak w torbie szkolnej. Nadzwyczajne! Mówi, że na obozie drużynowy go nauczył. Więc jednak obóz procentuje.
Dziś po południu tak zwany dzień otwarty w szkole. Pani wychowawczynie mówi

mi, że z nauką Adama jest nieźle, że są daleko gorsi od niego. Też mi pociecha! Ale że na zimowisku miała bardzo dużo kłopotów ze sprawami „1 x”.

Rzeczywiście „1 x” ale za to gruntownie. W ciągu dwóch tygodni musiał mieć trzy razy zmieniany siennik. Gorąco mi się robi.

– A budzik, proszę pani? Przecież on miał budzik ze sobą – bronię straconej pozycji.

– On nie nastawiał budzika, bo powiedział, że nie chce budzić kolegów z którymi spał, więc pani rozumie.

Rozumiem, że trzeba wszystko zaczynać od początku. Kiedyż ja go uwolnię od zmory tych nocnych spraw.

10.2.78

Na imieniny Duszek dostał od Adasia... piątkę z recytacji wiersza. Ponadto zrobił (mikserem) sam tzw. ciasto z pudełka. Trochę się poparzył w trakcie pieczenia, ale emocji miał bardzo dużo, zwłaszcza, że ciasto się udało. Miałam w zapasie kilka paczek, na wszelki wypadek, ale okazały się niepotrzebne.

11.2.78

Dziwna sprawa z „1 x”. Od przyjazdu wszystko się nagle unormowało. To znaczy, że tak, jak przed wyjazdem, sam nastawia budzik, sam wstaje. I wszystko dobrze. Więc co to było? Nawrót nerwicy? Obce środowisko? Tęsknota z domem? Jeśli to ostatnie, jestem gotowa wstawać nawet „3 x” w nocy. Stad jednak wniosek, że Adam nie jest jeszcze zdolny do następnego, małego kroczenia w samodzielność.

12.2.78

Robi dziś sam niedzielne śniadanie. Kromy grube, solidne, ale nie pozwala się zastąpić.

– Skąd ty umiesz tak ładnie kroić? – pytam niewinnie.

– Też coś, przecież ciocia, druhna kucharka mię nauczyła! Na obozie!

A! Rzeczywiście! Uczyłam wszystkich razem i każdego z osobna. No to wskazał mi drogę. Będzie odtąd sam sobie robił podwieczorki.

13.2.78

Plus z rosyjskiego i piątka ze śpiewu. Przycwałował z tym na Madalińskiego. Wizyta u pani psycholog. Znow jest bardzo zadowolona. Jest zaskoczona ogromną ilością nowych słów, którymi posługuje się chłopiec. No tak, ale ona go widzi przez pół godziny, raz na jakiś czas. A ja na co dzień, w różnych sytuacjach. Zwłaszcza, kiedy jest podniecony, podekscytowany, staje się wręcz wulgarny. Muszę lojalnie zaznaczyć, że wobec Duszka i mnie, nigdy. Ale kiedy mówi do nas o czymkolwiek...

14.2.78

Nie rozumie zadanej lekcji z przyrody. Nic nie rozumie. Zaczynam sama czytać lekcję. Potem mu tłumaczę. Rozumie. Tłumaczenie odbywa się na zasadzie moich nieporadnych rysunków. Wpadam na pomysł (ja też miewam czasami pomysły), żeby rysować rośliny od dołu, kawałek ja, kawałek on. Śmiechu jest przy tym masę, zwłaszcza kiedy stożek wzrostu byliny narysowałam w kształcie bereciku w szkocką kratę, z pomponem.

Po lekcji, już dla relaksu, zabawiamy się dalej w rysowanie. Kreski Adama są

nie tylko nieporadne, co ściśnięte, malutkie, ręka zupełnie nie rozrysowana. Już chciałam napisać, że Ania, ale co tu pisać wciąż to samo. Wiadomo! Śmiejemy się więc dalej radośnie, kiedy z dwóch kolejnych kółek Adama ja robię śliczną ósemkę, a on myślał, że będą okulary. A z jego początku wazonika wyrysowuję wydatny profil.

15.2.78

– Adasiu, wyjdź z balkonu. Wpuszczasz zimno do pokoju!

– Kiedy, ciocia, takie ładne gwiazdy, ciocia powie, co to takie duże, koło księżycy?

Wzdycham ciężko, wkładam futro i w ciapciach wychodzę na balkon. Zupełnie już ciemno. Z lewej mrugają daleko światła domów na drugim osiedlu. Księżyc srebrzy ulice i nas, dwoje wariatów, na balkonie. Ale dziecko pyta, czeka na odpowiedź

– To takie duże, to gwiazda polarna. Ona zawsze wskazuje drogę. A tam Mały Wóz i Duży. O, widzisz, policz ile Duży Wóz ma gwiazd.

– Gdzie ciocia widzi ten wóz. Ja nic nie widzę.

– Jak to? Tu dyszel, tu wóz. Chodź – dodaję chytrze – narysuję ci, albo lepiej, pokażę ci w dużym atlasie.

Potem siedzi z nosem w atlasie i ogląda mapę nieba.

16.2.78

Czwórka z matematyki, dwójka z geografii. Znów podrapany, obszarpany. „*Bo myśmy się bili, ciocia i Iva wygrała!*”. Znów z młodszymi od siebie? Długa rozmowa, w której przyznaje mi rację, ale pyta, co ma robić, kiedy wszyscy się biją? Ma stać na uboczu? Mówi, że nie może.



17.2.78

Spacer z Anią w parku. Mimo, że śniegi jeszcze zalegają, słońeczko świeci, co jest i dobre i złe. Dziś przyszedł za mną do parku mój ukochany zięć.

Toczymy dyskretne boje czy wózek ma być na słońcu czy nie. Ja jestem za, on odwrotnie. Jak się odwraca, ja odwracam wnuczkę do słońca. Jak ja się odwracam, on odwraca córkę od słońca. Jak opowiadałam o tym w domu, Adam zaśmiewał się, ale wypytywał, gdzie jest ten park.

19.2.78

Telewizję unormowałam. W niedzielę program dla dziewcząt i chłopów, ale tylko wtedy, gdy nie ma warunków na spacer. Po południu audycje przyrodnicze, historyczne, oraz film, ale tylko przesiany przez nasze kryteria, czasami historyczne i wojenne.

20.2.78

Ze śpiewu pięć. Ma podobno bardzo dobry słuch. Więc i na tym odcinku poprawa. Piątkę dostał za śpiewanie samemu, w klasie, a capella piosenki. Dziś Adam szukał mnie dość długo w parku, aż znalazł. Nawet odrobił ustne lekcje, choć mroźno i wyjadł mi drugie śniadanie, bo babcia zabiera na spacer z wnuczką „posiłek regeneracyjny”. Był tylko strasznie zgorzony, gdy czuliłam

się do mojej wnusi w absolutnie odpowiednim dla niej języku: „*Moje śliczności, moje ciupciurupciu, mój ty fąfelku*”.

– Ciocia musi tak? Ludzie słyszą!

Zdenerwowałam się.

– No to co, że słyszą? Co w tym złego? Uważasz, że uczuć trzeba się wstydzić? Ty wiesz, że wstydzić się trzeba tylko brzydkich uczynków i ...

– Wiem, wiem, nie umytych nóg. Ale przecież ciocia może to robić w domu!

– Co??? Myć nogi?

– No nie, ale te, jak im tam, takie jakieś fąfelki!

– Czekaj, teraz ja ciebie nauczę, raz na zawsze!

Ściągam mu czapkę z głowy i zaczynam go nią okładać. On ucieka, przewraca się w śniegu, śmieje się głośno. Dokładam mu jeszcze za kołnierz śniegu. On już ryczy, chichocze, szamocze się i w końcu ja padam w śniegu. Dziecko w wózek „klasce w jącki”. Robi się cacy scenka. I jakoś Adamowi nie przeszkadza własny, głośny śmiech i krzyk.

21.2.78

Dziś przyszedł do Adasia Pawełek. Chce się z nim bawić na podwórzu. I chce się bawić z innymi chłopcami. Adam wraca po chwili do domu bardzo zdegustowany. Patrzy tylko na nich z balkonu i wpuszcza zimno do pokoju. Nie mam serca mu zabronić, ale nie umiem rozwiązać tej sprawy. On sam chyba powinien dojść do pozbycia się lęków przed nowymi twarzami. A przecież na obozie tego nie było. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Może pewność, że jest zawsze obecna, choć nie zawsze widoczna druhna kucharka. I ten Duszek na szczycie hierarchii obozowej. Czy ja wiem?

22.2.78

Ostatnio bardzo mało czyta i tylko obowiązkową lekturę. Ma to od razu odbicie w jego poziomie. Tak jakby cofał się w stosunku do poprzedniego, bujnego rozwoju. Dostaje stale odpowiednią prasę, ale czyta tylko gazetę sportową, a ze „Świata Młodych” wycina ilustracje i gromadzi w pudełkach.

24.2.78

– Adam, byłeś na zbiórce?

– Byłem, ciociu, ale...

– Co znowu? Jeżeli nudno, to przecież sam możesz spróbować coś zmienić. Zaproponuj coś. Najłatwiej jest krytykować! A samym narzekaniem nic nie zmienisz.

– Ale co, ciocia?

– Bo ja wiem? A może na przykład topienie Marzanny?

– Więc ja powiedziałem! Żeby ciocia wiedziała i jeszcze powiedziałem, że w zeszłym roku to było fajowo, bombowo i biwak był, ten co to ognisko nie chciało się rozpalić w śniegu, pamięta ciocia?

– Tak. No i co?

– No i nic. Zakrzyczeli mnie, że harcerstwo, to nie...

– Nie fabryka gwoździ, co? – wtrącam.

– O nie! Tak jakoś od pary...

– Od pary? To może, że harcerstwo to organizacja paramilitarna?

– O to ! Właśnie! I jeszcze, że na wiosnę to będziemy uczyć się maszerować! Przecież można i uczyć się musztry i topić Marzannę, boć to tradycja.

25.2.78

Dwójka z geografii, a z rosyjskiego cztery plus. Boję się nawet pytać o dzienniczek. Ale sam, już od progu prezentuje mi kajecik, który na skutek zbyt dużej, obfitej korespondencji z „Rodzicami” trzeba było podratować dodatkowymi, wklejanymi kartkami

26.2.78

Guziki przyszywa sam, bo jutro dzień mundurowy Ochoty. Zęby myje też ochotnie. Tak więc bardzo powoli procentuje obóz. Dziś poszedł sam po gazetę. Trzeba przyznać, że zrobił to interesownie, ze względu na program telewizyjny.

Byliśmy też na spacerze. Znowu niechęć, tym razem nie do głośniejszej rozmowy czy przejawów radości, a rozmów w ogóle.

On na ulicy milczy, jak ponury, statystyczny Polak, a zapytany o cokolwiek, mruży coś niezrozumiale, czego już o statystycznym Polaku nie da się powiedzieć.

27.2.78

Znowu przywędrował na Madalińskiego. Dałam mu obiad, ale czułam się trochę, jak przedwojenna kucharka, dokarmiająca, po cichu, swego strażaka.

– Obiadu nie jadłeś w szkole?

– Jadłem, ciociu, ale nie zjadłem. Była kasza, a ja zanielubiłem kaszę i takie, jakieś, brrr... farfocle z mięsa. Dzieciaki mówili, że się tym oddycha. Przyswaja ciocia?

– Może płucka?

– O, tak! Właśnie. Ja tego nienawidzę.

– Ja też.

Poszliśmy razem na spacer do parku. Z Anią.

28.2.78

Z geografii zadane powtórzenie. Powtórzył sam, a teraz stoi przede mną i wydaje. Suche to i nieciekawe. Zrobimy inaczej. Odbywamy bolkową lolkową metodą, podróż palcem po mapie. Przy każdej stolicy pokazuję kolorowe pocztówki i szukam w pamięci ciekawostek.

Po lekcji jadę z nim, jako uzupełnienie, na lotnisko. Przy stoliku kawiarnianym, nad którym, wysoko, przy samym pułapie, latają furkocząc jaskółki, otwiera się przed nim zza szklanej tafli świat. Popijam kawę, on sączy przez słomkę owoc w płynie.

– Ciociu, ciocia słyszy? Samolot z Paryża, ojej, aż z Paryża!

Rzuca słomkę, gna do okna. Przykleja nos. On, taki pozornie opanowany. Zastanawiam się, czy powiedzieć właśnie teraz, że on też krzyczy i to w kawiarni. Ale myślę, że byłoby to obrzydliwie konsekwentne i mogłoby go spłoszyć. Nic nie mówię, piję dalej kawę. On woła:

– O, jaki mały samochodzik. On jedzie przed samolotem, jak się nie boi?

Podbiega do mnie bardzo podekscytowany:

– Ciociu, przecież ten, tam z Paryża, taki duży i jedzie prędko, ciocia zobaczy, to co będzie?

– Adasiu, ten samochodzik, to pilot samolotu.

– Jaki pilot? Co ciocia? Przecież pilot jest w samolocie!

Łapię się w tej chwili na prostej sprawie. Adam zna jedno znaczenie wyrazu

pilot. Trzeba pamiętać, ciągle pamiętać o tym, że on w ogóle zna niewiele słów, a o homonimach nie ma pojęcia. Więc tłumaczę.

– Ciociu, a co on ma, ten odprowadzacz, napisane z tyłu? Po jakim to?

– Adasiu, mówi się: w jakim języku jest to napisane. To angielski. A Follow me znaczy: chodź za mną.

– Gdzie? – śmieje się Adam.

Zrozumiał oczywiście, tylko chce być dowcipny.

1.3.78

Mamy dziś trójkę z matematyki i piąteczkę z geografii. Rzuca teczkę na podłogę:

– Ciocia mi coś opowie!

– Adam, co tobie? Umyj ręce, lekcje trzeba odrobić. Tyle już ci naopowiadałam.

– Ale ja mam chęć na takie wojenne. Ciociu! Ręce umyję, czemu nie, ale ciocia tu usiądzie i poczeka, dobrze. Niech ciocia nigdzie nie odchodzi.

Proszę, żeby usiadł koło mnie, ale on woli na dywanie. Będzie się bawił żołnierzykami. Mówi, że mu to nie przeszkadza w słuchaniu i że potem lekcje będą odrobione tipes topes.

– Było to we wrześniu 49 roku – zaczynam wolno – U nas w mieszkaniu były piece, wiesz? Nie kaloryfery, a...

– Już wiem. To będzie o tym zdanie, co go ciocia sterroryzowała. To ja już wiem. Co innego, ciocia. O Niemcach, o łapankach.

Niedługo będzie wiedział więcej ode mnie o moich przeżyciach. I tak być powinno.

2.3.78

Zrobił dziś sam zakupy. Dałam mu dodatkowe 50 zł. i wolno mu było kupić co uważa za słuszne. Kupił słone paluszki, herbatniki i czekoladkę. Myślałam, że on zaraz zabierze się do konsumowania. Ale nie! Schował do pudełka ze słodyczami, żeby, jak powiedział, było na zaś.

3.3.78

Już się ustaliło, że wyłuskuje dźwięk moich kroków na klatce schodowej, zbiega na podest, odbiera siatki i natychmiast je rozpakowuje. Uwielbia próbować po trochu wszystkiego. Ma teraz białe wasy z serka homogenizowanego, kroplę soku na policzku i palce w dżemie. Taki przy tym uradowany, że nie mam serca go skarcić.

4.3.78

Znowu dwójka z rosyjskiego. Coś dużo tych dwój, a przecież właśnie z języka rosyjskiego był jednym z najlepszych w klasie, choć cały czas uczy się zupełnie sam, bo ja nie znam tego języka. Z historii, którą coraz bardziej lubi, ma czwórki.

5.3.78

Dzieli się każdą ważną i mniej ważną sprawą. Wszystko mi opowiada. Czasami z tych opowieści wynika, że on albo był winny, albo rozumował nieprawidłowo, ale nie jest świadomy tego, że sam daje mi broń do ręki. Najbardziej mnie rozczuła, kiedy z zadziorną minką nie przyjmuje moich uwag, ale usiłuje dyskutować, wytłumaczyć mi swoje racje. Są to przeważnie bardzo drobne

sprawy.

Muszę się dobrze namęczyć, żeby znaleźć taki argument i tak go podać, żeby go zaakceptował. Tu nie wystarczy już suche stwierdzenie: dobrze zrobiłeś czy źle zrobiłeś. Znaczy to chyba, że zaczyna myśleć. Ale i znaczy, że jest uparty, a ustępuje dopiero, gdy zrozumie.

6.3.78

Pracuje już prawie sam. To znaczy, że odrabia lekcje a potem przychodzi do mnie, żebym je sprawdziła. Trochę się złości, gdy ma za dużo błędów lub trzeba przepisać całe wypracowanie. Dla niego jeszcze ciągle temat na przykład: „Co wiem o Tadeuszu Kościuszcze” to przepisanie in extenso całego hasła z encyklopedii. Dziś czwórka z rosyjskiego. I oczywiście on zaraz lubi ten przedmiot.

7.3.78

Od ciągłego pranka zachorowały mi dwa palce i to praworękie. Zamówiłam na jutro wizytę u dermatologa. Bieda w tym, że późnym popołudniem.

8.3.78

Zostawiam Adama obstawionego podwieczorkiem, kolacją, pozwoleniem na oglądanie telewizji jak leci i zgodą na zapalenie wszystkich świateł w mieszkaniu.

– Ha, ha – powiada poważnie dermatolog – detergenciki, enzymki? Co? Musi pani przerwać co najmniej na pół roku wszelkie pranka, przepierki. Jak mu wytłumaczyć, że ja muszę, że ciągle jeszcze zdarzają się potopy, że i tak jest bardzo duży postęp. On, ten poważny skórnik widzi tylko moje palce, a ja widzę oczy dziecka, które nie jest winne, że leje i nawet o tym nie wie. Wracam do domu po ósmej. Otwieram ostrożnie drzwi. Zbędny trud. Wszędzie palą się światła. Duszka jeszcze nie ma. Duża, wcale nie senna zjawa rzuca się na mnie w korytarzu. Obejmuje, ściska, całuje. Mały, ciepły zwierzaczek lęgnie mi się w sercu, a potem, łaskocząc osobliwie, pełźnie ku gardłu.

9.3.78

W pokoju Adama dziwna cisza. Wchodzę. Adam leży na dywanie i ogląda encyklopedię. Ładnie! Ale z rosyjskiego znowu dwója. I znowu bili się, ale nie na terenie szkoły. A szkoda, bo może by nareszcie ktoś z dorosłych zareagował. Zaczęło się od siłowania, a potem przeszło na poważnie.

10.3.78

Konkurs w klasie z języka polskiego. Dostał piątkę, ale i uwagę: „Niewłaściwe zachowanie na lekcji”. I niezbyt właściwe zachowanie w domu. Przekroczył dziś granice pokoju Duszka. Buszował tam tak, że wszystkie drobiazgi poprzestawiał. Zdążył to zrobić w ciągu pół godziny, czekając na mój powrót z dyżuru.

Będzie kwestia, bo Duszek bardzo nie lubi (kto lubi?), gdy robi mu się remanent w pokoju.

11.3.78

Z tego oglądania encyklopedii i szperania po pokoju Duszka była rzeczywiście sprawa. Encyklopedia, oczko w głowie Duszka, a tu prawie wszystkie akty, jak

leci, a zwłaszcza Rubens i rzeźby greckie (Rubens szczególnie się do tego nadaje!) obwiedzione starannie, grubo, ołówkiem, ze szczególnym uwzględnieniem sfer erogennych...

12.3.78

Na pytanie, czy odrobił lekcje, bo dziś niedziela i idziemy na imieniny do Krysiów, odpowiedział, że jak zechce to zrobi. Intonacja wyraźnie obraźliwa. Zauważyłam, że natychmiast po powiedzeniu zorientował się, że to zabrzmiało bardzo niegrzecznie.

Niewiele myśląc wymierzyłam mu solidnego klapucha w miejsce idealnie do tego się nadające. Oczy zrobiły mu się okrągłe i nagle, słodkim głosem powiedział:

– Niech mama nie bije synka.

Zaraz potem przestraszył się jeszcze bardziej tego, co powiedział i uciekł do swego pokoju.

13.3.78

Wczoraj na imieninach bawił się cały czas z Anią, która nie tylko go akceptuje, ale i bardzo lubi. W czasie powrotu do domu parkiem, biegał po ścieżkach, zbaczał z nich, podbiegał do nas z głośnym śmiechem. Prawie, jak mały piesek na spacerze. Tyle, że psy nie umieją się śmiać. Chociaż nie, umieją. Miałam kiedyś foxterierkę, która... ale to już zupełnie inna historia.

14.3.78

Przymilny, grzeczny, sam ulepek. Zrobił sobie podwieczorek. Jajecznice usmażył i nawet sprzątnął po sobie. Już wiem dlaczego. W dzienniczku uwaga: „Adam bił się na przerwie”.

Zaraz potem przyszła pani dozorczytni i poinformowała mnie, że stanowczo nie będzie sprzątać pod moim oknem.

– Pod moim oknem? – zdziwiłam się – przecież tam jest czysto!

– Pod czym, to ja już nie wiem, ale ten pani chłopiec śmieci papierami z okna. Ludzie widzieli.

Idę zgnębiona do pokoju Adama. Wywieszam się prawie do połowy, bo pani inżynier zaprojektowała w tym pokoju wysokie parapety, a raczej okno bardzo wysoko, prawie, jak w celi. Zgadza się. Aż biało.

– Adam, co to jest? – nie mogę pohamować gniewu – Jak tak można?

– No co? – odpowiada radośnie – taki fajny śnieg zrobiłem!

Jest już na tyle cwany, że uśmiecha się swoim najpromienniejszym uśmiechem. Widzi, że nie reaguję, więc mówi pośpiesznie:

– Ciocia! Ja zaraz posprzątam, słowo daję, słowo harcerza!

– A, jak tak, to do dzieła!

Tupoczą buty po schodach. Za chwilę przynosi to wszystko... na górę. Nie! Ja się nie uchowam w tym domu!

16.3.78

Duże rozczarowanie. Adam myślał, że z wiosną będzie kopał, a tu okazuje się, że jest w klasie kajakarzy. Jakoś i mnie to uleciało. Przystają go interesować ćwiczenia, a jest tego od ośmiu do dwunastu godzin tygodniowo. Wyrósł, zmężniał, loczki mu się kręczą i w łepetynie też mu się kręci

Z tą szkołą jest jednak coś nie tak. Przecież to oni sami wyłowili Adama z grupy chłopców, jako prawie geniusza od kopania. A teraz na wodę, na kajak?!

17.3.78

Żeby nie serdeczne pytania Krysi, co z Adamem, nie zauważyłabym na pewno, że jest lepiej. Minęły przede wszystkim jego zapaści. Pozostały tylko ślady, a wyraża się to w dniach chimerycznych. Ale to już bardzo, bardzo rzadko. Jest wtedy ponury, nie odzywa się, a zapytany, prawie nie wie, co się do niego mówi.

18.3.78

Znowu dwa z rosyjskiego. A tak dobrze było na początku. W szkole pani od rosyjskiego, ku memu zdziwieniu, informuje mnie, że Adam bardzo systematycznie nie odrabia zadanych lekcji domowych. Więc kłamie. Rozmowa na ten temat. Obiecuje, że już nigdy. Dalej brak zainteresowania książką. Przymuszony, wydusza dwie, trzy stroniczki wieczorem. Uważa, że czytać można tylko przed snem. A potem ja muszę gasić światło i wyjmować mu książkę z rąk. Może to nadchodząca wiosna, albo przemęczenie sportem?

20.3.78

Nareszcie jest czwórka z rosyjskiego. Okresowa wizyta u pani psycholog. Idę naładowana skargami, a kartka notesu zapisana całą litanią.

Pani psycholog, po przebadaniu i wytestowaniu Adama, prosi mnie do gabinetu.

– Wspaniale! Rozwija się – mówi – więcej niż prawidłowo. Uwielbia piłkę nożną, dom, a przede wszystkim panią. Ale co pani taka spięta?

Ulatuje mi wszystko z głowy, zapominam o kartce.

– Pani doktor – mówię niepewnie – ale nie ma dnia, żeby nie było czegoś. Albo dwójka, albo kłamstwo albo ordynarne zachowanie w szkole, albo się pobił, albo te ptaszki...

– Jakie ptaszki? – interesuje się żywo pani doktor – Łapie je i zabija?

– Nie, odwrotnie, wypuszcza. Takie z papieru. Pani nic nie wie, jak to wygląda u nas w domu. Dnia ni godziny nie jesteśmy pewni.

– Proszę pani, po pierwsze, wiem, bo Adam wszystko bardzo chętnie mi opowiada. Jest dumny z pani, wie, że pani pisze, tylko nie wie o czym. Wie również bardzo dużo o pani rodzinie. Pomaga pani w „Kronice”. A po drugie, niech mi pani powie, ale tak zupełnie szczerze, czy pani nigdy, jako dziecko, nie puszczała takich ptaszków przez okno?

– Nie – mówię stanowczo – Na pewno nie! Może tylko...

– Co tylko? – podchwytuje ona.

– Język, – zbieram na odwagę – język uwielbiałam pokazywać, każdemu. W szkole, w domu, a zwłaszcza na ulicy. A już szczególnie na spacerze z rodzicami.

– A oni? Nie widzieli?

– Nie, bo ja to robiłam, odwracając się nagle i wywalając jęzor na kogo popadło.

– No tak, – mówi ona z uśmiechem – a była pani przecież starannie wychowana. Więc czego pani chce od tego chłopca?

No rzeczywiście, czego ja od niego właściwie chcę.

21.3.78

Wypadek w szkole. Wstrząs mózgu. Chłopiec wypadł z tramwaju w czasie jazdy na pływalnię. Protestujemy stanowczo przeciw jeżdżeniu dzieci tylko pod, nie ulega wątpliwości, bardzo życzliwą, ale nie fachową opieką jednego tylko z rodziców. Pani dyrektor obiecuje sprawdzić w Kuratorium. Co tu jest do sprawdzania?

22.3.78

Jak dobrze w prawie już wiosenny pod wieczór usiąść w głębokim fotelu. Książka, herbata, papieros. Stolik zagospodarowany. Adam odrabia lekcje. Chwila wytchnienia. Jak dobrze jest załapać wolną chwilę emerytalną. Nagle pięćdziesiąt dwa kilo rozłożone na 1,68 m wali mi się na kolana.

– Ja ciocię bardzo tego, tego...

– Ja też, Adasinku, ciebie bardzo tego.

Uświadamiam sobie w tej chwili, że posługuję się jego sposobem wyrażania. Ale to chyba nie jest źle.

23.3.78

Jestem uparta. Domagam się w szkole odpowiedzi z Kuratorium. Słyszę, że Kuratorium wyraziło opinię, że grupa dwudziestu dzieci może jeździć pod opieką jednej osoby z grona rodziców.

Jestem nie tylko uparta, ale i niedowiarek. Sama sprawdzam w Kuratorium. Okazuje się, że nie tylko nikt z tej szkoły nie informował się, ale że nie wolno wozić dzieci szkolnych pod niefachową opieką.

Tak więc nieodwołalnie decyduję, że jest to pierwszy ale i ostatni rok Adama w tej szkole. Nie odpowiada mi organizacja, wielkie, niespełnione obietnice, tworzenie asów sportowych, a rzecz najważniejsza, wpływ, jaki taka atmosfera ma na stosunki wewnątrzklasowe i całej klasy do reszty klas niesportowych. Nie ma przecież dnia bez bójek, awantur, agresji.

24.3.78

Czwórka z rosyjskiego. Dziś robiliśmy wszyscy razem porządki przedświąteczne. Duszek z Adamem trzepali dywany. W pokoju Adama znalazłam rysunek, a ściślej, kopie: Clouete „Diana de Poitiers”, która została szczególnie szczegółowo potraktowana. Ma nawet strzałki z napisami, żeby, broń Boże nie pomylić nosa z biustem.

Przerysowując, bo natychmiast rzuciłam się do encyklopedii, tak mocno naciskał ołówek, że rezultat jest opłakany. Piękny biust Diany odbił się na „Piaskarzach” Gierymskiego. Oj, odbije się nam Adam, odbije!

25.3.78

Wywiadówka. Dalej utrzymuje się, sportowo, oczywiście, w pierwszej dziesiątce. Ku memu niebotycznemu zdumieniu, słyszę, że Adam jest jednym z niewielu, którzy nie mają trudności w nauce. Jestem innego zdania, ale możliwe, że się mylę. Każdy problem trzeba wytłumaczyć w domu, dopiero wtedy rozumie i pamięta. Inaczej nie. I do tego obrzydliwe lenistwo, które mu każe ukrywać zadane lekcje oraz fakt ich nierozumienia. Za każdą cenę.

26.3.78

Wielkanoc. Po uroczystym śniadaniu Adam ogląda film, a my z Duszkim w

jego pokoju wymieniamy poglądy. Duszek mówi, że ma pomysł. On ma zawsze pomysły i to doskonałe, to już wiadomo. Ale co tym razem? Mówi, że ma pomysł z tą encyklopedią. Nie rozumiem. Więc ten Duszek tłumaczy, że choć bardzo mu żal encyklopedii, ale się tak bardzo nie gniewa, bo Adam zaczyna wchodzić w wiek dojrzewanania. To rozumiem, ale następnego zdania już zupełnie nie.

– Matka, możesz na wakacje załatwić wyjazd do Enerdowa?

– Gdzie? Jak ty się wyrażasz?!

– Nieważne! Możesz?

– Pewnie, że mogę, ale po co?

– Jak to po co? Najpierw zacznij z nim chodzić na wystawy, do muzeum, potem kup mu książkę „Co każdy chłopiec wiedzieć powinien”, a jeszcze potem jedź z nim do NRD. On marzy, żeby pojechać za granicę.

– Marzy? Skąd wiesz?

– Tyle się w tym domu mówi i o twoich wyjazdach i o moich podróżach. Wczoraj, przy trzepaniu dywanów tak się nam zgadało.

– Aha! No i co?

– Jak to, jeszcze nie rozumiesz? Przecież w Dreźnie jest wspaniała Galeria Sztuki. Pokażesz mu organoleptycznie, że można takie rzeczy oglądać publicznie, że to dzieła sztuki...

Tak więc na Wielkanoc rodzi się projekt, na razie konspiracyjny, wyjazdu na wakacje za granicę. Nie miała baba kłopotu, pojedzie z Adasiem do Enerdowa.

27.3.78

Drugi dzień świąt. Nastrój leniwo świąteczny, a on:

– Ciocia mi coś opowie.

Co ja mam mu opowiadać? Już konceptu brakuje. Tyle ładnych filmów w telewizji, a on: opowiadać. Zaczynam więc wolno, dostojnie:

– Za górami, z lasami...

– Nie! – woła – Nie, ciocia, nie zmyślane. Ja proszę takie prawdziwe, z życia. Może być o okupacji.

Zasypuję więc tę fosę głodu przygód, najrzetelniej, jak umiem i nawet nie staram się wybielać siebie, do czego mam czasami skłonności.

28.3.78

Uwag w dzienniczku brak. Bardzo grzeczny i zawsze jest coś zadane. Czyli, czuwaj druhno kucharko, w dosłownym hasła tego znaczeniu. I nie tylko czuwaj, ale powtórz sobie o pociągach wyjeżdżających z dwóch różnych stacji i o jednokomórkowcach i o rozbiorach Polski. Czyli całą zmorę moich szkolnych lat. „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało!”

29.3.78

Czasami, jak np. dziś, idzie do łazienki i robi za mnie pranie... Jeszcze brzydko wieszka, ale się nauczy. Już go chcę pochwalić, kiedy sąsiad woła mnie na słówko.

Okazuje się, że Adam nie pluje, nie puszcza ptaszków, ale za to, w dni gdy mnie nie ma i on pierwszy wraca do domu, otwiera drzwi wejściowe... nożem kuchennym, pożyczonym od mego sąsiada. Od tygodnia już tak.

Adam, bardzo niespokojny, kręci się koło mego pokoju. Potem mówi cichutko, że zgubił klucze. Nie wie gdzie. Jadę natychmiast do „Centrum”, tam dorabiają

na oczekaniu.

Po powrocie Adam, promienny, roześmiany i bardzo szczęśliwy wita mnie, oświadczając, że klucze są, znalazły się, były... w jego starych tenisówkach.

30.3.78

Sprawy „1 x”, żeby nie zapeszyć, wprost idealnie! Adam sam oświadczył, że spróbuje w ogóle budzika nie nastawiać. I udało się! Jeśli udało się raz, uda się i za następnym razem. Był dziś ze mną u fryzjera, bo sam absolutnie nie chciał. Przy okazji chciałam się i ja uczesać. Ale Adam zdecydował inaczej.

– Po co cioci fryzjer? Ciocia i tak jest ładna. Ciocia jest najśliczniejsza na świecie!

Komplement jest mi tym bardziej miły, że mam dawno wyrobiony pogląd na moją urodę. Jest to uroda wybitna, stanowi bowiem bardzo udane połączenie twarzy Fernandela z nosem Burbonów. A on mówi: „ciocia jest śliczna”!

Może to oznaczać tylko jedno. To mianowicie, co u wszystkich dzieci świata. Ich matka, najbrzydsza nawet, jest zawsze najpiękniejsza, bo jest ich.

1.4.78

Od razu, od progu:

– Ciocia! Jestem w gazecie!

– Nie dam się nabrać, Adasiu! Pamiętam, że dziś prima aprilis.

– Ale ja poważnie. Ciocia obada w „Expressie Wieczornym”. Jestem pod tytułem: „Kajakarze na wodzie...” O! Tu, gdzie stoi napisane: „...i wreszcie pierwsze uderzenie wiosł...”.

Prawda! Przecież on jest w klasie kajakarskiej! A w dzienniczku uwaga, że czepek za duży. Rzeczywiście za duży, ale mniejszych rozmiarów nie uświadczą się w żadnym sportowym sklepie. Ale były za to wyjątkowo spodenki do gimnastyki. Kupiłam wtedy cztery pary i podzieliłam się z trójką klasową, która zrewanżowała mi się, tak bardzo poszukiwanymi skarpetkami z bawełny. Adam powiedział wtedy:

– Wracamy, ciocia, do handlu wymiennego.

2.4.78

Był niedzielny spacer. Nieudany. Na pytania odpowiada monosylabami albo tylko wzruszeniem ramion. Może przyczyna leży w dzienniczku? Ale nie.

Sprawdzam, ma nawet pochwałę za udział w pracach społecznych i zbiorce makulatury. Tę ostatnią zebrał sam, uczciwie, trochę wygrzebał w piwnicy.

Dużo śpi, ale niespokojnie. Trzeba go w nocy doglądać, bo stale kołdra na ziemi. Krzyczy jakieś słowa bez związku. W ciągu dnia jest apatyczny.

3.4.78

Oczy zaczerwienione, podpuchnięte, przekrwione.

– Co to jest? – pytam.

– Pływalnia – odpowiada lakonicznie.

4.4.78

Uwaga w dzienniczku: „Nie pracuje na lekcji jęz. polskiego”. Sam mi o tym powiedział i zaraz deklaracja pomocy w pracach domowych. Prawie wyrывa mi elektroluks, wyciera kurze.

5.4.78

Niechęć do pływalni. Idzie, ale z oporami. Miałam dziś w planie szwedzką śróde, czyli wyjście na całe popołudnie i wieczór. Ze względu na jego złe samopoczucie i brak humoru, rezygnuję. Poczekam, zobaczę, co będzie. Był dziś w parku, odnalazł mnie z Anią. Powoził ją w wózeku, coś jej tam prawił, pogadał, a potem oświadczył, że musi do domu, bo ma dużo zadane.

– A co z douczaniem? – pytam.

– E tam! Na douczaniu to się robi zupełnie inne rzeczy.

– Jakie inne? – przerażam się.

– No, bierze się program z następnej klasy, żeby było na zapas, ale ja, ciocia, nic z tego nie rozumiem.

Pewnie. Ja bym też „na zapas” nie rozumiała. Ledwie zrozumiał dwa pociągi, a teraz ma trzy pociągi, całą zajezdnię, z trzech różnych stacji, z trzema prędkościami i w dodatku, z jedną niewiadomą. On sam jest jeszcze jedną wielką niewiadomą.

6.4.78

Dzień wolny od Ani. Poszłam spacerkiem do szkoły Adasia. Spotkałam resztę trójki. Oni już się martwią, co dać pani wychowawczyni na zakończenie roku. Jedno z dzieci trójkowicza uczy się bardzo, bardzo słabo. Więc i prezent musi być lepszy. Tak wynika z wypowiedzi rodzica. Stanowczo nie apróbuję takiej postawy. Co ja musiałabym dać za Adama, który albo nie uważa, albo jest niegrzeczny i arogancko odpowiada, zapomniał, nie miał, nie odrobił, rzucił długopisem.

– A pani – pyta drugi z trójki – jak pani sobie radzi z tymi basenami i pociągami?

– Jak to jak? Po prostu pociągi dojeżdżają. Muszą! A jak nam nie wychodzi, to wprowadzam niewiadomą z iksem, albo logarytmy, a jak już zupełnie nie dają rady, idę po pomoc do sąsiadki, która jest profesorem matematyki.

Nie wiedzieć czemu, drugi z trójki wzrusza ramionami i wyraźnie czuje się obrażony.

7.4.78

Znow opory, jeśli chodzi o pływalnię. Przyszedł z tym na Madalińskiego, w godzinach pływalni. Długo się namyślał, kluczył, aż wreszcie wydukał, że on by wolał nie chodzić na pływalnię, bo trzeba długo czekać najpierw na dyżurnego rodzica, potem długo na tramwaj, a potem jeszcze na samej pływalni na ich kolejkę i znowu prawie godzinny powrót w czasie największego tłoku.

8.4.78

Zamiast spokojnego, rodzinnego popołudnia w domciu, tym bardziej, że to sobota, mam zebranie w szkole. Słyszę, że dzieci są niespokojne, chaotyczne, nie odrabiają systematycznie lekcji i patati i patata. Skąd ja to znam? Już to przerabiałam, a właściwie przerabiam stale. Jedyna pociecha, że to opinia o całej klasie, a nie, wypisz, wymaluj, o Adamie.

Natomiast jest i dobra wiadomość. Adam jest wyróżniony za rzetelny udział w pracach społecznych. A w domu ani słowa o tym. Nawet zostaje podany za przykład! Pani wychowawczyni mówi dalej swoje, ale ja już jej nie słucham. Znam to na pamięć. „To by, myślę sobie, nawet się zgadzało.” W domu trusia, spokojny, opanowany, bardzo dużo pomaga. W momencie dostania się do

grupy, następuje rozpasanie, nieopanowanie. Z drugiej strony, stały, nie wyrugowany do końca strach i niechęć do obcych twarzy, obcego, w tramwaju czy autobusie, środowiska. A jednocześnie jest i trzecia strona medalu. Chęć pomorzenia, bezinteresowna, i wtedy, z całym samozaparciem pracuje rzetelnie.

9.4.78

Nie chce iść na niedzielny spacer. Nie chce oglądać telewizji, chociaż jest dużo sportu. Niedobrze. Je też niechętnie. Poszłam na spacer sama. Po powrocie Adam czai się na balkonie, a potem na górze zastaję drzwi szeroko otwarte, ale on już w swoim pokoju. I taki jakiś marudny.

10.4.78

Po południu znów wraca do sprawy pływalni, że on by stanowczo nie chciał chodzić. Wreszcie z bardzo dużymi oporami wyciągam z niego faktyczną przyczynę. Lewa ręka spuchnięta. Nie chce pokazać. Prowadzę go do lekarza.
– Kawaler – pyta – chodzi na pływalnię zapewne? Tak? To jasne! Silne uczulenie na chlor. Z tego będzie ładne, ropne rozlewisko!
Pisze zwolnienie z WF i z pływalni do końca roku.

11.4.78

Uwaga w dzienniczku: „Niewłaściwe zachowanie na lekcji geografii”.

– Co robiłeś? – pytam.

Najpierw twarz mu martwieje, oczy puste, bez wyrazu. Długie bezruchowe milczenie. Łagodzę kurs.

– No powiedz cioci, może nie będę się gniewać!

– Wygłupiałem się! – szepcze po chwili cicho.

– Aha! A na czym to polegało?

– Śmiałem się głośno, bo pani od geografii przekrzywiła się peruka. Dlaczego – dodaje już śmielej – ona nosi perukę, ciociu?

– Nie wiem – ledwo sama hamuję śmiech – teraz taka moda, Adasiu.

– Ale ciocia nie nosi!

– No wiesz! Przy mojej grzywie! Może ta pani musi nosić – już opanowuję się – może straciła włosy, na przykład w czasie wojny, w obozie.

– Aha – mówi dłubiąc w nosie.

– Adam! Palec nie górnik, nos nie...

– Wiem, wiem... Nie kopalnia. Przepraszam.

12.4.78

Ręka w bardzo złym stanie. Do tego temperatura. Bardzo biedny, ale cierpliwy. Pozwala robić sobie opatrunki. O szwedzkiej środzie nie ma co marzyć. Pieści się. „Ciocia da coś słodkiego, ciocia poczyta, ciocia nakryje kocykiem”. A w dzienniczku: „*Bije się*”. Tu się kizi, tam się bije, mimo chorej ręki!

13.4.78

Uwaga w dzienniczku, i to przy współzawodnictwie punktowym, za brak kostiumu do WF. No i tak się zaczyna śliczna zabawa. Wychowawczynie w dzienniczku: „Uczeń nie miał kostiumu do WF”, ja w tymże dzienniczku: „Uczeń miał zwolnienie z WF, dostarczone osobiście przeze mnie do sekretariatu szkoły”. Ona, że obniży punktację we współzawodnictwie, ja, żeby

cofnęła niesłuszną uwagę. Cofa wreszcie, ale po osobistej mojej interwencji.

- A w ogóle, to nie rozumiem, co się pani tak przejmuje! Kilka punktów mniej, kilka więcej, jakie to ma znaczenie?
- A ma, proszę pani, ma – odpowiadam – bo kiedy nareszcie nauczyłam go interesowania się punktacją i współzawodnictwem, to pani teraz mówi...
- A bo ja jestem z Poznania. Tam nie było żadnej punktacji. I ja uważam, że to niepotrzebny eksperyment.
- Bardzo ładnie. I ja tak uważam. Ale nie uważa pani, że skoro już jest wprowadzony, to chyba trzeba to konsekwentnie prowadzić.

A w ogóle, to przepraszam. Zapomniałam, że pani wychowawczyni jest z zawodu nie wychowawczynią, a trenerką sportową i to z Poznania. Wszystko jasne.

14.4.78

Dziś przyszedł na Madalińskiego, do Ani, bo zwolnili ich wcześniej z powodu choroby trenera. Zabrał się sam do odrabiania lekcji.

- A książki, zeszyty na jutro – pytam.
- Byłem – powiada – w domu i zabrałem.

15.4.78

Następna wielka impreza konkursowo wierszowa. Adam znowu dostał piątkę z recytacji i oczywiście polubił polski i panią od niego. Przy okazji byłam w szkole z prośbą o stałe, na bieżąco, wpisywanie stopni. Bo tu się praktykuje hurt, a to nic nie daje. Dziś, na moje specjalne życzenie, wpisano przy mnie 6 (słownie sześć) dwój z języka rosyjskiego.

- Za co? – pytam, jak skarcony uczeń.
 - Za brak kartinek! – pada sucha odpowiedź. W domu znowu rozmowa.
 - Bo ja zgubiłem, ciociu!
- Masz tobie! I żeby choć powiedział!

16.4.78

- Ciocia! Chciałbym pójść do kina. W „Ochocie” idzie taki fajny film!
- O czym?
- Nie wiem, ale chłopaki mówili, że warto!
- Chłopcy mówili, to po pierwsze. Zgubione kartinki, to po drugie. Czy ty sobie wyobrażasz, że ja będę ciebie za to po główce gładziła i na kino dawała? Duszek robi za jego plecami głupie miny. Że niby ja powinnam przebaczyć i dać mu na to kino. W tym samym momencie dzwonek u drzwi. W niedzielny ranek? A jakże! Pani dozorczyń! Że były skargi, bo Adam bije młodsze dzieci na podwórku. Zaraz bije!
- Co się stało, kiedy? – pytam, a w gardle coś mi bulgoce.
- Co miało być? Jak wracał ze szkoły wczoraj, zostawił teczkę na ławce. Dzieciak się dobrał i...
- Nie dobrał, nie dobrał, a wybebeszył mi całą teczkę – mówi agresywnie Adam tuż za moimi plecami.
- Cicho bądź! – karzę go, a kątem oka notuję, że Duszek dyplomatycznie wycofał się do swego pokoju.
- No i co dalej?
- Uderzył dzieciaka i naurągał mu! – biadoli dalej pani dozorczyń.
- Jak uderzył? – pytam rzeczowo, jak co najmniej aplikant Sądu Najwyższego.

- A czy to ważne! W tyłek mu dał i tyle. Dzieciak cały w nerwach przyleciał do mnie z bekiem.
 - A to pani (chce mi się powiedzieć „panine”!) dziecko?
 - A czyje ma być? Pewnie, że moje!
 - Pokaż teczkę, Adasiu!
- Przynosi. Dzienniczek cały w plamach, kilka kartek podartych, brak paru kolorowych kredek.
- Widzi pani, co pani dziecko zrobiło? Może umówimy się tak: Pani nauczy swego, żeby cudzego nie ruszał, ja mojego, że samemu kary wymierzać nie wolno, dobrze?
 - Dziecko to je dziecko – filozoficznie kończy pani dozorczyni.
 - Właśnie, proszę pani. Każde dziecko!



17.4.78

Dwie dwójce z historii. A tak ją przecież lubi. Jedna z dwój dotyczy nieuwagi i przeszkadzania na lekcji. Z geografii czwórka.

18.4.78

Z ręką lepiej, humorek poprawił się. I uwaga w dzienniczku: „*Uczeń na ostatnich zajęciach plastycznych zachowywał się skandalicznie: dziobie kolegę długopisem, śmieje się głośno, nie uważa*”. Kartinki zdobyte i zaraz czwórka z ruska. No proszę! Jest równowaga w przyrodzie?

19.4.78

Trójka z matmy.

– Dlaczego tylko trójka? – pytam. Odpowiada, że umiał, na zicher umiał, ale klasa przeszkadzała. Moje ty biedactwo! Klasa mu przeszkadzała! I czwórka z klasówki z polskiego. Dziś jest środa. Postanowiłam wyjść. Idziemy wieczorem z Duszką do kina. Początkowo Adam przyjmuje moją decyzję bez słowa. Potem słabo usiłuje protestować. Tak naprawdę wcale nie muszę iść, ale postanowiłam i muszę zacząć wprowadzać te moje „szwedzkie środy”. Po powrocie zastaliśmy pozmywane po kolacji, nasze tapczany posłane. Duszek znalazł dodatkowo nawet na swoim kartkę: „*Dobranoc życzy ręka niewidzialna*”. Każda literka innym kolorem kredki. Tudzież wszystkie światła pozapalane. I górne i boczne.

20.4.78

Z geografii dwie trójki: z kartkówki i odpowiedzi. Z kartkówki byłaby nawet cała piątka, ale błędy ortograficzne. Dla porządku robię dyktando. Wszystko dobrze, bez błędów.

– Jak to jest, Adasiu? Nie rozumiem? Moje super inteligentne dyktando: „*Żeby żaba w rzece Bug holowała buk z chlebem i halabardą po raz ósmy*” napisałeś dobrze, a tu, w kartkówce geograficznej?

– Oj, ciocia, bo ja umiem ortografię, ale na polskim. A na geogrze to ja myślę o wyżynach i dolinach, a nie o ortografii.

Coś w tym jest!

21.4.78

Ręka wyleczona, została tylko szeroka, smutna i czerwona blizna. I zwolnienie z pływalni do końca roku. Ćwiczyć już może.

22.4.78

Poprawił matkę na cztery plus. Jakby się trochę ożywił. Sam zaproponował spacer na jutro, na niedzielę. A akurat jutro są imieniny Wojtka i wszyscy, tradycyjnie spotykamy się u nich. Ukrył dwóję z polskiego za zapomnienie zeszytu. I tak ciągle, to zapomni zeszytu, to zapomni co zadane, to nie uważa. Same głupstewka i drobiazgi, a niszczą zupełnie dobre postępy w nauce.

23.4.78

Adam bawi się z Wojtusiowym Pawłem. Paweł jest bardzo zadbany wewnątrz. Widać, że z tym dzieckiem rodzice bardzo dużo rozmawiali i rozmawiają. Tym bardziej to odbija przy Adamie. Cieszy mnie bardzo stosunek Wojtka do Adama. Jest bratersko ojcowski. Rozmawia z nim, ale tak jakoś miło, nie z wyżyn dorosłego, co tym trudniejsze, że Wojtek mierzy 1,92 m. Składa się, jak szczyryk nad Adamem i Pawłem i coś razem budują, a buzie im się nie zamykają.

Halina serwuje, też już tradycyjnie pyszne ciasto z jabłkami. Po trzecim kawałku, Adam, przy propozycji czwartego, odmawia grzecznie, ale patrzy na mnie. Rozumiem.

– Możesz wziąć, Adasiu, jak masz ochotę.

Bierze, ale robi przy tym milion półśmiechów, kryguje się, jak panienka. Na szczęście nikt nie zwraca na to uwagi, jak i na to, że Adam rozlał na stoliku herbatę. Szuka gwałtownie w kuchni ściereczki, znajduje, wyciera starannie stolik. Jego cichutkie:

– Przepraszam, ja niechący... – ginie w gwarze rozgadanej rodzinki. Tylko moje argusowe oko i ucho wyłapują odcienie jego zachowania.

Wygląda jak ślimak, który ostrożnie, bardzo ostrożnie, wysuwa rożki, aby przy najbliższym wyczuciu przeszkody, prędko je cofnąć i schować się do skorupki.

24.4.78

Łapię się na tym, że ja raczej wyczuwam, co on czuje, a rejestracja jego zachowania jest tylko potwierdzeniem moich odczuć. Przyszło mi na myśl, że wczorajsze zachowanie Adama jest rzeczywiście podobne do ślimaka. Polega to na tym, że on w gronie rodzinnym jest głuchy i dosłownie i w przenośni. Z trudem zauważa, że mówi się do niego, uśmiechnięty, chłonie tylko atmosferę licznej rodziny, bardzo często nie rozumiejąc znaczenia słów. Sprawdzałam to wielokrotnie. Słyszy, ale nie słucha, nie rozumie.

25.4.78

Z rosyjskiego piątka, ale w tym samym dniu dwója z gramatyki, bo były dwie godziny polskiego. A Adam zapomniał, że jak dwie godziny, to jedna z gramatyki.

26.4.78

Poprawił w zasadzie, wszystkie dwóje, ale przyniósł uwagę, że brak mu przyborów do przyrody. Zdaje się, że niedługo i ja będę musiała nosić perukę, bo mi wszystkie włosy powypadają. Prawie codziennie jakaś uwaga. Trudno

każdego dnia sprawdzać mu teczkę, czy zabrał wszystko, co potrzeba. Pani wychowawczyni–trenerka mówi, że Adam jest roztargniony ponad miarę, Duszek, że on zaczyna wchodzić w okres dojrzewania i jeszcze niejedno się zdarzy. A pani psycholog dalej swoje: „Wszystko w normie. Ślicznie się rozwija”. Jak ona to widzi z tych swoich trójkącików, linii i wykresów, które robi przy każdej wizycie Adama, tego ja już nie wiem. Wobec takiego dictum idę na plotki do kumy. Blisko, na osiedlu.

– Jeśli blisko – to może ciocia iść. – oświadcza łaskawie mały podmiot rozlicznych eksperymentów pedagogicznych. Za powrotem zastają światła pogaszone. Śpi spokojnie.

27.4.78

Znow dwóją, tym razem ze śpiewu, bo zapomniał zeszytu nutowego. A przecież tak ładnie śpiewa.

28.4.78

Dzień bezawaryjny. Brak uwag. Brak dwój.

29.4.78

– Ciociu! – zaczął zdyszany, od progu – pobiłem się, ale sprawiedliwie. Bo to było tak: Darek, wie ciocia, zabrał takiemu małemu piłkę. Ten mały rzucił się na niego z pięściami. Ale co taki mały może? Jak mucha na słoniu! A Darek mu dołożył, więc ja Darkowi...

– Też dołożyłeś?

– Tak. To źle? Tu, w dzienniczku mam wszystko, jak należy, zapisane, żeby ciocia nie myślała, że ja łżę... Cała klasa za mną świadczyła! – dodaje z dumą. No i co z takim robić?

30.4.78

Nie poszłam na niedzielny spacer. Adam poszedł sam, to znaczy niezupełnie sam, bo z kolegą, synem tego pana z trójki, a potem do nich do domu. Wniosek Adama:

– U nich jest brzydko, nie ma książek, on nie ma własnego kąta do lekcji.

Pomogłem mu trochę z matematyki, ale on nic nie kapuje. To jak on przejdzie? Bo mówi, że on przejdzie na pe.

Chce mi się powiedzieć, że przejdzie nie na pe, a na prezent..., ale się hamuję.

1.5.78

– Ciocia! Zostali wybrani na pochód. Ja nie! Ale mogę pójść?

– Nie, stanowczo nie!

– Ale dlaczego, ciocia!!!

– Dlatego, że jest za duży tłum. Jak potem trafisz do domu?

Duszek znowu mruga porozumiewawczo za jego plecami.

– A będziesz uważał? – kapituluję.

– Tak! – drze się radośnie.

Wraca po trzech godzinach, mocno zde gustowany.

– Nic nie widziałem! Ciocia miała rację!

2.5.78

Dawno nie było uwag. Parę trójczyn pływa pojedynczo w dzienniczku, jak oczka w mało tłustym rosole.

3.5.78

– Dziś jest środa – oświadcza Adam po południu – ciocia wychodzi?

– A! – zapomniałam, ale się nie przyznam – Nie! – odpowiadam – nie zapomniałam, ale nie mam nic ciekawego w planie.

– To zagra ciocia? Lekcje odrobił ja!

– Jak ty odrobił lekcje, to ja zagrać z tobą.

Już biegnie kłusem do swego pokoju, taszczy gry: Chińczyka, Halmę, morską bitwę, geograficzną. I muszę wszystkie, po kolei i do tego z rewanżem! Na dywanie. Szachruje kostkami. Obraża się, nakryty na szwindlu. Zaszachowany, że z szulerem nie gram, obiecuje, że już nigdy.

4.5.78

Z Darkiem zerwane ostatecznie.

– On jest niekoleżeński, ciociu! Taki to i przyjaciel! I skarżypyta, na dokładkę.

– Czy to ciebie dotyczyło? – pytam, ale on nie rozumie. Tłumaczę. Dociera.

– A! Nie! Do innego chłopca. O rozbicie piłką szyby. Jak pani spytała, kto to zrobił? A myśmy wszyscy, ciocia, caluśka klasa, wiedzieli i myśmy milczeli. To niech ciocia sama powie! Czy ciocia by tak zrobiła? A on nic, tylko łapę do góry, i że on wie, że to Zbyszek. A Zbyszek to takie chuchro i jego za byle co leją w domu. I tam jest u niego bardzo bidnie. Więc myśmy postanowili się złożyć na Zbyszka. Ciocia da 50 zet.

Dałam. Chętnie dałam. Ale zbiera mi się na pedagogikę.

– A gdyby tak życie chłopca zależało od takiego, jak to nazywacie skarżypyctywa, to co byś zrobił?

– A! Gdyby życie! Czy ja wiem? Żebym wiedział na pewno, że to ważne, to bym powiedział! Chyba bym powiedział.

5.5.78

Rozmowa z Krysią. Okazuje się, że Ani grozi zostanie przez całe wakacje w Warszawie. Wobec tego nici z NRD. Druga rozmowa z Adasiem, w domu. Jak to jednak dobrze, że nie powiedziało mu się wcześniej o możliwości tego wyjazdu. Bo moja „Samopomoc Chłopska” nam też pomaga i mają wymienne, ze spółdzielniami enerdowskimi, atrakcyjne wczasy. Adam z Józefowa, bo będziemy w Józefowie koło Warszawy, ucieszył się bardzo.

– To tam, ciociu, gdzieśmy byli dobrych parę lat temu?

– Niezupełnie, Adasiu! Myśmy byli wtedy w Świdrze i tylko w którąś niedzielę.

– A! Tak! Nie pamiętam!

6.5.78

Dziś dostał piątkę z matmy. I zaraz zrobił średnią. Wyszła mu trójka. Ucieszył się. Ja nie.

– Ciocia! Są gorsi ode mnie w klasie!

– Żadna pociecha!

Ale myślę sobie, że to charakterystyczne dla niego. Raz bardzo dobrze, raz bardzo źle. Kiedyś, dawno, jak powiedział sam wczoraj: dobre parę lat temu, tak samo było z jego stanem psychicznym. Pamiętam, że liczyłam jego kroki

psychiczne. Najpierw było trzy do przodu, dwa do tyłu, potem na trzy do przodu, tylko jeden do tyłu. A teraz? Bardzo rzadko zdarzają się smutki, zapaści, a jeżeli już, to zawsze jest jakaś realna przyczyna.

7.5.78

Pada deszcz. Po Teleranku, który obowiązkowo oglądamy razem, przynosi swoje gry.

- Ciocia zagra! Ja już nie będę!
- Co już nie będziesz – pytam nie bardzo kojarząc.
- Oj! Te tam, jak im tam, jakieś szulernie.

Gramy zgodnie do obiadu, który robi się sam na gazie. Adam natomiast sam nakrywa ładnie do stołu.

8.5.78

Krysia zaproponowała kolonie letnie dla Adama. Jej biuro organizuje, nad morzem to ma być. Adam, zainterpelowany, gorąco protestuje:

- Ja na żadne kolonie nie chcę. Ja chcę z ciocią i z Anią.
 - Ale dlaczego, Adasiu? – staramy się obie go przekonać metodą łagodnej perswazji – będzie dużo dzieci w twoim wieku, morze, wycieczki...
 - Nie chcę! Na rozkaz jedz, na rozkaz baw się, na rozkaz śpij. A tam! Nie potrzebuję.
 - Ale w Józefowie byłbyś tylko z ciocią i małą Anią. Wątpię, czy będą tam chłopcy w twoim wieku. Zanudzisz się na śmierć.
 - No i dobrze! – konkluduje stanowczo – Ja z ciocią nigdy się nie nudzę. Będę cioci pomagał.
 - Ale u mnie przecież też na rozkaz jesz, kładziesz się spać i tak dalej.
 - Ale u cioci zupełnie inaczej!
 - Jak? – pytam, niepewna.
 - No tak jakoś, jakbym mógł wybierać.
 - Nieprawda! Ja też mówię: Marsz spać!
 - Ojej! Ciocia to nic nie rozumie. Przecież ciocia tak mówi, to prawda, ale tak jakoś...
 - Jak? – ponawiam pytanie. Niechże raz sformułuje, co myśli. Ale ślimak już schował się do swojej muszli. Jego milczenie w takim, jak ten, przypadku, jest dla mnie zawsze dziwne. Patrzy na człowieka tymi dużymi oczyma, pociera ręce o spodnie i wreszcie duka:
 - Bo ja, bo ja, bo ja...
- Przerywam szybko.
- Nie jękać się, i nie pocierać rąk o spodnie! Dziury w końcu wywiercisz na drugą stronę ziemi, a ciocia nie milionerka.
- Śmieje się. Już dobrze. Ale projekt Krysi tym samym upada.

9.5.78

Dziś znowu uwaga o biciu się na przerwach. Nawet już nie dochodzę, kto z kim i dlaczego. Pani wychowawczynie mówi, że oni dorastają, przepoczwarczają się i dlatego. Ktoś tu, nie ja, wywarza drzwi otwarte. Pani trenero–wychowawczynie oprzytomniała? Może Warszawa tak na nią podziałała.

Nie ma dnia prawie bez siniaków, podrapań, uwag. Jak nie wydarty rękaw, to dziury na kolanie. Wolałabym już ślady po łożeniu po płotach i drzewach. Sama w tym byłam bardzo dobra!

10.5.78

Na zbiórce znowu nie był. Mówi, że zapomniał. O czymś co się lubi, nie zapomina się. Mówi, że nudno, ciągle to samo kółko.

– U „Duszków”... mówi, ale mu przerywam:

– To już słyszałam! Twoim obowiązkiem jest chodzić na zbiórki. I mundur nosić w poniedziałki.

– Ojej! Ciocia to już przynudza! Nikt nie chodzi, to ja mam się wychylać!

Dobre określenie! Skąd je wziął? Klasa go pewnie podkszałca, bo dom w tym względzie, na pewno nie. Dziś jest środa, więc się wychylę do kina.

Już nie protestuje, tylko się dopytuje, co będzie extra na kolacje, bo w szwedzkie środy zawsze jest. Robię w myślach przegląd mojej lodówki i szafki, a on:

– To ja bym sobie wieszował makaron z cukrem i ze śmietaną. Mogę całą trumienkę?

– Możesz – odpowiadam i wicherzę mu czuprynę, a on wcale nie wie dlaczego, ale bardzo się cieszy. Teraz ja nie wiem, czy z całej trumienki serka czy z czupryny.

Wracamy z Duszkami bardzo późno. Już na klatce schodowej słyszemy ryk traktora. Cichutko czekamy pod drzwiami, co będzie. Nic nie było. To znaczy było to, co powinno było być. Jak się już położył i zgasił światło, weszliśmy, jak złoczyńcy, albo spóźnieni mężowie, zdejmując jeszcze na klatce schodowej, obuwie.

Już od bardzo dawna TE sprawy nie istnieją. Traktor robi swoją dobrą robotę. Tyle tylko, że ja z całą premedytacją, przestawiam go z wieczora daleko od zasięgu ręki Adama, żeby dla wyłączenia, musiał wstać. I wstaje.

11.5.78

Bez zmian. Uwag, prócz jednej o biciu się, nie było.

12.5.78

Opadła, z powodu ręki, pływalnia, ale został sam żywy sport. I stałe bójki, szarpanina. Załatwianie każdej sprawy przy pomocy rękoczynów. Myślę, że mimo wszystko, trzeba będzie pomyśleć o zmianie szkoły, a to wcale mi się nie uśmiecha, bo któryż to już raz?

Pani psycholog ku memu zdziwieniu, zmienia front i mówi, że to bardzo dobrze. Że takie zmiany środowiska są potrzebne.

– Usportowił się, rozruszał – powiada – to i dobrze. Teraz czas na ustatkowanie się, zwłaszcza, że przechodzi do klasy VII.

Już? Niemożliwe! Ale czy on w ogóle przejdzie? Z takim nierównym poziomem wiedzy?

13.5.78

Jest dobra wiadomość. Duszek, który już od roku harcerzy w szkole 97 przy Spiskiej, proponuje przeniesienie Adama na początku przyszłego roku szkolnego do tej właśnie szkoły.

– Tylko, proszę, za żadne skarby do klasy sportowej!
Duszek mówi, że się zrobi.

14.5.78

Dziś, w niedzielę, jedziemy z Adamem i małą Anią do ZOO. Ciekawe, ile Adam

pamięta. Boć to była kiedyś nasza pierwsza wspólna wyprawa. Pamięta wszystko doskonale, nawet wateę na patyku. A potem pokazuje poważnie, nieomal z namaszczeniem, małej Ani zwierzęta. I idzie z wózkiem, oczywiście on prowadzi, starannie, uważnie po białych strzałkach. Nagle, przy powrocie, nie chce pomóc przy wnoszeniu wózka do tramwaju. Pomagają jakieś obce osoby, a Adam ucieka na koniec wozu i tam tkwi.

15.5.78

Dziś wielki, jak śliwka, guz na głowie. Przyszedł specjalnie do parku gdzie byłam z Anią, żeby mi go pokazać.

16.5.78

Czasami wydaje mi się, że Adam jest jakiś przegrany. Przychodzi ze szkoły, wlokąc nogi, jak staruszek. Ciężko siada w fotelu, aż grają wszystkie sześćdziesięcioletnie sprężyny. Zdarza się, że przysypia. To chyba nie tylko wiosna? Podpytywany, nic nie mówi.

17.5.78

Był na Madalińskiego.

– Zwolnili nas wcześniej – powiada – no i dobrze, odpocznę sobie.

– Po czym? – pytam.

– Wie ciocia, co cioci powiem? Mam dość tego sportu. Już mi wyłazi dziurkami... Ile można ćwiczyć?

– A co byś powiedział, Adasiu – zagajam dyplomatycznie – na zmianę szkoły na jesieni?

– To by było niezłe – powiada – pomyślę.

Powiedział to jakoś bardzo dojrzałe.

18.5.78

Dwudziestego, to jest za dwa dni, urodziny Adasia. Trzy lata! Powinno już coś zacząć z tego aplegierka wyłazić! A może już wyłazi, tylko ja tego nie widzę, zaabsorbowana podnoszeniem poprzeczki?

19.5.78

Od przyjścia ze szkoły, anioł o podwójnych skrzydłach i z propelerkiem. Śmieci wyrzucone, choć ich nie było wiele, mieszkanie sprzątnięte, lekcje odrobione, uwag brak. Aż nudno!

– Czy ciocia była uprzejma... – myślałam, że padnę, nadzwyczajne! – pamiętać?

– Byłam uprzejma. Wszystko do kanapek kupiłam, kolegów możesz zaprosić na jutro, na jakąś czwartą.

– To dobrze, bo ja już zaprosiłem, ale w pierwszym rzędzie ciocia mnie objedzie...

– A w drugim rzędzie krzesel, kto będzie siedział? – pytam, ale nie rozumie.

– Jak to? Co ciocia? Jakie krzesła?

– To ty nie wiesz, że mówi się przede wszystkim, a nie...

– A! – już chwycił – w drugim rzędzie krzesel, to ja zaprosiłem...

– Całą klasę? – w panice obliczam wiktuały.

– No nie! Taki wyrywny to ja nie jestem, tylko dziesięciu.

– To jaki procent całej klasy? Jak obliczysz prawidłowo, mogą przyjść!

Jest ich dwadzieścioro. Rachunek prosty. Biegnie do swego pokoju, szuka na

pólkach, grzebie w książce do matematyki, aż mi go żal.

– Mam! – krzyczy z triumfem – to pięćdziesiąt procent – i na jednym wdechu – to te pięćdziesiąt procent może przyjść?

– Może – odkrzykuję.

I zaraz jest ważnie. Siedzimy w ślepej kuchni i dyskutujemy, co się robi. I że ciasto, to on sam, zupełnie sam upiecze, bo umie.

20.5.78

Jak to dobrze, że dziś sobota. Przyszło ich ośmiu, ale hałasowali za całe sto procent klasy. Rozmowy tylko na tematy sportowe i osiągnięcia każdego z nich. Prezenty oglądaliśmy razem, już po uroczystości. Małe upominki typu maskotki. Zostały pieczołowicie powieszzone na macie z towarzyszeniem długich namysłów, czy breloczek z Syreną będzie pasował do małego krasnala. Acha! I jeszcze sam posprzątał i pozmywał po gościach. Szkoda, że imieniny są tylko raz do roku. To jego i moja opinia. Tylko każde z nas na inny sposób ją rozumie.

21.5.78

Wyrzucam go na siłę na dwór. Może do kolegów, może na spacer, w piłkę pograć. Wraca jak bumerang.

22.5.78

Myślał chyba bardzo długo, bo dziś dopiero odpowiedział mi, co do zmiany szkoły. Że on by wolał nie, bo się już przyzwyczyił i wie, jak zagrać! Tak się dosłownie wyraził. Na zapytanie, co przez to rozumie, wyjaśnił, że wie, co który nauczyciel wymaga, ale czułam, że nie był do końca szczery.

23.5.78

Brak uwag. Uczy się sam, nie przynaglany. Grzeczny. Przynajmniej w domu, ale w szkole też chyba, skoro nikt nie alarmuje.

24.5.78

Byłam dziś z Duszkim w kinie. Kolację dla Adasia zostawiłam, jak zawsze, ale zapomniałam zrobić dla nas. A tu niespodzianka. Na dwóch talerzykach, skrojone trzy kromy chleba, posmarowane i obłożone, nawet zaparzona herbata, tyle że zimna. Wyrwaliśmy sobie z Duszkim te półbochenkowe prawie pajdy i tak chichotaliśmy, że w końcu doczekaliśmy się! W drzwiach, w piżamce, długi, rozczochrany stanął Adaś i powiedział:

– To o której się wraca! – Radość była z tego tak wielka, że Duszek wyciągnął z żelaznego zapasu batonik czekoladowy, który natychmiast zniknął w paszczęce Adasia. Żując czekoladę, wymamrotał:

– A! Chyba, że tak! – Duszek jest jednak rasowym pedagogiem. Zmusił biedaka do umycia zębów, o czym ja zupełnie zapomniałam.

25.5.78

– Ciocia ma kawałek kartonika?

– Jaki to ma być i do czego?

– Do czego to ja nie mogę powiedzieć. A jaki? Wszystko jedno jaki.

Daję kawałek pudełka po butach.

– Nie! On ma być ładny, najlepiej biały.

– Powiedz do czego, to poszukam.
– Kiedy bo to nie idzie powiedzieć! I kawałek wstążeczki mi potrzebny. I jeszcze klej i kawałek kolorowej bibułki albo papieru.
Daję wszystko, co potrzebuje. Zamyka się w swoim pokoju i wywiesza kartkę: **BEZ PUKANIA NIE WCHODZIĆ!** Jaka ja jestem niedomyślna. Toż to jutro 26 maja. Dzień Matki!

26.5.78

Jest maleńkie, maciupusieńkie, rozkładane i pójdzie do naszej „Kroniki”. Jest to zaproszenie na uroczystość w szkole, zorganizowaną z okazji Dnia Matki.

28.5.78

Dziś długa rozmowa z Duszką i Adasiem w związku z obozem, który tradycyjnie w sierpniu, tradycyjnie w Dźwierznie. Czy ja bym chciała?

– A ty, Adasiu? – pytam – co myślisz?

– Jak z Duszką i ciocią, to ja mogę chcieć, czemu nie!

Zostaje więc postanowione, że najpierw Józefów, potem obóz, a ponadto zostaje postanowione, że my, to jest ja i Adam, będziemy zbierać fundusze na przyszłe wakacje, które muszą być bardzo atrakcyjne.

W sumie, to mnie trochę martwi, bo najpierw Józefów. Jak ja sobie dam radę z dwojgiem, z których jedno raczkuje dosłownie, a drugie przenośnie! A potem, od razu, bez wytchnienia, nieomal z marszu: druhna kucharka.

29.5.78

Ponownie sprawa munduru harcerskiego. Zdecydowanie nie chce nosić w poniedziałki. Nawet perswazje Duszka nic nie pomagają. Ciągłe ten sam argument: "inni nie noszą".

– A na obóz chcesz jechać? – pyta go Duszek – To jak to jest z tobą, Adasiu? Kwituje sprawę wzruszeniem ramion. „Oj! Weźmiemy się za ciebie harcersko, serdeńko, weźmiemy na jesieni !” – myślę, ale nic nie mówię, bo koniec roku tuż, tuż.

30.5.78

Dziś Adam, nadęty, jak żaba, oświadcza, że on na pewno przechodzi.

– Skąd wiesz, że na pewno? – pytam, choć sama o tym dobrze wiem – przecież nie było jeszcze sesji?

– To co? Ale książki mi sprzedali! A jakbym nie przeszedł, to by nie dali.

31.5.78

Robimy po południu wielkie zakupy. Adam bardzo lubi zakupy, a ja lubię jego postawę w tym względzie. Nigdy nie prosi o nic, nie napiera się, przyjmuje wszystko z miłym uśmiechem, tak jakoś ciepło. I to bardziej zachęca do kupowania mu tego, co, domyślam się, że mu się podoba.

1.6.78

Wracam jeszcze do sprawy wczorajszej. Po przemyśleniu, doszłam do wniosku, że jednak nie mam racji. To nie jest jego skromność itd. A nawet nie niezdecydowanie co do wyboru. To jest coś bardzo smutnego, czego nie umiem zdefiniować. Jakies wszystko mi jedno, nie zależy mi. On o niczym nie marzy. Może to jeszcze zadawnione uczucie strachu przed utratą tego co ma?

2.6.78

Przejrzałam dziś spis lektur na klasę VII. Wynika z niego, że w przyszłym roku szkolnym będzie dużo poważnych, jak na jego wiek, trudnych książek. Zastanawiam się, jak podejść do tej sprawy. Czy najpierw film, a właśnie idą teraz w kinach i „Robinson” i w „Pustyni i w Puszczy”, czy czytać mu. Postanawiam odłożyć sprawę na wakacje. Ale na pewno najpierw książka, dyskusja, ciekawa rozmowa poszerzająca, a potem, na deser film i znów rozmowa o różnicach między książką a filmem. Tylko nie sucho, programowo, może za pomocą zabawy. Bawiłam się tak, pamiętam z moimi dziećmi. Na przykład gdzie i kiedy, w jakich okolicznościach Sienkiewicz powiedział: „Ach, Sabo, cóżeś ty uczynił?”

Koniecznien pamiętać, żeby zrobić w zeszycie do prywatnych lektur mapkę Afryki i żeby sam nanosił kolejne miejsca na trasie peregrynacji Stasia i Nel. Marzy mi się „Trylogia”, ale on chyba nie przebrnie przez sześć opastych tomów. Przypomina mi się powiedzenie mego Ojca: „Jak spadać to z dobrego konia”. A no, spróbujemy spaść na razie z obowiązujących lektur.

3.6.78

Bez zmian. Robi się bardzo grzeczny. Pewnie czuje powiew wakacji.

4.6.78

Przygotowania do wyjazdu. Przy okazji, sprzątanie generalne pokoju Adasia. Trzeba mu jeszcze pomagać, wskazywać, bo on by najchętniej po łebkach, na chybcika. Sroży się, gdy mu pokazuję, co ma pod łóżkiem. A ma bardzo wiele. Zaczęty zeszyt do geografii z dwóją, zniszczone długopisy, cała armia żołnierzy inwalidów, z poprzyklejanymi plasteliną częściami ciała i uzbrojenia, kapsle, brudne skarpetki, stare drugie śniadanie i kawałek spleśniałego sera. Wymiata to wszystko i zezuje, czy patrzę. Ja stoję, jak kat nad dobrą duszą i nie popuszczam.

– Elektroluksem też? – jęczy.

– Też! – odpowiadam i uśmiecham się pod wąsem.

5.6.78

Rozdanie cenzur. Za wyjątkiem sprawowania, które dobre, pozostałe stopnie, dokładnie, od góry do dołu same dostateczne.

Okresowo, przedwyjazdowo wizyta u pani psycholog. Ona znowu swoje.

Powiada, że to nic, te wszystkie jego wyskoki i te trójczyny. Wszystko przejdzie. Rozwinie się, tylko ciągle zaleca cierpliwość. Mimo to czuję się tak, jakbym to ja przeszła na samych trójczynach. Więc może moje zapędy pedagogiczne są też na dostateczny?

6.6.78

W związku z tym dobrym koniem, co to Adaś ma z niego spadać, poszłam dziś do biblioteki osiedlowej. Zaczęło się od tego, że w ogóle nie chciał tam iść.

– Ciocia sama załatwi!

– O nie, mój drogi! Twoja sprawa, ty załatwiasz! Ja też muszę wymienić moje książki i wypożyczyć na zapas, na tydzień.

Otwiera szeroko oczki.

– Jak to? To ciocia w tygodniu przeczyta więcej niż jedną książkę?

– Pewnie! Nie zauważyłeś, że ciągle coś czytam? Ty też tak będziesz czytał, jak

cię książka zainteresuje.

– A wcale, że nie! Na pewno!

W bibliotece milknie. Woda w usta. Bardzo sympatyczna starsza pani umie rozmawiać z młodzieżą.

– Która klasa? – pyta rzeczowo.

– Siódma! – odpowiada Adam, a uszka mu się czerwieni. Sama jestem zemocjonowana. Już siódma klasa! Jak zbiegł ten czas!

Adam jest przerażony ilością, a zwłaszcza grubością książek. Bo to i „Robinson Crusoe” nie cienki, i „Dzieci Kapitana Granta” grube, i „Pustynia i Puszcza” też nie broszurka.

– Jeszcze kupisz w papierniczym gruby zeszyt, kredki, bo ci wyszły i temperówkę, bo zgubiłeś i...

– Po co? Ciocia! Szkoda pieniędzy.

– Nie szkoda! Maszeruj! To będzie twój drugi zeszyt do prywatnej lektury.

Spuszcza głowę, nie przekonany, ale idzie. Po chwili wraca do biblioteki, żeby zapytać, czy ten zeszyt to ma być w kratkę, linię czy gładki.

– Jaki chcesz, Adasiu. Wybierz sam.

7.6.78

Wracamy ze spaceru, a w domu rwetes. Duszek, już z balkonu woła, że nam się coś pomyliło! Że był ojciec Krysi, zwany w rodzinie, i słusznie, dziadkiem Kaziem, że przyjechał po rzeczy, które jadą do Józefowa, a my gdzieś przepadamy.

Dziadek przyjedzie za trzecim nawrotem i zabierze nasze cięższe bagaże, ale nas nie, bo musi załadować jeszcze: wanienkę, kojec, nosidełko, garnki. Krysia chyba zabiera całe mieszkanie z Madalińskiego.

– Trzeba pakować, ciocia! – woła Adam i rzuca się na schody.

– Spokojnie, kotku! – mówię, a kot prawie mego wzrostu – Wszystko przygotowałam, weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Rzuca się do swego pokoju, pada na klęczki przed tapczanem, nurkuje i wyciąga plecak. Potem wrzuca wszystko, jak leci i krzyczy, że się już nie mieści.

– Nie tak, Adasiu – upomina Duszek – chodź, pokażę ci, jak to się robi, ty stary harcerzu! Zobaczysz, że wszystko się zmieści.

8.6.78

Późną nocą lądujemy w Józefowie. Ogarnia nas wiejska cisza. Po zejściu z peronu, ciemno.

– Ja mam latarkę, ciocia! Ciocia się nie łamie!

Docieramy na miejsce. Rodzice Ani czekają niecierpliwie, bo bali się, czy nie pobłądziliśmy. Dzięki latarce Adasia, która oświetlana nam każdy dom i numer, trafiliśmy bezbłądnie.

Krysia wciska mi w rękę karteczkę z gryplanikiem jedzeniowym małej oraz nocnobudzeniowym tejsze i w wielkim pędzie i pośpiechu biegną oboje na stację, bo za parę minut ostatni pociąg do Warszawy.

Oglądam pobieżnie pokój. Duży, o czterech oknach, dlatego pewnie drogi. Pod jedną ścianą łóżko dla Adasia, pod drugą moje. Między nimi śpi spokojnie, nieświadome zmiany warty dziecko.

Pokój przedzielony szafą i brzuchatym kredensem z przyczepioną między nimi kretonową zasłoną, stwarza w ten sposób kuchnię i sypialnię. Zaglądamy za

zasłonkę. Jest miednica, dwa wiadra.

– Pewnie na wodę pitną i nie! – stwierdza tajemniczym szeptem Adam.

Więc brak kanalizacji. Powinno być taniej. Wychodzimy razem na próg. Niebo pełne srebrzystych gwiazd, powietrze cudowne, upajające, sosnowe (dlatego drożej!), ale kibelek w podwórzu, obok gnojówki (jednak powinno być taniej).

– Ciocia! Ja chcę do ubikusia!

Patrzę na niego zdziwiona i zaskoczona.

– Ależ Adasiu... – ale zaraz rezygnuję.

Idziemy razem i ciężko wzdycham.

Myślę, że zaraz usłyszę, że mam stać trochę dalej, tak na przykład koło gnojówki. Nic podobnego. Słyszę:

– Ciocia tu stanie, koło drzwi!

Staję. Z lewej pachnie maciejka, z prawej, jako się rzekło, gnojówka. Za powrotem Adam trzyma się mnie kurczowo za ramię.

Trzeszczą sienniki, szeleszczą materace ze słomy, której tu dużo, a tam za mało. Gdzieś daleko we wsi zaszczekał pies, inny mu odpowiedział. Zasypiamy.

Koło drzwi węszenie! I pomruk. Adam już przy mnie.

– A jak to niedźwiedź? – pyta szeptem.

– Czyś ty oszalał? Adam! Niedźwiedź w Józefowie?

Ale i mnie nieswojo. Okazało się, że to domowy pies, nieszkodliwy dla swoich.

Chcę usnąć, ale kłębią mi się niespokojne myśli. Powtarzam sobie: o piątej rano budzenie Ani, nocniczek, manna na mleku, Adama obudzić o pierwszej...

Budzik!!! Nie zabraliśmy budzika! Wszystko przez ten pośpiech! To kiedy ja mam właściwie spać? Zdaje mi się, że znowu wpakowałam się w jakąś kabałę.

9.6.78

Budzi mnie śliczne, młode słońce i szczebiot Ani. Zdumiona, przecieram oczy. Ręczny zegarek wskazuje dokładnie godzinę piątą rano. Ania siedzi na tym, na czym rano siedzieć powinna, Adam przy niej, śmieszny, rozczochrany, długi, pasiasty, bo w piżamce i bosonogi.

– Pantofle! – mruczę.

– Co pantofle? – pyta zaskoczony.

– Włóż kapcie, bo się zaziębisz!

– Ciocia lepiej tę maszkę kanną zrobi. Ona jest głodna.

Pół przytomna, w zupełnie nowym otoczeniu, na maszynie elektrycznej (prąd jest, dlatego drożej!) mam robić kaszkę! Woda?

– Wychlapaliśmy wczoraj, ciocia. Ale ja już wiem, gdzie jest studnia. Zaraz napamię.

Papi i przynosi pół wiadra, bo resztę rozlał po drodze. Ale co tu można powiedzieć? Co tu się da w ogóle powiedzieć! W nim zagrało jakieś zorganizowanie, którego mnie zabrakło.

Przesypiamy zdrowo trzy godzinki. Nasz własny, prywatny, roczny zegareczek budzi nas bezbłędnie. Boże! Czy każde małe dziecko musi co trzy godziny jeść?

Pewnie nieświadomie powiedziałam to głośno, bo Adam natychmiast zareagował:

– Wiadomo! Musi! – stwierdza i błyskawicznie wstaje, ściele łóżko i dogaduje:

– A ciocia, jak była mała, to nie chciała często jeść? A teraz, jak ciocia jest babcia, to trzeba...

On ma rację! A poza tym trzeba przetrzepać sienniki. Nie dość, że nierówno to

jeszcze pchły (powinno być stanowczo taniej!)

– Ciocia! Ciocia znowu zasnęła! To już pierwsza godzina Przekąsiłbym coś, i Ania głodna.

Rozebrało mnie to powietrze (a niech już będzie drożej!)

– To ja pobawię się z Anią na tarasie – ochoczo proponuje Adam. Wyciąga mały kojczyk do chodzenia. Wsadza węń Anię. Ta wyciąga do niego łapiny:

– Ada! – powiada. On ja głaszcze po główce, a ja biorę się za obiad.

10.6.78

Dziś już wszystko trochę się usystematyzowało. Obiad był nawet wyjątkowo wcześnie, bo o czwartej. Po obiedzie wpadam w panikę.

– Jezus Maria! To dziś sobota! Trzeba zrobić zakupy.

– Ciocia nie panikuje! Małą do wózeczka i do sklepu. Ja prowadzę! Mogę?

Na podwórzu podbiega do nas domowy pies. Zamerdał ogonem, pisnął z radości i widocznie Adam przypadł mu do gustu, bo zaczął się doń łąsić. Ale Adam cofnął się, nie puszczając jednak wózka. Pies dalej merdał i nagle sprężył się i skoczył mu do twarzy, którą serdecznie polizał.

Adam powiedział:

– Tfu! – ale bardzo niepewnie wyciągnął rękę. Z niskiej spacerówki zrobiło to samo dziecko i po swojemu pogłaskało psa. Adamowi nie wypadało już tak stać z wyciągniętą ręką i ostrożnie, nieufnie, dotknął sierści zwierzęcia.

11.6.78

Zaczytałam się w zupełni niezłym kryminale Hogstranda „Zamaskowana zbrodnia” i nie zauważyłam, że już dobrze po dziesiątej, a Adam, za szafą czyta.

– Adasiu! Zgaś światło! Już późno!

– Zaraz! Ciocia! Bo on się rozbija!

– Adasiu! Kto???

– No ten statek z dziećmi kapitana Granta.

– To ty już tak daleko? –teraz ja zadaję to pytanie – Na której stronie jesteś?

– Na sto i jednaście. – odpowiada –A bo co?

– Nic, nic. Skończ już do tego rozbicia. – I dalej pogrążam się w moim kryminale. Ale coś mi przeszkadza w czytaniu. Jakie to już dawne wspomnienia! Taki był mały i pytał:

– Ciocia zgadnie, na której jestem stronie? – a ja musiałam podawać na zapas mniej, żeby miał przyjemność.

– Zaraz kończę, ale to takie ciekawe, ciociu!

A jednak!

12.6.78

Dziś zabrakło mleka. Trzeba gnać do odległej spółdzielni. Okazuje się, że owszem było ale wyszło. Trzeba tu przychodzić skoro świt.

– To ja pójdę z rańca – oświadcza Adam.

13.6.78

– Ciocia! Ciocia się obudzi! Tego mleka to ile?

Patrzę na zegarek. Rzeczywiście jest z rańca! Czwarta trzydzieści. Czy to jest ten sam chłopak? – miga mi myśl.

– Dwa litry – mówię słabosilnie. Obudzenie się Ani przypomina mi o sprawach budzikowych Adama. O dziwo! Wszystko w porządku! Niebawale!

Na spacerze on prowadzi wózek. Bardzo ostrożnie to robi. A mała, która już zaczyna trochę mówić, zarzuca mu łapki na szyję i szczebiocze pieszczotliwie:
– Ada! Ada!

14.6.78

Pada deszcz. Nie chce się wychodzić z domu, a cóż dopiero z ciepłego łóżka, bo do tego jest zimno. Adama nie można oderwać od książki. Ciągłe mnie dziwi, jaki on ma w środku mechanizm, który pomaga mu w natychmiastowym zaaklimatyzowaniu się w nowym otoczeniu. Mało! Orientuje się doskonale, gdzie co leży, nawet z garderoby małej.

Ania raczkuje po podłodze. Adam rzuca książkę i łązi za nią. Rozumieją się znakomicie. I ja odkładam książkę i zamyślam się. Jak to jest? Tak się bałam tego pobytu, a tu okazuje się, że Adam jest ogromną pomocą. Po mleko do spółdzielni, na spacer z Anią, rozwiesić pieluszki, napąpić wody, i wszystko sam, bez prośzenia czy napominania. Gdyby wydawano za to cenzurki, miałyby u mnie same piątałe. I to dzięki jego wydatnej pomocy, dzień jest uregulowany, budzik niepotrzebny.

Mimo deszczu wychodzimy na spacer, cała trójka ubrana przeciwdeszczowo. Po powrocie Adam porosi, żeby pies mógł wejść do nas, do pokoju, bo mu na dworze smutno i mokro. Ale z tego wynika niesympatyczna wymiana zdań z panem gospodarzem, który jest przeciwny.

– Pies – powiada – ma pilnować domu, a nie w nim siedzieć.

15.6.78

Dalej pada, a my zamelinowani w łóżkach. Już nawet nie chce się wychodzić na obligatoryjny spacer z małą. Ogromną radość sprawia mi, gdy widzę Adama pochylonego nad przepaścistym i brzuchatym kredensem w części gospodarczej. Ryje się po torebkach i pudełkach, odnajduje słodycze. Bierze sobie na talerzyk, mnie też przynosi. Utyję, jak tak dalej pójdzie.

16.6.78

Na jeden peron podjeżdża pociąg z Warszawy, wypadają z niego Krysia i Andrzej, obładowani, uśmiechnięci. Wymiana pośpiesznych słów, karteczek z instrukcjami i już gwizdże, na drugim torze nasz pociąg z Otwocka do Warszawy. A tu na peronie dramat! Ania poznaje rodziców, ale chce do Ada. Więc Adam musi ją wziąć na rękę, ona przytula się do niego, łapiny zarzucone na szyję. I dopiero z tej pozycji przechodzi w ramiona zdumionej i dziwnie rozczulonej matki.

W pociągu Adam kręci się niespokojnie.

– Co się stało, Adasiu? – pytam, a miga mi już warszawska łazienka, bieżąca ciepła woda, telewizor i lodówka.

– Nic, nic! Tylko mnie coś uwiera! Zaraz! – woła przeszukując kieszenie kurtki – O! Choinka! Ciocia obada – i patrzy na mnie podejrzliwie.

– Nic z tych rzeczy, Adasiu! – odpowiadam z czystym sumieniem na jego pytający wzrok – To nie ja! Skąd u nas w Józefowie czekolada Sucharda i to z orzechami!

– Acha! – mówi po chwili domyślnie – znaczy się ciocia Krysia! Tylko jak ona to zrobiła?

Krysia też miewa przednie pomysły, nie tylko Duszek. Widocznie to rodzinne. Bieg do tramwaju, bieg na Jankowską, potem schodami w górę, przypomina

wścig małych żółwiątek do brzegu oceanu. Aby prędszej! Adam pierwszy dopada drzwi. Otwiera je szeroko, wpada, jakby zostawił tydzień temu w mieszkaniu czajnik z gotującą się wodą.

–Duszka nima! – woła. Potem rozwala się w fotelu – Ale fajnie! – Zupełnie zapomniałem, jak tu jest. Telewizję mogę?

– Możesz. Duszka nima bo wybył na wakacje. Zaraz będzie kolacja.

– Warszawska?

– Tak. To znaczy według ciebie, jaka?

– No – namyśla się długo – domowa, jak w domu.

Wieczorem, dość późnym, pyta czy może jeszcze poczytać, bo jak ma iść jutro na te „Dzieci” to on by chciał skończyć. Skończyć? Okazuje się, że brakuj mu do końca paru stron.

18.6.78

Rano Adam spał jeszcze, cały różowy, pulchniutki i pachnący dobrym mydłem, kiedy wyniosło mnie o siódmej rano do naszej pani ogrodniczki. Zostawiłam tylko śniadanie na stole i kartkę, gdzie jestem. Pani ogrodniczka, umówiona wcześniej względem rannoniedzielnej pracy, już czekała.

Wy tłumaczyła mi, na czym mają polegać moje trzy godziny. Należy wykarczować przyogrodzeniowe obrośnięcie. Dziwne rośliny. Adam, który zaraz po śniadaniu, umyty, uczesany i czysto ubrany zdobył się na przyjsie, omijając ostrożnie i z daleka, obszczekujące go dwa psy, stoi teraz przy mnie i przygląda się, jak ciocia w pocie czoła uczciwie zarabia nie tyle na kawałek chleba, co na bilety do kina.

– Co to za rośliny, ciocia? – pyta po chwili.

– Pani ogrodniczka opowiadała, że to afrykańskie rośliny. Dziwne, prawda?

– Podobne, ciociu, do trzciny A może to trzcina cukrowa?

Roślina jest, w rzeczy samej, ciekawa. Syn pani ogrodniczki pojechał ubiegłej jesieni do Afryki. Po powrocie wytrząsnął pustą już walizkę pod płótem. Na wiosnę zaczęły w tym miejscu kiełkować roślinki, z których, bardzo szybko, do lata, zrobiła się prawdziwa dżungla. Są wysokie na cztery, pięć metrów. Goła, wyprostowana łodyga, wygląda jak bambus, ale nim nie jest. W górze, na samym czubku, chwieje się bardzo egzotyczny pióropusz z kilku sztywnych, ostrych i wąskich liści.

Z tej walizki to wszystko wyskoczyło i teraz zarosło, na przestrzeni prawie dziesięciu metrów od płotu, gęsząc dokładnie i gęsto wszystko co tam kiedyś rośło. Przeniosło się nawet do sąsiada, który podniósł alarm, że mu folia od pomidorów zarasta.

Trzeba najpierw ściąć każdą roślinę, a potem dokładnie wykopać korzenie, które, wielkie, rozrośnięte, niesamowicie kłębiaste, jak gniazdo żmij, trzeba potem spalić.

– Wiesz, – mówię do Adama, który ciągle stoi nade mną i patrzy – łatwiej mi pracować, jak sobie wyobrażę, że to prawdziwa dżungla, a ja jestem pierwotnym człowiekiem i przedzieram się przez ten gąszcz, a szpadel to maczuga.

– Ja nie będę żaden tam pierwotniak. Ja będę udawał walkę z Krzyżakami – mogę ciociu?

– Pewnie – cieszę się – Tylko weź spod domu łopatę i drugi szpadel.

– Ciocia pójdzie ze mną!

Przyglądam mu się uważnie.

- To przez te psy? – pytam.
- Aha! – mruczy niechętnie.

O jedenastej jesteście gotowi. Walczył dzielnie z tymi „Krzyżakami”, coś pokrzykiwał i w rezultacie okazał się lepszy ode mnie. Ja myślę! Prawie pół wieku na jego korzyść. Pracował całe dwie godziny rzetelnie.

Po rozliczeniu z panią ogrodniczką, która uczciwie uwzględniła i pracę Adama, wypłacam mu jego dniówkę, a właściwie godzinówkę. Jest uszczęśliwiony, ale stara się nie okazywać tego. Obraca te sześćdziesiąt zet i obraca, a wreszcie chowa do kieszeni spodni.

- Idziemy na obiad do domu? – pyta.
- Nie, do domu idziemy tylko, żeby doprowadzić się do kultury, a potem zapraszam cię do baru „Ikar” na obiad.

W barze Adam gubi się zupełnie.

- To ciocia weźmie dwie tacki, ja poczekam.

- O nie mój skarbie! Stawaj do kolejki!

Z wolna opanowuje się, staje przede mną i pilnie obserwuje, co robią inni. Wybiera to, co najbardziej lubi: supę ogórkową, naleśniki z serem i coca colę. Przychodzi do płacenia. Adam wyciąga z miną tak dumną, że myślę, że za chwilę chyba pęknie, swoje pieniądze i płaci za obydwie tacki. Na moje, podniesione, w geście zdziwienia, brwi odpowiada:

- Niczewo! Zarobiłem, mogę zapłacić.

W kinie, dużym i panoramicznym, piszczy z uciechy, głośno ciągle uprzedza, co będzie. A ja podsumowuję: sprawy budzikowe tak, jakby już nie istniały (odpukać!), obiad zapłacony z własnych pieniędzy. Czyli dwa wielkie plusy No i jeszcze jeden, największy, za zachowanie w Józefowie, zachowanie pełne chęci pomóżenia, usłużenia i milion, wcale w końcu nie takich atrakcyjnych dla chłopca, funkcji przy małym dziecku.

Pierwsze, wielkie, prawdziwe plusy. A książki? Zapomniałam o książkach. Czy to następny plus? Poczekajmy. A nuż mu przejdzie.

19.6.78

Po półtoradniowej przerwie nawet przyjemnie wrócić na wieś. Cisza, cudowne powietrze, które Adam wciąga głęboko w płucka. Wieczorem instaluje za szafą i kotarą swój kącik. Mówi, że ten kącik *chodził za nim cały czas*. Z kilku walizek, nakrytych pieluszką Ani, robi stolik. Stawia na nim małą butelkę po śmietanie z kilkoma szarymi trawkami i fioletową koniczynką. Bardzo to ładne. Do tego instaluje na długim sznurze, wygrzebanym z bagażu Krysi pt.: „*Na wszelki wypadek*” małą lampkę– grzybek.

- Co tu będzie? – pytam zdziwiona.

- My tu będziemy czytać, jak dziecko zaśnie! – powiada. – Już zacząłem „W Pustyni i w Puszczy”, które napisał Henryk Sienkiewicz – Ja to znam, – kończy
- ciocia mi to czytała, jak byłem mały.

I błysk porozumienia w oku.

20.6.78

Gdy spełniają się marzenia, to dobrze ale i źle. Dlaczego dobrze, to ewidentne. A źle, bo zostaje po nich pustka i zaraz trzeba następny cel wytyczać.

W zeszycie w jedną linię, bo taki sobie wybrał, kalkuluje pieczołowicie zarys Afryki. Nanosi góry, rzeki, jeziora. Pustynię robi na żółto. Ładne to nawet i przejrzyste. Jest bardzo dumny i przynosi pokazać.

Ale on musi pokazać zaraz, natychmiast albo jeszcze prędzej i wybiera niefortunnie moment karmienia małej. Tak jakoś podjechał z tą Afryką pod jej rączkę, że cała zawartość kaszkowa pokryła Saharę. Obserwuję co będzie.

– Ona niechcący, ciociu! Taka mała to i nie rozumie.

Ta maszka kanna ładnie nawet wygląda na pustyni. Coś biblijnego mi się płacze i sama nie wiem czy śmiać się, czy żałować roboty Adama. Ale on wyciera rękawem okładkę, wrywa kartkę i zaczyna wszystko od początku.

– Nawet dobrze się stało, ciociu! – powiedział pół godziny później, podnosząc głowę – bo przedtem pomyliłem się. Nil nie wpływa do Morza Śródziemnomorskiego, tylko do Morza Czerwonego.

Tak ładnie i gładko to zabrzmiało, że nie miałam serca korygować jego jeograficznych potknięć.

21.6.78

Mleko dowieźli, chleb jest a poza tym jest i pogoda. Adam bawi się piłką, kopie ją, podbiega, podrzuca, dalej kopie. Pan gospodarz interweniuje, że Adam niszczy kwiaty. Rabatki, bardzo nędzne zresztą, rozciągają się wzdłuż naszych okien. Środek drogi, wiodącej do bramy jest wolny, bo tędy wjeżdża, jak niedzielnie przyjeżdża własnym samochodem, syn gospodarza.

Piłka Adama rzeczywiście ląduje kilka razy w zamszyconych nasturcjach, ale on za każdym razem, ostrożnie ją wybiera. Mimo to proszę, żeby bawił się trochę dalej, za bramą, w kawałku lasku, który też należy do posesji.

Wtem słyszę, że Adam gniecie trawę. Uwagi są zresztą serwowane w niewybrednej formie. Odczekuję do obudzenia się Ani i wymaszerowuję do lasku.

22.6.78

Przyjechał ten autowy syn gospodarza. Z żoną. I dwóch synów w wieku Adasia, rowerami przyjechali. Adam zwabiony krzykami chłopców, wychodzi początkowo na taras, potem nieśmiało z piłką w ręku, zbliża się do dzieci.

Następuje wymiana: Adam bardzo chętnie pożycza piłkę, a sam dostaje do pojeżdżenia rower. Wsiada i jedzie. Skąd on to umie?

Piłka, rzucona zbyt energicznie, wpada apiat w rabatkę. Z tego tylko korzyść dla nasturcji, bo gęsto sypią się mszyce. Jeden z chłopców wpada na drugiego i już razem gospodarskie wnuki leżą i turlają się po rabatkach i mszycach.

Adam natychmiast odstawia rower pod chałupę, czyli willę, przeskakuje murek tarasu i już jest przy mnie.

Gospodarz wypada z mieszkania (on chyba musi cały dzień nas śledzić!) i wściekły, zaczyna mi wymyślać. Adam stoi obok i pilnie obserwuje. We mnie gra trąbka do boju! Posyłam rasową wiązankę pod adresem pana gospodarza. Przykro mi, ale nie ma innego sposobu. Zwracam mu również uwagę, że to jego wnukowie niszczą rzeczony rabatki, a nie Adam. Adam jeździł na rowerze. Na to gospodarz wpada, jeśli to możliwe, w jeszcze większą pasję i krzyczy, że on nie po to kupował wnukom rowery, żeby byle kto nimi jeździł i może jeszcze zepsuł.

Z czeluści kuchni właściwej zjawia się umączona gospodyni. „Oho – myślę – przybywają posiłki”. Ale nie! Gospodyni zabiera męża, a potem przychodzi do mnie na pogaduszkę. Długo mi tłumaczy, że mąż doznał kontuzji na wojnie, jeszcze w 39 i taki się z niego zrobił nieużyty człowiek, że aż strach. Jak się wnerwi to i siekierą potrafi...

Sytuację ratuje Ania, która dopomina się o obiadek.

– Ciocia – pyta Adam, który z całej wymiany zdań wychwycił tylko tę siekierę – co on by tą siekierą robił?

Udaję przygłuchą, popędzam go po wodę do studni, robię dobry obiad, idziemy potem na długi spacer, zakończony kawiarenką. Między ciastkiem z kremem a porcją galaretki, Adam wraca znowu do tej siekiery. Nie dał się zaklepać! Ja nie wiem co mam mu odpowiedzieć. Gładzę go po lokach i proszę, żebyśmy o tym nie rozmawiali. Długo potem, wieczorem, wróciłam do tematu, ale na okrągło, że trzeba, koniecznie trzeba panować nad sobą.

23.6.78

Znowu deszcz. Zanosi się na dłużej. A tu książka „W Pustyni i Puszczy” prawie w połowie przeczytana. Zerkam dyskretnie na ilość stron, boć to przecież miara Adama. Jest ich 423, a on na dwusetnej którejś! Ogrom! Teraz kończy malować na mapce miejsca pobytu dzieci. Proponuję jeszcze, żeby przy Faszodzie namalował małego lwa, ale nie chce. To już przerasta jego możliwości.

24.6.78

Po południu wpadają Andrzejowie. Zmoknięci. Jak pieski otrząsają z siebie wilgoć. Dziecko piszczy z uciechy.

– Gdzie Adaś? – pyta Krysia.

– Adaś poszedł do sklepu po zakupy, bo jutro niedziela, a że leje, w myśl umowy, nie jedziemy do Warszawy.

– To dobrze, że go nie ma – powiada moja mądra córka i wygrzebuje z dobrze naładowanego plecaka, książkę. – Przywiozłam mu to – i pokazuje.

Oglądam okładkę. „Co każdy chłopiec wiedzieć powinien”.

– Cieszysz się? – pyta Krysia.

– Wiesz, ja nie jestem chłopcem, córko, ale tak, cieszę się. Tylko jak Adam to przyjmie?

– Podrzucimy mu wśród innych książek – proponuje Andrzej, bo przywiózł mu jeszcze parę broszur o tematyce morskiej.

Krysia będzie spać ze mną, Andrzej z Adamem, który z tej okazji umył nogi pod studnią, bo łazienka za kotarą była okupowana przez kobiety. I Adam był tym, który o wpół do ósmej powiedział do rozgadanej rodzinki:

– Ania powinna już spać.

Tłoczmy się wszyscy za kotarą, chichocząc, a sprytne dziecko udaje, że śpi.

– Ona jest stara udawaczka, ciociu – mówi Adam do Krysi.

Jak tylko któreś z nas wychynie nosa zza kotary, Ania wstaje, natychmiast radosna, całkiem nie śpiąca.

Za kotarą jest rozkosznie. Ja z Krysią siedzimy w kąciku Adama na krzeselkach, Andrzej przysiada na wiadrze z wodą pitną, skąd natychmiast go spędzam

– To już nie ma innych wiader, drogi zięciu?

Zięć zmienia wiadro, strąca przy tym, przygotowana na wczesno-rano paczkę z mianą kaszką, która rozsypując się, strąca nakrycie wody pitnej i ją zasypuje. Adam parska śmiechem, Krysia pakuje sobie chusteczkę do buzi, a wszyscy ciągle nawzajem uciszamy się, bo... dziecko śpi! Adam musi teraz, zaraz, natychmiast landrynkę, bo mu smutno za czymś słodkim. Grzechocze blaszanym pudełkiem i tak kończy się cisza nocna w Józefowie.

– Raz na jakiś czas – mówi Krysia – można sobie pozwolić. Niech dziecko wie,

że ma rodzinę.

Obserwuję kątem oka Adama. On jest cały w środku rodzinnej atmosfery. Już nie z boku. Wyłazimy wszyscy, odprężamy się po tym czajeniu się, w przejściu łowią jeszcze świetliste spojrzenie oczu Adama, skierowane na Krysię przy jej słowach rodzina.

Już w nocy, przy samym zaśnięciu, Krysię szepce mi do ucha:

– Mama, czy ten Adaś nie podleje mi Andrzeja?

Andrzej dawno już zasnął, a z ich łóżka odzywa się oburzony szept:

– Co ciocia? Jak cioci nie wstyd? Wujek Andrzej nie roślinka, żeby go podlewać!

25.6.78

Rano jest wesolutko, choć dalej leje. Srebrzyste smugi zalewają okna, tworzą bajorka pod nimi, odświeżają już i tak żywiczne powietrze.

W pokoju trochę gęsto od ludzi, ale bardzo przyjemnie. Więc Andrzej jednak na pewno nie roślinka. Żebyż to chciało się utrzymać! I od czego to jest zależne? System nerwowy? Spokój, poczucie bezpieczeństwa? A może w Warszawie nastąpiło przebudzikowanie?

Przed obiadem, który szykuje niedzielnie Krysię, ku zdumieniu i lekkiemu niepokoju rodziców, ubieram Anię i siebie nieprzemakalnie, Adam wciąga kurtkę i bardzo dumnie wywozimy dziecko na spacer.

– Ale pogoda, mamo? – próbuje łagodniej perswazji Krysię.

– Bez względu na pogodę! – odpowiadam równie łagodnie – albo jestem porzysposobioną nurse do dziecka i masz do mnie zaufanie, albo nie.

Adam stoi między nami i obserwuje. Widzę, że za bardzo nie ma ochoty wychodzić w tą psią pogodę, ale ku memu zdziwieniu widzę radość w jego oczach i satysfakcję, kiedy, wygrawszy batalię słowną z córką, taszczy wózek na zalany deszczem świat

Po powrocie zastajemy Krysię pocącą się nad pichcieniem obiadu. Nagle Adam (ten ma słuch, pewnie po Duszku!) woła:

– Jakieś auto trąbi przy bramie. Polecę otworzyć.

Poleciał. I zaraz robi się w pokoju jeszcze pełniej. Przyjechał dziadek Kazio, przywiózł ze sobą masę rzeczy do jedzenia, żeby nie robić kłopotu z obiadem. Przyjechała z nim matka Andrzeja z dwiema, też dziećmi, siostrami Andrzeja. I też przywiozła jeść, żeby nie robić kłopotu...

Trochę się wypogodziło. Adam ma masę zajęcia. Nie wie, czy pomagać Krysię, która go się pyta, gdzie co leży, czy biegać po wodę, której ciągle za mało, czy pilnować jego Ani, którą wszyscy się zachwycają, ale nikt konkretnie nie pilnuje jej raczkowania, czy przyglądać się Andrzejowi, który, leżąc w błocie na kawałku brezentu, reperuje auto, bo dziadkowi coś wysiadło.

Obserwując tak z boku Adama, doszłam do, pewnie wcale nie rewelacyjnego wniosku, że Adam lubi ciszę, spokój, ale i bardzo dobrze czuje się w towarzystwie, pod warunkiem, że jest mu ono znane, wie że odnosi się do niego zwyczajnie, naturalnie. Rozumiem przez to że nie za wylewnie, ale z całkowitą, sprawdzoną przez niego pewnością, że nie zranią.

26.6.78

Dziś bawimy się w chowanego. Asystuje pies, wypożyczony od pani gospodyni, bo pan gospodarz by nie dał. Adam bawi się bardzo dziwnie.

Chowa się zawile, długo i daleko. Pies za każdym razem bezbłędnie odkrywa go

i wtedy jest dużo obopólnej radości

Tylko dlaczego Adam chowa się tak daleko. Wręcz uwielbia moment odnalezienia go. To wcale nie wygląda na zwykłą zabawę w chowanego. Wydaje mi się, że to jakby przeżywanie czegoś bardzo ważnego, może nawet tragicznego po to, by po nawet bardzo długiej chwili oczekiwania, przeżyć jeszcze raz odnalezienie. Odkryty, cieszy się też euforycznie. Biega, skacze, szaleje nawet włązi na drzewo.

27.6.78

Trzeba trochę ruszyć w świat. Niedaleko, do Otwocka. Jest wtorek i na otwockim bazarze dziś targ. Adam wnosi wózek z Anią w środku, do kolejki, wynosi, ale w wagonie siedzi z daleka. Tak jakby chciał zaznaczyć: nie moja rodzina, nie moje dziecko. Dopiero kiedy jedna z jadących pań zaczyna czulić się do Ani: „Pyziu, pyziu, cacy, cacy!” Adam podchodzi do wózeczka i, pozornie nonszalanckim ruchem poprawia kocyk małej. Tym razem wyraźnie zaznacza, że dziecko jest jednak jego. Tak jakby cień cienia zazdrości. Bazarem Adam jest zachwycony. Wystawia swoje teleskopy do każdego straganu, wszystkiego chciałby dotknąć, a kiedy widzi, że i ja dotykam sprawdzam jakość (strasznie to lubię!), zaczyna mnie naśladować z przezabawną miną znawcy i bywalca bazarowego. Bierze takie jabłko, ogląda i mruczy: „Za twarde!”. Potem ekscytują go wyroby wikliniarskie, których tu bardzo dużo.

Wózeczek i przyczepiona doń sprytnie torba na zakupy (Krysia ma pomysły!) pęcznieje. Odwrotnie proporcjonalnie do mojej kieszeni. Dyc muszę kupować wszystko podwójnie: i wiatraczki dwa, i słomkowe, antystłoneczne kapelutki, dwa ptaszki (a'la regionalne) z drewna, które za każdym poruszeniem robią: kiwit, kiwit, i jakieś paskudne myszki na gumce. Tyle radości w dwóch parach oczu! A cała trójka wygląda teraz jak Maryla Rodowicz w „Kolorowych jarmarkach”.

Są jeszcze obowiązkowe (tylko dla Adama!) lody i pełnia szczęścia na widok waty na patyku. Liże toto, liże, marszczy brwi, czoło i wreszcie powiada, że mu to coś przypomina. Ja myślę! Nasz pierwszy spacer, wyprawa do ZOO. Ale nie mówię nic. Tylko mój prywatny, bynajmniej nie z drewna, ptaszek pod sercem robi mi: Kiwit, kiwit!

Przed sklepem nabiałowym kolejka. Jakem ciekawa warszawianka, zwyczajna ogonków, pytam fachowo ostatniej osoby:

– Co tu dają?

– Mleko, proszę pani. Mleko w proszku. Ale tylko na dzieci. Pani ma w wózeczku, niech pani próbuje.

Mili są ci ogonkowicze. Adam ofiarowuje się na stójkę. Siadam przy pobliskim skwerku, dziecko pogryza, a właściwie mlamle kupione na bazarze bajgełe. Adam wytrwale stoi. Przez szybę widać, że już dochodzi. Nagle wypada ze sklepu, czerwony, oburzony i zajadły.

– Ciocia mnie wystawiła do wiatru! Ciocia wie co oni powiedzieli?

– Sam przecież się wystawiłeś, a poza tym uspokój się i mów po porządku!

– A tam! Takie porządki! Oni powiedzieli, że na takie duże, jak ja, niemowlaki, nie sprzedają.

Aż siada tyłem do mnie z tego oburzenia. Prawda! Gdzie ja mam głowę!

Przecież trzeba było mu dać Książeczkę Zdrowia Dziecka! Teraz Adam pilnuje Ani, a ja zdobywam taki podstawowy artykuł, jakim jest mleko.

Zgrzana, spocona, wychodzę, a raczej przedzieram się ze sklepu na skwerek. Pod pachą ciężko zdobyte dwie paczki mleka w proszku, bez którego przecież niemowlę nie może egzystować, zwłaszcza w upały, kiedy to nawet mliko prosto od krowy warzy się. W książeczce mam adnotację, jak się patrzy: „Pobrano za miesiąc czerwiec 1978”.

Na skwerku Adama ani śladu. Biegnę pod wiadukt, migają mi straszliwe sceny na torze, mógł się przewrócić, mógł się potknąć, wyrzucić i siebie i Anię, mniejsza o ptaszki Kiwit!

Siedzi na ławce pod dworcem i pokazuje spokojnie Ani przejeżdżające pociągi. Zalewa mnie, sama już nie wiem co, powinno mnie zalać!

– Adam! – wpadam na niego – Jak ty mogłeś! Przecież umówiliśmy się, że nigdzie nie odejdziesz! Nie znasz miasta, a to jest małe dziecko, mogło się wam coś przytrafić. Tu o wypadek nie trudno, zwłaszcza w dzień targowy. Przecież zawsze cię proszę, jak chcesz gdzieś iść, to powiedz, żebym wiedziała, gdzie jesteś! Czy ja muszę zawsze tak się denerwować!

– Niech ciocia się nie denerwi. Nic się nie stało, a tu tak ciekawie! I tam cyganie chodzą. O! – pokazuje ręką.

Tym dolewa oliwy do ognia. Odżywają zadawnione przesady, przypominają się kartki Konopnickiej, czytane niedawno Adamowi, jakieś wymiany, podmiany Podziomków! Przytomnieję! Stanowczo skleroza! Ale powinien był powiedzieć, że odchodzi.

Obiad zaprojektowałam w barze przy rogu Kościelnej. Widocznie nazwa ulicy nie miała wielkiego wpływu na poziom baru, a właściwie na jego brak. Pijaczki otwockie wylewają się kuda za bar. W samym zaś barze zaduch, tłok, pijackie odżywki. A ja, naiwna, z dwojgiem dzieci na obiadek!

– W rynku – powiada jakaś litościwa dusza – jest bar mleczny. Niech pani tam spróbuje.

Próbujemy. Remont! Więc ja się pytam, gdzie ma się pożywić głodna kobieta z dwojgiem dzieci, w sporym w końcu miasteczku, w dodatku w dzień targowy? A przecież tak wiele nie chcę! Jakąś zupinę, może być pomidorowa, jakiś ryż ze śmietaną!

Zdegustowani, zmęczeni i głodni, postanawiamy wrócić do naszej chałupki.

Droga, bo droga, ale zawsze ten dach nad głową i, za kretonową zasłoną, dobrze zaopatrzona kuchenka. W garnku na elektrycznym kominie są gołąbki.

28.6.78

W nocy lało. Teraz, rano, jest zimno. Na śniadanie za wcześnie. Wobec tego zostaję w łóżku. Dziecko, ciepło ubrane pracowicie raczkuje. Bardzo dobrze! Niech raczkuje. Ja sobie poczytam, na obiad będą wczorajsze gołąbki, bo jeszcze zostało. Gdzie Adam?

Okazuje się, że siedzi, przyzwoicie ubrany, za firaneczką, głowa pochylona, nos w książce. Podchodzę cicho i zerkam. Właśnie Staś zabija Iwa. Nie będę im przeszkadzała.

Po spacerze i obiedzie, Adam biegnie po gazety, z własnej nieprzymuszonej woli, bo musi koniecznie znać przebieg i wyniki zawodów, nawet nie wiem jakich. Natomiast ja porywam mu jego czytana aktualnie książkę, bo koniecznie muszę przypomnieć sobie, jak to było w tym Omdurmanie i jak doszło do demonstracji polskości u Stasia.

Adam po powrocie z kiosku siada znów w naszym kąciku. Na walizkowym stoliku ma talerzyk z zapóźnionym deserem, na kolanach rewelacje sportowe.

Lewą ręką sięga po słodycze, prawa, ruchem wycieraczki samochodowej omiata stolik.

– Adam, co tobie?

Milczenie. Ręka z wycieraczki zmienia się w grzebień, dokładniej w zgrzebło. Czochra się, kołtuni – widocznie nasi są na bardzo dobrym, osiemnastym miejscu.

– Adasiu! Mówię do ciebie!

– Ciociu – powiada, a ja jestem przekonana, że zaraz coś opowie o tym sporcie

– ciocia nie wie, gdzie jest lew?

Teraz ja milknę. On podnosi głowę, ale już widzi rozeznanie w moich oczach, więc woła:

– To cioci mało kryminałów! Jeszcze Stasia i Nel musi mi ciocia podbierać?

Ciocia odda! Ciocia musi! Gdzie ona jest?

– Co gdzie jest? – droczyć się.

– Oj! Z cioci to taka udawaczka. Zaraz zrobię u cioci remanent i znajdę.

Oddaję dobrowolnie, a po cichu myślę sobie, że to zupełnie nieźle, jeżeli dla Stasia i Nel rzuca gazetę sportową.

29.6.78

Pogodnieje. Życie układa się zgodnie z wytycznymi dla niemowlęcia i teraz Ania ustawia nasz dzień. A że jest od dawna racjonalnie ustawiona przez Krysię i babcię, my możemy odpocząć i odetchnąć żywicznym, bądź co bądź, powietrzem.

W związku z powyższym wyłazimy wszyscy na taras, żeby poopalać się na zapas. Adam siada na murku i dynda nogami. Mówi, że musi odetchnąć. Robi się z tego dyskusja, bo ja uważam, że powinien zdjąć dres, bo nawet Ania w kąpielówkach, a on się upiera żenie.

Na to nadchodzi pan gospodarz i znowu z tych przeżyć wojennych nerwy mu nie strzymali.

– Jak cię strzele, ty łobuzie – to mowa do Adasia, który dalej dynda nogami i podnosi teraz wysoko brwi, zupełnie, jak ja i pyta:

– Co ja takiego zrobiłem, proszę pana?

A ja już stoję przy Adasiu, jak drugi, tylko nieco wyższy murek i moje bystre oczy przeszukują pilnie ręce pana gospodarza, czy gdzie mu nie miga siekiera.

– Jak to co? – piekli się niestrzymany – jeszcze się pyta? A na czym ty siedzisz, ty łobuzie? Poczekaj, ja ci pokażę!

– Na dupie siedzę, proszę pana! – odpowiada bez żenady Adam.

Zatyka mnie przy jednoczesnym opadnięciu rąk. Ale chyżo się zbieram.

– O co tu chodzi? I może by pan z tymi pretensjami do mnie, a nie do dziecka!

– Bo na murku siedzi! Tyle gipsu mnie to kosztowało! Kum z fabryki przywoził, nocą my robili. A ten tu, teraz...

Na nieparlamentarne słowo Adama nie zareagował. Co ta wojna z ludźmi porobiła! A swoją drogą, jak szabrowali, to już raczej powinni cegły na murek, a nie gips.

– Adasiu, przede wszystkim, przeprosisz pana gospodarza.

– Ciocia! Za co? Przecież tylko siedzę, nawet nie dłubnąłem, ani nie nadkruszyłem tego murku!

– Zgoda. Ale tu nie o to chodzi. Wyraziłeś się brzydko.

– Ja?? No, a na czym ja siedzę, przecież ciocia też... milknie, spuszcza głowę, bardzo wolno złazi i mruczy raczej w moim, niż pana gospodarza kierunku:

– Przepraszam.

No! Oddycham. Jedna sprawa z głowy. Teraz atak frontalny! Przypuszczam go energicznie, bezkompromisowo:

– ...i – powiadam – natychmiast wyprowadzam się, jeśli pan jeszcze raz w ten sposób do mego dziecka! Ma pan żale, pretensje... murek, piłka, klombik... już raz była o tym mowa – ja tu jestem od tego!

Cisną mi się na usta słowa o tym, kim jest Adam, jego trudne losy, droga, jaką przebył... aż do tego murku... ale pan gospodarz nagle robi się ludzki, sam przeprasza, a na zgodę pozwala Adasiowi bawić się z psem.

Chłopiec z pozwolenia nie korzysta, tylko, już po odejściu gospodarza, mruczy mi cicho do ucha:

– Pocałuj psa w nos. My też mamy nasz honor, no nie, ciocia?

30.6.78

Dziś mnie zadziwił. Do psa, który wabi się niedemokratycznie Rex powiedział, na widok pieluszki Ani w jego królewskiej mości mordzie:

– Ach, Sabo, Sabo, coś ty uczynił!

To było cudowne.

W swoim zeszycie do prywatnych lektur dalej nanosi starannie wszystkie miejsca, kolejne miejsca, w których były dzieci, a ja zaproponowałam, żeby zamiast streszczenia, nadał sam tytuły poszczególnym rozdziałom. Co piąty mogę ja. I żeby założył słowniczek wyrazów nieznanymi. Zgodził się ochoczo. A że już skończył (już?) czytać, wieczorem, szalenie dumny, pokazał mi czterdzieści i sześć tytułów, tyle bowiem liczy sobie rozdziałów szacowne sienkiewiczowskie dzieło, na którym bez mała trzy pokolenia ćwiczyły się w pięknej mowie ojczystej.

Dla mnie najładniejszym adasiowym tytułem jest Nr 13, „Stracone nadzieje”, w którym to rozdziale chodzi o rękawiczki, które mała Nel sieje po pustyni i Nr 45, „Nadzieja! Race w oddali!”. Słowniczek bardzo długi.

1.7.78

Czekamy oboje z niecierpliwością na przyjazd Krysi i Andrzeja. Wszystko, łącznie z dzieckiem, przygotowane na oddanie pałeczki ale i tak zostaje sporo czasu. Znów leje, wyjść nie sposób. Wymyślam nową zabawę. Z naszego słowniczka nieznanymi wyrazów układamy zdania. Adamowi idzie to bardzo opornie, ale jednak kilka wymyśla. Najlepsze jego zdanie: „Jak ciocię ugryzie duże siawu, które wyjdzie z termitery, to ja zrobię zeribę”.

2.7.78

Znowu te same słowa: Jak dobrze w domu! Ponieważ siąpi, akcja zarobkowa u pani ogrodniczki odwołana. Bar „Ikar” tym razem nie przestrasza Adama. Podgląda, jak inni manipulują tackami i chce sam, wszystko sam. Pomimo rozlanej na tackę zupy, obiad, z powodu obsłużenia, smakuje mi niepospolicie. A potem, a potem... czterogodzinna wyprawa na pustynię i w puszcę. Jestem zniecierpliwiona. Jak on to przyjmie?

Milczy cały czas, nawet w przerwie, w czasie której wychodzimy na małe, przykinowe podwórko. Uzbrojona zawsze na wszelki wypadek, proponuję mu lekkie przekąszenie. Są dobre kanapki, owoce... Odmawia.

– Czemu? – pytam – nie jesteś głodny?

– Jestem – odpowiada – ale nie mogę.

Czas na wejście do sali. Otwiera się czarodziejski świat tropiku. Adam siedzi z głową opartą na rękach. Obserwuję go ostrożnie, z boku. Oczęta latają po ekranie, buzia w wypiekach! Milczy dalej.

Żadnych ochów czy achów. Teraz on, Adam, ma cały świat w oczach.

3.7.78

Dzień zapowiada się wspaniale. Od rana słońce, lekki wietrzyk pozwala nie odczuwać upału. Wynosimy cały majdan nie tyle na majdan, co na trawkę. Adam ustawia kojec, obok nasze leżaki. Zaczyna się sielanka. W ciszę, łagodne kołysanie pobliskich sosen, zapach rozgrzanego lasu i moje zadumanie, wdziera się krzyk Adama:

– Ciocia! Ona wylazła z kojca!

– Normalne. Rośnie. Przecież całego życia nie spędzi w kojcu. Dlaczego tak krzyczysz?

– No, bo to werolacja!

– Chyba rewelacja?

– A tam, ciocia ciągle się przyczepia a ona, ta nasza Ania wylazi sama, zupełnie sama.

Teraz obrazek jest już zupełnie idylliczny. Z leżaka patrzę na trzecie pokolenie raczkujące po trawie. Najrozkoszniejszy amerek lizie po trawie, za nią Adam. Nawet rozwalony na trawie Rex podnosi łeb, żeby zobaczyć co się dzieje.

4.7.78

Poszliśmy razem po piaszczystej drodze do spółdzielni po duże zakupy. W powrotnej drodze Adam niósł dwie duże siatki, popychał po piasku Ani spacerówkę, obciążoną też wyładowanym wynalazkiem Krysi i podgryzał, ja już nie wiem, którą ręką paryską.

– Głodnyś? – pytam.

– Nie głodnym! – odpowiada – ale lubię skubać.

Że lubi, nie ma wątpliwości. Świadczy o tym dobitnie paryska bułka i... koledzy w szkole.

– Może ci ciężko, nieporęcznie? Daj, pomogę.

– Nie! – odpowiada pseudo niegrzecznie – Nie trzeba! Ja sam!

5.7.78

Dziś sam wrócił do sprawy ostatniego filmu. A było to tak. Po kąpieli Ani i po jej siusiu, paciorek i spać, po naszej kolacji za firaneczką, Adam przyniósł książki (Na marginesie: książki „O czym każdy chłopiec...” nie czytał. Przerzucił tylko i odłożył), przyniósł więc książki, usadowił się wygodnie w naszym kąciaku.

Ja obok, przedzielona walizkowym stolikiem (kwiatki w „wazoniku” zmienia on!).

– Co czytasz? – pytam raczej z obowiązku, pogrążona w „Dziennikach czasu wojny” Nałkowskiej.

Mruczy coś, co brzmi trochę, jak Robin. Ten Robin Hood płacze mi się po wrześniowych dniach Nałkowskiej, a to okres, który bardzo mnie interesuje, bo wtedy właśnie przeżywałam moją młodość górną i chmurną. Robin Hood?

– Co ty w końcu czytasz, Adam?

– Już mówiłem! Ciocia nie uważa! Robinson... – zerka na okładkę i sylabizuje z trudem: – Cru–zo–e.

Potem, ku memu zdziwieniu, przymyka książkę, zostawiając w niej miast zakładki, własny palec, odchyła się do tyłu i zaczyna mówić:

– Wie ciocia, ten film, co myśmy na nim byli w niedzielę, to on był fajowy, w dechę.

Biednaż ty moja Zofio Nałkowska z twoim wycyzelowanym, wypieszczonym, aż za bardzo narcyzowatym stylem! Ale milczę, cierpię i czekam dalszego ciągu.

– Bo ja bardzo lubię oglądać przyrodnicze filmy. Tam były papugi, słonie, żyrafy, to zupełnie tak, jakbym tam był. I strasznie mnie się podobały te dzieci. Nasz Ania ładniejsza od Nel. Ale ciocia, niech ciocia powie, bo mnie się coś nie zgadza.

– Co mianowicie?

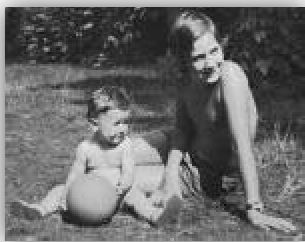
– No z tym Mah... – potyka się – no wie ciocia, ten ichni prorok. W książce on był gruby, paskudny, zły. A tu, ja wiem? To dlaczego? I ta bitwa, co jej nie ma takiej w książce! Staś żadnych dzieci nie taszczył pod pachą!

Tak. No i odpowiadaj Grzegorzowi Dyndałowi, wszak sam tego chciałeś? Bzdur o reżyserskiej licencji poetica.

Więc bzdurzę. A on powiada:

– Ciocia kłajstruje! Ja bym chciał, żebyś zobaczył to, co wyczytałem, kapuje ciocia?

Kapuję! Jeszcze jak kapuję!



6.7.78

Nie można go oderwać od książki. Nawet radiowe sprawozdania sportowe poszły w odstawkę. Na spacer też z książką. Więc to jest ten punkt, do którego tak bardzo chciałam dojść.

Rozczytanie, odkrywanie nowych, wspaniałych światów. Fascynacja książką. Wszak prawda, że książka to przyjaciel?

Wieczorem asystuje przy kąpieli Ani. Przygotowuje wszystko sam, zna kolejność funkcji. Prosi, czy może przewinąć Anię. Pozwalam, ale kątem oka kontroluję. Trochę niezdarnie, ale zrobił w końcu wszystko jak należy. Ania już nie chce nic robić bez niego. Za każdym jej Ada, on dodaje: „...śśś!” i kiedy mała powtarza całe Adaś on nie posiada się z radości i ciągle powtarza, że to jego zasługa.

Bogiem a prawdą boję się ciągle o jakiś nieprzemyślany ruch z jego strony w stosunku do dziecka. Różne myśli chodzą mi po głowie, przypominają się wypowiedzonka różnych osób, co to takie dziecko może... Nic jednak takiego nie dostrzegam.

Tak więc maleńka Ania staje się poligonem doświadczalnym poczynań Adasia. W moim odczuciu on wraca do jakiejś, niesłuchanie ważnej bazy uczuciowej z pierwszych lat swego życia. Jest dla mnie coś bardzo miłego, ciepłego i wzruszającego w tym, że Ania, samym swoim istnieniem, budzi najlepsze uczucia, zaspakaja naturalną potrzebę opiekowania się, czułości.

Do tej pory to on brał pełnymi garściami.

Teraz te trochę swego ciepła oddaje innej, małej, bezbronnej istotce.

Dochodzę do wniosku, że jego wychowawczyni z DD, pani Karolina, miała bez wątplenia rację. Adam jest wrażliwy, subtelny, delikatny z natury, a wszystko to siedziało w nim ukryte bardzo głęboko, pod ochronną warstwą ordynarności, chamstwa, agresji.

7.7.78

Prawie połowa pobytu. Ależ to zbiegło, nie wiedzieć kiedy! Sprawy nocno-budzikowe idealnie.

DZIEŃ DZISIEJSZY TRZEBA ZAPISAĆ WIELKIMI LITERAMI! Adam skończył przed terminem, który sam sobie wyznaczył, tj. pojutrzejszą niedzielę, Robinsona. Wydobył z walizki, ku memu niebotycznemu zdumieniu i zaskoczeniu, zabrane w zeszłym tygodniu z Warszawy, w tajemnicy przede mną, książki. Czytam tytuł i oczom nie wierzę: „Ogniem i Mieczem”, Tom I. Hej! Łza się w oku kręci i wcale się tego nie wstydę.

– Może ci poczytam głośno? – mówię po chwili, niepewnie – to trudna książka.
– Co ciocia! Ja czytać u m i e m !

8.7.78

Wieczorem, już w domu, warszawskim domku, Adam występuje bardzo poważnie z prośbą. Chodzi mu mianowicie o to, żeby budzika nie nastawiać. No cóż! Spróbować nie zawadzi!

9.7.78

Rano dramat. Mina absolutnie nieszczęśliwa. Sam dokonuję pranka. Na czym to polega? Żeby to ja mogła wiedzieć? Przecież Józefów to obce środowisko, a tu jest dom, poczucie w nim bezpieczeństwa! Więc powinno być odwrotnie, a nie jest. Dlaczego?

Powracające wciąż najważniejsze pytanie: Czy pomimo pójdziemy na obiecany film o Robinsonie? Po obiedzie zapomniałam o rannej aferze, a on, w poczuciu winy, ciągle do tego wraca. W rezultacie, wychodzi na to, że pocieszam go, napawam otuchą i wreszcie zmuszona częstotliwością pytań, opowiadam, że i ze mną, w dawnych, szczenięcych latach coś tam z tymi sprawami różnie bywało. To go wreszcie łagodzi.

A na film, oczywiście, idziemy. A co to ma jedno do drugiego?

Tym razem w kinie robi głośne uwagi, komentuje, nie zawsze mądrze i wyraża głośno niezadowolenie z rozbieżności pomiędzy książką a filmem. I narzeka, że ciągnie się i ciągnie. Jego uwagi pokrywają się z moimi zastrzeżeniami.

10.7.78

Już z nawyku, wpisuje sam do zeszytu lektury wczorajszy film. Opornie mu to idzie. Gryzie długopis, drapie się nim w głowę, kiwa na krześle. Podsuwam mu myśl narysowania obrazka. Ku pamięci. Rysuje. Wychodzi z tego mikroskopijna, na ćwierć osóbkę, bezludna wysepka i mała, mizerna palma oraz nieczytelny prawie zarys ludzkiej stopy.

– Przecież ta wyspa była duża, Adasiu!

– Ale grunt, że wiadomo, o co chodzi – odpowiada – Duszek zawsze mówi, żeby skrótowno! No to ja właśnie tak!

11.7.78

A z tamtymi sprawami, jak ręką odjął. Trochę to dwuznacznie ujęłam, ale rzeczywiście, wszystko znowu w porządku. Nie wracam do tematu. Wrócił doń sam. Powiedział wieczorem, już po położeniu się do łóżek, że jak wie, że ciocia tu jest, obok, blisko, to pamięta, budzi się sam i wstaje sam. A w Warszawie ciocia jest... daleko (dwa pokoje i korytarz. To już łazienka bliżej!), to on zapomina, mimo dzwonka.

Z mego doświadczenia, pamiętam, że kiedy moje dzieci były w wieku Adasia, to dawno już próbowały i nawet dość skutecznie, wyfrunąć spod moich skrzydełek. A ten się pod nie pcha i pcha i wygonić nie sposób.

12.7.78

Znowu leje. I żebyż można było zrzucić winę na kogokolwiek, ja wiem: na rząd, na Pana Boga, na sputniki. Ponarzekalby człowiek i byłoby lżej. A tak?

Wysuszaj mokrą odzież, pieluszki! Gdzie? Wyjść na spacer nie można już zupełnie, bo ulewa gęsta, a trzeciej zmiany ubrań nie mamy. Jakiś obcy kot łązi po parapecie okna, i potem znika. Nawet Rex go nie obszczekuje, schowany głęboko w swojej budzie.

Tylko dziecko rozwija całą aktywność zakodowanych nakazów i czepiając się wszystkiego, próbuje podnieść się do pozycji homo sapiens. Koło południa robię obiad.

– Przypilnuj Ani, Adasiu – wołam zza kotary – i żeby mi tutaj nie zaglądała, bo o nieszczęście łatwo.

– Pilnuję! Spokojna cioci głowa! – jego głos jakby przygłuszony. Zaglądam do pokoju. Adam w ubraniu, zaryty pod piernatem, zagrzebany w kocach, czyta. Ania bawi się na wierzchu tych bambetli.

Po obiedzie chcę powiedzieć, żeby posprzątał, ale nie zdążyłam nawet ust otworzyć. Pozmywane, wytarte, odłożone na miejsce. Nawet zamiecione, choć wiele tego nie było. Takie ot, okruszyny.

Wieczorem na kolację brak chleba.

– Co się stało, Adasiu? Przecież było jeszcze pół bochenka!

– Głodny był ja! – odpowiada ze skrucną i umyka oczami w bok.

Mnie też umyka ta sprawa. Po prostu był głodny, wziął sobie sam i tyle. I bardzo dobrze!

13.7.78

Budzi mnie nagły huk, olśniewające słońce i szczekanie psa. Pierwsze spojrzenie na Anię. Ta ma śpik! Można z armaty strzelać! Za moment wszystko się wyjaśnia metodą łańcuszkową przyczyn i skutków.

Przy oknie Adam w piżamce, która, jak stwierdzam, znowu za mała, za kusa, widocznie skurczyła się w praniu! Ręce opuszczone wzdłuż ciała. Wielkie ślepia wybałuszone na mnie. Rąk o piżamę nie pociera, widocznie tylko o dżinsy może.

– Nastaw – powiadam – radio – i milknę, bo na parapecie aparatu nie ma. Sterczą tylko druty. Przez otwarte okno wpada jazgot Rexa i jakiś furkot.

– Co się tu dzieje, Adam?

Po długiej chwili wreszcie cedzi:

– Bo ja, bo ja... tego, te ptaszki?

– Jakie ptaszki? Bój się Boga, co ty wyczyniasz? I czego ten pies tak szaleje?

– No bo ja mówię, a ciocia nie rozumie! Przecież wczoraj był deszcz! Nie? Więc ja sobie pomyślałem, że ptaszki są głodne. I postanowiłem je dokarmić.

– I co dalej?

– To już wszystko, ciocia!

– Opowiedz po porządku – ale mi się już śliczna łamigłówa sama układa.

– Jakem otworzył okno, żeby te ptaszki, wie ciocia, żeby dać im jeść, to... niechący zleciało radio. A ten Rex jest głupi! Szczeka na wróble.

Mnie w tej chwili interesuje co innego.

- Co ty im dałeś do jedzenia?
 - Wróblom? Zmiotki z wczorajszego obiadu i trochę chleba z kolacji – Ze zdenerwowania zaczyna przestępować z nogi na nogę. Patrzę chwilę na niego. Podbiega do mnie, przytula się i wreszcie wyjąkuje największy komplement, na jaki go stać:
 - Ciocia to jest bardzo fajowata!
- W końcu nie wiem, czy trzynasty jest feralny, czy nie!

14.7.78

Słońce z niepechowej trzynastki przeszło poślizgiem na dziś i utrzymało się. Po śniadaniu wymarsz na plażę. Optymistka ze mnie! Plaży jako takiej nie ma. Jest błocko, dokładnie rozdeptane przez stada krów i ich znaki szczególne.

Zaszywamy się w łozach. Robi się gorąco, ale wiaterek, jak na zamówienie, też jest. I jest kłopot z dzieckiem: w wózeczku homo już stanowczo nie chce. Chce do nas, na koc. A potem zaczyna się penetracja najbliższej okolicy.

– Cholera! – słyszę raczej ze strony Adasia niż Ani – poczytać człowiekowi nie dadzą spokojnie!

Jest to powiedziane bardzo spokojnie, nieomal salonowo i zaraz następuje zryw z koca, Sienkiewicz leci na bok, a Adaś na czworakach za Anią. Po chwili, w dosłownym pocie czoła, uczy ją trochę chodzić.

15.7.78

Zmiana warty odbywa się sprawnie. Żałowaliśmy tylko już w wagonie, że nie mogliśmy zobaczyć miny Krysi. Usłyszeliśmy natomiast jej krzyk: „Wózeczek pusty, mam!” Był istotnie pusty. Na peronie, pod czujnym, ale z daleka nierozpoznawalnym, okiem wtajemniczanej pani – dziecko samo stało przy ławce.

– Ale ciocia powie cioci Krysi, że to ja ją nauczyłem?

– Przecież widziała sama!

– No tak, ale nie wie, że to ja.

Już w domu, wpada na klatkę schodową. Chce być pierwszy. Nagle zawraca, prawie mnie potrąca i zbiega.

– Adam, ty dokąd? – wołam za nim.

– Do skrzynki, ciocia! Coś białego mi migło! Ciocia da klucz! Jest! Od Duszka kartka – woła z dołu – Mogę przeczytać?

– A może by tak najpierw ciocia, co?

Oddaje niechętnie i sterczy mi nad głową, taki ciekaw.

Duszek prosi coibyśmy nie zapomnieli, że zbliża się termin obozu, przypomina, że Adamowi brak paru harcerskich rzeczy i zapowiada niespodziankę.

W post scriptum informuje, że tam, gdzie jest obecnie, to jest w Dźwierznie dowiedział się, że w warszawskiej Składnicy Harcerskiej są adidasy. Więc, żeby Adasiowi kupić. I że kwatereka zupełnie gotowa.

Adam już mnie obskakuje.

– A co to będzie za niespodzianka, jak ciocia myśli?

Lubi przekręcać wyrazy i czeka na poprawienie. Po to, żeby mógł dumnie powiedzieć: „Ja wiem!”

– Nie wiem. Nie męcz mnie. Pokaż garderobę na obóz. Duszek ma rację. Trzeba obejrzeć i póki czas, dokupić.

Okazuje się, że prawie wszystko za małe. Na szczęście informacja handlowa, nawet na odległość, działa bezbłędnie. W Składnicy Harcerskiej są nie tylko

adidasy, ale i skarpetki bawełniane, o które teraz bardzo trudno. Brak natomiast tak potrzebnych i praktycznych „Pionierek”.

– Ciocia, Duszek pisał, żeby jeszcze zielone podkolanówki!

– Brak! – pada odpowiedź zza lady.

– Białe podkoszulki z krótkim rękawem?

– Brak!

– Może są gimnastyczne spodenki?

– Brak – odpowiada ze znużoną miną ekspedientka.

– To by było na tyle! – oznajmia Adam – Spadamy, ciocia!

W drodze powrotnej wszystkie paczki dźwiga sam. Nie kupił mu nowego munduru. Uparł się, że ten co ma, jeszcze dobry, choć tak naprawdę jest już za mały. Powiedział, że Duszek też ma na co dzień swój stary mundur, i że nawet mu pokazywał jaki połatany, poszerzany, podłużany i spłowiały.

16.7.78

Rano pani ogrodniczka sama fatyguje się do nas, na czwarte piętro (bez windy) i bardzo prosi, żeby nie zapomnieć przyjść... bo „tak oczyszczać z chwastów krzaki porzeczek, jak pani Maria, nie potrafi nikt”. Pochlebiona, obiecuję, że zaraz będę. Ona wychodzi, ja do łazienki! Ta zajęta. Nie na darmo mignęła mi w czasie rozmowy z panią ogrodniczką rozczochrana głowa Adasia.

Po piętnastu minutach Adam, wyświeżony, w nowej podkoszulce w idiotyczne ozdoby z nazwisk naszych piłkarzy i nowych adidasach, gotowy do wyjścia, powiada:

– Ja już! A ciocia jeszcze piżamowiec?

– O nie, mój drogi! Na taką pracę to ty się przebierzesz! Adidasy są na nowy rok szkolny. Wskakuj w stare tenisówki i starą koszulkę.

Obraża się. Ucieka do swego pokoju. Lecą na podłogę jakieś przedmioty.

Pewnie książki szkolne. Mam tak wyjść? Bez pojednania? Dam mu szansę!

Zobaczymy!

– Adasiu! Ja wychodzę! Do widzenia. Jak się namyślisz, przyjdź do ogrodu.

Porzeczkę już dojrzewają. Bardzo przyjemnie jeść wprost z krzaczka.

Przyszedł. Po pół godzinie. Przebrany. Czegoś zawstydzony. Porzeczkę były świetne. I świetnie nam się je razem odchwasczało. Za zarobioną dolę postanowił kupić jeszcze jedną parę adidasów, z przeznaczeniem na obóz.

17.7.78

On ma głowę! Wczoraj, przy żegnaniu z Krysią, cały czerwony z emocji, coś jej długo szeptem tłumaczył. A że oboje siedzieli na krzesłach, Adam ze schyloną głową, Krysią swoją też zaczęła schylać, tak, że oboje prawie już spadali.

Dopiero Andrzej powiedział:

– Najlepiej wejdźcie z tymi sekretami pod stół. A w ogóle to my musimy jechać, żono, bo robi się późno.

W ciemnościach podwórka Krysią zdążyła mi szepnąć w czym rzecz. A że pracuje niedaleko Składnicy Harcerskiej i wielkiej różnicy zakup adidasów jej nie robi. Ale spytała:

– Skąd Adaś ma pieniądze? Ty mu dałaś?

– Nie – odpowiadam córce wprost do ucha – zarobił. U ogrodniczki.

– Sama bym do niej poszła – odszepnęła Krysią – moje sandały już wysiadają. A do pierwszego daleko.

18.7.78

– Uważaj, Adasiu na przejeździe. Spokojnie, ale szybko i zdecydowanie przechodź.

– Wiem – odpowiada.

Na wszelki wypadek, trzymam spacerówkę z drugiej strony. Jest niezadowolony.

– Ciocia nie ma zaufania!

– Mam, mam, ale nie gadaj na przejeździe.

– Przecież jest otwarty! Takie siatki opadają, jak ma przejeżdżać pociąg.

– Wiem. Ale może zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Nie mówiłam ci, ale przedwczoraj, w niedzielę właśnie, zginęła dziewczynka. Przejechał ją pociąg jadący z Otwocka. Dróżnik zapomniał zamknąć szlaban.

– I co?

– Nic. Nie żyje. Miała tyle lat, co ty.

Milknie. Przeprowadza bardzo ostrożnie wózek na trotuar.

Po drugiej stronie jest kawiarenko kiosk.

– Ciociu! Lody!

Nigdy nie powie, że chce, nie poprosi. Tylko informuje. Lody są wyśmienite. Różne smaki i kolory. Nawet pistacjowe. Mam cichą nadzieję, że bez gronkowców.

Adasiowi smakują tylko śmietankowe. Inne nie. Sprawa z jedzeniem. On nie będzie lizał na ulicy. To nie! Zaczynam rozkoszne mlaskanie. Ania wyciąga rączkę. Przysiadamy na murku.

– Nie, ty nie dostaniesz! Najwyżej kawałek wafelka.

– Ja dostałem przez zmyłkę podwójny wafelek, to jej dam. Mogę?

Daje, a potem zaczyna lizać swoje lody. Obok przysiadła kobieta też z wózkiem, dzieckiem w nim i lodami. Daje swemu maluchowi do polizania. Adamowi głowa zaczyna chodzić za ruchem ręki tej kobiety. Z dezaprobatą. Widocznie uznał moje racje.

Dziś zrobiliśmy wyprawę do Starego Józefowa po paczkę od Krysi. Daleko za torami, w zarośniętym starymi drzewami owocowymi ogrodzie stoi domek koleżanki biurowej Krysi.

Właśnie od tej koleżanki mamy odebrać różności, żebyśmy nie głodowali.

Koleżanka Krysi okazuje się córką naszych gospodarzy. Przyjmuje nas bardzo serdecznie, przekazuje paczkę, a właściwie pakę, bo moja córka też chomik (dziedziczne!). Potem dostajemy herbatę i pyszny, własnego wypieku chleb ze smalcem. Adam odmawia. Zaskakuje mnie bardzo grzeczna forma:

– Dziękuję bardzo, nie jestem głodny. Jadłem przed chwilą obiad.

Przed chwilą to były lody, a nie obiad!

Po chwili ciągnie mnie za rękaw i szepcze:

– Ciocia da ugryźć! Jeszcze nigdy nie jadłem smalcu.

Dają.

– Nieźle – powiada – mogę jeszcze?

Tuż przed wyjściem znów pociąga mnie za rękaw:

– Ciocia! Ja chcę do...

– No to idź na dwór.

– Kiedy ja nie wiem gdzie?

Odzywa się młoda gospodyni, której uwadze nie uszedł manewr Adasia.

– W ogrodzie jest wygodka. Z serduszkami. Łatwo znajdziesz. Chcesz, zaprowadzę ciebie.

- Nie, nie – odpowiada Adam – to ja już sam.
- Ja myślę. Czas już najwyższy, żeby sam. Wraca po dobrej chwili, zakłopotany. Co znowu? Pewnie papieru higienicznego brak, też artykuł deficytowy! Ale nie. Okazuje się, że Adam znalazł koło wygodki porzucony kaktus, a że ciocia hodzi w domu, więc może by...
- Ależ tak, oczywiście. Może pani wziąć. Że też on wypatrzył! Ale ten kaktus jest na zmarnowanie. Już nic z niego nie będzie.
- Ciocia umie z kaktusami – urywa speszony – ale on będzie mój! Dobrze?

20.7.78

- Adaś z główką podpartą na rękach, siedzi przy stole i pilnie obserwuje moje zabiegi i komentarze. Kaktus jest wielki, jak dynia. Mała dynia. Jakiś zabiedzony, pożółkły i ma bezlitośnie obcięte nożem korzenie.
- Leżał tak już pewnie długo. Cały suchy od spodu. Zobacz! Uważaj! Ma duże kolce.
 - A! To dlatego ciocia go ogląda w rękawiczkach? A ja myślałem...
 - Co myślałeś? – pytam, odwracając delikwenta do normalnej pozycji.
 - No, że tego, że ciocia tak dla elegancji. Ciociu! On jest śliczny. Ciocia obada! On ma jakby mgiełkę.
- Rzeczywiście, wokół wielkich kolców snują się włochate, jasne pasma.
- Uratujemy go? – pyta z nadzieją w głosie.
 - Spróbujemy. Tymczasem skocz do pana gospodarza i poproś o doniczkę. Widziałam pod szopą kilka skorup. Może znajdzie się jedna cała.
 - A do pani gospodyni mogę?
 - Możesz.
- Razem wstawiamy biedaka do doniczki. Adam przyklepuje ziemię, bo bezkorzeniowiec ciągle się chwieje.
- Widziałem, jak pani ogrodniczka tak robiła! – mówi i dalej klepie.

21.7.78

- Spakowani po Józefowsku a i przedobozowo gnamy z Adasiem co kolejka wyskoczy ku Warszawie. Po przyjeździe Adam rzuca torby byle gdzie, buszuje po mieszkaniu, a ja robię szybko obiad.
- Ciocia! – krzyczy – tu ktoś był!
 - Pewnie nasza kochana pani sąsiadeczka, pani Marysia. Miała kwiatki podlewać.
 - Nie! Nie! – domorośli się detektywistycznie Adam – tu ktoś palił papierochy, a ona nie pali. O! dwie szklanki po herbacie. Imbryk jeszcze ciepły. Tu chyba był Duszek.
- Zaczynam robić obiad. Był to był. W końcu to też jego dom.
- To chyba normalne. Skoro jutro jedziemy... Najwidoczniej jest już w Warszawie i tylko na spacer wyszedł.
 - Tak, to właśnie moja niespodzianka, – to już głos Duszka, który właśnie wszedł do mieszkania – na spacer z psem wyszedłem.
- Teraz i Adam i ja bezradnie stoimy w korytarzu. Widocznie Duszek miał znowu pomysł!
- W rzeczy samej pomysł Duszka jest szary, kudłaty, skacze, łasi się, coś po swoim gada. Pies z rodzaju: Przepraszam, gdzie ten pies ma przód, a gdzie tył, bo mnie ugryzł i chcę go kopnąć w...
- Adam wycofał się do swego pokoju, ale ciekawy, wysunął głowę i patrzy. Stoję

pod łazienką. Duszek obok, pies płacze się pomiędzy nogami.

– No i co? – pytam rzeczowo Duszka.

– Kuba jedzie z nami. Na obóz. Jego pani dostała wczasy bezpsie, a ja dostałem cynk i klucze do jej mieszkania, co by się nim zaopiekować i zająć.

– Mieszkaniem? – pytam, żeby zyskać na czasie, bo już przeczuwam, czym ten Kuba pachnie.

– Nie, psem oczywiście!

– Ciociu, – wtrąca się Adaś – może on głodny?

– Kto? Duszek czy pies? Zwariować można w tym domu!

– Pies, Ja mu dam kości. Zostały gnaty po obiedzie. Z żyłkami i farfocłami.

– Daj!

Robi mi się wszystko jedno. Nie to, żebym psów nie lubiła. Bardzo je lubię, w domu były zawsze psy! Ale tam gary, kotły, dzieci od groma, a tu pies. I nawet nie wiadomo, co z tym przodem i tyłem. Może brudny, może ma pchły?

– Jacek! Psa trzeba wykąpać.

– Ja już go kąpię – woła z łazienki Duszek. Jego głos ginie w rozpaczliwym jazgocie zwierzęcia, które nie lubi jak i Adam, kiedy go myją.

A ja zamiast się pakować i to co rychlej, bo rano odjazd – stoję z Adamem w korytarzu, pod łazienką. Patrzymy sobie ze współczuciem w oczy a potem, razem, z obrzydzeniem na łazienkę.

22.7.78

Po wczorajszej mykwie okazało się, że Kuba to nie jakiś szary kundel, a bardzo ładny, biały, puszysty owczarek niziny, z maleńką skazą maltańską. Od rana zaczęło się piekielko. Byliśmy już spakowani, ale Duszek uznał, że plecak Adama jest podejrzanie ciężki.

– Co on tam ma? Kamienie?

– Nie wiem. Zapytaj go. Sam pakował.

– Po kiego grzyba on „Potop” zabiera i to trzy tomy? Zobacz, matka – Duszek ryje się bezceremonialnie w pleczak Adama – Nie dość nam jego własnych potopów?

– Ciszej! Dziecko usłyszy i będzie mu przykro.

– Adam! – Nie ustępuje Duszek – chodź tu. Po co ci trzy tomy i jeszcze „Pan Wołodyjowski”? Ty wiesz, że na obozie nie ma czasu na czytanie. Poza tym książki się zniszczą.

– Bo ja skończyłem z „Ogniem i Mieczem” i...

– Adasiu – wtrącam się i tłumaczę łagodnie – Duszek ma rację, a poza tym, to są dla mnie drogie pamiątki. To książki jeszcze mego ojca.

– A! – powiada po swojemu Adaś – w takim razie to insza inszość. Zostawiam. Zabieram książki i chcę je odłożyć na półkę. Potykam się o róg dywanu i leżę, jak długa. Adam już przy mnie, pomaga wstać. Nadbiega z łazienki Duszek z twarzą na pół ogoloną. Pies szczeka.

– O co ja się potknęłam? – pytam, jakby to mogło zmienić sytuację.

– Czy to łażne – mówi już z łazienki Duszek, z przekrzywioną, gotową do golenia, drugą częścią twarzy.

– Ważne. Lubie porządek.

Pod dywanem leżą wczorajsze kości, kawałki chleba i ser.

– Adam! Co to jest?

– Zawsze wszystko na mnie! To Kuba wczoraj schował.

– Bo on prawie nic nie je. Zapomniałem wam powiedzieć – oznajmia już

nareszcie ogolony do czysta Duszek – Przynajmniej bardzo niewiele. Z tej strony nie będziesz miała wiele kłopotu.

Z tej na pewno nie! – myślę sobie. Tylko dlaczego on zabiera psa, a ja mam się nim opiekować?

Przed samym odjazdem zanoszę klucze do pani Marysi i proszę o tradycyjne już podlewanie kwiatków. Adam wysuwa głowę spod mego ramienia i też prosi:

– Mojego także, dobrze? Stoi u mnie na parapecie.

Rzucam jeszcze raz okiem na mieszkanie. Wszystko w porządku. Tylko w pokoju Adama, na jego biurku stoją nowe adidasy. Już, już chcę powiedzieć, że to nie miejsce na obuwie, ale on uprzedza mnie i pośpiesznie wyjaśnia:

– One czekają na mnie, ciociu!

Na placyku przy Spiskiej wita nas tłum rojących się dzieci i rodziców.

Większość twarzy nieznanych.

Tym razem jadą harcerki i harcerze szkolnego szczepu. W drodze łaski są zabrane i „Duszki”. Od marca dobijały się o pozwolenie pojechania.

Teraz, w starych, spłowiałych mundurach, na których niebieszczą się pracowicie zdobyte na poprzednich obozach baretki pomysłu Duszka, stanowią oddzielny zastęp „Duszków”. Mały Jacek wyrósł, przerósł siostrę Magdę. Mimo ubiegłorocznych raczej smutnych doświadczeń, uparł się, że na obóz pojedzie tylko z Duszkiem. Informuje mnie o tym jego ojciec. Z miłym uśmiechem powiada:

– Jacek powiedział, że absolutnie! Że wystąpi z harcerstwa, jeżeli nie będzie mógł pojechać. Pani syn ma ogromny wpływ na młodzież.

– Tak, – odpowiadam grzecznie – a migają mi wszystkie trudności, jakie napotyka na swej drodze, ten „z urodzenia” działacz społeczny. Chociażby walka z przyszłą Komendą Zgrupowania o rzecz tak prostą, zdawałoby się, jak usytuowanie obozu. A przecież odległość od naszej górki nie wynosiła więcej jak 500–600 metrów i to z górki. O co chodzi? O modną, ale zapewne zgubną centralizację? O inwigilację komendanta podobozu? Za dużo nagród dostawał? Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem. A może u podłoża leży zwyczajna zazdrość, zawiść? Bo przecież obozy Duszka były zawsze najwyżej oceniane i to nie przez byle kogo, a przedstawiciele samej Gieki. No i nagrody, które, za olbrzymi, rzetelny wkład pracy, Duszek otrzymuje. To może rodzić złą krew. I teraz nakłada się sprawa likwidacji świetnej, o zakorzenionych już tradycjach, drużynie „Duszków” przy klubie i pod patronatem TPD.

Jak można było zniszczyć taki zaczyn przyszłych działaczy społecznych! Czy oni, tam, u „góry”, nie widzą, jakie to ma skutki?

Stara kadra duszkowa, owszem, jest bardzo wartościowa, ale praca z nimi została przerwana za wcześnie. Nie okrzepli, nie dojrzeli jeszcze do kontynuowania samodzielnie tej pracy wśród młodzieży szkolnej. Sami jeszcze w szkołach, otoczeni są zewsząd pokusami o bardzo wątpliwych wartościach, typu niewydarzonych dyskotek, filmów bez wartości i wszelką wulgarność. Chociażby telewizja! Kochana nasza telewizja!

Już nie myślę nawet o języku polskim, spaczanym, zniekształcanym, ale o serwowaniu w godzinach popołudniowych scen brutalnych, nadmiar niewybrednego seksu. I Gołas na przykład, który w serialu „Daleko od drogi”, częstuje nas, a więc i nasze dzieci, powiedzeniami: „Dobra d..., taką bym ...”. A ja Adasiowi nie pozwalam mówić „cholera”.

Moje smętne rozważania, pewnie nie najwyższego lotu, przerywają Jacek i

Magda, którzy natychmiast wieszają się na mojej szyi z radosnymi okrzykami. Później dostrzegają mnie i inni ubiegłorocznicy. Końca nie byłoby okrzykiem, powitaniem, na które nowi patrzą trochę zezem, gdyby nie wielka ciężarówka, która przyjechała po bagaże.

I tu następną refleksję. Z roku na rok potężnieje ilość zabieranych rzeczy. Czy to prawidłowe? Czy tak powinien wyglądać harcerski wyjazd? Nie myślę tu o sprzęcie gospodarskim. Ten jest istotnie imponujący, bo Duszek poprzez różne akcje, potrafił zaopatrzyć szczerp we wszystko, co potrzebne.

Przeraża natomiast ilość i rodzaj bagażu. Pierzyny, pierzynki, kołdry, poduszki, zapasowe puchowe śpiwory, drogie, zagraniczne kurtki wataowane, wymyślne wysokie buty węgierskie... Czy to znak czasów?

Kiedy Duszek wjeżdżał na swoje obozy, zabierał tylko duży plecak i koc, pięknie zrolowany. No i cała masa brzęczących różności przytroczonych do plecaka.

Przypomina się krótki, ale bardzo wymowny czeski filmik. W roku dwutysięcznym którymś turysta wybiera się na wspinaczkę w góry. Starannie szykuje wszystkie potrzebne akcesoria. Auto podwozi go pod wielką, stromą górę. Turysta wspina się chwilę, ale szybko się męczy. Naciska guziczek ukryty w skale i wyskakuje tacka z napojami i pastylki wzmacniające. Człowiek, ogromnie zadowolony, pełnie dalej. Osiąga szczyt i... windą ukrytą w skale zjeżdża wprost do swego auta.

Wydaje mi się, że przenoszenie obrosłego w puch klimatu domowego na łono natury, jest błędem lub co najmniej nieporozumieniem. W ten sposób z roku na rok będzie wzrastać ilość bagażu, a zmniejszać się odporność młodzieży na trudy i niewygody obozowego życia.

Adama nie widzę. Zginął w tłumie. Podbiega Dżery, miły turkuć podjadek który jedzie z nami:

– Mamo Duszek! Ładują nasz demobil!

Istotnie, po dwóch szerokich deskach stare „Duszki” pchają nasz cholerny, kochany demobil, który przezimował spokojnie w piwnicach szkoły.

Nie wszystkie dzieci rozumieją, dlaczego „Duszki” rozczulają się, głaszczą, dotykają grata. Przekrzykują się:

– O! Popatrz! Pamiętasz, tu spaliłem mój trampek...

– A ja tu grzyby suszyłem, aż wysuszyłem na wióry...

– Ja rybki smażyłem. Mama Duszek pozwoliła, ale posolić zapomniałem...

24.7.78

Pogoda znakomita. Kwaterka zrobiona wcześniej, świetna. Obóz jeszcze śpi.

Nad polanką przeleciał taki sam, a może ten sam co w ubiegłym roku ptak.

Szybkuje nisko z lasu do zagajnika.

Trzeba, myślę po miejsku, wyprowadzić psa. Bo spał oczywiście ze mną. Ale ten dziwny sublokator–podrzutek nie rozumie. Wypycham go z namiotu. Nic.

Przysiada na zadzie, kręci, nie wiadomo czym, głową czy ogonem. I dalej siedzi. Biorę go na smycz. Idziemy razem przez uśpiony obóz. Pod pierwszym napotkanym drzewkiem rozumie. Biedny niewolnik cywilizacji.

Przy zaczątkach zeriby, zatrzymuje mnie warta.

– Przecież widzisz, durniu patentowany, że druhna kucharka, plus pies... – urywam nagle, bo spod nasuniętej na oczy (żeby było ciepłej!) czapki patrzą na mnie oczy Adama.

– A, druh komendant kazał... – mamrocze i, nie wiedzieć czemu obrażony,

mocniej otula się w gruby koc i wraca na swój posterunek.

Schodzę z pagórka, pies ciągnie za smycz, prawie biegnę. Nie przychodzi mi na myśl, żeby go spuścić ze smyczy. Przecież ten cudzes może nagle zmienić się w ogara i pójść w las.

Są schodki. Poprawione. Nawet poręcz dorobili. No, no! Krzaki jałowca jakby trochę większe. Wielki, długi pień, na którym Grzesz Kwater suszył historyczne grzyby, jak leżał, tak leży. Pachną jakieś żółte i niebieskie kwiatki w trawie. W dole leży jasne, czyste jezioro Głębokie. Jego tafla odbija spokojnie promienie tylko co wzeszłego słońca.

Na samym dole, z prawej, nad jeziorem powinien być... Jest! Stoi. Nawet już się trzęsie. Starsi chłopcy pracowali do świtu, żeby wszystko było jak się patrzy no i jak się popatrzyło to rzeczywiście: stos chrustu, porąbane, pachnące żywicą kawały drewna na opał, jeszcze ciepłe od siekiery. Woda w kotłach nieco oleista.

– Trochę towotu zostało – wyjaśnia jeden.

Namiot gospodarczy też już stoi. I mój ulubiony pieniek do dyrygowania...

Ciekawe, ile oni pamiętają z poprzedniego obozu?

Ale oni sami zaczynają:

– A pamięta Mama Duszek te schabowe, palce lizać, a te faworki, kto słyszał faworki na obozie, a jednak..., a chatki puchatki...

No tak, ale oni byli już na kilku obozach. Mogą pamiętać. Ale te młodsze?

Kiedy zleciała się moja głodna szrańcza, wtedy dopiero zaczęły się wspominki, choć to było śniadanie a nie „kominek”. Starzy bywalcy obozowi opowiadali, gdzie co stało, że nie było trójkątnego stoliczka przy kuchni na sól i przyprawy, gdzie najlepiej zbierać chrust, co to bieg Biszkoptów... I co to był kwadrans gospodarczy na obieranie kartofli. Każde zdanie zaczynało się od:

– Jak byłem na zeszłym obozie...

25.7.78

Wszystko idzie swoim trybem. Zbrojna w zeszłoroczne doświadczenia, organizuję teraz sprawniej moje zaplecze kuchenne. Wieczorem przyszedł do obozu pan Leśniczy, ale Duszka nie zastał. Pogadało się trochę w Komendzie. Przeszkadzał tylko jego pies, który ciągle niespokojnie coś węszył.

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że Kuby nie widziałam cały dzień. Rano wyszedł, co prawda, ze mną, ale potem...

Wysunęłam się z namiotu Komendy, stanęłam na placu apelowym i cicho zagwizdałam. Z Komendy, na mój gwizd, wyrwał się pies... pana Leśniczego. Kuby ani śladu. Włos zjeżył mi się na głowie. Jak ja się pokaże Duszkowi. Ktoś musiał mnie widzieć, bo najpierw jeden, potem kilku „Duszków” opadło druhnę kucharkę i zaczęła się narada. Szukali dość długo. Pies przepadł. Wrócił i Duszek, ale mu nic nie powiedziałam. Rano powiem. Późną nocą wróciłam zgnębiona do mego namiotu. Wsunęłam się, mocno zmarznięta z tego szukania, do śpiwora. Nieludzki pisk Kuby i natychmiast co najmniej cztery głowy w połach mego namiotu (suwak zepsuty). To mi przypomniało, że Adama znowu nie widziałam. Tylko przy obiedzie podał dwie menażki i mruknął:

– Dla warty.

Nawet nie podziękował. Jesteśmy już pięć dni, a to było jedyne odezwanie się do mnie. Czyżby powtórzyła się historia z ubiegłego roku? Sam ze mną w domu TAK! W gromadzie NIE!

26.7.78

Dziś w kuchni miał dyżur zastęp starszych dziewcząt (15 –16 lat). Każdy zastęp ma służbę w kuchni w sumie trzy razy. Pobudka kuchenna o szóstej rano. Dziś warta ledwie je ściągnęła z prycz. W rezultacie zjawiły się około ósmej piętnaście, a śniadanie powinno być o dziewiątej. Marlena przyszła do kuchni w eleganckim węgierskim kożusku, Iwona II w długich, do pół uda butach. Chleba kroić nie umieją, jarzyn obierać nie będą, bo rąk im szkoda. Nic nie potrafią, nawet wykrzesać odrobinę dobrej woli.

W tym zastępie są trzy harcerki z prawdziwego zdarzenia, te pracują za wszystkich.

Czy ja tu jestem od garów czy od pedagogiki? I co można zdziałać w ciągu trzech tygodni?

Duszek jest niezadowolony, bo śniadanie, a potem obiad spóźniają się haniebnie. Ale postawiłam na swoim! Nie te trzy z prawdziwego zdarzenia, a cały zastęp pracował równomiernie. Narzekały, szkodowały, płaksily, ale wreszcie swoje zrobiły.

27.7.78

Wieczorem nasiadówka kadry. Każdemu dostaje się wedle zasług. Obrywa Ciapuchna. Miał zrobić latrynę, a tymczasem cały obóz chodzi na wygodki do lasu. Nie mylić z jagódkami, choć tak po prawdzie, to jedno przy drugim...!

28.7.78

Dzieci zaczynają lepiej wyglądać. Opalone. Trochę podtyte, mimo, że biegają cały dzień, jak harty. Kuba chudnie, choć cały dzień wyleguje się z lubością w moich betach.

Jak mi w czasie obiadu donoszą życzliwi, latryna, ze wspaniałą, ubiegłoroczną powiewającą flagą z namalowaną trupia czaszką, funkcjonuje już na wzgórzu. W końcu budował ją prawie cały obóz, prześmiewając się z Ciapuchny. Na co on się obraził, bo wyrósł przez ten rok ponad wszystkie „Duszki”, dosłownie, bo wyższy od Komendanta i przerośnie, boć i dorobił się instruktorstwa.

29.7.78

Koło naszej kuchni przechodzą drogą dziwne zastępy. Dzieci mówią, że to hitlery.

– Dlaczego ich tak nazywacie? – pytam.

– A bo – wyjaśnia mój ubiegłoroczny Ogniomistrz Maciek – oni tupią.

– To takie tupają – dodaje Rudy. – O! Mama Duszek zobaczy! Właśnie idą.

Patrzę. Rzeczywiście. Po rozkazie: „Stój, baczność!” przytupują trzy razy i stają w rozkroku. Łaciate panterki, jakieś zbyt jednakowe jak dla dzieci, nijakie, nieprzystępne twarze i ten rozkrok. Kto ich tak wyćwiczył? Kto na to pozwolił? Czy gorze to się podoba? Mnie nie, no ale ja nie jestem górą. Nie nauczyli się tego przecież tu, w ciągu kilku dni. Już w Warszawie musieli nieźle ćwiczyć, żeby dojść do takiej wprawy. Świetlany szczyt ideałów to na pewno nie jest. Dzieci patrzą na mnie, więc mówię, choć sama czuję, że nie brzmi to zbyt przekonująco:

– No cóż, co kraj to obyczaj!

– Ale to jeden kraj, druhnko kucharko – powiada cicho Maciek.

A ci zatrzymali się przy naszej kuchni i zrobili taką paradę, bo ich komendant chciał wiedzieć, gdzie jest nasz komendant. Bardziej oficjalnie i sucho, niżby

może należało, odpowiedziałam temu dowódcy:

– Nie wiem, proszę pana ! W kuchni na pewno go nie ma.

Poszedł, jak niepyszny, bo w dodatku zastęp kuchenny odwrócił się demonstracyjnie plecami. A tupają pewnie bardzo chciały, żeby podziwiać ich sztywny krok, równy marsz.

– Takie to ni wojsko ni jugendy – stwierdził Maciek.

Teraz przypomniałam sobie, że już w Warszawie, przed wyjazdem, na peronie zaznaczyli się szczególnie. Mianowicie, ich komendant kazał im, zdjęte z pleców, plecaki ułożyć w linię ciągłą, pod strychulec. I sam sprawdzał prostotę tej linii. W pierwszej chwili nawet mi się to podobało, ale potem, kiedy zaczął krzyczeć o byle centymetr niedokładności, byłam już mniej zachwycona.

30.7.78

Wieczorem przybiega Adam. Rozgorączkowany, zażądał dużo i ciekawie o Powstaniu Warszawskim.

– Bo my, ciocia, znaczy „Duszki” szykujemy bardzo fajne różne rzeczy. I Bynio wynalazł takiego jednego staruszka, z pięćdziesiąt lat ma. I on był za łącznika w Powstaniu. I ja będę mówił wiersz Baczyńskiego, bo on w Powstaniu był harcerzem – ciocia wie?

31.7.78

Obiad właściwie zupełnie gotowy. Zostaje jeszcze wolna godzinka. Zastęp kuchenny, szczęśliwy, wyleguje się wraz z druhną Kucharką na słonecznym wzgórzu. Na warcie został Rudy, bo trzeba co raz lekko podkładać pod demobil. No i zawiadomić natychmiast drułą kucharkę w razie, gdyby... Rudy wysłuchuje tego wszystkiego w postawie na baczność, bardzo przejęty rolą. Pewnie marzy mu się jakiś extra casus, napad, szczęk broni, pożar... Bo ja wiem co po takiej łepetynie może chodzić, zwłaszcza rudej.

Muszki grają cicho w ciepłym, aż drgającym pod słońcem powietrzu. Z drugiej strony jeziora słychać krzątanie obiadową. Pachnie rumianek i las wydaje w samo południe całą sosnową woń.

– Drogą ktoś biegnie! – budzi się jeden.

– Czego on tak leci? Kurz tylko wzbija! – dodaje drugi.

Znow zapada cisza.

– Druhną kucharkę opowie coś ! O wojnie, jak to było!

Tak się nie chce. Bredzę coś o Wrześniu, powielam historię o zdunie, opowiedzianą kiedyś Adamowi, ale to się jakoś nie klei. Za ciepło, za ładnie!

– A ludzie? – pyta któryś – Jak się zachowywali, jak były walki uliczne – wyraża się uczenie – bardzo się bali? A bomby? Czy krzyczeli, jak leciały?

– Nie – odpowiadam – to było inaczej. I nagle wytężam słuch. Słychać niezwykajny hałas, krzyki, wołania... Dzieci też już słyszą. Drogą znów ktoś biegnie. Kieruje się do naszej kuchni.

Na górkę wdrapuje się Rudy. Błady z przejęcia. Aż piegi mu powyłaziły.

– Druhno kucharko! – dyszy – był łącznik ze Zgrupowania. Druhna ma zaraz wydać apteczkę i wszystkie środki opatrunkowe.

Jednym susem jestem na dole. Daję co trzeba. Nie mogę powstrzymać się od pytania:

– Co się dzieje?

– W Dwudziestych Pierwszych wielka bitwa. Poharatali się. Są ranni.

Zanim domyśliłam wrażenie do końca, przez drogę z naszego obozu, górą,

zjeżdża na portkach Duszek, za nim cała kadra. Wszyscy z apteczkami.

– Wydałaś apteczkę kuchenną? – napada na mnie Duszek.

– Wydałam. Co się stało? Powiedz!

– Nie wiem. Jeszcze nic nie wiem. Potem. Jest rozkaz dostarczenia do Zgrupowania wszystkich środków opatrunkowych, bo im zabrakło. Nie pozwól dzieciom wyłazić poza teren kuchni.

I już go nie ma. Liczę moje łąbki: jeden, dwa, osiem. Są wszyscy.

– Słyszeliście? Nie wolno opuszczać kuchni!

Ale oni nie mają ochoty nigdzie iść. Jakoś instynktownie gromadzą się wokół mnie.

– Tak. Słyszeliśmy. Ale ja wiem, co tam jest! – powiada jeden – Po chrust jak chodziłem, to tego, podsłuchałem ciut, ciut. Szło im o podchody. I o cukierki. I powiedzieli, że jak im nie dadzą, to będzie wojna. Dwudzieste Pierwsze to te tupajły właśnie.

– No i co?

– Nie wiem, ale na pewno o te podchody poszło!

Podchody rzecz zwyczajna dla obozowej braci, ale żeby zaraz apteczki, środki opatrunkowe? I to w takiej ilości?

Na obiad przychodzi nasz chłopiec, który miał wartę w Zgrupowaniu. Właśnie zszedł ze służby. Siorbie zupę, zdenerwowany.

– Druhno kucharko – powiada – dobra zupa, smaczna i... głos mu się załamuje. Chyba zaraz zaczną do tej zupy kapać łzy. Ale nie kapią. Podnosi głowę i mówi szybko, chaotycznie:

– Są ranni, poszkodowani. Złamana ręka, przetrącony kręgosłup. Jeden ma podobno wstrząs mózgu.

– Przestań, – powiadam łagodnie – kończ ten obiad i idź na górę. Odpocznij. Dobrze, że nie ma jeszcze na obiedzie całego obozu, choć i tam pewnie wre, skoro widzieli, że wydaje się wszystkie apteczki. A chłopcu pewnie troiło się w oczach. Zobaczy taki trochę krwi na bandażu i zaraz... wojna! Przecież to niemożliwe, żeby coś takiego się zdarzyło. Jest upał. Może przysnął na warcie i mu się wydawało. Na pewno grubo przesadza. Przecież tam jest komendant, nawet dwóch. Odpowiedni chyba ludzie? Ale z drugiej strony, te krzyki, hałasy, wołania?

Wieczór mija niespokojnie. Instruktor służbowy wyprowadza dzieci do lasu, bawią się w jakieś gry terenowe. Ale podekscytowanie jest duże. Duszek ciągle nieobecny. Jakieś zebranie, narady, odprawa komendantów podobozów. Nad ranem mam już pełną, rzeczową relację. Niewiele odbiega od plotek i krążących wieści.

Dwudzieste Pierwsze, tupajły, składają się z dwóch obozów, młodsze i starsze. Starsze wyszły rzeczywiście na podchody do młodszych. W ramach udanych podchodów zabrali tym młodszym trzy plecaki. Zostawili wiadomość, że plecaki można wykupić za jakąś tam ilość słodyczy. Do tej chwili wszystko było zgodne z zasadami tego rodzaju gier.

Ale w odpowiedzi na żądanie okupu, komendant młodszych tupajłów, a jednocześnie komendant szczepu całych 21. postawił ultimatum. Plecaki winny być zwrócone do godziny dwunastej w południe. Parę minut po dwunastej młodzi z 21. wtargnęli do namiotów starszych. Nastąpiła istna pacyfikacja. Zniszczone namioty, poobcinane linki, zniszczone ozdoby obozowe. Poszły w ruch zapałki, nawet finki harcerskie.

Poszkodowanych i rannych było tak dużo, że zabrakło środków opatrunkowych

i dlatego po dwunastej przybiegł łącznik do naszego obozu z rozkazem wydania i dostarczenia do Zgrupowania wszystkich apteczek. Są istotnie złamania kończyn, przetrącony kręgosłup, podejrzenie o wstrząs mózgu i inne liczne obrażenia. Komendant 21. zostaje odwołany w trybie natychmiastowym. Więc jednak wieść gminna nie wiele przesadziła. I to w samo południe !

1.8.78

W ostatniej chwili odwołano u nas uroczyste ognisko powstaniowo wspominkowe. Będzie to załatwione centralnie, w Zgrupowaniu. Dzieci nie potrafię ukryć rozczarowania. Duszek zaciska zęby i chodzi zły, jak chrzan.

– O której ta akademia w Zgrupowaniu? – pytam łagodnie.

– Spęd wieczorem, o ósmej – odpowiada nie zachęcająco.

Akademia, mimo usilnych starań kulturalnej jest nudna. Dzieci przysypiają. Ożywiają się dopiero na znajome tupanie. To, spóźnione trochę, przyszły łaciate tupajły, a prowadził je ten co miał wyjechać w trybie natychmiastowym. Nie wyjechał i dalej, spokojnie, dał rozkaz bacność ! Przytupały, stanęły w rozkroku.

Teraz już rozległy się ze wszystkich stron gwizdy, sykania. Ale kto zwracałby uwagę na tak przecież słuszną reakcję dzieci. Zatuszowano szybko sprawę poleceniem chóralnego śpiewu, zupełnie nie związanego z Powstaniem. Potem, ku ponownemu niezadowoleniu młodej widowni komendant Dwudziestych Pierwszych wystąpił nawet z jakimś skeczem. Nie doczekał się braw.

Schodził w zupełnym milczeniu. Jeśli mówię tu o reakcji dzieci, to mam na myśli wszystkie dzieci, a nie tylko nasze. A jest tego sto pięćdziesiąt uczestników. Bo, mimo wysiłków, wszyscy wiedzieli wszystko.

Jedyny zysk z tej nieudanej imprezy, to informacja lwony II, szepnięta mi na ucho, że kulturalnej wpadł w oko nasz komendant. A oko to kulturalna ma. Piękne, migdałowe, czarne i lśniące.

2.8.78

Tak intensywnie myślałam o tej wczorajszej niewydarzonej akademii kuczci, że przypaliłam sznycle. A takie miały być dobre, cielece. I każdy z jajkiem na wierzchu! A teraz suche, nijakie, sztywne. Zupełnie, jak ta wczorajsza akademia. Bez polotu, bez żaru. Trochę drętwej mowy, garść skromniutka faktów i... już. Ani harcersko ani patriotycznie, ani historycznie.

Znowu się zamyśliłam tak, że ostrze noża pojechało po palcu. Drobiażdżek! Wiążę chusteczką do nosa. Ale komendant jest innego zdania. Chcąc nie chcąc, bodaj dla przykładu, idę do Zgrupowania.

Po drodze dociera do mnie, że właściwie Duszek ma rację, bo tu nie chodzi tylko o mamuszkę, ale on odpowiada za całość obozu. A na obiad ma być ogórkowa, a nie... czerninka.

Po opatrunku zrobionym przez Pigułę, bo lekarz w hamaku, wracam do kuchni.

Po drodze spotykam Adasia. Jest blady, w oczach coś na kształt strachu.

– Co ci to skarbie? – pytam.

– Głęboko? – on na to.

– Iiii. Draśnięcie tylko.

Już, już chcę go pogłodzić. Troszczy się o mnie! Ale opanowuję ten odruch. A on, kolorki mu wracają na buzię, wyciąga z kieszeni kawałek lepkiej, prawie płynnej, czekolady.

– To dla cioci! – mówi – Za karę!

Dochodzę do kuchni, ale tam urzęduje Duszek. Zupa się waży, kartofle dochodzą, tylko z kiślem Rudy ma kłopoty, bo nie wie jak ostudzić.

– Do jeziora, Rudy! Do jeziora! – wołam z drogi.

– Jak to! Acha! – reflektuje się.

Z pomocą dwóch starszych chłopców wyciąga się cały kocioł z demobilu i ostrożnie spuszcza się go z pomostu do wody.

Duszek przygląda mi się i pyta:

– Boli?

– Nie! Dlaczego?

– Bo widać, że płakałaś!

– To przez Adama, a właściwie przez czekoladę – płaczę się.

– Że jadłaś, to widać! Ale co? Dałaś mu, a on nie chciał?

– Nie! Wręcz odwrotnie! To on mi dał...

– Też powód do płaczu! Druhno kucharko, marsz do jadalni! Obiad gotowy! Ta pojedz se dobra kobieto...

Duszek stanowczo nie wpuszcza mnie do kuchni. Siadam na górcie przed kuchnią i złośliwie obserwuję, perfidnie dogaduję, zniżam się do prośby.

Piszczę, jęczę, skręcam się. O te jajka na sznyclach mi chodzi najbardziej. A on nic, lita skała!

– Idź odpocząć! Należy ci się chorobowe!

Jak mogę odpoczywać! Przecież tam, beze mnie wszystko się pokręci!

Kompleks niezastępowalności czy co? Idę obrażona w las. Zgubię się! Na złość!

Ale się nie gubię, tylko zdrowymi paluchami zbieram czarne jagody. Zbieram je do przytroczonego stałe do paska, garnuszka. W ogóle, chodzę ciągle, jak cały skład żelazny, bo nauczyłam się już myśleć perspektywicznie. Po co mam gnąć na górę, albo posyłać kogoś po każdy drobiazg.

Czeluście mojej torby kretonowej, też przyklepionej do paska, są przepastne. A wszystko do paska, gdyż ręce muszę mieć swobodne, bo włączając na przykład, pod stromą górkę, zmieniam się w protoplastę czworonoga.

3.8.78

Nic dziwnego, że mnie trochę ii, kiedy przychodzi do nas kulturalna Zgrupowania, a ja patrzę na śliczną, filigranową sylwetkę. Piękne, długie, zadbane jasne włosy, czerwone mini bikini... można zgubić oczy! No i gubimy. Ja, i cały męski zastęp kuchenny.

Jakoś tak smutno. Nie ma już pochodnych „Duszkom”: „Remontek”, „Nietoperzy”, „Demonów”, „Upiorów”, „Wampirków”. Jest tylko carpo solo zastęp „Duszków”. Do nich zalicza się też Adaś. Prezentuje godnie na pagonach munduru dwie błękitno białe belki, zdobyte na poprzednim obozie i w ciągu roku. Wiem, że marzy mu się trzecia.

Protekcyjnie podpytuję Komendanta:

– Nie mógłbyś tak, jakoś, żeby Adam dostał trzecią... chłopiec tak marzy!

Napotykam na stanowczy sprzeciw.

– Nawet mnie nie namawiaj, matka! Zrozum, że on musi sam, zupełnie sam zarobić na tę belkę rzetelną, harcerską pracą. A że ma marzenia to i bardzo dobrze. Człowiek bez marzeń nic nie jest wart. Co z tego, że mu podam, gotowe, na tacy? Ty się o niego nie martw. Pilnuj kuchni i gotuj, tak smacznie jak dotychczas.

Coś to jajko, myślę sobie, mądrzejsze od kury, a Duszek ciągnie dalej:

– Ja mu się przyglądam, oceniam, ale, jak dotychczas, to leń, nierób i wykrętas. Jedyne, co poprawił, to spawa nocek. Warty przynajmniej mają spokój.

– Rzeczywiście! Zupełnie mi to uciekło. I budzik niepotrzebny. Co to jest wykrętas ?

– Wykręca się od obowiązków, jak umie najlepiej i najskuteczniej.

– Może poprzeczka za wysoko? – próbuję coś zyskać.

– Coś ty! Przecież to jego drugi obóz! Młodsze dzieci od niego z zapalem pracują, uważając to za świetną przygodę, zabawę. A dziś, w kuchni, co to było z Adamem?

– Hm! Hm!

– Masz chrypkę? To noś kalosze! Stałem dobrą chwilę za sosną. Widziałem i słyszałem, jak się z nim męczyłaś! Po chrust? Godzinę go nie ma, wraca z jedną, marną gałązeczka. Zamieść przed stołówką? Owszem, zamiótł 1, słownie jeden, metr kwadratowy!

– Ale potem całe podejście...

– Tak, bo mnie zobaczył. I natychmiast ożył i zaczął pracowicie wzbijać tumany kurzu. Dopiero jak mu ręką pokazałem na jezioro, klepnął się w łepetynę, przyniósł wodę w wiadrze i pokropił.

– Konserwy śniadaniowe sam otworzył. Wszystkie! Nikomu nie pozwolił.

– No tak, konserwy... – zakończył Duszek.

Wieczorem ognisko. Prawie zasypiam. Nic ciekawego. Dzieci odwalają ze specjalnej, programowej książeczki kawałki. Żadnej własnej, ciekawej innowacji. Nie ma, jako się rzekło „Nietoperzy”, „Diablików” i innych figlików. W czasie ogniska dzieci chcą wiedzieć, skąd nazwa jednego z zastępów dziewcząt „Złote Łapy”. Długie, zawile i równie pretensjonalne, co i nazwa, opowiadanie tego zastępu właściwie nic nie wyjaśnia. Podrzucam Adasiowi, który też już się kiwa z nudów, landrynki na koc i uciekam dyskretnie do siebie. Co to się porobiło? Zastęp „Duszków” inteligentny, prężny, zwarty, pełen inicjatywy, zawsze gotowy na burzę mózgow, zaczyn prawdziwie harcerskiej zabawy, nie wystarcza na zapalenie pozostałych nie tyle obozowiczów, a ospałowiczów. A nawet, co gorsza stają się elitą. No tak! Mówi się o nich, to przecież „Duszki” i dodaje się z przekąsem: „Oni wszystko potrafią!”

I mimo ogromnego zapału „Duszki” nie potrafią zagrzać innych. Po prostu jest ich za mało i zbyt jeszcze młodzi. Zanim okrzepli na dobre, już ich rozwiązano.

Nie mieści się ciągle w głowie, żeby taką ogromną pracą pedagogiczną zmarnować! A Duszek, przytłoczony papierkami, sprawozdaniami, odgórnymi planami, też zaczyna zwolna obniżać loty. Jeszcze się nie daje, jeszcze ma zrywy, wspaniałe pomysły, ale o każdej dobie stopowane poleceniami, zaleceniami. Zostaje wąski margines na rozwijanie własnej inicjatywy. W końcu, przywalony tą papierkową robotą, zrobi się z niego powoli harcerski urzędas.

Rozmawiam z nim czasami, żeby spróbował wydać walkę tym z góry. Ale mówi wtedy, że nie, że to jego władza, której obowiązany jest dać posłuch. I że zawsze będzie niepoprawnym idealistą.

– No dobrze, a jeśli ta twoja władza zaprowadzi cię na brzeg przepaści i powie: Skacz! Skoczysz?

– Nie! Nie skoczę! Odwrócę się plecami i odejdę, zostawiając wszystko.

Nie odejdzie, nie odejdzie, przynajmniej nie tak szybko. Za bardzo jest związany z tą pracą, za bardzo ja ukochał i jej wyłącznie poświęca swój młody czas.

4.8.78

Późną nocką nie mogę spać. Jest trochę duszno. Wygrzebuję Kubę z mojego śpiwora (ile ten pies może spać?) i idę do komendy. Tam jeszcze się świeci. Chwilę przysłuchuję się raportom zastępowych. To jest strasznie fajnie, jak ci chłopcy, przepraszam, dziewczyny też, referują z ogromną powagą, małe, w zasadzie sprawy. Ale przecież życie składa się ze spraw pozornie małych. A jeśli teraz mają różne zdania, dyskutują, przekonują się nawzajem, potrafią sami znajdować rozwiązania, to później, w dorosłym już życiu potrafią być wartościowymi ludźmi. Są zastępowe „Czarownice” i „Złoty Łap”. Te pierwsze to starsze dziewczęta. Ich zastępowa to prawdziwa harcerka, pełna zapału, energii i chęci działania.

„Złote Łapy” to małe dziewczynki. Wśród nich wyróżniają się: Magda i Ania. Magda jest cicha, potulna, bardzo przejęta swoimi obowiązkami, zawsze bardzo dbająca o brata, tego samego Jacka z zeszłego roku, co to miał tę smutną przygodę z Ryśkiem. Zaangażowanie Magdy ginie jednak w rozlazłości reszty zastępu.

Ania natomiast to ciekawy charakter. Bardzo spokojna, dwunastoletnia dziewczynka, raczej niskiego wzrostu, małowówna. Jeśli jednak zaczyna mówić, to zawsze ma to sens i zaskakuje powagą i zdecydowaniem. Podejmuje samorzutnie każdą pracę, a jeśli jej nie wychodzi, boć to jeszcze chucherko, nie denerwuje się, wynajduje sposób albo radzi się kogoś starszego. Jest tym bardziej urocza, że nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego że już jest małym, ale wartościowym człowiekiem, na którym zawsze można polegać.

Ale... o właśnie! Reszta taka nie jest. Reszta to rozpuszczone dziewczyniska, którym najprostsza nawet praca jest obca.

Z „Czarownicami” jest jeszcze gorzej. Właśnie ich zastępowa referuje. Pełna ognia i buntu zaczyna od tego, że ona nie w sensie donosicielstwa czy rozrabiania, ale, że ona już nie może, nie umie, nie potrafi dać sobie rady z tymi naprawdę czarownicami. Po co one przyjechały na obóz? Nie słuchają jej, odpyskują, są zajęte wyłącznie swoimi sprawami, wyglądem, kosmetykami i tym, gdzie, która pojedzie po obozie. Oczywiście zagranicę.

Komendant milczy. Zabiera głos niezastąpiony Bynio. To chłopak na którym można polegać. Mówi druhnie, że według niego, ona popełnia zasadniczy błąd. Wyprowadzona z równowagi, krzyczy na te czarownice, a potem, jak to nie daje rezultatu, sama robi za nie. Bynio mówi, że tak nie można. Największą sztuką, powiada poważnie z wyżyn swego piętnastoletniego życia, to umieć egzekwować. Jakbym słyszała Duszka.

– Wiem – odpowiada ona – ale to bardzo trudne. Dlatego już wolę sama robić.

– Tak. Rozumiem. Ale w ten sposób sama spalisz się bardzo szybko, a ich niczego nie nauczysz.

Rozpoczyna się ożywiona dyskusja. Coś tam z niej wynika i widać dociera do zastępowej.

Kuba chce wyjść. Więc wychodzę z nim, bo ten dziwny pies niejadek boi się ciemnego lasu i jeszcze gotów maszt uznać za dogodny miejsce gwoździ swych chęci.

Po powrocie do Komendy zastaję już Duszka samego. Siedzi smętny przy stole, głowę oparł na rękach.

– Co ci to, synku? – pytam.

– Nic – odpowiada, a potem unosi gwałtownie głowę i zalewa mnie potokiem żalów:

– No i jak ja mam pracować w takich warunkach? No powiedz sama! Do czego się nie dotknąć, wszystko się rwie. Trzeba zacząć od tego, jakie dzieci pojechały na obóz? Sama widzisz! Czy obóz to przechowalnia czy też ma się tu prowadzić harcerska robotę. I jak ja mam ją prowadzić? Weź chociażby sprawę umundurowania. Ma być jednolite, tak? Skarpet zielonych w Składnicach nie było. Chusty są, owszem, ładne, ale ...stylonowe. Wprowadzili nowe sprawności! Ale nikt dotychczas nie wie, jak one wyglądają, że już nie wspomnę o tym, że nie wiadomo, gdzie je można nabyć. Nie ma ich regulaminu. Więc pracujemy na starych.

Chyba go rozumiem. To trochę tak, jak w mojej branży domowej. Wychodzisz po cukier i zwyczajną, a przynosisz sól, proszek do prania i papier higieniczny, bo właśnie w sklepie spożywczym rzucili.

Pytam więc Duszka dlaczego, po co tak się zabija, przejmuję.

– Popatrz – mówię – na tych ze Zgrupowania. Namiociki, werandki, kolorowe parasoliki, kupa własnych, prywatnych dzieciaków, dwa psy, pan doktor opalony na brąz, do chorego się nie pofatyguje, bo mu do podobozu za daleko. Pigułą się wysługuje, a ta lata jak odrzutowiec.

– Ja tak nie umiem. – kończy – Albo pracuję z całym oddaniem, nie oglądając się na innych, albo... wcale.

5.8.78

Same niepowodzenia. Kontrola sanitarna. Wszystko byłoby o OK, bo my zawsze na plusie, ale z drugiej stron jeziora ktoś zauważył Kubę, który akurat pił wodę z jeziora. Zrobiła się z tego kwestia. Postanowiliśmy przy sygnale o kontroli ewakuować psa do Leśniczówki. Pośpi se w stodole. Ale trzęśtam się z oburzenia. W Zgrupowaniu dwa psy. Jeden wilczur i drugi, zawsze ośliniony bokser doktorka. Ja im nie żałuję. Niech się przyżywiają, ale co komu moja niemoja psina zawadza. Zje tyle co nic, śpi całe dni, do garów lizania się nie wtrąca.

6.7.78

Ognisko komendanckie. Kadra wystąpiła z nowym programem: „Zespół Rozporek wita państwa dzisiaj, mówi państwu dobry dzień...” Wspaniale improwizowane dialogi na cztery nogi, metodą tej właśnie audycji. Na aktualne tematy obozowe. Wszystko w odniesieniu do życia obozowego. W czasie produkcji Rozporka przyszła kulturalna. Usadowiła się przy Kadrze. Wydaje się, że Duszek nie był specjalnie zachwycony tą wizytą.

7.8.78

Bardzo mi się podoba Rudy. To inteligentny, bystry chłopaczek.

Zafascynowany pierwszym w życiu obozem. Widać, że z tym dzieckiem rodzice dużo rozmawiają i odpowiednio do jego wieku. On jest akurat taki w sam raz, jaki powinien być dwunastoletni chłopiec. Ciekaw wszystkiego, umie cieszyć się z drobnostek. Przyniósł mi trzy zrosnięte grzybki i bardzo go interesowało, jak to się stało, że takie trojaczki.

Wizytacja chorągwniana. Wypadamy bardzo dobrze. Pochwały. Znów najwięcej punktów. W tym roku mamy innego kwatermistrza. Już nie Grześ grzybozbieracz, a Jerry niedojadek. Stary, dobry znajomy z zeszłorocznych dochodzących. Ze starych „Duszków” ubył Melon. To ten synek w żółtym szaliczku.

Po emocjach wizytacji rozmawiam z Duszkim. Mówię mu, że właściwie, mimo wszystkie przeciwności, jest fajnie. I jak miło, że znowu w tym samym miejscu jest obóz.

– To ty, matka, myślisz, że to poszło tak łatwo?

– Co mianowicie?

– No to, o czym rozmawiamy. O lokalizacji.

– Przecież świetna.

– I ja tak sadzę.

– No właśnie. Więc w czym problem? Do Zgrupowania blisko, a jednocześnie na górcę, więc dostatecznie daleko, żeby nam do garów i pod namioty nie zaglądali.

– O, to, to! Centralizacja! Rozumiesz? Chcą kontrolować każdy krok, dobrze, że nie myśli. Jeden Szpindler to fajny, inteligentny chłop. I bardzo rzetelny harcerz.

Świetny, dyplomatyczny moment.

– No, a druhna kulturalna ?

– Coś ty, matka! Może i ładna, może i miła. Ale ja nie lubię, kiedy dziewczyna zbyt...

– ... wychodzi naprzeciw? – kończę za niego.

– O, to, to !

8.8.78

Rozbiłam fatalnie nogę, potykając się o pień. Spuchnięta bardzo. Trzeba rozciąć nogawkę spodni, bo noga już się nie mieści. Zanoszą mnie do Zgrupowania.

W Zgrupowaniu sam opalony ogląda. Nawet brydża przerwał!!! Zaleca okłady z altacetu, którego w apteczce niema.

– Dawaj noże! Wszystkie! – wołam do Duszka po powrocie do domu.

– Po co? Szarpie będziesz rwać? – płoszy się Duszek.

– Nie! Jak zawodzi cywilizacja, trzeba imać się starych, wypróbowanych sposobów. Tylko nóż! Przyłożyć. I na jutro przejdzie.

Wieczorem przychodzi Piguła. Opalony ją przysłał. Przynosi leki uspakajające, bo altacetu wciąż brak.

– Dziękuję bardzo – powiadam – Jestem spokojna.

– Mam waleriankę! Może jednak?

– Miauuuu... – odpowiadam – Dziękuję. A jak się czuje pan doktorek?

– Przy kolacji udławił się ością od ryby.

– Palec Boży! – powiadam natchnionym głosem.

– W czym? W tej ości? – pyta niepewnie Piguła.

– Nie... W tym, że moja noga nie złamana. Przy takim spuchnięciu wcale nie wiadomo, czy kość nie naruszona – odpowiadam niewinnie.

Po wizycie Piguły liczne odwiedziny. Znam już wszystkie nowinki z placu apelowego, z kuchni, z lasu. Flagę na maszt wciągała mała Ania za wzorowe wypełnianie obowiązków kuchennych. Zupa pomidorowa się przypaliła, odczułam to na własnym podniebieniu, a dokładnie to przypalił się ryż w zupie, bo oni warzyli tę zupę ze wszystkimi dodatkami od razu.

A w lesie Magda spotkała spacerujące dwie sikorki. Były tak sobą zajęte, że nie zauważyły bystrych oczu harcerek. Są też przyniesione jagody, pyszne z prywatnym cukrem. I wianuszek grzybów. Adam wsadził głowę do mego namiotu, mruknął:

– Aha. – i... poszedł. Był też Jerry. To brat Rondla. Okazuje się, że on jest Jerry, a nie Dżeri. Muszę się nauczyć. Przyniósł trochę słodyczy z paczki od swojej mamy dla Mamy Duszek. Rozgadał się, o co u niego nie łatwo. On w ogóle jest zupełnie inny niż jego brat. Rondel wyrósł na bardzo przystojnego młodzieńca. Czarne, kręcone włosy, bystre oko, ujmujący uśmiech. Cienki w talii, jak młody góral, dociska pasa, żeby wydać się jeszcze zgrabniejszym.

Doskonale zdaje sobie sprawę ze swej urody i coraz to inna harcerka jest śmiertelnie i na zawsze w nim zakochana. Z czego to znowu wynika jego zarozumiałość i pewność siebie. Nie jestem tak zupełnie pewna jego wartości wewnętrznych. Jest on, co prawda, wychowankiem Duszka, ale nigdy nic nie wiadomo! Tak, jakby w tej jego urodzie czały się wszystkie możliwości i dobre i złe. Jerry, choć jego brat jest zupełnie inny. Jest jednoznaczny. Ginie przy urodzie brata, lecz jak mu się przyjrzeć, porozmawiać, uderza głębia myśli, rozwaga, wrodzona inteligencja. Rondel jest pięknopiórym ptakiem i... chyba to wszystko. Jerry natomiast ma wszelkie dane po temu, aby zostać bardzo wartościowym człowiekiem, może nawet działaczem społecznym.

Po wyjściu wszystkich gości, dowiedziałam się pod świętym sekretem, dlaczego nie ma na obozie takiego przecież entuzjastę obozowego, Melona. Otóż Melon chciał bardzo, ale to bardzo być w szczepie u „Duszków”, w szkole 97, w komendzie. Tak się złożyło, że Duszek miał już komplet i nie było miejsca. Zaproponował mu funkcję zastępowego... Melon nie zgodził się i poszedł z tym do rodzimego Hufca. Nagadał tam niestworzonych bredni, „co stoi, jak oświadczył Jerry, w jaskrawej sprzeczności z opiniami dzieci, opiniami wizytujących obozy, nagrodami i wyróżnieniami i jego, Jerrego, skromnym, osobistym odczuciem”.

Wtedy cała komenda szczepu została wezwana do Komendy Hufca. Komendant Hufca, Jan Szajter, osobiście i w obecności całej komendy szczepu w bardzo niewybrednej formie zmieszał Duszka z błotem, za, jak się wyraził gnojenie ludzi. A następnie... mianował Melona... zastępowym w szczepie „Duszków”. Czyli dokładnie to samo, co zdecydował Duszek przed gnojeniem. Wtedy Melon śmiertelnie obrażony, odszedł ze szczepu.

Ale z tego Duszka milczek! Ani wspomniał. Chyba w myśl zasady jego dziadka, że: „Choćby cię smażono w smole, nie mów co się dzieje... w harcerstwie”.

A ty, ubiegłoroczna idealistko, jak się teraz czujesz? To w harcerstwie też można podrzucać nie tylko świnie, ale i całe, tuczone bekony.

9.8.78

Jutro tradycyjna trzydniowa wycieczka. Propozycję gotowania dla zostających w Zgrupowaniu pozostawiam bez odpowiedzi, zdziwiona niewspółmiernie, że w ogóle mogli coś takiego zaproponować. Piguła obiecała przychodzić i przynosić mój przydział żywności.

Wieczorem, że też najciekawsze rzeczy dzieją się zawsze wieczorem, przychodzi Adam. Siada na podłodze namiotu. W oczach ma jakąś sprawę.

„No mów! – myślę sobie w duszy – mów, ty mały wilczku milczku!” A głośno:

– Co słyhać, druhu Adasiu?

Uśmiecha się tym swoim bezbronnym uśmiechem i duka, a każde słowo waży tonę:

– Jak się ciocia czuje?

I mam może mu nie przyszyć tego guzika do munduru? Bo, w końcu z tym przyszedł.

Wpadł Bynio.

– Przyszyłeś? – pyta.

– Taaa... – odpowiadam za Adama – Właśnie skończył.

Niewinne kłamstwo, a w zamian otrzymuję promienny, porozumiewawczy, już nie bezbronny uśmiech Adasia.

10.8.78

Nad ranem odjechali. Wszyscy. Zostałam sama. Przed wyjazdem wpadł Duszek, żeby pożyczyć trochę drobnych na wypłaty depozytów dziecięcych, potem Adam, żeby pożyczyć termos. Przypuszczam, że termos był tylko pretekstem, bo zaczął gładko, że Duszek wypłaca właśnie dzieciom wycieczkowe pieniądze, oddane przedtem na przechowanie. Na moje milczenie, zmienił temat. Dałam mu sto złotych. Ostrożnie je złożył, nachylił się i usiłował pocałować mnie w policzek. Jakoś mu to nie wyszło, bo trafił na mój nos, co nas oboje ubawiło i z tym wybył, uszczęśliwiony jak stadko przepiórek.

A tak, na marginesie. Po co, pytam, po co rodzice dają tak duże pieniądze dzieciom na obóz? Bo te moje Adasiowe sto złotych to jest bardzo, bardzo niewiele. Najniższy depozyt wynosi pięćset złotych, a jest wiele jedno i dwutysięcznych.

11.8.78.

Sama jestem. Właściwie niezupełnie. Pies Kuba, choć dalej kontynuuje swoje samopsie zwyczajnie zaszywania się na cały dzień w moim namiocie, lubi moje towarzystwo. Uważa nawet za swój psi obowiązek poszczekiwać rano na ptaka, zupełnie nie wiem za co, który niskim, cichym lotem przelatuje rano i wieczorem, w sobie tylko wiadomych celach nad namiotami. Siedzi teraz na czubku masztu. Jest tak duży, że widzę koralik oka, którym, przekrzywiając po ptasiemu łepkę, usiłuje zbadać czy nie grozi mu niebezpieczeństwo ze strony rozszczekanej w spokojnej ciszy poranka białej, kudłatej kulki.

Leżę sobie na słoneczku. Obok laska, a dokładnie laski, bo dzieci, na wyjezdny, przyniosły kilka, ładnie okorowanych. Leżę więc tak sobie i myślę o tych dniach i nocach harcerskich, które nanizują się na łańcuszek wspomnień. Usiłuję przemyśleć, na czym polega różnica między ubiegłorocznym, a tym obozem. Bo, że różnica jest, to oczywiste. Otacza mnie ogromna, prawie słyszalna cisza. A nikłe, dochodzące ze Zgrupowania głosy tych co zostali, jeszcze bardziej ją podkreślają. Czuję się trochę, jak Linde z „W pustyni i puszcy”. Zасыpiam.

12.8.78.

Jednak pies Kuba ma rację! Można przespać cały dzień, noc i jeszcze kawałek następnego dnia.

13.8.78.

Dziś powinni wrócić. Pewnie nocą. W dole słychać klakson auta. Jeden, potem trochę inny drugi. Coraz ich więcej. Ha! Odwiedziny stęsknionych rodziców. Spora grupka wchodzi już na górę.

Przez to przydługie spanie mogę poruszać się względnie swobodnie. Robię honory obozu. Przykro, że kuchnia nieczynna.

– Nic nie szkodzi – słyszę – my z wałówkami, bo wiemy, że tu czysty wydmóchów!

I zaczyna się. Wszędzie stereotyp. Koc, rozchełstana koszula pana, powiewające desusy pani, jaja na twardo, mięsiwa, butelczyna, puszek z zagranicznymi sokami i obowiązkowo ryczący tranzystor. O tempora, o mores! Przy każdym legowisku rośnie sterta tłustych papierów, puszek, skorup. Dwa auta myją się w naszym jeziorze. Jutro dzieci będą miały godzinę czystości obozu i okolic. Żebyż ten Duszek już wrócił!

Jest kilka miłych wyjątków. Matka małej Ani ze „Złotych Łap”. Miła, spokojna, skromna pani. Bardzo zmęczona, bo nie autem, a całą noc pociągami i pieszo z Koczały. Komplementuję ją za sposób wychowania córeczki.

– Ależ to chyba oczywiste – odpowiada zażenowana – dziecko trzeba, wydaje mi się, tak wychować, żeby z nim było dobrze. Wtedy i jemu będzie na pewno dobrze.

Zupełnie sensowne i mądre.

I drugi wyjątek. Przeurocza pani. Trudno nawet opisać, na czym polega jej urok. Tu już nie chodzi o urodę, zadbanie. Ubiór który nosi jest bardzo skromny. Ciemnozielony dres, pomarańczowa chusteczka przy szyi i także trampki. Umie to nosić. Jest bardzo spokojna, opanowana, ogromnie inteligentna. Umie słuchać. Już wiem, że to matka Rudego. Bardzo interesującą rozmowę przerywa powrót naszej wycieczki. Robi się jeszcze gwarniej.

Magda i Jacek muszą zaraz, koniecznie zaraz, opowiedzieć wrażenia z wycieczki, której Jacek w zeszłym roku tak smutno i nie ze swej winy, był pozbawiony. Magda i Jacek nie chodzą już do szkoły 97. Mieszkają gdzieś na Grochowie. Ale na wiadomość, że i w tym roku Duszek będzie organizował obóz, pierwsi przywieźli karty zgłoszeniowe.

– Poznałam matkę Rudego – mówię na przywitanie do Duszka – cóż to za przemiła osoba.

– Ba! – odpowiada, jakby to była jego zasługa – To przecież dyrektorka szkoły 97. To wspaniały, unikalny człowiek. Takich ludzi należało by specjalnie chronić. Doskonały pedagog, dobry, mądry człowiek.

14.8.78.

Podobno sucha statystyka niewiele daje. A jednak. Przeprowadziłam własną, prywatną ankietkę.

MARLENA, lat 15. Pierwszy raz na obozie. Jest tu na zasadzie przechowalni. Rodzice pojechali za granicę i z jakichś tam względów nie mogli jej zabrać. Przyjadą na parę dni przed końcem obozu i wtedy pojedą autem do Bułgarii. Nas obozie jest ładnie, ale nudno. Nie ma żadnych atrakcji, dyskotek, telewizji. Trzeba wstawać o siódmej rano. Harcerstwo jej nie interesuje.

IWONA, lat 16. Ditto. Tyle, że nie do Bułgarii, a do Rumunii. W Bułgarii była w zeszłym roku. Nic ciekawego. Chyba tylko kozuszki. Przywiozła trzy. Dwa sprzedała w komisie. Ojciec zmienia auto. Do Rumunii pojedą polonezem.

HALINKA, lat 15. Trzeci raz na obozie. Rodzice pojechali na wczasy z biura nad morze, do Ustki. Mogła jechać. Ale ona tylko obóz. Innej formy wakacji nie wyobraża sobie. Że pracy dużo? To co? Ona lubi pracować. Halinka jest zastępową, to ta która miała problemy. Miała. Bo już ich nie ma, w jej zastępie jest dużo lepiej.

TERESA, lat 13. Rodzice rozwiedzeni. Ojciec na stałe w RFN, matka prowadzi jakąś farmę. Lubi być na obozie, ale mówi to bez większego entuzjazmu.

AGNIESZKA, lat 13. Trzeci raz na obozie. Agnieszka to mała Ania. Ależ, powiada z ogromną powagą w wielkich, sarnich oczach, przecież tu mogę się

sprawdzić. Co przez to rozumie? Chcę, odpowiada, wiedzieć jaka jestem. Ile mogę, na ile mnie stać i robić jeszcze więcej.

A chłopcy? Też nie lepiej. O Janku mówią z pogardą, bo jego ojciec ma tylko Syrenkę. Licytują się, kto ma lepsze, zagraniczne, oczywiście, džinsy, magnetofony. Znają doskonale marki zagranicznych papierosów i wódek.

Licytują się w stanowiskach rodziców. I to są harcerze i harcerki?.

I jeszcze to, co zauważyłam już dawniej. Kto i po co wpadł na pomysł drużyn szkolnych! Kiszą się w tym samym, szkolnym sosie. I te same dyskryminacje. Żadnych szans dla słabszych.

15.8.78.

Dziś mają dyżur w kuchni „Duszki”. Witają mnie w kuchni tradycyjnym już: „Stuk, stuk..” w połę namiotu gospodarczego. A ja muszę zapytać koniecznie: „Kto tam?” – bo inaczej nie byłoby zabawy. I wtedy oni odpowiadają bardzo poważnie, z żartobliwym podtekstem: „To my, młode kartofelki”.

16.8.78.

Smutna sprawa. Przerwane ognisko. Mały dwunastoletni chłopiec wystąpił z piosenką. A przed ogniskiem rozmawiał ze mną, opowiadał, że był we „Gawędzie”. Był, ale już nie jest, bo mu się nie opłacało. Za mało było wyjazdów za granicę. Więc ten eks uczestnik „Gawędy” zaśpiewał piosenkę o pijaczku. Wszyscy czekali na zakończenie, na jakiś bodaj morał, pouczenie, izbę wytrzeźwień, bo ja wiem na co. A tu nic. Nie padł ani jeden klask. Duszek zarządził przerwanie ogniska. Zastępowemu dostało się za nie sprawdzenie tekstu. Tłumaczył się tym, że przecież chłopiec był w tej „Gawędzie”, to chyba wystarczyło. Najciekawsze, że nikt nie szemrał z powodu przerwania najważniejszej w końcu pozycji dnia harcerskiego. Wszyscy uważali, że to była słuszna decyzja.

17.8.78.

Skrewiło zaopatrzenie. Będą więc placki kartoflane. Rano były na kwadransie ziemniaki, a na obiad wydali bez zapowiedzenia ryż. Zbuntowałam się i sama zdecydowałam. Marcin pomaga. Ogniomistrz Marcin to blady, spokojny chłopiec. Wychowuje go matka. Sama. Marcin rozpromienia się tylko na temat spraw obozowych harcerskich i „duszkowych”. Bardzo go lubię i patrzę z przyjemnością, jak pokrzykuje na młodszych, coby chrustu, coby szyszek. Rozpadało się. Siąpi deszczyk. Nie duży, ale uciążliwy. Jest przyjemny, wolny czas pokolacjowy. W moim namiocie przytulnie, sucho. Wiatr szeleści okapem, szemrzają krople deszczu i przedwieczornie obóz.

Sprytnie zainstalowana lampka obozowa oświetla małe wnętrze. Trochę poczytam, napiszę kartkę do Krysi. Wczoraj był od niej list. Powiedziałam Adasiowi, że mała Ania tęskni za nim. Nie przejął się, wzruszył ramionami i poleciał do swoich spraw. To było wczoraj. Teraz odpoczywam. Aliści... najpierw jedna głowa w pole namiotu, potem druga...

I tak się zaczyna moje prywatne ognisko lub raczej kominek. Siedzę na polowym łóżku, obłożona z jednej strony Magdą, z drugiej Anią. Są już wszystkie „Duszki”, Rudy, który jest zawsze tam, gdzie dzieje się coś ciekawego i trzech nowych pozytywnych. Rozmowa toczy się wartko i żywo. Dotyczy przede wszystkim wspomnień z ubiegłorocznego obozu.

Wspomnienia rzecz dobra, ale nie na długo. Zaczynamy śpiewać. Jak oni to

lubią! W trakcie ich ulubionej piosenki „Pod żaglami Zawiszy”, zagląda Adam. Wsuwa się cichutko i przylega w kącie. Nie zwracam pozornie na niego uwagi i nie patrzę w jego stronę. Ale już kombinuję, jakby tu wciągnąć go do wspólnej zabawy. Pomysły padają szybko. Gra w inteligencję, przysłowia wyrażane mimiką, wreszcie proponuję odgadywanie postaci. Na pierwszy ogień idę ja. Pokazuję, że mam (a akurat miałam) jabłko w jednej ręce, w drugiej patyk (skarby Kubie który znowu śpi). Palcem rysuję zarys korony. Już słyszę chichoty i szepty:

– To król! Tylko który?

– Może Łokietek? – mówi Rudy.

– Coś ty! – protestuje młodszy Majówka – druhu kucharka to raczej Kazimierz Wielki!

Reszta ich ucisza.

A ja dalej zaznaczam wielką, szeroką szatę. Zaraz usiądę na tronie, no może nie tyle na tronie, co na Magdzie. Ona piszczy, raczej z uciechy, niż z obrażeń cielesnych. Ze śpiwora niepewnie zaszczekał pies Kuba. Zmieniam szybko miejsce i klękam na jedno, to zdrowe, kolano.

– „Hołd Pruski” w Malborku – wrywa się Adam – Ja wiem. Byłem tam. Widziałem.

Odpowiada mu ogólny ryk. Adam nie jest pewien, czy powinien się obrazić. Obserwuję go pilnie. Chęć zabawy przeważa. Zbiera na odwagę i, trochę za głośno, powiada:

– Teraz ja! Nikt nie zgadnie!

Robi z palców obu rąk trójkąt, wychyla się z namiotu (suwak ciągle zepsuty) i obserwuje przez te palce niebo, udaje, że coś zapisuje. Ja już wiem, ale wcale nie wiem czy szybkie odgadnięcie usatysfakcjonuje Adama, choć on patrzy teraz tylko na mnie i robi głupie, całkiem nie kopernikowskie miny.

– Optyk? – zgaduje ktoś.

– Nie! – z dumą powiada Adam i dalej patrzy na mnie, a ja dalej nie wiem, co mam zrobić.

– Astrolog? – próbuje Maciek.

– Kopernik! – nie wytrzymuję.

– Tak, tak – cieszy się Adaś. Aż pokraśniał na buzi.

Dalej zabawy, gry, śpiew.

– Co robicie? Słysząc was aż w Koczale. Można? – pyta ceremonialnie głowa Duszka w wejściu namiotu.

– Duszku! Prosimy do nas – wołają wszyscy. I widać, że oni naprawdę chcą, żeby był z nimi.

– Moje prywatne ognisko, druhu komendancie – mówię niemniej ceremonialnie. Miejsca coraz mniej, za to robi się coraz weselej.

Dla nich to jest najważniejsze, że jest Duszek. A on spokojnie pyka z pustej fajki, bo się odzwyczajają od palenia. Nawet skutecznie. A dzieci chcą zaraz: „Dymi faja kapitana..”.

Więc:

Daleka droga, daleki ląd
Niech wszystkie troski odejdą stąd!
Za rufą kipi wody piana,
dymi faja kapitana.
Siwy ląd rozpływa się we mgle!

I snują się opowieści. Mały namiot wypełnia się dodatkowo postaciami: „Zawisza Czarny”, na którym się zawsze polega, Baden–Powell, który uczył się sam harcerstwa, a właściwie skautingu, by potem móc nauczać innych. Małkowski, który za karę musiał przetłumaczyć na polski: „Scouting for boys” i tak się tym przejął, że założył polski ruch skautowski. Ciekawostki o wczesnym harcerstwie, ich umundurowaniu, śmiesznych kapeluszach o szerokim rondzie, podwiązywanych pod brodą, innych podkładkach, innego wzoru lilijce...
– Wpół do dziesiątej, robale! Koniec zabawy – oznajmia Duszek.
Czar zasłuchania pryska. Rozchodzą się niechętnie.
Za chwilę dźwięk sygnałówki ogłosi porę snu i marzeń:.

Idzie noc. Słońce już
Zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz.
W cichym śnie spocznij już.
Bóg jest tuż.
Czuwaj!

18.8.78.

Nocne przygotowywanie prowiantów. Całość śpi w jednym namiocie. Reszta rzeczy spakowana. Pada deszcz. Z dala, mimo deszczu, widać płonące ognisko. Komendant siedzi przy ogniu. Na ogień i na jego głowę pada deszcz. Wokół ogniska porobiono małe, jednoosobowe szałasiki. W nich śpią w śpiworach, pod plandekami „Duszki”.

Rano, tuż przed wyjazdem w okolicach obozu, którego już właściwie nie było, pojawił się... Melon. Poprosił Duszka o zabranie jego i jego dziewczyny plus namiot, bo im wyszli pieniądze. Tak. Duszek się zgodził, ale na teren obozu, nieobozu, nie zostali wpuszczeni.

19.8.78.

Wyjazd do Warszawy. W autobusie czas na reasumpcję. W zeszłym roku sprawa dzieci z Domu Dziecka, które tworzyły jedną drużynę. To był niezawodnie błąd. Jak się odbił, wiadomo. A teraz różne dzieci przemieszane z „Duszkami”, których za mało, aby mogły mieć decydujący wpływ na postawę reszty. I ci, samochodowo bananowo zagraniczni zblazowicze! Czy ja nie wybrzydza za bardzo? W końcu wszyscy są bardzo zadowoleni z obozu. A już za sukces może sobie Duszek poczytywać fakt, iż Marlina oświadczyła, że jednak na przyszły rok pojedzie na obóz, bo się wiele nauczyła. Tu i ówdzie udało się rozbić cienką warstewkę pseudo cywilizacji. Ale na jak długo?

20.8.78.

Już Warszawa. Odbiór kluczy od niezawodnej sąsiadeczki, pani Marysi. I pierwsze pytanie Adasia:

– Co z moim kaktusem?

Był, żył i nawet wyładniał. A Adaś oświadczył:

– Ale zaś fajna jest nasza sąsiadka.

Ja zaś odstawiam na półkę kolejną książkowa nagrodę. W zeszłym roku to był (Hospody pomyłuj!) „Małpi Zamek” Górańskiego: „Druhnio Marii Kowalczyk, obozowej Mamie Duszek, za doskonałe pełnienie funkcji kuchennej” i tu podpisy Wszystkich Ważnych. A teraz: Iskier „Przewodnik Sztuki Kulinarnej”

„Druhnice Marii Kowalczyk za bardzo dobrą pracę na obozie Szczepu 173 WDH i Z w Dźwierznie” – i też podpisy. Wtedy i teraz nagroda pieniężna i wcale nie bagatelna, tym miłsza, że zupełnie niespodziewana.

Pomyśli kto: chwali się! Tak. Właśnie tak. Chwalę się i wcale się tego nie wstydzę. Jestem dumna ze swoich skromnych osiągnięć. Co innego jest bowiem gotować dla dwóch, trzech osób w domu a co innego odpowiadać za kotły dla 40–50 ludzi.

I udało się, jak widać! W myśl zasady mego ukochanego Ojca, którego prochy dawno już rozwiał oświęcimski wiatr, a który mnie uczył: „Cokolwiek w życiu robisz, rób to dobrze i nie istotne czy jesteś ministrem czy zamiataczem ulic”.

21.8.78

Teczka jest nowa, czerwona i ma dwa paski: dłuższy na ramię i krótszy do niesienia w rękę, gdy jest bardzo naładowana. Zabrał wszystkie książki na wszelki wypadek. Na ramieniu swetra i wiatrówki tarcze przyszyte na amen. Uczeń, jak się patrzy, zwłaszcza z balkonu. Odwraca się i macha. Dwa razy macha. Raz, zaraz pod balkonem, drugi raz na końcu uliczki, przy narożniku bloku. Do machania z samej chęci odpowiedzi na moje, dochodzi gest, wskazujący mi, abym się cofnęła do pokoju, bo zimno. Rzeczywiście rano chłodny.

22.8.78

Wrócił dziś ze szkoły o dziewiętnastej. Byłam już bardzo niespokojna, ale Duszek przypomniał, że przecież oni mają, z pomocą studentów, odrabiać lekcje w świetlicy, a potem, po obiedzie treningi. Niby to bardzo ładne, ale Adam już ma zadane lekcje na jutro i one nie są odrobione, bo:
– Studenci byli, chwilę, ciociu, byli, coś tam gadali, kazali zrobić z matmy nie to co zadane ze wczoraj, tylko takie inne, trudne. To myśmy się bawili. A potem byli treningi.

Odruchowo poprawia na były a następnie na byli trenerzy.

– Pomyliło mi się – mówi.

I teraz, zmęczony, głodny, ma odrabiać lekcje? Po kolacji usypia nad książką. Macham ręką. Niech idzie spać. Powtarza się historia z ubiegłego roku.

23.8.78

Dyżur u Ani. Można już zupełnie nieźle porozumieć się z nią. Opowiadam jej bajki, pokazuję obrazki. Wynajduję pomoce naukowe w postaci kolorowych pocztówek z Empiku i prowadzę bardzo poważne rozmowy o lalce, piesku głuptasku i kocie w butach.

Ze ściśniętym sercem obserwuję rozwój tego dziecka. Jakże jest inne niż Adam. Nie chodzi tu oczywiście o różnicę wieku. Do Adama można mówić i tłumaczyć trzy razy, nie dociera. Nie rozumie, przekręci, nie zapamięta. Ani wystarczy raz powiedzieć, wyjaśnić, pamięta wszystko. Jest zorganizowana. Ale muszę być sprawiedliwa. Nad tym dzieckiem pracują wszyscy: dziadek, dwie babcie, rodzice, dwóch wujków, trzy ciocie no i oczywiście matka i ojciec. A nad Adamem, kiedy był w tym wieku, kto pracował, kto pochylał się z troską i miłością? Pielęgniarki i wychowawczynie wypełniały zapewne bardzo starannie trudne i uciążliwe ze względu na ilość podopiecznych, obowiązki. Ale to było wszystko.

24.8.78

Jak szybko zapalają się w nim pragnienia i jak szybko gasną. Znalazłam dziś u siebie na oknie doniczkę z kaktusem Adasia.

– Bo ja zapominam podlewać i albo za dużo, albo usycha. A ciocia to umie z roślinami. Więc odstawiłem na ciociny parapet. Ciocia ma szczęśliwą rękę do roślinek.

Żeby tak mogła mieć szczęśliwą rękę do tej ludzkiej roślinki .

25.8.78

Zdaje się, że nastąpił spadek zainteresowania książkami. Przeglądaliśmy razem spis lektur na VII klasę. Kilka poważnych pozycji ma już przeczytane i zanotowane w prywatnym dzienniczku lektur. Teraz jest na warsztacie Bolesław Prus: „Katarynka”, „Anielka”. „Katarynka” podobała mu się bardzo, bo:

– Ten mecenas był dobry.

I tu szereg pytań:

– Co to stróż?

– Co to katarynka i kto to mecenas?

Zanielubił natomiast „Anielkę”, a wraz z nią całego Prusa. Powiedział, że takich książek nie lubi. Ja też nie lubiłam i teraz nie umiem go przekonać, że Prus to wspaniały pisarz.

26.8.78

Wpadł do domu rozogniony. Pierwsza rzecz, jak mi się rzuciła w oczy, to brak tarczy. I przy swetrze i przy wiatrówce.

– Dlaczego? – pytam – co się stało?

– Z czym? – nie rozumie.

– Jak to z czym? Z tarczami?

– Przecież je mam. – I najniewinniej wyławia je z teczki.

– No bo – wyjaśnia, widząc pytanie w moim wzroku – inni pozrywali, to ja miałem być gorszy?

– Miałeś być lepszy, a nie gorszy. Proszę, weź igłę, nici i przyszywaj.

– Nie przyszyję! A poza tym, to tam są dziury – zmienił nagle ton – To może by ciocia? Ciocia tak ładnie to umie.

Aha! Tędy cię wiedli.

– Dobrze. Tym razem przyszyję. Ale następnym razem ty sam. Wyrzuć śmiecie i posprzątaj swój pokój, bo bałagan straszny.

– Tak mi się nie chce.

– A! To szuj sam.

– Już wyrzucam. Pożartować nie można?

Czy to dobrze, że go tak trochę szantażuję? Chyba to się nazywa manipulacja.

27.8.78

Dziś niedziela. Adam od rana ubrany, śniadanie ledwo, ledwo.

– Ja wychodzę, ciociu.

– Dokąd, Adasiu! – pada sakramentalne słowo wszystkich matek.

– Na mecz. Mamy się spotkać na Stadionie Dziesięciolecia.

Stadion ogromny. Znów się niepokoję:

– A zbiórka nie w szkole? Jak wy się na tym stadionie odnajdziecie? Może pojedę z tobą?

– Nie, nie! Co ciocia! Ja nie dziecko. Trafię.
Niby racja. Ale coś tu nie tak.

28.8.78

W dzienniczku prośba o telefon do szkoły. Wychowawczyni stwierdza, że Adam, z dwoma kolegami zresztą, nie zgłosił się na zbiórkę przedmeczową w szkole. Odnalazł, co prawda, swoją klasę na stadionie, ale ona prosi, żebym poinstruowała...

Więc instruuję. Spuszcza głowę, zacina się w milczeniu. Nie umiem rozładować. Chodzimy koło siebie na sztywnych nogach. Dopiero wieczorem przychodzi do mnie, siada na brzegu tapczanu i duka, że on chciał sam, zupełnie sam... Znow nauczył mnie czegoś. Trzeba poluznić lejce.

29.8.78

Poszarpana teczka, wyrwane z mięsem paski. Właściwie już nie do naprawienia.

– Bo, bo, my tego... torbą łatwiej.

– Co łatwiej? – a włos mi się jeży.

– No, bić się.

Znowu to samo.

– O co poszło tym razem? – pytam, ale już mi wszystko jedno.

– O miejsce w pierwszej dziesiątce w biegach,

– I co?

– I nic. Do tej pierwszej dziesiątki na trzecie miejsce pan wytypował dwóch. Ja i jeszcze jeden, taki gnój...

– Jak???

– No Gnojewski. Ale my go tak przezywamy, bo krócej. Ale to bez złości, ciocia! Tak. Przez czapki bez most.

– To – kontynuuje – połowa klasy była za nim, żeby on na to trzecie miejsce, a połowa za mną – kończy z dumą.

– Rozumiem, Adasiu. Ale przecież stąd daleko do szarpaniny i bójki.

– Ciocia się nie zna! Jak jeden zacznie, to reszta leci na bij, zabij.

Chyba naprawdę się nie znam. Ani na szkole ani na sporcie.

30.8.78

Dzień Ani. W czasie jej dwugodzinnego snu można odpocząć i przemyśleć to i owo. Dzwonek u drzwi. W drzwiach Adam. Już po minie widzę, że nie tego.

Czyżby Gnoj wygrał?

– Świetlica dziś nieczynna – zaczyna dyplomatycznie.

– Dlaczego?

– Odszczurzenie. I obiadu nie dali.

Prócz głodu, który go tu przygnał, ma jeszcze coś w zanadrzu. Widać wyraźnie. Nie ułatwiam mu zadania. Siada przy stole kuchennym, tyłem do okna.

– Pokaż twarz.

Chowa ją na boki. Ślady podrapania.

– Mam uwagę w dzienniczku.

Dobrze, że choć mówi.

– Bo ciocia ma przyjść do szkoły. Jutro.

– Opowiadaj!

Bardzo niechętnie ciągnie o woźnej, która go zbeształa za plucie na podłogę.

No to on jej wygarnął. No to ona się poskarżyła gdzie trzeba. I z tego zaraz cała draka. W dzienniczku uwaga, że czyni niewłaściwe uwagi na lekcjach. Znow na granicy wulgarności.

– Ale ciocia, jak pani mówi do chłopaka na lekcji: „Ty gówniarzu, ty gnojku”, to jest w porządku?

Nie odpowiadam.

31.8.78

Rano jadę z Adamem do Przychodni. Pani psycholog bada go. Znajduje, że wszystko w porządku. Rozwija się prawidłowo. A te bójk, szarpaniny, drapania, to wpływ otoczenia. Wiec jednak.

– Zmiana szkoły? – pytam, właściwie już zdecydowana.

– Chyba jednak tak. Trochę szkoda kondycji fizycznej, jaką nabył, ale... To decyduje. W domu wielka rozmowa z Duszkim.

– Załatwisz? – pytam z nadzieją.

– Załatwię! Jutro będę w obu szkołach.

1.9.78

Przez te dwa dni podrapania podleczą się, może będzie wyglądał przyzwoicie na początek w tej nowej szkole. Decyzja już zapadła, ale ważę jeszcze raz pro i kontra. Najbardziej mi żal pani od polskiego. W braku kandydatek, przyjęto emerytkę, która wykłada język polski tylko w klasach szóstych. Ale jak wykłada! Właściwie podręcznik służy jej tylko jako wiodący plan pracy. Opowiada na lekcjach anegdoty, ciekawostki z życia naszych prominentów literatury. Uczy recytacji wierszy nie objętych planem. Nawet śpiewa z dziećmi piosenki.

Adam na wiadomość o zmianie szkoły, zamyka się w swoim pokoju. Lecą na ziemię książki, zeszyty, zabawki...

Odczekuję dyplomatycznie dobrą godzinę. Potem wołam go na kolację. Wtedy słyszę gwałtowne sprzątanie.

Już pogodzony z nową sytuacją, nie wraca do tematu. Ja też.

Wieczorem, na widok mojej robótki szydełkowej, pyta:

– Co ciocia robi?

– Sukienkę dla Ani.

– Taka biała będzie? Ona ją zaraz pobrudzi.

– To na chrzest Adasiu!

– Co to chrzest, ciocia?

Zdaję sobie nagle sprawę, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie podjęłam z nim tej sprawy. Przecież w DD sprawa religii nie istnieje, więc niby skąd to dziecko ma mieć o niej jakiegokolwiek pojęcie. Zaczynam tłumaczyć, najrzetelniej, jak umiem. Słucha niechętnie, opornie. Wyraża po swojemu lekceważenie. Zostawiam temat na później, ale muszę zapamiętać, aby przy okazji doń powrócić.

2.9.78

Przygotowania do jutrzejszej uroczystości. Adam udaje brak zainteresowania.

Denerwuje się na polecenie kąpieli, umycia głowy i zmiany koszuli. Po ablucjach sam wraca do sprawy religii.

– Dlaczego – pyta – jeśli Bóg wszystko może, to nie zrobi tak, żebym dobrze się uczył? Albo, żebym był zawsze grzeczny?

W przystępny sposób staram się wytłumaczyć. Tym razem słucha uważnie.

- To znaczy, ciocia, że najsampierw to ja muszę chcieć, a potem ten, ten...
- Bóg – dodaję poważnie.
- O! Właśnie! To on mi dopomoże?
- Tak, Adasiu.

3.9.78

Na Madalińskiego ruch. Zamęt i poruszenie w całej rodzinie. Roją się te Kowalczyki. My już jesteśmy w pełnym składzie: to znaczy: wujek Duszek, wujcio Adam (sic!) i ja. Jest Wojtuś z Halinką i Pawłem, który natychmiast musi z Adasiem pobawić się w wojnę klockową, najlepiej pod stołem. Za chwilę przychodzi matka chrzestna, Lilka, o której Adam mówi, że jest bardzo fajna i którą my bardzo lubimy i ojciec chrzestny, też bardzo fajny, może go też polubimy, bo go jeszcze dobrze nie znamy. Wreszcie zajeżdża, co prawda nie poszóstnie, ale własnym autem, dziadek Kazio.

Dziecko jest już gotowe. Szalenie poważne, w sukieneczce i kapelutku damy z XIX wieku. Dziecko wiezie dziadek Kazio, reszta idzie piechotą, bo do kościoła blisko. Wszyscy są bardzo poruszeni. Adam ma wypieki na buzi i dźwiga, przewieszane przez ramię jakieś aparaty. Andrzej, ważny tata i dziadek też obwieszony trzema aparatami fotograficznymi (jeden zapasowy w aucie) miotają się z kamerą filmową, błyskają fleszami po całej kaplicy.

W rezultacie, te najważniejsze zdjęcia będą nieudane, bo obydwoj panowie zapomnieli ze zdenerwowania zdjąć osłony z obiektywów. Komunikuje mi to tragicznym szeptem dziadek, na co Adam parska śmiechem, powodując lekkie zgorzsenie w tłumie. Chrzest bowiem odbywa się hurtem, zbiorowo.

Kilkanaście jednocześnie. Adam z wielkim zdziwieniem obserwuje wszystko. Nawet klęka za innymi, kiedy trzeba.

Po uroczystościach czeka nas pięknie nakryty stół i mnóstwo dobrych rzeczy. Adam, zezując niepewnie w moja stronę, pałaszuje ogromną górę sałatki, a potem przy deserze, trzy razy wyciąga rękę po kawałek tortu.

– Adasiu! – mruczę przez stół.

– Maryleczko! – interweniuje Lilka – przecież on rośnie. Musi dużo jeść. Mam syna w jego wieku, no może trochę starszy, to wiem.

I tą interwencją Lilka kupuje sobie serca Adama na amen. Przy wstawaniu od stołu, odsuwa jej krzesło. Ręk nie pociera, uśmiecha się radośnie, jest rozluźniony.

Uroczystości domowe kończy niespodzianka. Dziadek Kazio wygrzebał w starych papierzyskach wiersz, który napisał dla Krysi jeszcze w 1943 roku, zaraz po jej urodzeniu. Odczytuje go teraz z poźółkłej, sfatygowanej kartki, Zapada cisza. Tylko Lilka tłumaczy coś cichutko Adasiowi.

Potem mi mówi, że Adam nie zrozumiał, dlaczego w wierszyku była mowa o wojennym podarunku tulipana i grzechotki i dlaczego jest tam życzenie, aby w innych warunkach obchodzić na przyszły rok imieniny.

– Wytłumaczyłam mu – mówi – że to był jeszcze czas wojny. Dla niego Polska jest od zawsze. A wojna i okupacja to historia z podręczników.

4.9.78

Sprawa zmiany szkoły załatwiona. Rano sterczę na balkonie. Wychodzą razem, Duszek i Adam. Adaś wzrostem tak jakby doganiał Duszka. Na dole nie

odwracają się, rozmawiają zawzięcie o czymś.

Duszek ma zwyczaj, wychodząc, machać mi nie odwracając się. I teraz tak czyni. Adam natychmiast robi tak samo. Teraz już dwie ręce posyłają mi pozdrowienia.

5.9.78

Czyta. Znowu czyta. Tym razem „Sposób na Alcybiadesa”.

– To z lektury? – pytam.

– Neeee! Lektury nudne.

– Hm! Ale lektury też trzeba.

– Ciocia! Ale to takie ciekawskie, o tym Arcybiadesie.

– Alcy, alcy...

– No niech cioci będzie! Żeby to tak w szkole mogli uczyć, jak on, ten profesor ich uczył.

6.9.78

Z polskiego i historii po dwie czwórki. Matematyka, dwójka. Z fizyki uwaga o braku pracy domowej. Rozmowy, przypomnienia, nie są to sprawy które Adaś najbardziej lubi. Obiecuje, robi słodkie miny, a ja wierzę... aż do następnego razu.

Dziś był zadany wiersz na pamięć. Znow rysowaliśmy komiksy: jeden obrazek ja, drugi on.

Wieczorem przyszedł do Adasia gość. Adam był bardzo przejęty. A to przyszedł z piętra niżej chłopiec w jego wieku zapytać, czy Adam nie ma przypadkiem książki: „Ślad rysich pazurów”. Przepadkiem miał. Nie tyle on, co Duszek. Ale Adam powiedział z dumą:

– Tak. Mamy tę książkę w domu.

Za pozwoleniem Duszka, sam ja wyszukał w jego ogromnej bibliotece.

– Tylko nie trzeba zniszczyć – pouczył Adaś swego gościa.

Chłopiec nazywa się Rafał, robi bardzo miłe wrażenie. Zaraz umówił się z Adasiem na pogramie w piłkę jutro po południu.

7.9.78

Z zajęć praktyczno–technicznych dwie dwójki i uwaga: „Uczeń nie przygotował potrzebnych materiałów”.

Uczeń przyznał, że nudziło mu się na tych dwóch (ja myślę!) godzinach. Porobił więc z kartek zeszytowych strzały i zasypywał nimi kolegów. Natomiast sukces, czwórka z zajęć plastycznych. Z umówionej gry w piłkę z Rafałem nic nie wyszło. O ustalonej godzinie Adam nie chciał zejść. Poszłam więc ja. Szkoda, że w tych blokach żyje się tak bardzo oddzielnie. Mieszkamy tu już dziesięć lat, a dopiero teraz odkrywam taką sympatyczną rodzinę. On profesor od bardzo ważnych spraw nuklearnych, ona ukończony chemik. Oboje bardzo sympatyczni. Mieszkanko identyczne jak nasze, ale urządzone inaczej.

Chłopcy, bo Rafał ma brata, mieszkają w średnim pokoju, rodzice w małym, takim jak Adasia, a w dużym, prawie pozbawionym mebli jest urządzony salon. Kilka uroczych kącików.

8.9.78

Adam był znowu na Madalińskiego. Teraz ma więcej wolnych chwil. Pomagał

przy obiedzie małej, a potem dobrał się do biblioteki Andrzejów. Wyciągnął książkę o olimpiadach i już świat dla niego nie istniał.

9.9.78

Przyszła paczka z Belgii od mojej przyjaciółki. Zawierała, prócz džinsów i swetrów dla Adasia, jej reportaż: "Jak walczyłam z rakiem". Biedactwo choruje już od kilku lat. Adam natychmiast chwycił broszurę, ale równie szybko odrzucił ją zde gustowany.

– To po francuski! Nie paniemaju. Ciocia przetłumaczy.

Wybieram na chybił trafił kilka zdań o początkach choroby, o usilnej chęci, mimo bardzo smutnych perspektyw, walki, narzuconej sobie żelaznej dyscyplinie. Słucha uważnie, a potem powiada:

– Ja bym tak nie umiał, nie potrafił. Ja bym się poddał.

Długa rozmowa na ten temat. Coś niecoś jednak dociera.

10.9.78

– Ciocia! Błagam, mundur, guziki! A ja skończę „Pana Wołodyjowskiego”.

– Przecież już raz kończyłeś!

– Tak, ale ja jeszcze raz, wszystko od początku tego końca. Bo wtedy, na wakacjach to ja trochę na łapu–capu. To bym miał zaliczoną całą Trylogię.

– Dobra. Przyszyję ci te guziki, ale co z lekturą szkolną?

– Oj, ciocia to taka katarynka prusowa! Cięgiem w kółko!

– Adasiu!

– No co, przecież nic takiego nie rzekłem!

Powiedział: rzekłem. To warte przyszycia guzików!

11.9.78

Dzień mundurowy Ochoty. Obydwaj pomaszzerowali do szkoły w mundurach. Tyle, że szarże nieco inne. Adam w harcerskim mundurku polowym, Duszek w instruktorskim z zieloną podkładką – podharc mistrz.

Po południu miał miejsce dziwny przypadek. Ktoś gwałtownie załomotał do drzwi. Nie zadzwonił, a walił pięściami. Otworzyliśmy z Adamem szybko. W drzwiach mignął nam przerażony Rafał. Minął nas, wpadł do mieszkania i pobiegł bez słowa do mego pokoju. Zaraz po nim rozległ się głos dzwonka. Tym razem w drzwiach stał obcy człowiek z kijem w ręku.

– Gdzie ten łobuz!? – krzyknął, a właściwie zaryczał. – Ja mu pokażę. Skórę złoję!

Tu wyraził się bardzo dokładnie, w którym to mianowicie miejscu ma zamiar tę skórę złoić.

Zupełnie zdezorientowana, poczułam się trochę nieswojo i zupełnie odruchowo, nie kontrolując siebie, zawołałam:

– Adam!

Bo on wybył po obejrzeniu dziwnego gościa. Przybiegł natychmiast i... moje kochane chłopię... stanął w postawie obronnej, zasłaniając prawie mnie sobą.

– To nie ten! – pienił się jegomość – Ja widziałem, uciekł do tego mieszkania.

– Może pan wyjaśni nareszcie o co chodzi – spytałam możliwie spokojnie.

– Pani go wyda, pani go odda, to ja już mu wytłumaczę – tu potrząsał kijem w moją stronę – On dobrze wie o co chodzi, taki syn, szybę mi wybił w piwnicy.

– Czym? – pytam oziębło – Kamieniem?

– No nie, piłką!

– Dobrze. Proszę o nazwisko, adres. Wrócą rodzice chłopca, sprawę załatwią. A dziecka pan nie ruszy, rozumie pan! A teraz – zdobywam się na stanowczość – proszę opuścić moje mieszkanie.

Opuścił, podawszy wprzód personalia i mrużąc coś o cholernych jenteligentach.

– To zupełnie tak, ciocia, – powiada Adam – jakby zabłąkany wróbel wpadł do pokoju.

Patrzę uważnie na Adama. Coś tam jednak kiełkuje w tej głowinie.

12.9.78

Z Rafałem okazało się, że matka poszła po zakupy. Niespodziewanie długa kolejka w sklepie zatrzymała ją ponad miarę. Najbardziej zdziwił ją jednak fakt, że mały uciekał do mnie, a nie do własnego mieszkania, gdzie była ich babcia.

13.9.78

W szkole zupełnie nieźle. Jak dotąd, brak uwag. Ale może tylko przyczał się. Nowe otoczenie, nowi koledzy. Duszek mówi, że Adam na zbiórki, owszem, przychodzi, bierze udział w pracach zastępu, ale to wszystko jakby za mgłą. Jakby nie wynikało z rzeczywistych zainteresowań: po prostu, kazali, to robi.

14.9.78

Z projektu przyjaźni z Rafałem nic nie wychodzi. Albo Adam nie ma czasu, albo lekcje, albo zbiórki, albo Rafała nie ma. A jak już się ich zbierze razem, tak jak dziś, nie mogą się dogadać, znaleźć wspólnego języka. Olbrzymia przepaść między nimi. Rafała interesuje na przykład astronomia. Czyta różne czasopisma, książki, zbiera wycinki z gazet. Adama interesuje tylko sport, żołnierzyki i kapsle. Przepraszam, jeszcze książki. Ale to są ciągle książki bardzo dziecinne, a Rafał ma ten etap już dawno za sobą. Widocznie przyjaźni nie można inscenizować.

15.9.78

No i proszę! Ledwo parę dni temu napisałam, że uwag brak. „Syn nie tylko nie przynosi bloku na lekcję i nie pracuje, ale zachowuje się karygodnie!”

– Maszeruj – powiadam – do budki Ruchu i kup dwa bloki.

– A jak nie będzie? Na pewno nie ma!

– To pójdziesz na Pruszkowską.

Idzie. Wlecze te nożyska, bardzo niezadowolony.

16.9.78

Niespodzianka w domu. Wszystkie pokoje odkurzone elektroluksem, kurze wytarte, śmiecie wyrzucone. Zrobiłam się tak podejrzliwa, że z miejsca proszę o dzienniczek. Obraża się.

– Ciocia mi nie wierzy? Przecież obiecałam.

W dzienniczku w porządku. To co mu jest. Chory?

17.9.78

Sytuacja wyjaśnia się sama. Chcę dziś nastawić radio, a tu wypada antena i radio milczy. Wreszcie wydobywam z niego, że on niechący. Aparat spadł z półki i tego... i on właśnie dlatego posprzątał itede. A potem, żeby odwrócić

moją uwagę, powiedział bardzo poważnie:

– A mój kaktus się rozmnożył. Ma małe.

18.9.78

Byłam dziś w szkole. Z Anią. To żmudna wyprawa, z Madalińskiego na Plac Narutowicza. Adam na mój widok czmychnął co prędzej. Od razu miałam złe przeczucie. Okazało się, że przeczucia są absolutnie zawodne. Pani wychowawczynie oświadczyła, że w zasadzie Adam jest możliwy, tylko ma brzydki zwyczaj pyskowania. Na zwróconą uwagę odpowiada arogancko. Ale, że ona rozumie sytuację, bo Duszek jej wszystko wytłumaczył. Więc zwróci na niego większą uwagę. Na Adama oczywiście, nie na Duszka, choć oczywiście pani wychowawczynie ma, takie, że jej!

W tej nowej szkole aż zielono od mundurów harcerskich. Ciągłe mnie ktoś wita, rzuca się na szyję.

– Mamo Duszek, druhnko kucharko! Na przyszły rok jedziemy?

– Jasne, że jedziemy, ale to przecież dopiero wrzesień!

– To nic. My już tak, na zapas.

Małe Duszeczki i te starsze przypominają, wspominają i wszyscy chcą, żeby już był koniec roku szkolnego i wakacje.

19.9.78

Z polskiego dwie czwórki i jedna piątka. Ta piątka to za ładny, skrótowy styl i brak błędów ortograficznych. Za to dwójka z botaniki, za brak zeszytu. I dwójka z geografii, już nie wiem za co.

20.9.78

Tudzież dziś dwójka z matematyki. Z której, jak się okazuje, nic nie umie. Przystępuję do podciągania. A Adam tłumaczy, że w tamtej szkole też nic nie rozumiał, bo studenci co innego, pan na lekcji co innego, a ciocia swoje.

– Jakie swoje ? – jeżę się.

– No, na ten przykład pole trójkąta. Nas uczą, że pole trójkąta równa się podstawa razy wysokość, dzielone przez dwa. A ciocia tak jakoś...

– Podstawa razy pół wysokości. Przecież to jedno i to samo!

– Ale ja nie rozumiem.

Dużą trudność sprawiają mu procenty i ułamki. Biedzimy się nad tym oboje, bo i mnie, starej gwardii, trudno tak od razu wszystko sobie przypomnieć. A książki do matematyki! Pożal się Boże! Kto to zrozumie?

21.9.78

Dziś zbiórka szczepu. Adam mówi, że harcówka, to nie jest harcówka, a piwnica. I że im się snują takie jakieś pomysły, żeby zrobić prawdziwą, na piętrze, jasną, widną i wesołą.

22.9.78

– Matka! – napadł dziś na mnie Duszek – Robisz ciasta!

– Jakie ciasta? Co ty znowu? Pewnie, że robię. Co sobota piekę.

– I wtedy ładnie pachnie w domu – dodaje tak jakoś z boku Adam.

– Wy coś knujecie! Pewnie Duszek miał znowu pomysł !

– Pewnie, pewnie... – mruczy Adam i zostawia Duszka samego na placu boju.

– Bo widzisz, oni chcą mieć harcówkę i jeszcze chcą, bardzo chcą mieć

sztandar. A to kosztuje. Co prawda Dyrekcja idzie mi na rękę, bo harcerze to oczko w głowie dyrektorki. Komitet Rodzicielski też coś odpali, ale to wszystko za mało. Więc mam pomysł.

On ma pomysł! W złą godzinę powiedziałam.

– Więc będziesz – kontynuuje niezrażony Duszek – piekła ciasta. Codziennie trzy brytfanny. Pokroi się to i zanieś do szkoły. Harcerze będą sprzedawali. Zwróci ci się za materiał, a twoja praca to będzie twój wkład w harcówkę i sztandar. Cieszysz się?

Pod sztandar mnie bierze!

– Brytfanek nie mam. To powinny być jednakowe, długie, wąskie.

– Brytfanki już kupiłem – skąd wiedział, że się zgodzę? – Chodź, zobacz, leżą na moim tapczanie.

– A w czym będzie druh Komendant Szczepu to nosił? – próbuję resztką sił się bronić.

– Też mam pomysł. Jest stary, tkany przez zakopiańską ciocię pojemnik na gazety. Ma akurat trzy kieszenie. Już się przymierzałem.

On się już przymierzał! I tak, w bardzo prosty i łatwy sposób zostaję piekarzem przyszłej harcówki.

Okazało się, że Adam nagle wyrósł ze wszystkiego. Kurczą mu się ubranka, czy co? Na naszym osiedlu jest niezły sklep ogólny. Zaopatrzyliśmy się od razu we wszystko potrzebne. Sporo tego, ale szczęśliwy, dźwigał wszystko sam. W domu oglądał, przymierzał, a potem powyrzucał stare rzeczy na podłogę, w szafie poukładał nowe.

Zaproponowałam, żeby te wyrośnięte uporządkować i odnieść do DD.

Gwałtowny protest. On tam nie pójdzie. Zaniósłam sama. Zapytana o tę reakcję wychowawczynie, pani Karolina, odpowiedziała, że to normalna reakcja, która po kilku latach mija.

24.9.78

Leje. Zimno. Adam czyta. On ciągle czyta. Duszek maluje. On też ciągle maluje. W jego pokoju pachnie terpentyna, oleje, werniksy, sykatywy, ... W piecyku dochodzą ciasta. Chodzę z budzikiem i denerwuję się, czy nie będzie zakalca, czy będzie dobre, czy się nie zapadnie.

Przy wyjmowaniu z piecyka asystują obydwaj. Chwila jest podniosła. Adam oblizuje się i aż pojękuje.

– Tak lubisz ciasto? – pytam.

– Pewnie! Jak ciocia upiecze, to lepsze niż z kafejki.

Podlizuch!

– Więc bierz te dwie foremki, które stoją na stole, wkładaj do piecyka. Tu masz fartuch, budzik, teraz ty będziesz pilnował. Zrobisz ciasto dla nas. Ja odpocznę. Pilnuje. Parzy się w rękę, ani piśnie. Przysnęłam z tego wszystkiego. Budzi mnie cichy, bardzo przejęty szept:

– Ciocia nie śpi? Skończyłem. Mogę spróbować?

Jego ciasto wyszło nawet lepiej od mego. Ładniej przyrumienione.

25.9.78

Wrócił ze szkoły zły. Stopnie? Nie. Okazuje się, że Duszek był uprzejmy podzielić funkcje. Rano zabiera pełne blachy, a Adam, po południu puste. Zły dlatego, że mu brzęczą i gruchoczą w autobusie. Rzucam się do pojemnika zakopiańskiej cioci. Wszystkie trzy brytfanki puste.

- Duszek kazał powiedzieć – mówi Adam – że wszystko sprzedano i że kasa pełna. Jedna nauczycielka to trzy razy brała. Ciocia da kawałek, z tego mego wczorajszego.
- A nie mogłeś wziąć w szkole – pytam i natychmiast gryzę się w język z niezręczności pytania.
- Ależ nie, ciocia – odpowiada – Nie miałem pieniędzy. A tak zwyczajnie przecież nie mogłem

26.9.78

Poszłam pod szkołę Adama, jako, że dzień bezdyżurowy. Spotkałam panią wychowawczynię. Po paru zdaniach o Adasiu, że on: „Adam, jak to Adam, raz dobrze, raz źle” rozmowa zesłała na temat nowej, a właściwie już nie nowej pani dyrektor

- Pracuje się z nią świetnie – stwierdza pani wychowawczyni, sama fizyk z wykształcenia. – Umie bezkolizyjnie wymagać i egzekwować. A wiem, że także wymaga bardzo wiele od siebie samej.
- Na czym to polega – interesuję się.
- To mądry, inteligentny człowiek o niezwyklej wprost wrażliwości na biedy ludzkie. A przy tym obdarzona wielkim taktem. Jest zawsze do dyspozycji. Nikomu nie odmówi porady, rozmowy. Nie liczy godzin pracy. Umie tak zorganizować prace ciała, że właściwie nie odczuwa się zupełnie obiektywnych ciężarów tego zawodu.
- Ciężarów? – dziwie się.
- Pani pewnie rozumie kategoriami przedwojennej szkoły! Teraz jesteśmy zarzucani obowiązkami, które z samą nauką, że już nie wspomnę o wychowawstwie, niewiele mają wspólnego. Najważniejsze są kursy, kursokonferencje, doksztalcanie, sprawozdanka, statystyka. Potem długo, długo nic i dopiero uczeń. A pani dyrektor tak to organizuje, tak rozkłada robotę, sama włączając się do niej, że nie odczuwamy tego wszystkiego, jako przymus, przykry nadobowiązek, a robimy to z przyjemnością. Choć trzeba przyznać, że trochę już za wiele tego. A przede wszystkim, ona nam daje przykład. Jeśli zajdzie taka potrzeba, sama siada do maszyny, sama pisze i robi to jakoś tak, że nie czujemy, że to ważna pani dyrektor. A to rzadki dar.
- Tak, to prawda. Ale i rzadki człowiek. A przecież jest jeszcze bardzo młoda.

27.9.78

- Była draka w szkole, ciociu!
- ?
- Bośmy grali na dużej przerwie w piłkę. I tak jakoś wykopsała się za płot. Potem, no, ciocia wie, goniliśmy ją po ulicy. Woźny nas złapał. I...
- I co?
- Skończyło się w gabinecie pani dyrektor. Była gadka. Ale ona jest fajowa. Nie gniewała się, nie krzyczała, nie nawrzucała, a tylko tłumaczyła. I tak jakoś łagodnie, że chyba zrozumiałem. A mnie to nawet pogładziła po głowie i powiedziała coś, czego nie rozumiałem: Idź dziecię i nie grzesz więcej.
- Co to znaczy nawrzucała ?
- No jak to? W tamtej szkole to takie słowa były mówione – a ja dodaję w myślach ex cathedra – co ciocia nie lubi alibo i nawet nie zna.

28.9.78

Dziś po południu jest zbiórka. Jakaś bardzo ważna.

– O dyskoteci i coca coli – opowiada Adam.

Nic z tego nie rozumiałam. Dotarło do mnie tylko to, że Adam w harcówce, to jest w piwnicy, zostawił torbę z pustymi brytwannami. A tu ciasto zaczynione.

Co robić? Wydobywam własne foremki w kształcie babek i jedną na pasztet.

Nic się nie udaje. Babki po upieczeniu nie wyłazą. Adam krąży koło mnie, jak skruszony zając. Wreszcie wpada mi pomysł. Lukruję babki, pasztet ujdzie bez.

29.9.78

– No i co? – rzucam się, domorosły Blikle, do Adama po jego powrocie do domu.

– Nic – odpowiada – Nadygałem się! Te przyniosłem i tamte.

– Acha! A babki? Poszły?

– Poszło wszyściutko. Nawet narzekali, że za mało.

– To ty też sprzedajesz?

– Oczywiście! My mamy dyżury. Tylko z resztą jest kłopot, bo mnie się myli. A do tego jeszcze coca cola!

Teraz mnie się wszystko myli.

– Duszek miał pomysł, ciocia i my na ten sztandar coca colę sprzedajemy.

Mamy po dwa złociszę od butelki. To ciocia sobie policzy. Jest co zjeść?

30.9.78

Adam idzie dziś na dyskotekę. Szykowania od groma. Nawet głowę umył. Tylko koszuli nie chciał zmienić.

Wrócił po godzinie.

– Dlaczego tak prędko? – pytam.

– Bo oni tam tańczą, a ja nie potrafię.

– Przecież to nic trudnego. Nauczysz się, zobaczysz. Stoi się w kółku i podryguje.

– Mnie to nudzi.

Widzę jednak, że to nie o to chodzi. Podpytany wieczorem Duszek powiedział:

– Stanie jak kołek, ścianę podpira i patrzy. Zostaw go. Przyzwyczaj się.

1.10.78

Z tym kołkiem była dziś kwestia. Wczoraj zapomniał się umyć. Obiecał, że dziś.

Dziś też nie chce. Rozhowory pod łazienką wywabiają Duszka z jego pokoju.

Adam grzecznie poproszony, wchodzi wreszcie do łazienki. Siedzi pół godziny.

Wychodzi ostrożnie, ale cerbery czuwają. Ani on ani łazienka nie wykazują najmniejszych śladów ablucji

Duszek się zdenerwował i umył go osobiście. Protesty były gwałtowne i ale rezultat pozytywny. Dlaczego on tak unika wody i mydła?

2.10.78

Wypieki odchodzą regularnie codziennie rano. Adam zaczyna tyć. Grubaśny jakiś i ledwo się dopina.

3.10.78

Znów dużo czyta. Teraz skończył „Awantury kosmiczne” Niziurskiego i zaczął „Czarne stopy”. Na skutek kwitnienia przedsiębiorstwa w piekarniczym

zaczyna uciekać zapasowy cukier na przyszłoroczne kompoty i jednak trochę nie wychodzę na swoje. Bo to i dodatki i trzeba upiec dla domu. Ale niech tam! Świetlany cel: sztandar i harcówka.

4.10.78

Naprawił sam suwak we własnej (następnej!) torbie i... z rozpędu suwak do mojej kosmetyczki. W związku z powyższym nie zareagowałam na rozbitą szklanekę i talerzyk.

6.10.78

Przyjechał po lekcjach na Madalińskiego. Bardzo podekscytowany.

– Ciocia! – zaczął już od progu – ta harcówka to będzie już nape. Wiosną przyjdzie drzewo, będziemy sami robili ławy, stoły krzyżackie i...

– Krzyżaki chyba. I drewno, a nie drzewo.

– A ja myślałem, że krzyżackie, bo na filmie oni siedzieli przy takich stołach, jakie Duszek nam narysował.

– A piłować umiesz?

– Pewnie! Ciocia da coś, to przepiłuję.

– Co na przykład?

– Krzesło, tapczan! Nie! Nie! – poprawia się, widząc moje przerażenie – Ja tylko tak żartowałem!

7.10.78

Urodziny Andrzeja. Tradycyjnie cała Rodzinka. Tak jakoś zupełnie niedostrzegalnie zmieniała się aura wokół Adama. Dawno już nikt nie mówi, co to takie dziecko może... Po prostu wrósł w rodzinę, poznał wszystkich, nabrał zaufania, a i oni go przyjęli za swego. To wzruszające, gdy Krysia pochyła się nad Adasiem i mówi:

– Nie, nie! Śliwek w occie ci nie dam, bo wiem, że nie lubisz. Ale tortu to nałożę ci od razu trzy kawałki.

8.10.78

Jako, że niedziela, poszliśmy zwiedzać udostępnione publiczności sale Zamku Królewskiego. Zachwyтом nie było końca. Adam kursował w tłumie zwiedzających od przewodnika do mnie. Ciągłe coś raportował: ... że to król Staś, że tron jeszcze nie gotowy, ale będzie na pewno i żeby nie zapomnieć zadzierać głowy, bo plafony.

Przy wyjściu zażądał kupienia prospektów, których nie było i pocztówek, które były, kupił jeszcze sobie składankę obrazkową, przedstawiającą Zamek w malarstwie na przestrzeni wieków. W domu pociął to natychmiast i powyklejał na macie.

9.10.78

– Jutro po południu jedziemy do Wojtusiów, Adasiu!

– Po co, ciocia, po co? W domu wolę być!

– Przecież nie zostaniesz sam w domu, a to są urodziny Pawła.

– Acha! Jak Pawła, to mogę. A co mu damy?

– No właśnie! Może zastanowimy się razem. Mam dla niego zabawkę, pociąg z drzewa...

– Z drewna, ciocia, z drewna! Jeden zero dla mnie. Może zrobię ciasto?

– Bardzo dobry pomysł! Masz tu wszystko, co potrzeba, a ja pójdę do sąsiadki.
– Na plotki?
– Hm! Niezupełnie. Tak sobie ponarzekać.
Ciasto prezentowe udało się nad wyraz. Tylko sprzątania było nad wyraz dużo. Prawie wszystkie naczynia poszły w ruch i róg fartuszka kuchennego trochę nadpalony. Ale za to co za radość i duma w jego oczach.

10.10.78

Na imieniny Pawła a zarazem urodziny Duszka jedziemy do Wojtków. Robi się z tego cały kowalczykowski autobus, bo na którymś przystanku włączają się Andrzejowie, Ania, jej wózek, prezenty. Jest tak wesoło, że Adaś ucieka na koniec wozu.

Z zamieszania wysiada nie na tym przystanku co trza. Na tym co trza czekamy zdenerwowani. Niepotrzebnie. Następnym autobusem przyjeżdża Adam, strasznie zadowolony z przygody.

Już u Wojtków bawi się z Pawłem i Anią, dając pilnie baczenie, aby tej ostatniej nic się nie stało. Oni, to znaczy Adaś i Ania dalej lubią się nadzwyczajnie. Ania wyraźnie preferuje Adę, co znów wprawia go w zakłopotanie, którego nie stara się ukryć.

11.10.78

Kino. Duszek i ja. Po powrocie znów kartka na naszych, posłanych tapczanach. I znów cała kolorowa, każda literka inna: „Dobranoc życzy niewidzialna ręka”.

12.10.78

Ponawiane próby kontaktu z Rafałem zawodzą. A szkoda! Bardzo często widzę Adama na balkonie. Stoi i patrzy na bawiące się, mimo zimna, dzieci. Nie zejdzie jednak za nic. Nie chce. A że narzekam, że wpuszcza zimno do pokoju, ubiera się ciepło, zamyka starannie drzwi balkonowe. Potem ze trzy razy je otwiera: raz po szalik, po buty i żeby zapytać czy dobrze zamknął i czy nie wieje. Tęskni za rówieśnikami, a ja nie mogę na to nic poradzić.

14.10.78

Odkurzone i zamiecione mieszkanie. Pod moją nieobecność. W domu kartka, że poszedł na dyskotekę. Wrócił o siódmej. Zgrzany. Szczęśliwy.

– Już wiem, jak to się robi, to tańczenie – zawołał od progu. – Pani wychowawczynie nawet ze mną tańczyła, aha!

15.10.78

– Ciocia, mundur muszę mieć na jutro czysty!

– Teraz mówisz? W niedzielę?

– Ciocia zapomniała? Jutro dzień mundurowy dla Ochoty!

– To ty masz pamiętać, nie ja. Pierz sam!

– Upiorę, jak dudu na muniu! A wyschnie?

– Pewnie. Na kaloryferze powieszysz. A potem uprasujesz.

– Prasować lubię. Mogę uprasować.

Wieczorem, obydwaj w mundurach, życzą sobie, żeby im zrobiła zdjęcie.

Adam podlizuje się Duszkowi, a podlizywany Duszek ogarnia go ramieniem i obydwaj robią głupie miny do aparatu.

16.10.78

- Ciociaaaa! – drze się od progu – Ciocia już wie? Komendant Szczepu powiedział, że papieżem został Polak! Ale afera!
- Żadna afera. – stwierdzam autorytatywnie, nieomal, jak sam rzecznik Watykanu – Trzy rzeki świata dadzą trzy korony pomazańcowi z Krakowa.
- Nie rozumiem. Co ciocia?
- Ja nic – śmieję się – to taka bardzo stara przepowiednia.
- A te trzy rzeki, to jakie?
- Skawa, bo Kardynał Wojtyła urodził się w Wadowicach nad Skawą, Wisła to Kraków...
- Acha! A teraz wybrali go w Rzymie, a on leży nad Tybrem. A te trzy korony? Tłumaczę o tiarze papieskiej. Przerzywa mi:
- Ale o Rutkowskiej ciocia nie wie?
- Nie, nie wiem. Opowiedz.
- Zaatakowała i zdobyła dach świata, Mont Ewerest. No i co?
- Dwa do zera na twoją korzyść.

18.10.78

Ze szkoły przywędrował znowu na Madalińskiego. Jest smutny, przygnębiony. Jakiś przegrany. W dzienniczku w porządku. Nie chce powiedzieć, o co chodzi, więc nie nalegam.

19.10.78

Czyta „Warneńczyka” Barda.

- Ja jednak lubię historię, ciociu.
- No to mi powiedz, mój ty panie historyku, jaki błąd historyczny zawiera następujący tekst:
„My, z bożej łaski, król Polski Władysław Warneńczyk, książę taki a taki, udzielamy dziś zezwolenia na... na przykład, na odstrzał grubego zwierza”.
Myśli, myśli, drapie się w głowinę.
- Ciocia powtórzy, ale wolno – prosi.
- Powtarzam. Krzyczy:
- Wiem! Ciocia! Ja wiem! On nie mógł napisać: Władysław Warneńczyk, bo tak nazwali po jego bohaterskiej śmierci pod Warną.
Aż pokraśniał na buzi z emocji.

20.10.78

Co za ironia losu. Dwójka z historii. Brak pracy domowej! Wyłysienie mi nie grozi, bo czuprynę mam niczym Paderewski, ale mogę jeszcze osiwieć! Tym szybciej, że znów uwaga: „Uczeń nieprzygotowany do zajęć praktyczno-technicznych. Brak materiałów do prac”.

- Co to jest? – pytam, zupełnie retorycznie – Dlaczego nic nie powiedziałeś?
- Potrzebna była sklepka, to nie chciałem cioci martwić, bo ciocia nie ma.
- Ciocia nie ma, ale w sklepie mają. Można kupić. Ubieraj się, lecimy szukać.
- Po co? Przecież ta lekcja już minęła.

Nie odpowiadam. Ubiera się. Na Gałczyńskiego nie ma. Odsyłają na Pragę II. Też nie ma. Ale za to dają telefon na Górczewską. Tam była. Wieczorem zrobił wymagane na wczoraj pudełko. Nawet nieźle wyszło. Może pan nie zauważy szpar.



21.10.78

Dziesięciolecie naszej KRONIKI rodzinnej. Pomaga zdobić. Robi szlaczki i barwi gotyckie litery. Robił to już kiedyś i nieźle mu wychodziło. Potem przerywa robotę i zagłębia się w czytaniu. Każde z moich dzieci pod swoją fotografią napisało kilka ciepłych słów ku pamięci. Adaś pod swoją podobizną napisał: „Bo we mnie siedzi takie kusidełko,, Dużą literę B sam przyozdobił.

Wieczorem przyszła delegacja z DD z oficjalnym zaproszeniem dla mnie i dla Adasia na wieczór wspominkowy. A że Adaś i jego losy są dla nich, jak zrozumiałam, powodem do dumy,

chcieliby to pokazać. TO czy GO?

Będą inne przysposobione (co za niewłaściwe określenie!) dzieci, ich opiekunowie i rzecz najważniejsza, telewizja. Bo właściwie będzie to reportaż. A mnie się wydaje, że to zupełnie niewłaściwe. Odmawiam stanowczo. Możliwe, że się mylę. Ale nagła bladość Adama, ucieczka do jego pokoju, utwierdza mnie w odmowie.

Jeśli samo dziecko chce zapomnieć, nie życzy sobie powrotów, nie można chyba tego robić na siłę. Rozumiem dobrze, że chęć zapomnienia, wymazania niejako przeszłości z pamięci, kryje w sobie niebezpieczeństwo nawyku zapominania. Wrócę do tych spraw. Na pewno. Ale dopiero wtedy, gdy Adam zmężnieje duchowo, będzie odporniejszy i będzie zdolny do spokojnej rozmowy.

Bo i to pojmuję, że on musi zrozumieć, że nie zaczął się z dniem wejścia w nasz dom. I że ta jego przeszłość nie jest niczym wstydlivym. I jeszcze, że były tam również momenty dobre, miłe.

22.10.78

Duszek zabrał nas, tj. Adama i mnie, do kina, niedzielnie, na film „714 wzywa pomocy”. Panorama. Wracaliśmy z kina „Moskwa” pieszo, gadaliśmy i wymienialiśmy wrażenia. A szliśmy, całą trójką pod rękę, z Adasiem w środku.

23.10.78

Znów po szkole u Ani. I znów zgnębiony. Tylko tym razem poszarpany, ślady zaciętej walki. Powtarza się nawyk bitek z tamtej szkoły. Już u progu wyciąga dzienniczek:

– Pani dyrektor prosi, żeby ciocia przyszła do szkoły. Najlepiej jutro.

Po obiedzie i zaśnięciu Ani sam zaczął opowiadać. Jeden z kolegów naurągał mu. Adam dzielił go, a ten oddał. Tak się zacietrzewili, szczepili, że kłęb toczących się i bijących się zaciekle dwu ciał przeturlał się pod drzwi pokoju nauczycielskiego. Na odgłos walki w drzwiach stanęła pani dyrektor.

Popatrzyła i...

– Myśmy zaraz przestali, ciocia! A potem, ten kolega powiedział, że on nie winien, że to ja zacząłem.

- A tak było, Adasiu?
- Tak. Tak było. Więc pani dyrektor powiedziała do mnie bardzo cicho: „Poproszę o dzienniczek!”. I eto wsio.

24.10.78

Długo wczoraj w nocy nie mogłam zasnąć. Przemyśliwałam sprawę w te i we wte. Wreszcie pewna myśl wpadła mi do głowy.

- A ten chłopiec – spytałam nazajutrz pani Dyrektor – to kto? Jak się nazywa?
- Aleksander. Oleś M. – odpowiada pani Dyrektor.

– Ależ to jest ten chłopiec, który został zabrany z DD na parę miesięcy przed Adamem, bo jego matka poprawiła swoje, hm... powiedzmy, marginalne zachowanie. Przecież to był wróg śmiertelny Adama. Jeszcze na terenie DD Adam dużo wycierpiał z jego powodu.

– Wobec tego chyba rozumiem. – mówi pani dyrektor – On musiał Adamowi powiedzieć coś bardzo obraźliwego, na co Adam żywo zareagował rękami. Zaraz się dowiemy. Pani Irenko – to do sekretarki – proszę bardzo sprowadzić Olesia, Adama i kilku świadków zajścia.

Oleś ponury, zacięty, wyższy od Adama o głowę, milczy jak zakłęty. Spogląda na Adama spođe łba. Ten też milczy.

Tylko świadkowie nie mają zamiaru milczeć. Stwierdzają wszyscy, że Oleś powiedział do Adama, bez żadnej daj racji: „Ty wywłoko z Domu Dziecka!”. A przecież Oleś jest też z tego samego DD. Traf, przypadek, spowodował, że obydwoj nastali w nowej szkole. Tyle, że Adam w klasie b, a Oleś w a.

25.10.78

Z tego zaległego pudełka ze szparką dostał piątkę. I zupełnie nielogicznie powiedział:

- No widzi ciocia! Dwója plus piątka to siedem. Na pół, to trzy z plusem. A ciocia tak się denerwowała.

26.10.78

Jest zły. Teczka leci w jedną stronę, worek z kapciami w drugą. Reagować? Nie reagować? Wychyłam dyplomatycznie głowę przez okienko ślepej kuchni. Zrzucił przy okazji ze stolika wszystkie czapki i szaliki. Postanawiam być ślepą, jak moja kuchnia. Po pół godzinie wizytka w moim pokoju.

- Cześć ciocia! Nic ciocia nie słyszała?
- Nieee! A powinnam była słyszeć?
- Bo ja się biłem!
- Znowu? – w głosie mam już rozpacz.
- Nie! To nie to co ciocia myśli. Ja się biłem z własnymi myślami!

Czyta pytanie w moich oczach.

– Bo, ach, przepraszam, nie zaczyna się zdania od „bo” i od „więc”. Bo ja mam sprzedawać na ulicy lampki. Będą takie stoiska z harcerzami i zniczami. Dostaliśmy na forszę specjalne torby.

- Pod kościołem?
- Skąd ciocia wie? A żeby ciocia wiedziała, że pod kościołem. Pod kościołem św. Jakuba
- Tak mi się skojarzyło: torba, kościół. No, ale dlaczego nie chcesz? Przecież to pyszna zabawa,
- Na pewno tak. Ale ja się wstydzę.

- Czego?
- Ludzie się będą na mnie patrzyli.
- Też powód!
- Ciocia myśli, że to tak łatwo! A jak się pomyłę w liczeniu?
- Nie pomylisz się. Na pewno! Jesteś spokojny (Hm!), uważny (Hm! Hm!).
Wszystko będzie dobrze.
- To ciocia już się nie gniewa?
- Za co mam się gniewać?
Stoi spokojnie. Nie dryga. Ręk nie pociera i ma coś bardzo pocziwego w oczach.
- No, za te hałasy. Na pewno ciocia słyszała! To ja będę ciocię nazywał Siosia!
Mogę?
- Możesz, synku.

27.10.78

Pani, która przyszła dziś wieczorem, była młoda, ładna, elegancka i bardzo nieśmiała. Wydukała cichutko u progu, że ona z GUS-u, że komputer (powiedziała kompiuter) drogą losowania, wybrał mnie (!!!) jako statystyczną Polkę. I czy ona może, w związku z tym, mieć ze mną wywiad.

Adam podniósł wysoko brwi, zupełnie jak robimy to Duszek i ja. Potem gwizdnął, dość cicho, przyznając i wybiegł do swego pokoju. Tylko w czasie wywiadu miał ciągle bardzo pilne interesy do kuchni.

Ciekawość zwyciężyła nieśmiałość wobec obcych osób. Przyniósł, nie poproszony, dwie herbaty na tacy i rozpakowaną paczkę petit beurów. Po wyjściu pani ankieterki, zapytał dlaczego ona mówiła: kompiuter.

– Źle mówiła, oczywiście.

Ale w duszy doszłam do przekonania, że chyba dobrze powiedziała. Komputer wybrałby kogoś sensowniejszego. Z moim burzliwym życiem, kiplingowskim kotem w środku, który absolutnie własnymi drogami chadza, z całym zadziornym, ostrym charakterem, co za statystyczna Polka ze mnie?

29.10.78

Tak dobrze wyspać się w niedzielę. A juści! Najpierw dzwoni budzik Duszka. W chwilę potem ryczy traktor Adama. Zerkam na własny czasomierz. Siódma rano! Powariowali. Już słyszę żartobliwe przepychanie się przy drzwiach łazienki. Wyłażę w szlafroku do korytarza. Jeden stoi pod drzwiami łazienki, drugi w środku już się myje, pryca.

– Co się dzieje? – pytam najłagodniej jak tylko umiem.

– Siosiu! Duszek mnie wypchnął z łazienki! – skarży się na niby Adaś.

– Duży jest, to korzysta. Ale co wy z tym wstawaniem w niedzielę skoro świt? Jeszcze gwiazdy na niebie.

– Już księżyc wzeszedł, psy, tfu, zaciąłem się, się uśpiły – jęczy z łazienki Duszek.

Dom wariatów! Obydwaj na te lampki i znicze. Adam jako pierwsza zmiana na stoisku. Duszek jako kontroler.

Późnym popołudniem wraca Adam. Dźwiga z zapalem bardzo ciężką torbę. Tę spod kościoła. Cały przemarznięty. Obiad też dawno wystygł.

– Dlaczego tak późno – piekłem się – przecież dyżur miał trwać dwie godziny?

– Tak, ale było fajowo! Wcale nie było zimno. Zmienialiśmy się z następnymi zmianami. A Duszek zorganizował specjalny namiot z gorącą herbatą i

parówkami.

– I to wszystko pod kościołem? – nie mogę powstrzymać śmiechu.
– Noo! A ludzie walili, mówię cioci, bo myśmy mieli najlepsze miejsce. Były i inne stoiska, prywaciarzy, ale ludzie tylko do mundurowych. Ogonki do nas stały! My z Byniem sprzedaliśmy najwięcej. Siosia da jeść, bom głodny. Chyba nigdy w życiu nie powiedział tyle na raz i tak ładnie.

30.10.78

Teraz już nie ma spokoju pod oliwkami. Ciągłe konszachty Adama z Duszkim. Padają słowa: stoisko, utarg, parking. Parking? Co ma parking do Święta Zmarłych? Pewnie Duszek miał znowu pomysł, bo oni teraz obydwaj są szalenie zalatani. Przydybany w przejściu i przyduszony Adam, wyznaje, że parking jest w Wólce Węglowej, przy cmentarzu. Harcerze wynajęli go, to znaczy parking, nie cmentarz, a dochód przeznaczony, oczywiście, na wymarzony sztandar i harcówkę.

31.10.78

Jakoś uwag w dzienniczku brak. Pojawiają się natomiast czwórki z rosyjskiego i cała piątka z matematyki. Nic dziwnego, po takim stażu pod kościołem?

1.11.78

Na Powązki, w tradycyjny obchód wszystkich rodzinnych grobów, jadę tylko z Andrzejami i Anią. Długo muszę tłumaczyć, dlaczego nie ma Duszka i Adasia, i że oni w Wólce Węglowej. Idziemy, od lat ustalonym szlakiem od grobowca pra, pra, pra dziadka Ani do grobu moi rodziców. Krysi, jak zawsze myślą się wszystkie pokolenia, a co zabawne, to Andrzej tłumaczy jej wszystkie moje powiązania rodzinne. Długą aleją idziemy w tłumie na sam koniec cmentarza. Krysia przygotowuje zawnazdu gazety, ściereczki i już organizuje nas, kto po wodę, kto wrywa odporne chwasty, a kto będzie polerował granit.

– Bo babcia (babcia to ja, ha!) w tym roku nie będzie nic robić. O czego ma nas – oświadcza.

Przy grobie moich rodziców zaskoczenie. Wszystko ślicznie posprzątane.

Duszek wyciera właśnie zbrudzone ręce i kieruje Adamem, który na klęczkach poleruje ściereczką granitową płytę. Chyba mam wilgotne oczy.

– Nie płacz, mamusiu, – pociesza mnie Krysia – przecież w sumie jest to śliczne – i sama sięga po chusteczkę do nosa.

W powrotnej drodze Adam nagle woła:

– Wujek Wojtek! I ciocia Halinka z Pawłem.

Wypatrzył ich w gęstym tłumie. Co prawda to nie trudne, bo Wojtek istny słup telegraficzny. Myśmy ich nie zauważyli, a Adam wypatrzył.

2.11.78

Nie miałam pojęcia, że liczenie pieniędzy to taka żmudna robota. Kiedy się to wszystko ułożyło, podliczyło, kilkukilogramowy bilon i sterty banknotów, okazało się, że faktycznie przoduje zastęp Bynia. Stoisko Adama uzyskało drugie miejsce.

3.11.78

Adaś zaczyna wyraźnie tyć. Grubiutki, pulchniutki nad miarę. Brak intensywnych ćwiczeń gimnastycznych. Ale skoro ciągle głodny, nie będę mu

przecież odmawiała. Staram się tylko ograniczać mączne produkty, a te właśnie lubi najbardziej. Nie ma większego szczęścia, jak micha klusek ze śmietaną.

– Mogę całą śmietaną?

– Możesz, synku, możesz.

4.11.78

Byłam w DD z paczką ubrań. Zastałam wielkie poruszenie, bo jednej z wychowawczyń zginęły z torebki pieniądze. Sporo tego było, bo to i pensja i premia. Rozmowy, kontrole itp. Bardzo niemiła sprawa. Na dokładkę, dwie starsze dziewczynki przyłapano w Super Samie na kradzieży, odprowadziła właśnie do DD milicja.

– A jak Adam? – pyta pani Karolina.

W momencie, kiedy pada pytanie, uświadamiam sobie nagle, że ten problem w ogóle nie istnieje. Może dlatego, że pieniędzy u nas się nie chowa, leżą zawsze w zasięgu ręki. Z początku, pamiętam, reagował zwracaniem mojej uwagi: „Mogą zginąć!” mówił wtedy z przejęciem. A ja tłumaczyłam, że nie mogą, bo jesteśmy sami swoi, w rodzinie.

Teraz przyzwyczał się i już nie reaguje. Resztę z zakupów oddaje skrupulatnie, co do grosza. Słodycze i owoce leżą zawsze dostępne. Korzysta z nich w miarę chęci. Nie! Adam jest zdecydowanie uczciwy.

5.11.78

Zimno. Nie chce się nam wyjść na niedzielny spacer. Adam rozłożył się u mnie na dywanie ze swoją olbrzymią armią żołnierzyków. Czytam i co raz zerkam na jasną główkę. Czasami podnosi łepkę, uśmiecha się i obojgu nam robi się cieplej i jaśniej.

12.11.78

Minął tydzień. Cały, spokojny tydzień.

15.11.78

Tak jakby się trochę usamodzielniał. Do niego należą drobne zakupy, ślanie własnego łóżka, sprzątanie pokoju, wyrzucanie śmieci. I jeszcze doszło, wynikające z podziału, dbanie o korytarz. Duszek – łazienka, ja – kuchnia.

19.11.78

Dziś spadł pierwszy śnieg.

– Siosiu! – woła Adaś od okna – Siosiu! Jak ślicznie, biało. I drzewa całe w puchu.

Ubrał się cieplej i, pierwszy raz, zapytał:

– Czy mogę wyjść na podwórko?

Widzę go przez szybę. Toczy kule ze śniegu. Ma, łobuz, świetny wzrok, wypatrzył mnie natychmiast i posyła ręką pozdrowienie. Na podwórku jest dużo dzieci, ale on bawi się sam. Podchodzi do niego Rafał. W czerwonej kurteczce wygląda jak duży gil. Coś mówi do Adama, ale ten wzrusza ramionami. Teraz Rafał odchodzi, a Adaś posyła za nim śniegową kulę.

25.11.78

– Lekcje odrobiłeś, Adasiu?

– Tak. To mogę do szkoły? Bo dziś dyskoteka.

- Szybko odrobię!
- Bo była tylko histra. Chce Siosia, to opowiem. Król Zygmunt III Waza żył od 1587 do 1632 roku. Ta szwedzka waza miała dwóch synów: Władysława IV i Jana Kazimierza. Jan Kazimierz to ten od „Potopu”, wie Siosia? Poszedł na dyskotekę, ale zaraz wrócił.
- Popatrzyłem – powiedział – popatrzyłem i wolę do domu.

26.11.78

Czyta teraz „Paziowie Króla Zygmunta”. To dość trudna książka ze względu na język. Ale Adam powiedział, że po „Trylogii” nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Zepsuły się kaloryfery. Jakaś poważna awaria. Siedzimy na moim, rozłożonym tapczanie, opatuleni każdy w swój koc, i czytamy.

28.11.78

Ciągle jest bardzo roztargniony. Zawsze coś zapomni, zgubi. Dziś znowu zostawił w domu zeszyt z odrobioną lekcją. Jest też niespokojny. Wraca pocieranie rąk o spodnie, kiwanie się w czasie oglądania telewizji.

29.11.78

Byłam w szkole. Jest źle. Sypią się dwóje, o których nic nie powiedział. Jak to może być, skoro sprawdzam każdą lekcję? Wszystko ma odrobione, zabrane co i jak trzeba, a wyniki prawie żadne. „Wyrwany do odpowiedzi – mówi pani wychowawczynie – budzi się jakby ze snu”.

30.11.78

Dziś imieniny Andrzeja. Adam ożywia się. Bawi się nawet z nami w lanie wosku, wróżby z ustawianiem kolejno, w sznureczek, butów. Który pierwszy za drzwi, tego spotka szczęście.

Patrzą na Adama. Siedzi na kanapie i z własnego talerzyka karmi Anię, która wgramoliła mu się na kolana. Paweł tańczy koło nich i co raz podbiera im tortu palcem. Adaś tłumaczy mu poważnie, że tak nie można.

1.12.78

W szkole tak jakby trochę lepiej. Doszłam już do tego, że trzy dni bez uwag i dwój, to sukces.

2.12.78

W złą godzinę to napisałam. Jestem przerażona i zupełnie zagubiona. Adam wybił dziś szybę w klasie. Żebyż to kamieniem czy piłą! Ale on to zrobił... głową kolegi! Przy rozmowie wydaje się, że nie rozumie wagi swego czynu. Ręce opadają, ogarnia mnie zniechęcenie. On mówi, że to dlatego, że kolega go wnerwił, bo rzucał jego teczką. To wszystko tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy w mojej szafie gromadzą się przepiękne prezenty. Najgorsze jednak jest to, że nie widzę żadnej skruchy, żadnego żalu. Jak gdyby nigdy nic, podśpiewuje sobie, bawi się swobodnie. Postanawiam, że pojutrze, bo jutro niedziela, pójdę do pani psycholog.

3.12.78

Bardzo smutna niedziela. Jesteśmy, z Duszkim, ogromnie przejęci. Poszkodowany chłopiec jest w szpitalu, ale ciągle nie wiadomo, co z nim.

Duszek dowiedział się jaki to szpital. Poszliśmy tam po obiedzie. Adam został w domu. Okazało się, na szczęście, że kolega miał twardą głowę. Po opatrzeniu powierzchownych skaleczeń i zszyciu jednej, płytkiej ale za to długiej rany, w poniedziałek będzie wypisany.

Matka chłopca, widząc, że nie mogę wykszusić słowa, powiedziała ciepło i łagodnie:

– To się zdarza, proszę pani! Chłopcy już tacy są. Dobrze, że tylko tak się skończyło!

Pewnie, że dobrze, ale przecież, gdyby, gdyby... A tam! Przestańmy gdybać.

W domu Adam próbuje nawiązać z nami kontakt. Nie udaje mu się, bo oboje z Duszkim, jesteśmy bardzo przygnębieni. Mimo wszystko nasuwa się ciągle... gdyby...

4.12.78

Wizyta w Przychodni. Po rozmowie z Adamem, pani psycholog prosi mnie. Powiada, że widzi bardzo dużą zmianę. Na plus! Muszę jej wierzyć! Mówi też, że taki moment może być przełomowy i że dobrze, że w pierwszym impulsie nie gniewaliśmy się, nie łajaliśmy, a daliśmy tylko odczuć naszą wielką przykrość. Dalej trzeba być wyrozumiałym i, nade wszystko, dobrym. Bo on nas pilnie obserwuje. I wie, że jesteśmy przygnębieni. Pani doktor stwierdza też u niego niezorganizowanie i słabą motywację. Zapisuje leki uspakajające.

– Prezenty dać? – pytam bezradnie.

– Dać! I przestać się przejmować!

– Ale przecież, pani doktor, mogło dojść do...

– Ale nie doszło, prawda?

5.12.78

W szkole dobrze. W domu też. Spokojniejszy. Rozmawiam z nim o konieczności opanowywania się, a w głowie mam błędne koło. Bo znowuż, z drugiej strony, wiem, że z tego opanowywania się rodzą się kompleksy, złogi psychiczne! Można zdurnieć! W związku z powyższym, a właściwie bez związku, szykuję drobne prezenciki, boć to jutro Mikołajki.

6.12.78

Może, a nawet na pewno, pani psycholog miała rację. Rano, po odkryciu prezentów pod poduszką, Adam wylądował w piżamce na moim tapczanie.

Zamiast dziękować, powiedział:

– Siosia! Ja już nigdy! Siosia zobaczy!

7.12.78

W szkole dalej nieźle. Żadnych uwag. I dalej spokojny. Poprawił też wszystkie dwójce. Sam sobie zadaje, co ma przerobić, żeby wjechać na wymarzona trójczynę.

8.12.78

Dziś moje imieniny. Dostaję mnóstwo kwiatów, choć to zima i prezenty. W jednej, malutkiej paczuszce, ładnie zawiązanej czerwoną wstążeczką jest figurka, przedstawiająca Bolesława Chrobrego i karteczka: „Od Adama dla Siosi!”.

– Ale – powiada po chwili – Siosia będzie mi pożyczała króla? Bo w razie jakas

bitwa...

– Będę. Oczywiście.

Goście. Rodzinka. Rwetes. Przychodzi też sąsiadka, matka Rafała. Okazuje się, że zaprasza Adama, bo to imieniny Rafała. Adam idzie bardzo niechętnie. Wyciągam go stamtąd o godzinie dziesiątej. Tak się zabawił, że zapomniał o powrocie do domu o przyzwoitej godzinie.

9.12.78

W telewizji film „Proces w Norymberdze”. Oglądamy go wszyscy razem. Po filmie natłok pytań. Jaki jest mój stosunek do Niemców? Czy przebaczyłam? Czy zapomniałam? I że on, Adam, nienawidzi Niemców. Było już coś z tych odczuć w czasie drugich wakacji nad morzem. Długa rozmowa na ten temat.

10.12.78

Matka Rafała zabrała dziś Adama autem na spacer za miasto. Wrócił rozpromieniony.

11.12.78

Do niepodważalnych już tradycji należy machnie z balkonu. Więc, świątek, piątek, śnieg czy deszcz, macham. Odmachuje szeroko i radośnie. Zaraz za Adamem idzie do szkoły mały chłopiec. Tornister mu się dynda na plecach, wymachuje workiem z kapciami. Chłopiec, widząc odwracającego się Adama, robi to samo i też radośnie komuś macha. Z balkonu po prawej stronie, piętro niżej odzywa się gniewny, opryskliwy głos: „No i czego się oglądasz, głupi!”. Zaraz potem grzechoczą jakieś gary. Mały potulnie idzie dalej. Adam, którego uwadze mało co ujdzie, odwraca się i idzie prawie tyłem, zawzięcie macha aż do rogu, za którym znika.

13.12.78

Wraz z obfitym śniegiem uspakaja się zupełnie Adam.

18.12.78

Wywiadówka. Wszystkie stopnie poprawione. Zachowanie też. Nie notuje się już ekscesów. Jest za to tylko bardzo gadatliwy na lekcjach. Często rozśmiesza całą klasę. To przecież nie grzech! Pensyjkę dostaje już od tygodnia. Dwadzieścia złotych. Nie wydaje. Chowa do skarbonki. Czasami wydłubuje scyzorykiem i liczy. Pewnie, żeby było dłużej tego liczenia, prosi o pensję w drobnych. Dwadzieścia złotych złotówkami, to zawsze więcej niż w jednym kawałku.

20.12.78

Wpadł Duszek. Ośnieżony, roześmiany. Kazał Adamowi ubierać się, a żywo i wypadli obaj. Po pół godzinie zjawili się, ciągnąc choinkę. W tym roku Kryśka zaproponowała, coby Wigilia u niej. Wszyscy razem. Trochę mi to rozbiło projekty, bo nie wiem, co z prezentami dla Adasia. Jest tego tyle, zbyt dużo, żeby zabierać. Duszek ma pomysł. Zabrać – powiada – ze dwie, trzy rzeczy, resztę zostawić w domu i po Wilii u Krysiów czyli Andrzejów, zrobić mini Wilię u nas, w domu. Ja też mam pomysł. Zostawić, ale tak, żeby Adam nie widział kartkę w drzwiach, że był Gwiazdor, nie zastał nas w domu i zostawił prezenty pod choinką.

21.12.78

Pieczemy z Adasiem. Dużo. Bo ta Wigilia ma być składkowa. Teściowa Krysi wystąpiła karpie, Wojtkowa Halinka robi sałatki (a robi je świetnie!) jarzynową i śledziową a my... po linii najmniejszego oporu, zbrojni w doświadczenia wypiekarnicze... pieczemy ciasta. A i dla domu trza. Adamowi udaje się zrobić lukier i bardzo go to cieszy. Włazi w każdy kąt. Buszuje, kiedy myśli, że go nie widzę. Wiem. Szuka, gdzie są zamelinowane prezenty.

Nic z tego! Prezenty są w tapczanie Duszka. Na tapczanie zaś siedzi Duszek i pali fajkę. Z tym zaprzestaniem paleniem to jednak nie udało się...

22.12.78

Początek ferii. Na dyżur u Ani, na którym pełniemy funkcje nurse razem z Adasiem, telefon od Wojtusia: mały Paweł zachorował. Na Wilię u Krysiów nie przyjadą.

– Szkoda! – mówi Adam – Ale jak oni nie mogą, to my możemy do nich, prawda, Siosia!

– Teraz?

– Nie! Na ten przykład jutro. Zabierze się wszystko, ja Siosi pomogę i pajechali! Tylko karpia z cioci Krysi wanny to już się nie złapie.

Świetny pomysł. Jak już mają siedzieć przy chorym dziecku, to niech mają przynajmniej coś dobrego na ząb. A sklepów na tych odludnych Jelonkach nie uświadczysz. Że też Adaś wpadł na taki pomysł!

23.12.78

Od samego rana sypie śnieg. Gęsto sypie. I wieje wiatr. Nie w kominie, co prawda, a w wentylatorach, ale aż duje. Jest dziewiętnaście stopni mrozu. Po obiedzie jesteśmy gotowi i spakowani. Obładowani nieprzytomnie, bo to i plecak i duże torby, jedziemy z Adasiem na dalekie Jelonki. Brniemy przez sterty śniegowe, które wiatr nawiał na chłopa wysoko. W zadymce gubimy drogę, ale ducha nie tracimy. Adam nawet powiada, że już nie w takich opałach (?) bywał.

Wreszcie, przemarznięci do szpiku kości i ze zgrabiętymi rękoma, które już bardzo nie chcą trzymać paczek i co raz któraś grzęźnie w śniegu, docieramy do celu.

Na nasze dzwonenie, walenie, nikt nie odpowiada. Marzy się nam już tylko szklanka gorącej herbaty i kawałek ciepła pod dachem. Na klatce schodowej ziąb. Przez szpary i szczeliny wielkopłytych ścian nawiewa do klatki schodowej śnieg. Decyduję zostawić paczki u sąsiadów i wracać. Od nich dowiadujemy się, że Wojtkowie są na pewno w domu. Pewnie tylko urzędują w kuchni i nic nie słyszą. Walimy więc dalej, ze wzmożoną energią, aż dygoce cienka dykta drzwi.

Nagle Adam krzyczy:

– Hurra! Mam pomysł! Przecież oni mieszkają na parterze i tam jest balkon. Brniemy po śniegu na drugą stronę bloku. Jest światło. Rzucamy śniegiem. Strwożona twarz Halinki za szybą.

Potem, kiedy już rozebrani z pokładów ubraniowych, napojeni, odtajali i bardzo szczęśliwi, siedzieliśmy z Adasiem w kuchni, Halinka, która robiła mikserem ciasto i dlatego nie słyszała dzwonenia, powiedziała, że bardzo się przestraszyła. Bo te Jelonki kończą się akurat na ich bloku. I zaraz za balkonem są szczere pola. Chuliganów dużo. I napady się zdarzały.

Błogie, rozkoszne ciepłko ogarnia nasze sopolkowate przed chwilą, postacię. W mieszkaniu ciepło, bo grzejnik elektryczny. Kaloryfery też gorące, ale są szpary między ścianami a framugami na palec szerokie. Mimo pozatykania wszystkim, czym się da, wiatr igra z zasłonami.

– Takie to i budownictwo – powiada Wojtuś – sufit się sypie, tynk odpada, łazienka nie wykończona.

Nic dziwnego, że nie słyszeli naszego dobijania się: w kuchni gra radio, warczy mikser i coraz coś strasznie gruchocze tuż obok. Adam przysypia na stołku, koło lodówki.

– Co to jest? – podryguję za każdym gruchnięciem.

– Nic to matka! – uspakaja Wojtuś – to tylko zsyp. Genialni architekci umiejscowili go tuż przy ścianie kuchni. Każda klatka schodowa ma rodzaj szerokiego występu. Prócz wejścia na schody, mieści się tam zsyp. A jak leci z 10-tego piętra, nawet mały kubek śmieci, to co się dziwić, że huk od groma.

– Dlatego Paweł śpi w naszym pokoju – dodaje Halinka – ale co będzie latem? Przecież w upały nie będzie sposobu, żeby otwierać okno w jego pokoju.

– Siosia, – mówi cichutko Adaś, otwierając jedno oko – ja bym już chciał do domu.

24.12.78

Wyprawa do Andrzejów. Wychodząc, w drzwiach popychamy się, obładowani, jak juczne dromadery. Duszek daje mi dziwne znaki i wyrzuca nas za drzwi. Na dole przypomina mi się, że tak było umówione. Przez czas naszego schodzenia Duszek miał podłożyć pod choinkę resztę prezentów. I przypiąć do drzwi kartkę od Gwiazdora.

U Andrzejów cudowny, świąteczny rozgardiasz. Pachnie choinka, przypięta do ściany, ze względu na Anię, która wszystko ściąga. Liczne, smakowite zapachy z kuchni mieszają się z zapachem świeżo pastowanej podłogi.

Tłum gości. „Jest teściowa i zięć, zięć do pieścizot ma chęć”, dwie siostry Andrzeja, obie dzieciate, brak tylko dziadka Kazia.

Dzieci roją się koło choinki. Adam wyciąga Anię spod stołu, Krysia krzyczy nie wiadomo do kogo: „Pilnujcie dzieci!”, wyciągnięta Ania wyjada galaretkę.

Nagle dramat! Wszędobylska Ania, skończywszy galaretkę odkrywa, szczelnie, zdawałoby się owinięty, wózeczek dla lalki, z lalką w środku, plus całe, kompletne wyposażenie. To wspólny dar dziadka i babci. A dziadka wciąż brak. Robi się niezmiernie zamieszanie. Krysia odrywa małą od wózeczka, ta drze się, jak opętana, druga babcia, nie wiedząc o co chodzi, leci na ratunek słodkiej dziecinie. Sytuację ratuje Adam. Czujny, jak zwykle, on jeden usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych. Otwiera je szeroko i... niemieje.

W drzwiach stoi święty Mikołaj. Cały strój jak należy, czerwony z białymi wyłogami, broda po sam pas (skąd on to wziął?). Dziadek też miewa pomysły! Zdekonspirowany święty Mikołaj rozdziela prezenty, a potem z babcią (babcia to ja!), wprowadzają, schyleni mocno, nie wiekiem a wysokim wzrostem, wózeczek.

Teraz Ania niemieje. Za chwilę już wie, co się z tym robi. Wyjeżdża, bardzo dumna do swego pokoju.

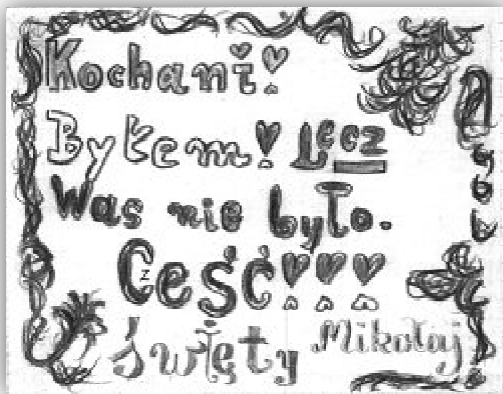
– Siosia! – Szepce po chwili tajemniczo Adaś – Siosia zobaczy, co ona robi.

Jest bardzo śmiesznie, bo nasze głowy, jedna nad drugą, a jest ich mnogo, tkwią dyskretnie we framudze drzwi. Na samym dole, między nogami Andrzeja, sterczy głowa Adasia.

Wieczorny powrót do domu. Jak przyjemnie, że czeka nas ciepłe, ciche mieszkanie. Rozświetlone, mimo północy, okna rzucają długie, kolorowe odbłaski na biały śnieg. Ucieka ostatni autobus.

Bgniemy przez park, byle szybciej. W parku trochę ciemnowo, więc dla kurażu Duszek intonuje: „Bóg się rodzi”.

Pierwszy dopada schodów Adam. Dudnią w górę kroki, piętro za piętro. Potem cisza.



– Pewnie czyta kartkę od Gwiazdora! – szepcze Duszek – Ale będzie miał niespodziankę!

Adam kartkę przeczytał, i owszem. Ale stoi pod drzwiami i nie wchodzi.

– Dlaczego tak stoisz? Otwieraj!

– Zapomniałem klucza, Siosia! Mam świąteczne portki. Został w tamtych.

– Zapomniałeś? Jak to? Ale ja mam... a ja mam świąteczną torebkę. Jacek! Ty chyba masz klucze...

Moje słowa giną w dudnieniu, zbiegających tym razem, kroków.

– Dlaczego on zbiegł, Adasiu? – zupełnie bezmyślnie pytam, siadając na schodach.

– Pewnie też nie ma kluczy – domyślnie rzuca Adam – Siosia się posunie to i ja usiądę.

I siedzimy z Adasiem, przytuleni do siebie, dwa biedne, zmarznięte wróbelki. Czekamy na nie wiadomo co.

Tak się zaczęła nasza mała, prywatna wigilia.

– A wigilia – pocieszam Adasia – to przecież czuwanie.

Adam z głową na moim ramieniu przysypia. Po długiej, bardzo długiej chwili gramolą się i Duszek i pan dozorca. Obaj, zgodnym chórem podśpiewują: „Wśród nocnej ciszy”.

Długo trwało otwieranie, bo świąteczna sprawność pana dozorca była raczej zachwiana.

– A ajerkoniaczek, buzi dać! – zwierza mi się Duszek – Mogłabyś, matka, wziąć przepis od pani dozorczyńni.

– Teraz??

– Nie! Skąd! Teraz to my wejdziemy nareszcie do mieszkania.

Pierwszy wpada, nagle oprzytomniały, Adaś. W ośnieżonych butach, w kurtce, siada na moim tapczanie.

– Nasza ładniejsza! – oświadcza dumnie – Sam ją ubierałem! Ale tu coś leży, czego nie było przedtem – orientuje się bystrze.

– Przecież był Gwiazdor – radośnie oznajmia Duszek – Rozbierajcie się! Zaczynamy Święta!

Minęło wiele lat. Duszek odszedł jednak z harcerstwa. Opuścił je w stopniu harcmistrza. Znalazł inną drogę życia i od lat wspaniale realizuje się muzycznie z Dziecięcym Zespołem Wokalnym „GONG”.

Babcia, jak to babcia, jakoś sobie radzi.

A Adaś?

Adam, po szkole podstawowej, wybrał Szkołę Zawodową Introligatorską, a potem czteroletnie Liceum Zawodowe, które ukończył, jako czeladnik w zawodzie.

Zginął tragicznie w wieku 24 lat w wypadku samochodowym w sobotę, 3 lutego 1990 roku.

KONIEC